



Ludzkość przekroczyła granice niekontrolowanej nienawiści.  
Teraz przeżyją tylko Wściekli...

# WŚCIEKŁA KREW

David  
Moody

**DAVID MOODY**

**WŚCIEKŁA  
KREW**

**Przekład  
GRAŻYNA GRYGIEL  
PIOTR STANIEWSKI**

## I

*Skąd się wzięła Nienawiść? A jakie to ma znaczenie? Nienawiść - tak to określały obie strony nierównej walki. Na samym początku, gdy nawet sceptycy musieli już przyznać, że coś rzeczywiście się dzieje i że za podsycanie fali przemocy nie można obwiniać wyłącznie mediów przedstawiano, jak zwykle, rozmaite bezpodstawne wyjaśnienia: naukowcy schránili coś w laboratoriach, pojawił się dziwoląg ewolucyjny rozprzestrzenił się wirus, nastąpił atak terrorystyczny; wylądowali kosmici. Lub jeszcze coś gorszego. Ludzie szybko jednak zrozumieli, że to nie ma żadnego znaczenia. Mogłeś wciskać kit i formułować dowolne hipotezy - nikogo to ani grzało, ani ziębiło. Po dniach walk społeczność w końcu zaczęła akceptować fakt, że zrobiła się koszmarna chryja i nikt nie mówił już o przyczynach Nienawiści. I prawie nikt nie zwracał sobie tym głowy Przeżyć - to było teraz najważniejsze dla nie-Nienawistnej części ludności. A nienawistnicy tak zwani Wściekli? Ta jedna trzecia populacji, która się zmieniła? Ci poprzednio „normalni”, którzy bez uprzedzenia stali się dzikimi, brutalnymi, bezwzględными zabójcami? Dla nich liczyło się jedno: zniszczyć wszystkich niezmiennych, Zwykłych - jak ich nazywali. Co do jednego.*

*Przed tymi wydarzeniami apokaliptyczne filmy i książki przedstawiały taką wizję: wobec wspólnego wroga społeczeństwo natychmiast się zjednoczy i albo wszyscy razem staną do walki, albo ukryją się i przycupną, gdy dostrzegą, że zza horyzontu wylania się coś, co można przyrównać do Armagedonu. Tak się jednak nie stało. Nikt nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że początkowo wielu po prostu schowało głowę w piasek, bo się bali albo nie zamierzali uznać faktów, aż okazało się, że jest za późno. A może ludzie uparli się i nie chcieli porzucić swoich domów i dobytku ani rezygnować z utartego trybu życia. Nikogo to nie obchodziło. Cynik mógłby twierdzić, że skutki Nienawiści zostały zakamuflowane przez zawsze gniewne, nieufne, samolubne i chciwe społeczeństwo. Dlaczego jednak społeczeństwo nie zareagowało? Nikt nie znał dokładnych powodów. Zresztą czy to ważne? Najistotniejsze, że zawczasu nie oszacowano w pełni skali i konsekwencji tego, co się dzieje. W końcu zrobiło się za późno, a reperkusje okazały się zgubne. To nie była zwykła wojna i ludzie boleśnie to odczuli.*

*Pod wieloma względami sytuacja, w jakiej znaleźli się Zwykli, była beznadziejna. Konflikt nie polegał na walce frakcji z frakcją czy armii z armią. Tu walczyły ze sobą pojedyncze osoby - sześć miliardów jednoosobowych armii. A Nienawiść nie zważała na to, kim jesteś czym jesteś" gdzie jesteś. Byłeś po prostu po jednej lub po drugiej stronie i nie od ciebie zależała twoja pozycja w tym nowym, pokreconym, popieprzonym świecie. Determinowały ją nieznane czynniki i ślepy los. W ciągu kilku tygodni przestały funkcjonować struktury dowodzenia na każdym szczeblu. Organizacje się rozpadły. Rodziny się rozleciały. Wściekli byli wszędzie. Wściekłym mógł być każdy. Cały świat został rozsadzony od środka.*

*Powszechnie uważano, że Zwykłych jest ze dwa, trzy razy więcej niż Wściekłych. Wróg dyszał dziką, nienasyconą żądzą krwi, jednak Zwykli uznali, że skoro przeważają liczebnie i istnieli jeszcze przed wojną, mają naturalną początkową przewagę. Ale szybko ją stracili. Brakowało im czasu; albo nie potrafili znaleźć środka zaradczego (czy zresztą w ogóle można było cofnąć przemianę?), dlatego odseparowanie się od wroga i zlikwidowanie go uznali za jedyną realną strategię przeżycia. Zwykli podjęli wreszcie próbę wytepienia Wściekłych, ale mimo nauk płynących z historii i argumentów moralnych robili to bez przekonania i próba skończyła się niepowodzeniem. Niemal z dnia na dzień plan ataku na Wściekłych musiał się zmienić w plan obrony przed nimi i najważniejszą sprawą stało się przygotowanie ludzi do obrony Gromadzono*

*cywili w wyznaczonych miejscach, centra głównych miast szybko zmieniły się w przeludnione obozy uchodźców, zaopatrzenie szwankowało, brakowało fachowego personelu. Koncepcja Zwykłych brzmiała następująco: oddzielimy nas od nich, a potem wrócimy na puste polacie kraju i wykurzymy sukinsynów; Niecałe cztery miesiące temu, po ostatnich mroźnych dniach, nastąpiła odwilż i na roślinach pojawiły się pierwsze nieśmiałe pączki. Park miejski był zwykle pustą, mało uczęszczaną oazą bujnej zieleni w betonowym sercu miasta. Pracownicy biurowi odpoczywali tu w porze lunchu albo szli tędy na skróty do pracy Dzieciaki chodziły tu na wagary, piły kradziony*

alkohol, paliły papierochy i ryły swoje imiona na ławkach i pniach drzew. Emerycy -z nadmiaru czasu i wspomnień - przysiadali na ławce w drodze na zakupy mówili do każdego, kto chciał słuchać: kraj schodzi na psy, a za dawnych czasów było lepiej. I, trzeba przyznać, mieli rację.

W cieniu biurowców, pod osłoną centrów handlowych, sal kongresowych i multipleksów, na rozległych przestrzeniach - które kiedyś były trawnikami - stały nierówne ciasne rzędy namiotów uchodźców. Dwa boiska piłkarskie zmieniono w lądowiska, gdzie stale siadały helikoptery. Na latach miękkiego asfaltu - kiedyś stały tu huśtawki, karuzele i zjeżdżalnie - zgromadzono sterty sprzętu wojskowego; strzeżono go pilnie, ale zapasy szybko topniały Szatnie sportowe w odległym krańcu parku odgrywały teraz rolę marnego szpitala polowego. Obok małego budynku z czerwonej cegły wzniesiono wysoki drewniany płot - okalał cztery betonowe korty tenisowe. Jeszcze trzy tygodnie temu teren ten traktowano jako prowizoryczną kostnicę, ale potem sterty ciał czekających na usunięcie wyrosły tak wysoko, że urządzono tu stos pogrzebowy który stale płonął. Nie było innego sposobu pozbycia się ciał zgodnie z wymogami sanitarnymi.

Zanim matka usiłowała go zabić i zanim siłą zaciągnięto go na wojnę, od której desperacko próbował się izolować, Mark Tillotsen pracował w firmie ubezpieczeniowej, sprzedając polisy przez telefon. Pracował ciężko i lubił swoje zajęcie - jeśli w ogóle można lubić sprzedaż polis przez telefon. Cenił sobie własną anonimową rolę, odpowiadało mu bezpieczeństwo codziennej rutyny, procedur i przepisów, za którymi mógł się skryć, oraz akceptował cele, jakie mu stawiano. Podczas ostatniego przeglądu kadrowego, zaledwie miesiąc przed wybuchem Nienawiści, kierownik oznajmił mu, że czeka go świetna przyszłość. Teraz powoli włókł się w popołudniowym skwarze w stronę konwoju złożonego z trzech zniszczonych ciężarówek, wspieranych przez silnie uzbrojone pojazdy wojskowe, i zastanawiał się, czy obecnie kogokolwiek w ogóle czeka jakaś przyszłość.

Mark wspiął się do kabiny środkowej ciężarówki i pozdrowił kierowcę. W ostatnich tygodniach kilka razy podróżował z nim za miasto. Marshall był typowym kierowcą ciężarówki - kabina maszyny stanowiła dla niego prawie dom. Ramiona miał umięśnione i potężne jak pnie drzewa, wyblakłe tatuaże kryły się pod gęstym, siwym owłosieniem. Mocno trzymał kierownicę w dłoniach obleczonych skórzanymi rękawiczkami i jej nie wypuszczał. Uparcie wpatrywał się przed siebie; twarz miał poważną, wręcz posepną. Uznał, że lepiej nie przejawiać żadnych emocji, niż okazać Markowi, jak bardzo się denerwuje. Nie było to łatwe.

- W porządku?

- Jakoś leci - odparł szybko Mark. -Au ciebie?

Marshall skinął głową.

- Dziś ludzie, nie zaopatrzenie.

- jak to?

- Helikopter wytropił ich w podczerwieni, jakieś pięć kilometrów za strefą.

- Ilu?

- Nie wiem. Dowiem się, jak dojadę.

I na tym skończyła się ich krótka, urywana wymiana zdań. Nie musieli nic więcej dodawać. Powszechnie uważano, że Zmiana już się dopełniła, i teraz każdy wiedział, czy osoba stojąca obok chce ci rozwalić łeb, czy nie. Mimo to obcy ludzie rozmawiali ze sobą krótko, tylko w razie konieczności, i czuli się przy tym nieswojo. Stale stapałeś po cienkim lodzie: zupełne zignorowanie człowieka mogło się okazać niebezpieczne, a nadmierne zainteresowanie -jeszcze gorsze. Nie należało nikomu dawać powodów do podejrzeń, że jesteś jednym z nich. Mark znał tylko nazwisko Marshalla i nic więcej o nim nie wiedział. Chciał, żeby tak pozostało.

W drogę. Marshall włączył silnik. Nagle terkotanie, hałas i wibracje sprawiły że Mark poczuł mdłości i jeszcze bardziej zaczął się denerwować. Pamiętaj, dlaczego to robisz, napominał się stale. Wyprawa poza tak zwaną strefę zamkniętą pozwalała mu uciec z gównianego, zatłoczonego pokoju hotelowego, gdzie go zakwaterowano wraz z jego dziewczyną i kilkoma członkami jej rodziny. Poza tym gorliwi ochotnicy oddziałów bojówkarzy tacy jak on, dostawali dodatkowe racje żywnościowe - małą część tego, co udało im się poza tą strefą zdobyć i przywieźć z powrotem. Ale

najważniejsze było to, że wyjazd w otwartą przestrzeń i obserwowanie polowania na tych podłych drani i zabijania ich dawało mu poczucie rewanżu, było czymś w rodzaju zemsty. Chryste, potrzebował rewanżu i zemsty. Bez jego winy życie wywrócono mu do góry nogami i rozerwano na strzępy. Podobnie jak wielu innych stracił prawie wszystko i chciał, żeby ktoś poniósł za to karę.

Ciężarówka szarpnęła i zatrzymała się kilka centymetrów od jadącego przed nią samochodu, potem znowu szarpnęła, gdy konwój ruszył. Mark spojrzał do tyłu w stronę parku: helikopter bojowy wznosił się z lądowiska na boisku piłkarskim i wzleciał nad nimi - był ich eskortą i oczami podczas wyprawy za miasto.

Pojedynczy pas szarego asfaltu wił się przez park, biegł przez duży prostokątny parking - teraz wypełniony pojazdami wojskowymi - potem wśród zagajnika osiemset metrowym odcinkiem prowadził do drogi dojazdowej. Na zakrętach Mark przesłaniał oczy przed nieustępliwym popołudniowym słońcem i patrzył na tę dziwną strefę zmilitaryzowaną. Jak w ogóle do tego doszło? Jako uczeń bawił się tu w dni wolne od szkoły a teraz co? Wioska namiotów i kontenerów kojarzyła się ze slumsami Trzeciego Świata. Albo ze źle zorganizowaną pomocą humanitarną po jakiejś siejącej spustoszenie katastrofie - huraganie, tsunami, trzęsieniu ziemi czy suszy. Ale przecież tutaj nic takiego się nie wydarzyło. Mark zmusił się, by nie zatrzymać wzroku na niekończącym się tłumie uciekinierów, którzy zajmowali każdy skrawek ziemi, zmusił się, by nie słuchać bezustannych krzyków i płaczu, których nie zagłuszał nawet hałas ciężarówki, zmusił się, by nie zwracać uwagi na obrzydliwie cuchnące powietrze. Koncentrował wzrok na koronach drzew, kołyszących się lekko w wietrzyku wczesnego lata. To jedyna część świata wyglądająca jak w czasach sprzed Nienawiści.

Poczuł ulgę, gdy dotarli do drogi dojazdowej, i Marshall, jadąc za innymi samochodami, skręcił w prawo. Ale nawet tutaj... wszędzie ludzie. Tłoczyli się przy drzewach, rozpaczliwie szukali osłony i cienia. Dziś były tu większe tłumy niż wtedy, gdy wyjeżdżał z Marshalllem. Mark przyglądał się jednej z kobiet. Siedziała po turecku na trawie; usiłowała przytrzymać dziecko, które histerycznie krzyczało i się wyrывało. Wokół w torbach stały resztki dobytku. Kobieta łagodnie kołysała przerażoną, niepocieszoną córeczkę. Jakie wypadki sprowadziły tutaj tę kobietę? Czy miała partnera? Czy ktoś z bliskich ją zaatakował? Czy miała więcej dzieci? Kobieta spojrzała w górę i napotkała wzrok Marka. Szybko odwrócił oczy. Zapomniał o niej niemal natychmiast, zajęty własnymi beznadziejnymi problemami. Jego dziewczyna, Kate, była w ciąży. Wolalby, żeby nie była w ciąży, choć bardzo się starał nie przyznawać do tego nawet przed sobą.

Konwój wyjechał z gęsto zaludnionego centrum miasta i znalazł się w strefie zamkniętej. Widok tego terenu sprawiał dziwne, niepokojące wrażenie. W następstwie paniki, jaka wybuchła z nadejściem Nienawiści, władze municypalne, na rozkaz wojska, wciągnęły pozostałą ludność do miasta, tymczasowo kwaterując wszystkich w sklepach, biurach, wysokich budynkach, gdzie tylko znalazły się wolne miejsca. Strefa zamknięta szerokości od ośmiuset metrów do trzech kilometrów była martwym rejonem. Opuszczonym, patrolowanym z powietrza pasem ziemi niczyjej, wciśniętym między przepelnionymi obozowiskami uciekinierów a granicami miasta. To miejsce - raczej porzucone niż zrujnowane - przypominało obecnie wielki zaniedbany skansen. Przejeżdżali obok nowoczesnie wyglądającej szkoły, pustej teraz, choć powinna była być pełna uczniów. Trawa do kolan porastała boisko sportowe, wyglądające jak pole, z którego na czas nie zebrano plonów. Do jadącego na przedzie konwoju samochodu wojskowego prowizorycznie przymocowano długi lemiesz, który jak pług śnieżny odsuwał z drogi porzucone samochody tkwiące tu nieruchomo w zastygłym od tygodni korku.

Zbliżali się do granicy i Mark czuł się coraz gorzej. Nie chciał pokazać po sobie niepokoju - obawiał się, że Marshall może błędnie odczytać jego reakcję - więc oparł się o szybę i głęboko oddychał. Próbował sobie przypomnieć techniki relaksacyjne, jakich go uczono na zajęciach z postępowania z niezadowolonym klientem. Wysłano go na to szkolenie w grudniu ubiegłego roku. Chryste, wiele razy powtarzał te ćwiczenia, ale zawsze czuł, że jest żałośnie nieprzygotowany. Żadna porcja metod relaksacyjnych i technik wyciszenia nie mogła go przygotować na to, co go

teraz czekało.

- Jeszcze kilka kilometrów - powiedział Marshall niespodziewanie. Mark aż drgnął. Usiadł prosto, sprężył się. Serce w piersiach waliło mu dziesięć razy szybciej, niż należało. Znaleźli się daleko poza strefą zamkniętą. Choć Mark nie widział żadnych drogowskazów żadnych granic fizycznych czy innych znaków sygnalizujących zmianę, poczuł nagle stukrotnie większe zagrożenie.

- Czy dobrze usłyszałem, że dziś jedziemy po ludzi? - spytał, nawiązując do krótkiej rozmowy z Marshalllem po wejściu do ciężarówki.

- Taaa.

- Świetnie.

Podwójnie cholerna robota. Wyprawy poza miasto zawsze były bardziej ryzykowne i nieprzewidywalne, gdy chodziło o cywili. A najważniejsze, że jeśli nie jadą po prowiant, to po powrocie nie będzie obrywów.

- To ma dobrą stronę - odparł cicho Marshall, który również był rozczarowany. Prawie udało mu się uśmiechnąć. - Znacznie więcej tych złamasów zginie, gdy zobaczą naszych.

Miał rację. Gdy tylko pierwszy cywil wychynie z ukrycia, nieuchronnie całe watahy Wściekłych opadną go ze wszystkich stron. Może na tym polega plan? Wystawić łatwy cel helikopterowi i czterdziestce uzbrojonych żołnierzy jadących w konwoju. Zastanawiał się, w jakim stanie będą ci, co przeżyli, których mają ratować. I czy w ogóle warto ich będzie ratować? Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób utrzymali się tu aż tak długo. Chryste, bardzo trudno było przeżyć nawet w mieście. Jeśli ci ludzie uważali, że ich sytuacja poprawi się po ewakuacji, to bardzo się mylili.

Niegdyś na tej szosie panował duży ruch, ludzie dojeżdżali tędy do pracy w mieście. Teraz w popołudniowym skwarze ta cicha, zaśmiecona droga wila się wśród zarośniętych pól i zapuszczonych domów. Na początku konwoju jechał pojazd wojskowy, na końcu - przysadzisty transporter opancerzony z uzbrojonymi żołnierzami, między nimi trzy puste ciężarówki o wysokich burtach. Sunęli pustym traktem, z którego plugi zepchnęły wraki samochodów. Konwój przypominał pociąg jadący za lokomotywą. Ciężarówki nadal miały logo i reklamy firm, do których należały przed wojną. Jaskrawo pomalowane, były bardzo dobrze widoczne w pokrytym szarym pyłem krajobrazie.

Mark wpatrywał się w rząd domów, obok których przejeżdżali z łoskotem. Był przekonany, że za nimi dostrzegł przemykającą szybko postać. Znowu ją widział przez ułamek sekundy między dwoma domami - rozmazaną w ruchu barwną plamę. I gdy jej wypatrywał, pojawiła się druga postać - szczupła kobieta przeciętnego wzrostu. Sprawnie wdrapała się na stertę gruzu i skoczyła na pobocze drogi porośnięte suchą trawą. Na chwilę straciła równowagę, ale natychmiast stanęła mocno na nogi i szybko ruszyła. Biegła szosą z rozwianymi włosami, które przypominały lwią grzywę. Niemal udało jej się zrównać prędkością z konwojem. Mark podskoczył na fotelu, gdy kawałek betonu, ciśnięty z drugiej strony drogi, uderzył w drzwi ciężarówki i zaledwie o kilka centymetrów minął okno, przez które Mark wyglądał. Zaskoczony, spojrzął w boczne lustro i zobaczył, że za konwojem biegnie teraz cała grupa. Nie miał pełnego pola widzenia, ale doliczył się co najmniej dziesięciu osób. Nigdy nie dogonią samochodów, ale może liczą na to, że konwój się wkrótce zatrzyma? Biegły z upartą zawziętością, odległość od konwoju się zwiększała, ale one nadal gnały zaciekle w tym samym rytmie. Mark rozglądał się z niepokojem i po obu stronach drogi widział coraz więcej postaci, które wylaniały się z cienia i wbiegały na szosę. Poruszały się gorączkowo, chaotycznie, i trudno było określić, ile ich jest. Miało się wrażenie, że setki.

Marshall pamiętał miejsce, do którego zmierzali, znał je sprzed wojny. Nowoczesny biurowiec pośrodku podmiejskiej galerii handlowej - w poprzednim życiu kilkakrotnie woził towar do tutejszych magazynów. Cieszył się, że dziś jedzie za samochodem bojowym, a nie na czele konwoju. Z trudnością rozpoznawał okolice, wydawało mu się, że droga jest dłuższa, niż była w rzeczywistości. Za strefą zamkniętą wszystko wyglądało jakże inaczej. Żeby zmusić Wściekłych do poddania się, teren intensywnie bombardowano podczas kilku miesięcy ciągłych walk. Wszystko porastało dziką roślinnością. Coraz mniej było niezniszczonych budynków, coraz więcej gruzów i

ruin. I coraz więcej trupów. Niektóre zwłoki w stanie rozkładu schły na słońcu. Wychudzone szkielety. Inne wyglądały jak ciała dopiero co zgładzonych ludzi. Chryste, pomyślał sobie, nie chcąc demonstrować strachu i wypowiadać głośno uwag, jak to miejsce będzie wyglądało za parę miesięcy? Wszędzie chwasty: wystawały ze szczelin między płytami chodnikowymi, wdzierały się na szosę i na zniszczone budynki, gdyż robotnicy miejscy nie spryskiwali terenu środkami chemicznymi, by powstrzymać natarcie roślin. Po ostatnich burzach, w upale wczesnego lata, rośliny rosły bujnie, a martwe ciała szybko się rozkładały. Wszystko przybrało zielonkawą odcień - barwę pleśni na zepsutym jedzeniu. Świat zewnętrzny wyglądał tak, jakbygnił, a unoszący się w powietrzu fotor był nie do zniesienia.

W górze, nad ciężarówkami, helikopter nagle mocno przechylił się w prawo i zaczął opadać. Mark wysunął głowę do przodu i obserwował, jak maszyna szybko ląduje. A więc osiągnęli cel podróży. Miał lęk wysokości, ale w tej chwili żałował, że nie jest tam w górze, skąd mógłby wypatrywać wroga z większej odległości niż tu, z poziomu ziemi. Nie spodziewał się, że będzie uczestniczył w walce... chyba żeby musiał. Jego rola polegała na jak najszybszym załadunku na ciężarówkę jedzenia, zapasów, cywili czy innych obiektów, które tu znajdują. Nie był jednak naiwny. Wiedział, że ta misja to słabo zawołowany pretekst, by wywabić jak najwięcej wrogów i dać im popalić. Wrogowie prowadzili niezorganizowane życie nomadów i palali nienasyconą żądzą zabijania, dlatego łatwo dawało się nimi manipulować i sterować. Jeśli Wściekli z tej okolicy zauważą jakąś aktywność poza strefą zamkniętą, ruszą w tamtą stronę i będzie ich można łatwo zlikwidować. A jeśli podczas akcji zrani się jakiegosi cywila, żołnierza czy ochotnika, takiego jak Mark? Istniało takie ryzyko. Musiał do tego przywyknąć. Każdego można poświęcić, jeśli przy okazji zabije się przynajmniej jednego Wściekłego.

Konwój okrążył rondo w niewłaściwym kierunku i zajechał pod biurowce. Dobrze utrzymane kiedyś centrum, otoczone kosztowną, wypielegnowaną zielenią, było teraz zniszczone i zarośnięte. Pojazd z pługiem przebił się przez niską zaporę bezpieczeństwa, a potem znów przyśpieszył; na progach zwalniających podskakiwał, a potem z łoskotem opadał na jezdnię. Mark widział przed sobą budynek biura; od szklanej okładziny z brązowanego szkła odbijało się silne słońce i raziło go w oczy. Szukał wzrokiem wejścia do budynku, ale przy tej prędkości wypatrzenie go było dość utrudnione. Mocno się trzymał oparcia fotela, gdy Marshall, tak jak kierowca przed nim, ostro zakręcił, wyprostował kierownicę, po czym nacisnął hamulce i kilka metrów przed budynkiem zaparkował równoległe do innych pojazdów.

Mark nie chciał wychodzić. Marshall spojrział na niego wściekle.

- Ruszaj się!

Mark nie protestował. W głosie Marshalla wyraźnie wyczuwało się strach. Mark wyskoczył z kabiny, obiegł ciężarówkę i otworzył drzwi z tyłu naczepy. Słyszał wokół hałas i odgłos ruchu żołnierzy, którzy wychodzili z transportera i ustawiali się łukiem w bojowym szyku przed wejściem do budynku i wokół konwoju. Inna grupa, może jedna piąta wszystkich żołnierzy, pobiegła do zabarykadowanych drzwi i próbowała je sforsować. Spalony samochód obstawiony kosztami na śmieci blokował główne wejście.

- Nadchodzą! - ryknął ktoś z góry, z lewej strony. Ostrzeżenie było słycharc nawet na tle huku helikoptera i ogólnego hałasu. Mark spojrział w kierunku ustawionych w wygiętą linię żołnierzy. Przez prześwity między nimi widział zbliżających się Wściekłych. Ze straszliwą prędkością pędzili ze wszystkich stron ku budynkowi. Jak wataha rozpaczliwie polująca na resztki jedzenia, przedzierali się przez dziury w wybujających żywopłotach, wdrapywali się na wraki samochodów i gramolili po ruinach pustych budynków, żeby dostać się do Zwykłych. Mark znieruchomiał. Widział; jak wielu z nich poległo pod gradem kul wystrzelonych z linii obronnej i z krzącego nad głowami helikoptera. Ich ciała drgały i gwałtownie podrywały się, trafione przez pociski. Gdy jeden z nich został zabity na jego miejsce natychmiast pojawiała się mnóstwo innych, którzy rywalizowali między sobą o miejsce na czele grupy atakującej. Niektórzy chyba nie zwracali uwagi na niebezpieczeństwo, bardziej przejęci tym, by zabijać, niż tym, że sami mogą zostać zabici. Ich

dzikość przerażała.

Mark usłyszał za plecami odgłos szybkich kroków. Odwrócił się, gotów do obrony, ale od razu się usunął, gdy zobaczył, że to pierwsza fala uciekinierów wylewa się przez rozbite okno na parterze. Próbował pomóc im wdrapać się na ciężarówkę, ale nikt nie chciał i nie potrzebował jego pomocy. Paniczny strach gnał tych ludzi naprzód. Mężczyźni, kobiety i dzieci rozpaczliwie się przepychali, by dostać się do któregoś pojazdu. Nikt nie chciał tu pozostać. Całe tygodnie żyli w niewyobrażalnej nędzy, brudzie i niepewności, a ponieważ ich kryjówka została teraz zdemaskowana i wystawiona na atak, ostatnią i jedyną szansą była ucieczka.

Trwał nieprzerwany ostrzał, ryczący helikopter miotał wściekły ogień. Mark usiłował nie zwracać uwagi na hałas - koncentrował się na tym, by jak najwięcej osób wcisnąć do naczepy ciężarówki. Żołnierze przed nimi zostali zmuszeni do cofnięcia się. Marshall nacisnął na gaz, by zasygnalizować Markowi, że za chwilę ruszają. Bojąc się, by nie odjechano bez niego, Mark podbiegł do kabiny i wspiął się na swój fotel. Zostawił uciekinierów, wdrapujących się na naczepę. - Robi się parszywie. - Marshall skinął głową w stronę linii żołnierzy. Groziło jej załamanie. - Zaraz...

Nie skończył. W linii pojawiła się przerwa - to jedna z Wściekłych zaatakowała żołnierza, który przeladowywał broń. Powaliła mężczyznę na ziemię, skoczyła mu na pierś i roztrzaskała jego głowę kawałkiem betonu wielkości piłki nożnej. Gdy żołnierze usiłowali przyjść mu z pomocą, powstała kolejna przerwa, potem trzecia i czwarta. Mark z niedowierzaniem patrzył, jak potężny Wściekły - istna bestia - wywleka innego żołnierza i ciska nim o ścianę. Żołnierz ciągle strzelał do swojego oprawcy ale wydawało się, że Wściekły jest nieświadom, iż kule rozrywają mu ciało. Nacierał i walczył, aż wreszcie padł martwy.

Wróg nacierał z dziką, przerażającą prędkością i siłą. Marshall nie zamierzał się temu dłużej przyglądać. Tak jak kierowca ciężarówki stojącej po jego prawej stronie, nie czekając na rozkazy dodał gazu. Uciekinierzy z tyłu naczepy nie spodziewali się tego; niektórzy spadli na ziemię i natychmiast ruszyli w pogoń za znikającym pojazdem, ale nie mieli żadnych szans. Ze wszystkich stron opadli ich Wściekli i wylawiali ofiary niczym afrykańskie drapieżniki, wywlekające łup z obfitej, szałonej powoli sawanną fali zwierzyny. Ostatni nieliczni cywile wynurzali się z budynku i jak owce szli na rzeź.

Trzecia ciężarówka, która parkowała bezpośrednio po lewej stronie Marshalla, stała nieruchomo. W lusterku bocznym Mark obserwował, jak Wściekli szarpia drzwi do kabiny otwierają je, wyciągają kierowcę i oblepiają go jak robaki zepsute jedzenie. W kilka sekund otoczyli cały pojazd i zaczęli mordować uchodźców, którzy zdążyli wdrapać się do naczepy. Ciężarówka Marka oddalała się, ale wciąż widział uchodźców i osamotnionych żołnierzy ginących w wyniku brutalnych, błyskawicznych ataków. W górze nad polem bitwy krążył helikopter, a kanonier miał teraz prosty rozkaz: zniszczyć na ziemi wszystko, co się jeszcze rusza.

Wściekli, którym udało się uciec z tej masakry, wdarli się do budynku, poszukując pozostałych Zwykłych. Ponad dwudziestu Wściekłych obchodziło pokoje i przeglądało każdy zakątek - chcieli zabijać, ciągle zabijać, jeden z nich coś wyczuł. W wąskim korytarzu przystanął przed niepozornymi drzwiami, które inni minęli obojętnie. Na framudze zauważył odciski brudnych rąk i był pewien, że słyszy w środku jakiś ruch. Dźwięk był nikły, ledwie słyszalny w hałasie dobiegającym z zewnątrz, jemu to jednak wystarczyło. Chwycił klamkę, pociągał, pchał i potrząsał nią, ale drzwi nadal były zamknięte. Małą siekierą, którą miał w prowizorycznej kaburze przy pasie, zaczął rąbać zasuwę. W środku jest jakiś Zwykły, był tego pewny. Niemal czuł jego zapach...

Krótki korytarz był pusty i odgłos siekiery rąbiącej drewniane drzwi przytłumił chwilowo dobiegający z dworu harmider walki. Pod silnymi uderzeniami drewno zaczynało pękać. Naparł barkiem na drzwi i poczuł, że prawie ustępują, jeszcze kilka uderzeń siekiery, kilka mocnych pchnięć i drzwi stanęły otworem. Wpadł do ciemnego, cuchnącego pokoju i potknął się o ciało dziecka zawinięte w coś, co przypominało stary płócienny ekran filmowy. Zwykła - przypuszczał, że to matka dziecka - wybiegła z cienia. Nie zaatakowała Wściekłego, lecz padła przed nim na kolana



*i błagała o zmiłowanie. Nie okazał cienia litości. Chwycił ją za włosy i wymierzył siekierą cios w szyję, od razu zabijając kobietę. Pchnął jej ciało. Padła na zwłoki dziecka. Spojrzał na jej twarz, na martwe oczy wpatrujące się w niego nieruchomo. Poczł nagle przyplływ siły i wielkiej ulgi - wyjątkowe, rozkoszne narkotyczne podniecenie zabójcy.*

*Helikopter krążący w pobliżu powrócił i znów wypełnił pokój hałasem. Wściekły skrył się za betonowym słupem i obserwował przez prostokątne okienko, jak kolejni bojownicy giną od ognia karabinu maszynowego. A potem, nagle, helikopter zawrócił, wzniósł się i zniknął z pola widzenia. Wściekły nasłuchiwał milknącego w dali terkotu silników i łopotu śmigieł.*

*Danny McCoyne wiedział, że musi opuścić budynek, zanim oni tu wrócą. Już wcześniej widział, jak stosują taką właśnie taktykę. Wiedział, co nastąpi.*

tych cholernych słabeuszach, tchórzliwych wrogach: najbardziej śmiertelne ciosy zadają z dużej odległości.

Ciężkie stopy trupa tej kobiety blokują drzwi, nie mogę wejść do środka. Odciągam ją na bok, potem kopniakiem przesuwam ciało dzieciaka po zaśmieconej podłodze. Odwija się zakrwawiony ekran filmowy, odsłaniając martwą twarz. Jezu, był jednym z nas. Odkrywam go całkowicie. Ma związane nadgarstki i nogi w kostkach. Nie widać, w jaki sposób zginął, ale jest martwy od niedawna, najwyżej od kilku dni. Może umarł z głodu. To kolejny godny pożałowania przykład rodzica Zwykłych - matka, która nie chce zaakceptować zmienionego dziecka i pozwala mu umrzeć. Czy uważała, że zdoła syna poskromić albo znaleźć dla niego jakąś terapię? Głupia suka.

Wracam na korytarz. Większość naszych już zniknęła, ale nadal słyszę, jak kilka osób poszukuje w pokojach ostatnich ofiar. Odruchowo kieruję się na tył budynku, mam nadzieję, że tam będzie się łatwiej ukryć. Pędzi na mnie jakieś małe dziecko, biegnie tak szybko, że nawet nie potrafię rozpoznać, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Nie może się przedostać, więc natychmiast zawraca. Idę naprzód, aż dochodzę do rozwidlenia korytarza w kształcie litery T. Po lewej mam drzwi pożarowe, ale są zablokowane, więc skręcam w prawo. Za trzema mężczyznami i kobietą wchodzę do zalanej toalety. Śmierdzi tak okropnie, że aż łzawią mi oczy. Na moment przestaję widzieć i tracę orientację. Spod umywalki wyskakuje Zwykły, jakiś maruder, i atakuje mężczyznę przede mną. Nie ma tu miejsca, żeby zadać cios, ale w piątkę szybko Zwykłego załatwiamy. Walę go twarzą w pęknięte lustro, rozlega się satysfakcjonujący łomot. Na szkle zostaje krwawa plama pośród wielu innych podobnych plam.

W szerokiej prostokątnej kabinie jest wąskie okno wysoko na górze, nad nieczynną muszlą klozetową wymazaną zaschniętym brązowym brudem. Jeden z mężczyzn, niski, opalony, umięśniony, wchodzi na muszlę i po rurach kanalizacyjnych podciąga się do góry. Otwiera okno i przeciska się na zewnątrz. Chcemy iść w jego ślady i niecierpliwie ustawiamy się w kolejce, jakbyśmy czekali do siusiania. Bojownik przede mną ma wydatny brzuch i tyłek i uważam, że w żaden sposób nie uda mu się przecisnąć. Niech mnie diabli wezmą, jeśli mam tu za nim utknąć. Odsuwam go na bok i się wspinam. Wiem, że będę daleko, zanim on się wydostanie, jeśli w ogóle to mu się uda. Rzucam swój plecak na dół, na zewnątrz, a potem siłą przeciskam się przez wąskie okno i skaczę na klomb zarośnięty jeżynami i chwastami. Mój upadek amortyzuje stos pełen śmieci i chudych trupów. Szybko wstaję na nogi, zarzucam plecak na ramiona i ruszam biegiem. Wkrótce oni...

- Hej, Danny!

Kto to, do diabła? Serce mi się kraje, gdy się oglądam i widzę Adama: skacze za mną, podpierając się kijkiem do nart. Złamana, zniekształcona lewa stopa dynda mu bezużytecznie. Kilka dni temu natknąłem się na tego biedaka uwięzionego w jego rodzinnym domu i dotychczas nie udało mi się od niego odczepić. Ledwo wtedy chodził i gdybym chciał, mogłem go zostawić, ale daję dojść do głosu swojemu sumieniu. Głupota. Tłumaczę sobie, że jeśli go stąd wyprowadzę, będzie mógł znów zabijać i warto ratować każdego, kto potrafi zgładzić choćby jednego Zwykłego. Cofam się szybko, obejmuję go w pasie i zaczynam odciągać od budynku.

- Dzięki, kolego. Myślałem, że... - zaczyna.

- Do cholery, zamknij się i idź.

- To miłe. Co ja takiego...

- Posłuchaj - przerywam mu w połowie zdania. - Oni tu zaraz wrócą.

Wciągam go głęboko w zarośla za biurowcem. Choć robię przy tym trochę hałasu, a liście nad nami tłumią i zniekształcają dźwięki, wyraźnie słyszę odgłos nadlatującego samolotu. To większa, głośniejsza i bez wątpienia bardziej śmiertelna maszyna niż helikopter, który przyleciał tu poprzednio.

Adam skomle, gdy złamana stopą uderza w wystający pień. Nie zwracam na to uwagi i ciągnę go dalej. Nogę ma i tak zgruchotaną, więc co to dla niego kolejny uraz.

- Ryczy jak coś dużego - mówi przez zaciśnięte zęby, usiłując nie myśleć o bólu. Nie

odpowiadam, skupiam się teraz na tym, żeby jak najdalej odejść od budynku. Z każdej strony widzę ludzi biegnących wśród drzew, oświetlają ich snopy światła słonecznego, przedostającego się przez nieregularne prześwity między gałęziami. Wszyscy nas doganiają i mijają. Ryk nasila się, czuję, jak ziemia dudni. To musi być odrzutowiec. Chryste, po co ja akurat teraz taszczyć tego kalekę? Może powinienem go tu zostawić, niech sam sobie radzi. Spoglądam w górę i między koronami drzew widzę przez ułamek sekundy samolot, który pędzi po niebie z niesamowitą prędkością, tak szybko, że huk zdaje się pozostawać daleko za nim.

- Nie zatrzymuj się - poganiam chłopca. - Jeszcze jesteśmy za blisko...

Przystaję i padam na ziemię, bo słyszę charakterystyczny świst i wycie wystrzelonych pocisków. Puszczam Adama. Krzyczy z bólu, ale teraz bezpieczniej leżeć na ziemi. Zapada cisza - trwa najwyżej sekundę, ale wydaje się, że mijają całe wieki - i nagle budynek za nami ginie w potężnym wybuchu żaru, światła i huk. Między drzewami czujemy podmuch gorącego wiatru, z nieba zaczyna padać pył i lecą małe kawałki pokruszonego muru. Odbijają się od liści i gałęzi, a potem grubym deszczem padają na ziemię. Gęste korony drzew zmniejszają siłę kamiennego gradu. Deszcz odłamków kończy się równie szybko, jak się zaczął i teraz słyszę tylko huk znikającego w dali samolotu oraz nasze ciężkie oddechy. Adam siada, próbując pokonać ból. Ten szalony skurczybyk szczerzy zęby jak idiota.

- Cholera, to robiło wrażenie - mówi.

- Wrażenie? Potrafiłbym znaleźć lepsze słowo. Gdybym cię tak nie poganiał, dostalibyśmy łupnia.

- A jednak.

Opiera się o drzewo i ciągle ciężko dyszy. Musimy iść, ale tak bardzo pragnę odpocząć. Zwykli nie pojawiają się tu przez pewien czas. Nawet tu, w cieniu, panuje upał i duchota, a ponieważ się już zatrzymałem, nie chce mi się teraz ruszać. Ulegam pokusie i kładę się na ziemi obok Adama. Zamykam oczy i we wspomnieniach znów przeżywam dzisiejsze zabijanie.

2

Ruszamy ponownie, gdy dzień powoli chyli się ku zachodowi; ciemność w końcu przynosi pewną ulgę po godzinach spiekoty.

- Która godzina? - pyta Adam.

- Nie mam pojęcia.

- Jaki to dzień?

- Tego też nie wiem.

- To chyba nie ma znaczenia - gdera, gdy kuśtykamy powoli długą ubitą drogą, zakręcającą na obrzeżach opuszczonej farmy. Ma rację - godzina, dzień, data, temperatura, fazy księżyca... nic nie ma w zasadzie znaczenia. Życie już nie polega na porządku i codziennej rutynie - życie to polowanie i zabijanie, i chodzi w nim o to, by każdego dnia wyjść z tego bez szwanku. Gdy zaczęła się wojna, ważne było tylko zabijanie, ale chyba teraz to się zmienia.

Polubiłem wędrowkę z Adamem, choć nigdy bym mu się do tego nie przyznał. Nie spodziewałem się, że to takie pożyteczne, gdy ma się kogoś, z kim można porozmawiać. Może właśnie dlatego poprzednio wróciłem po niego i dlatego znosiłem jego towarzystwo przez kilka ostatnich dni. On sobie z tego nie zdaje sprawy, ale pomaga mi w uporządkowaniu myśli o tym, co dzieje się ze mną od wybuchu Nienawiści. Zanim zabiłem rodziców Adama, trzymali go zamkniętego w garażu. Przykuli go do ściany jak psa. Spędził kilka miesięcy w zupełnej izolacji. Musiałem mu wyjaśnić, co stało się na świecie, gdy on siedział zamknięty w garażu. Ponowne wspomnianie wydarzeń pomogło mi wiele zrozumieć.

U Adama pierwsze bezpośrednie doświadczenie Nienawiści było podobne do mojego, ale pod pewnymi względami biedak miał ciężiej ode mnie. Zaskoczyło go, gdy uświadomił sobie, czym się stał i co ma robić. Próbował zabić swoją rodzinę, ale bał się i był zdezorientowany - pamiętam, że mnie też przepełniały te uczucia, gdy zabiłem teścia. Ojciec zdołał Adama zaatakować i młotem

zmiażdżył mu prawą rękę i lewą stopę. Rodzice nie zabili go jednak ani nie wydali władzom, tylko zamknęli w garażu i sami się zabarykadowali. Nie mieli siły, by go zabić, choć wiedzieli, że on by ich zabił bez wahania. Rozumiem, dlaczego to zrobili. To samo stało się z dzieckiem ze związanymi rękami i nogami, na które natknąłem się dzisiaj. Zwykli po prostu nie potrafią zapomnieć. Nie odpuszczają sprawy, gdy chodzi o osoby, które coś dla nich znaczyły, mając próżną i bezsensowną nadzieję, że w jakiś sposób da się je uleczyć i zmienić. Ale jak można nas zmienić? Przecież to nie my jesteśmy chorzy. Rodzice Adama wszystko sobie zaplanowali. Głodzili biednego drania przez wiele dni, potem karmili go jedzeniem nafaszerowanym lekami, chcieli go poskromić i sterować nim. Znalazłem go i było to jak w książce tego pieprzonego Stephena Kinga. Ciekawe, czy Stephen King jest jak my czy jak oni...?

- Moglibyśmy się niedługo zatrzymać?

- Chyba tak.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy? - pyta Adam słabym głosem. Spoglądam na niego. Twarz ma białą, skórę lepłą.

- Mniej więcej - odpowiadam. Prawdę mówiąc, nie mam całkowitej pewności, ale po raz pierwszy od długiego czasu dość dobrze się orientuję, gdzie jestem. Przez wiele tygodni wędrowałem wszędzie pieszo. Jak większość ludzi unikałem samochodów i różnych środków transportu, bo zbyt bym się rzucał w oczy, a zależało mi na tym, by zniknąć, a poza tym i tak większość dróg zablokowano, są teraz nieprzejezdne. Wiedziałem, że już niedaleko, ale to było wczoraj po południu, gdy prawie godzinę czekaliśmy bezskutecznie w pobliżu zacieklej bitwy na jakąś ofiarę. Wtedy kątem oka zauważyłem na horyzoncie Buczynę - grupę starych drzew na wzgórzu. Ten las to charakterystyczny punkt orientacyjny. Ja, Lizzie i dzieciaki przejeżdżaliśmy tamtędy czasami, wracając do domu z wycieczek. Przypuszczam, że teraz mamy jakieś pięć czy sześć kilometrów do Buczyny, a pamiętałem, że stamtąd jest jeszcze z osiem kilometrów do granic miasta.

- Więc gdzie jesteśmy?

- Niedaleko mojego dawnego domu.

- Więc dlaczego chcesz tam wrócić?

- Co? - pytam rozkojarzony.

- Do domu. Dlaczego chcesz wrócić do domu?

- Moja córka się zagubiła i chcę ją odnaleźć - mówię. - Jest jedną z nas.

Zamyślony, kiwa głową. Nagle, nie wiadomo skąd, na jego zmęczonej, spoconej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- He osób dziś zabiłeś, Dan?

- Chyba dwie. A ty?

- Jestem od ciebie lepszy! Trzy. Szkoda, że nie widziałeś ostatniego. Nadziałem skurwiela na kijek. Więcej wysiłku kosztowało mnie wyciągnięcie kijka z powrotem, niż przekłucie faceta.

- Jak miło.

- Mówię ci, kolego - kontynuuje Adam. Zmęczenie ustąpiło, z jego głosu bije energia i entuzjizm. - To cudowne uczucie. Gdy ich widzę po raz pierwszy, strasznie się boję, ale potem się sprężam i koncentruję, i chcę tylko zabijać. Czy to uczucie kiedyś mija? Powiedz mi, że nie...

Adam ciągle jest podekscytowany nieoczekiwanym przyływem siły i wolności, jaki przychodzi wraz ze świadomością zmiany i doświadczeniem kilku pierwszych morderstw. Na początku doznawałem tego samego. To potrwa pewien czas, zanim nastąpi wyciszenie. To jak narkotyk, a my jesteśmy jak ćpuni. Nie osiągam takiego haju jak poprzednio, odczuwam tylko głód. Euforia znika, życie staje się codziennym zmaganiem. Coraz trudniej znaleźć jedzenie i jestem zmęczony. Morderstwa przydarzają się coraz rzadziej i w okresach między nimi pozostaje tylko rozmyślanie.

- Uczucie nie mija - odpowiadam - tylko się zmienia.

- Żałuję, że nie brałem udziału od samego początku... Milczy przez kilka sekund. Rozmyśla o okazjach, które - jak

mu się wydaje - stracił. Ciszę przerywa kolejne pytanie.

- Więc czym jesteśmy?
- Co masz na myśli?
- Kolego, zależy mi tylko na zabijaniu. Jestem uzależniony. Czy jestem wampirem?
- Nie gadaj głupstw.
- Nie gadam, ale jak się zastanowić...
- Wierz mi, myślałem o tym. Nie jesteśmy wampirami. Nie pijemy krwi, my ją rozlewamy. Lubię jedzenie przyprawione czosnkiem, nie przeszkadza mi światło słońca i widzę swoje odbicie w lustrze.

- Jesteś pewien? Widziałeś ostatnio, jak wyglądasz? Ignoruję tę tanią kpinę. Chłopak ma rację, ale sam nie wygląda lepiej. Ostatni raz strzygłem się wiele miesięcy temu, a goliłem się kilka tygodni temu. Udało mi się umyć w strumieniu. Wczoraj... a może przedwczoraj?

- W takim razie czym jesteśmy? Wilkołakami?

Kręcę głową z niedowierzaniem. Chłopak jest nieustępliwy. Najbardziej niepokoi mnie jednak to, że już odbyłem podobną rozmowę sam ze sobą i mam przygotowane odpowiedzi. Prawdę mówiąc, na początku były chwile, kiedy czułem się bardziej jak zwierzę niż jak człowiek. Pod pewnymi względami tak jest nadal, ale obecnie raczej zadowolam się odpadkami, niż poluję. Mniej jestem wilkiem, bardziej szczurem.

- Nie jesteśmy wilkołakami. Nie zmieniamy się podczas pełni księżyca.
- Wiem o tym, kutasie - mówi. Nerwowo dyszy, gdy palce złamanej stopy szorują po ziemi. Przez chwilę milczę, zastanawiam się, czy powinienem mu powiedzieć, co naprawdę myślę, i czy moje wyjaśnienia niepotrzebnie nie przedłużą naszej głupiej rozmowy.

- Oto co sądzę - mówię. Postanawiam wziąć byka za rogi. - Chcesz nas porównać do potworów jakiegoś rodzaju? Patrz na dowody...

- Jakie dowody?
- Zobacz, jak żyjemy i co robimy.
- Nie rozumiem cię.
- Włóczymy się po okolicy, szukając Zwykłych. Chcemy ich zabić. To prawie tak, jakbyśmy się nimi żywili. Gdy zabijasz, czujesz, że żyjesz, że mógłbyś wszystkiego dokonać. Ale przez resztę czasu jesteś w stanie zawieszenia. Istniejesz tylko. Nie żyjesz w pełni, ale też nie jesteś martwy...

- Więc co chcesz przez to powiedzieć?

- Mówię, że jesteśmy jak zombi - przyznaję w końcu. - Życ tu, to jak być jednym z nieumarłych.

Nie reaguje. Przez minutę panuje cichy, zwodniczy spokój, słychać jedynie nasze nierówne kroki na drodze.

- Czy wiesz, co mnie zawsze zastanawiało? - pyta Adam w końcu.

Czy naprawdę chcę to wiedzieć?

- Co takiego?
- Często się zastanawiałem, co się dzieje z zombi po skończeniu filmu. Wiesz, co mam na myśli? Gdy wszyscy żywi są zarażeni i nie została żadna osoba, którą by można zabić. Co się potem dzieje? Czy głód kiedykolwiek znika, czy też zostało im tylko gnicie?

3

Adam idzie nadal, ale z wielką trudnością, jego ranne ciało to wrak. Prawie zapadł zmrok i musimy się zatrzymać. Od wielu godzin nie słyszeliśmy żadnych odgłosów ludzi z wyjątkiem pojedynczego helikoptera w dalszej odległości i szybko jadącej ciężarówce kilka kilometrów za nami. Wszystko się zmieniło. Gdy zaczęły się walki, ludzie byli wszędzie. Może świat wydaje mi się pusty dlatego, że przemieszczam się znacznie wolniej niż zwykle? Czasami myślę sobie, że powinienem porzucić Adama i dalej iść samemu. Znajdziemy jakieś miejsce, zatrzymamy się i przenocujemy. Gdy będę

gotów do dalszej drogi, podejmę decyzję, czy go zabrać ze sobą.

- Patrz, tam.

- Co?

- Tam. - Zgruchotaną dłonią Adam wskazuje miejsce po drugiej stronie drogi. Palce sterczą w nienaturalny sposób i nie widzę, co konkretnie pokazuje. - Patrz... za drzewami.

Po przeciwnej stronie drogi rośnie gęsty las. Mrużę oczy i w półmroku próbuję dostrzec to, co Adam zauważył. Podskokami odsuwa się ode mnie w stronę przecinki między drzewami, która biegnie dalej w ciemność. Patrzę w głąb lasu i dostrzegam w błocie ślady opon zakręcające ku drodze; prowadzą od ledwo w i tłocznej ciężarówce.

- Co o tym sądzisz? - pyta.

- Warto się przyjrzeć. Te ślady muszą gdzieś prowadzić.

- Może ich tam być więcej.

Adam próbuje przyspieszyć, pragnie zabijać, ale odciągam go do tyłu. Nie jestem pewien. Coś mi się tu nie podoba. Widzę zarys dużego budynku na skraju polany i ostrożnie się do niego zbliżam. Budynek jest jak wielkie pudło, przypomina olbrzymi magazyn. Ale dlaczego stoi tu pośród pustkowia? Robię jeszcze kilka kroków i powoli wszystko sobie uświadamiam. Cholera, przecież wiem, co to jest.

- O co chodzi, Dan?

Nie odpowiadam. Nie mogę odpowiedzieć. Nagle usta mam suche, a nogi jak z ołowiu. Powinienem odwrócić się na pięcie i odejść, ale nadal idę naprzód jak nakręcony automat. Myśli mi gonią. Wchodzimy na zakurzone, zwirowane podwórze. Stojący tam labirynt drewnianych barierek wygląda jak opuszczona atrakcja turystyczna poza sezonem. Otwarta na oścież brama budynku przypomina rozwarte usta.

- Co to?

- Nie wiesz?

Adam wzrusza ramionami.

- A powinienem?

- To rzeźnia.

Podpierając się o barierkę, idzie ku otwartym drzwiom.

- Mówiłeś mi o takich miejscach, ale ja...

- Co? Nie wierzyłeś mi?

- Nie o to chodzi, że...

Przestaje mówić, a ja przestaję słuchać. Jak postać z podrzędnego horroru wchodzę do budynku. Wewnątrz panują niemal zupełne ciemności, ale jednak widzę, że jesteśmy w wąskim korytarzu, kończącym się ciężkimi podwójnymi drzwiami. Czuć tu wilgoć i stęchłą, słaby zapach lasu i dymu drzewnego miesza się z ciężkim, gryzącym fetorem chemikaliów i zgnilizny. Żałuję, że nie mam latarki. Ta ciemność zbyt dobrze mi przypomina noc, gdy omal nie umarłem w miejscu podobnym do tego. Stoję tu w mroku i ciągle mam przed oczami bezradne, przerażone twarze stłoczonych wokół mnie ludzi, gdy gnano nas jak bydło do komory straceń. Pamiętam ich zagubienie i rozpacz, wyraźną dezorientację, frustrację i ból. Pamiętam własne przerażenie. Byłem przekonany, że zaraz umrę...

- Nic ci nie jest? - pyta Adam. Dochodzi do mnie i szturcha mnie z tyłu. Nawet sobie nie zdawałem sprawy, że przystanąłem. Czuję się tak, jakbym wyszedł z własnego ciała i teraz obserwował wszystko z pewnego dystansu. To niepokojące, przyprawiające o mdłości uczucie przypomina nerwową ulgę, którą czujesz, gdy wyjdiesz bez szwanku z wypadku samochodowego, w którym zostało skasowane twoje auto. I że udało mi się z tego wywinąć. Mało brakowało, a znalazłbym się na tamtym świecie. I wtedy zaczynasz śnić rozważania w rodzaju „co by było gdyby” i „gdyby nie...”. Wiem, że gdybym tamtego wieczora stał w kolejce o sto miejsc bliżej, byłbym teraz martwy.

Pcham połówkę drzwi, które mam przed sobą. Ustępują z łatwością i wchodzę do hali, która

musiała być kiedyś komorą gazową. Ciemność skrywa szczegóły, których istnienia się domyślałam. Są tu ciała. Nie wiem, ile ich jest, ale dostrzegam, że tworzą bezkształtne stosy. Przepastną halę wypełnia brzęczenie tysięcy much, żerujących na trupach. Cały czas patrzę do góry, żeby uniknąć patrzenia w dół. W dachu, w trzech czwartych odległości od przeciwległej ściany, zaje duża dziura. Po obu stronach hali widzę zarysy wysokich metalowych stelaży i pomostów między nimi. Grube rury wchodzą i wychodzą ze ścian, a na końcu hali zamontowano olbrzymi wentylator, którego łopatki nadal kręcą się powoli w łagodnym wieczornym wietrze.

- Wyjdźmy stąd - szepcze Adam tuż za mną. - Cholernie tu śmierdzi.

Idę naprzód, szurając stopami, żeby się nie potknąć o jakąś niewidoczną przeszkodę, przekonany, że cała podłoga pokryta jest krwią i szczątkami ciał. Kopię na bok szczapy drewna i poskręcane kawały metalu - pozostałości po zawalonym dachu - i w końcu docieram do przeciwległej ściany. Poruszam się niemal tak powoli jak Adam. Mozolnie idę wzdłuż ściany, próbując znaleźć drzwi. W najdalszym kącie, schowane za stosem jakichś śmieci, dostrzegam szerokie drzwi wyrwane z zawiasów i częściowo uchylone. Schylam się, przechodzę pod nimi, a potem się odwracam i odsuwam je całkowicie, żeby Adam mógł przejść. Kuśtyka, pochrząkuje i jęczy z wysiłku - niewidoczny w mroku, wydaje odgłosy niczym jakiś potwór.

- Nie możemy tu zostać - mówi.

- Może w pobliżu są inne budynki.

Gdy cały wynurza się na zewnątrz, podtrzymuję go ramieniem. Robimy parę kroków i nagle Adam przystaje.

- O, kurwa! - mamrocze. - Spójrz tam...

Bok długiego, wąskiego budynku graniczy z polaną, której dotychczas nie widzieliśmy. Prawie całkowicie pokryta jest ciałami, setkami, może nawet tysiącami ciał ułożonych w wielkie przyzmy. Znowu zostawiam Adama i podchodzę do najbliższego stosu. W mroku, z daleka, wydaje się, że to jednolita, trudna do rozpoznania masa, ale dostrzegam niezliczone ręce i nogi wystające na wszystkie strony i wiem: to ludzkie szczątki. Podchodzę bliżej i widzę okropne szczegóły. Tych ciał nie ułożono - ciśnięto je chaotycznie, a trupy na spodzie zostały zmiażdżone pod ciężarem ciał na górze i są nienaturalnie płaskie, prawie jak zapakowane próżniowo do plastikowej torby. Z góry stosu zastygłe, woskowe twarze patrzą na mnie nieruchomymi oczami. Błede, zapadłe policzki i oczy nadają każdej twarzy groteskowy, koszmarny wyraz maski. Gdy na to patrzę, myślę o własnej śmiertelności. W stosunku do tych ludzi nie żywię żadnych uczuć - to teraz puste skorupy - ale przysięgam sobie, że nie skończę tak jak oni.

- Spójrz na to optymistycznie - krzyczy Adam z drugiego brzegu polany.

- Jest w tym coś optymistycznego?

- Oczywiście. Uciekłeś. Tu mógłbyś być ty. Mógłbym być ja...

Nie zwracam na niego uwagi i idę dalej w głąb polany ścieżką między kolejnymi dwoma stosami trupów, długimi na jakieś pięćdziesiąt metrów. Docieram do końca ścieżki i rozkojarzony, nieoczekiwanie tracę równowagę; ziemia kruszy mi się pod butami. Upadam i nagle stwierdzam, że siedzę na brzegu dużej jamy, mającej co najmniej dwadzieścia metrów kwadratowych i tak głębokiej, że nie widzę dna w niektórych miejscach. Od razu orientuję się, co to jest - masowy grób wypełniony mnóstwem ciał ludzi takich jak Adam czy ja. Wstaję i ostrożnie obchodzę dół. W pobliżu stoi buldożer z potężnym metalowym lemieszem. Początkowo myślę, że użyto go do wykopania dołu, ale dostrzegam strzęp ubrania zaczepiony o ząb lemiesza. A więc za pomocą tej maszyny zapełniano dół. Tuż pode mną trupy piętrzą się aż do poziomu gruntu. Wygląda to tak, jakby ciała wspinały się po sobie, żeby się wydostać.

Podbiegam do Adama. Odwracam wzrok od umarłych. Ile takich zbiorowych grobów znajduje się tutaj i czy nadal są zapełniane? Tracę tu czas, a może teraz w innych miejscach zabija się naszych ludzi? I wtedy przychodzi mi do głowy mroząca krew myśl. Co z moją córką Ellis? Czy skończyła w podobnym dole? Czy gdzieś tam daleko czeka na śmierć? Czy jest tutaj? Odwracam się i przez kilka rozpaczliwych chwil przypatruję się ciałom z przerażeniem, że dostrzegę twarz córeczki. Ale

uczucie paniki mija i natychmiast odzywa się zdrowy rozsądek. Jeśli ona tu jest, nic nie mogę zrobić. Muszę wierzyć, że nadal żyje. Tylko ona mi pozostała.

- Więc gdzie oni wszyscy są? - pyta Adam.

- Kto?

- Ci skurwiele, którzy to zrobili. Dokąd poszli?

- Nie wiem - odpowiadam. Prowadzę go za główny budynek w stronę trzech prefabrykowanych domków pomalowanych jasnymi farbami. Wyglądały na stosunkowo nowe w porównaniu z pozostałymi budynkami. - Chyba po prostu poszli sobie stąd. Może zostali zaatakowani?

- Mam nadzieję, że dranie dostali to, na co zasłużyli.

Dwa prawie identyczne domki przypominające szopę są zamknięte. W trzecim domku zardzewiałe metalowe drzwi roletowe nie są zablokowane. Podnoszę je całkowicie i wchodzę do środka. Pomieszczenie jest małe, zagracone, do połowy wypełnione workami z chemikaliami. Nieważne. Ujdzie na jedną noc. Nikt rozsądny tu nie wejdzie, a gdyby nawet wszedł, to będziemy udawać martwych. Walczyłbym ramię w ramię z ludźmi, którzy tu zginęli - a jest ich tysiące - ale teraz są gnijącym mięchem i wykorzystam ich jako osłonę.

Adam siada na stosie worków, próbuje znaleźć wygodną pozycję. Cały czas gada o niczym. Zamykam drzwi i znajduję sobie trochę miejsca w kącie na twardej, betonowej podłodze. Próbuję zasnąć, kładąc głowę na plastikowym worku z Bóg-wie-czym. Może to trucizna albo jakaś substancja żrąca, ale to bez znaczenia. Jestem zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować. Przykrywam worek płaszczem i zamykam oczy.

4

Budzi mnie łoskot i stłumiony krzyk bólu. Siadam szybko i rozglądam się po ciemnym pomieszczeniu. Przez chwilę usiłuję sobie przypomnieć, gdzie jestem. Gryzący zapach chemikaliów i feter rozkładu przywracają mi pamięć. Gdzie Adam? Widzę go przelotnie przez otwarte drzwi. Kuśtyka w stronę głównego budynku. Wyjmuję nóż z plecaka i wybiegam z magazynu chemikaliów za Adamem. Zrobiłem zaledwie dwa kroki, gdy słyszę inne głosy. Przy wejściu do rzeźni stoją ludzie. Ciągnę Adama na bok, aż pod ścianę głównego budynku. Mocno przywieramy do muru z tyłu rzeźni.

- To Zwykli - szepcze Adam z nerwowym podnieceniem. - Widziałem ich.

- Ilu ich jest?

- Nie wiem. Słyszałem silniki.

Do diabła, co mam teraz robić? Nie możemy ryzykować ataku, póki nie wiemy, ilu mamy przeciwników, choć Adam prawdopodobnie myśli inaczej. Mogą ich być setki, a ponieważ odważyli się wyjść na otwartą przestrzeń, chyba są uzbrojeni po zęby i gotowi do walki. Czego chcą? Może próbują znów uruchomić rzeźnię? Cholera, a może szukają nas?

- Czekaj tu - mówię do Adama i pcham go we wnękę muru. - Panuj nad sobą i niczego nie rób do mojego powrotu, dobrze? Spróbuję się dokładniej rozejrzeć.

Adam kiwa głową i stosuje się do moich poleceń. Odchodzę parę kroków od budynku, dostrzegam metalową drabinę sięgającą od ziemi do klapy wejściowej wysoko w górze. Niewiele myśląc, zaczynam się wspinać. Usiłuję jak najciszej stąpać ciężkimi butami po metalowych szczeblach. Pokonałem dwie trzecie wysokości, przystaję, wychylam się i zaglądam przez brudne okno. Wczesne, poranne słońce świeci oślepiająco przez okna i dziurę w dachu, napełnia rzeźnię światłem wydobywającym wszystkie makabryczne szczegóły, których nie widziałem wczoraj w ciemnościach. Zwykli są teraz wewnątrz hali. Widzę dwie osoby idące powoli między trupami i gruzem.

Docieram do końca drabiny, otwieram klapy i ostrożnie przeciskam się do środka. Znalazłem się na jednym z wąskich pomostów, które obiegają wielką halę dokoła. Wiem, że w tym miejscu mógłbym być widoczny poprzez metalowe kraty, więc przesuwam się w stronę, gdzie panuje cień.



Teraz jestem tuż nad jednym z intruzów: mocuje się z gnijącym trupem, usiłując wyrwać mu karabin. Na szczęście człowiek jest zajęty, więc przechodzę na przód hali niezauważony. Kilka metrów przed sobą widzę, że pomost jest uszkodzony, obluzowane wsporniki odpadły od ściany. Nie czuję się pewnie. Ale mniej obawiam się o upadek, bardziej o to, że skrzypiący metal zwróci uwagę tych padlinożerców na dole. Nie wyglądają jak typowi Zwykli żołnierze czy bojówkarze. Mają na sobie dziwne ubrania zestawione z niepasujących do siebie części. Obaj obciążeni są bronią ponad potrzebę. Przypominają raczej roboty niż żołnierzy.

Słyszę nagły hałas i gwałtownie nabieram powietrza. Spoglądam przez ramię w dół. Obawiam się, że złapali Adama. Ale nie, to tylko jeden ze Zwykłych wyrzywa trupowi karabin.

Odwracam się i próbuję się wycofać z niestabilnego odcinka pomostu, ale nagle zamieram, bo przez duże, zakurzone i pokryte pajęczyną okno widzę, co się dzieje na zewnątrz. Teraz aż nazbyt dobrze zdaję sobie sprawę, dlaczego wrogowie tu są. Pięciu uzbrojonych bojowników milicji ochrania dwie młode kobiety i starszego siwego mężczyznę, którzy podchodzą do najbliższego stosu ciał i odzierają je z wartościowych rzeczy. Nieludzcy dranie! Gdzieś musi działać duży czarny rynek, skoro opłaca im się ryzykować. Ale skurwiele są najwyraźniej dobrze zorganizowani i wiedzą, co robią. Tych troje w żółtych gospodarczych rękawicach przebiera w ciałach, każde z nich pracuje na innej wysokości. Zdejmują obrączki i zegarki z martwych rąk wystających ze sterty gnijących trupów. Kilkunastoletni chłopiec przynosi puste wiadra, a gdy wypełniają się łupami, gdzieś je zanosi. Kipię nienawiścią i złością, ale co mogę zrobić? Jest ich za dużo, żebym mógł ich sam zaatakować - mam wprawdzie Adama, ale w razie walki będę osamotniony. Mogę tylko czekać, aż znikną.

Zaraz, coś zwróciło uwagę tych cholernych rabusiów w dole. Jeden z nich przestaje grzebać w trupach i woła kolegę. Każdy z nich niesie po kilka sztuk broni. Idą w stronę drzwi w rogu hali, przez które wyszliśmy wczoraj wieczorem. Zawracam i biegnę po podeście, ale zanim docieram do okienka, wiem, że musi chodzić o Adama. Słyszę tego głupiego dzieciaka, choć jeszcze go nie widzę przez okno. Powinienem przewidzieć, że będzie miał trudności z opanowaniem się. Zwykli są teraz na zewnątrz, idą prosto na niego, a on agresywnie szarżuje na nich z kijkiem do nart nastawionym jak bagnet. Na szczęście reszta grupy albo nie wie, co się dzieje, albo jest zbyt pochłonięta grabieżą, żeby się w to mieszać. Wychodzę przez okienko i schodzę po drabinie. Adam i Zwykli zniknęli mi teraz z oczu, ale ciągle słyszę odgłosy walki. Do ziemi zostało mi jeszcze kilka szczebli - nie schodzę, lecz skaczę i natychmiast biegnę za róg budynku na pomoc. W ręce trzymam nóż. Adam bierze solidne cięgi od dwóch Zwykłych. Trzeba go docenić, że udało mu się już załatwić jednego: chudy, niski skurwiel osunął się przy murze, przebity metalowym kijem Adama.

Chwytam za ramiona jednego z atakujących i rzucam nim w pokryty pyłem grunt. Po uderzeniu o ziemię ciało drga, a twarz wyraża niezmiernie zdziwienie. Zanim facet orientuje się, co się dzieje, dźgam go w pierś, celując w serce. Ostrze klinuje się w mostku. Nie mam czasu, żeby wyciągać nóż. Biegnę prosto do drugiego mężczyzny, walę go w skroń z taką siłą, że pada na ziemię. Gramoli się na nogi, potrząsa głową i biegnie na mnie. Trzyma karabin za lufę i wymachuje nim jak maczugą. Uchylam się przed pierwszym niezgrabnym ciosem i gdy on nie odzyskuje jeszcze w pełni równowagi, uderzam go w krzyż siekierą. Przyciskam mu głowę do ziemi, by stłumić jego krzyk, aż mam pewność, że nie żyje.

Muszę się kryć. Tamci mnie nie widzą i na razie się nie pojawiają, ale zaraz zaczną szukać swoich ludzi. Adam jest ogłuszony. Mam coraz mniejsze szanse wygrania tej nierównej walki. Mogę się tylko usunąć i czekać, aż pozostali skurwiele odjadą. Problem polega na tym, że gdy tamci znajdą ciała swoich trzech kolegów, nigdzie nie odjadą. Obejmuję Adama ramionami i odciągam go do szopy z chemikaliami. W drzwiach odwracam się i teraz widzę, że stopy Adama wyrzyły w żwirze wyraźny ślad prowadzący prosto do nas.

Składam bezwładne ciało jęczącego chłopca na podłodze, gdzie spałem w nocy. Z kącika ust cieknie mu stróżka krwi i nie wiem, czy to tylko rana zewnętrzna, czy objaw jakichś

poważniejszych obrażeń. Bili go tak, że nie byłbym zdziwiony, gdyby miał poważnie uszkodzone organy wewnętrzne.

Wstaję, by opuścić roletowe drzwi aż do samej ziemi, ale jest za późno. Jeden z mężczyzn stoi już nad ciałami towarzyszy, a z jego wyglądu wnioskuję, że wie, jak się posługiwać dużym karabinem, który ma w dłoniach. Woła kolegów na pomoc, ale mnie nie widzi. Chowam się za workami i obserwuję scenę przez wąską szparę między dwoma stosami, które sięgają mi do pasa. Widzę tylko buty faceta. Teraz pojawia się druga para butów. Chyba jeszcze nie dostrzegli śladów na ziemi, ale to tylko kwestia czasu. Zauważą, że mogę się ukrywać tylko w szopie. Zachowuję się jak najciszej i przygotowuję się do walki, planuję, którego mam najpierw zaatakować i którądy potem uciekać. Może ucieczka to jedyne rozwiązanie? Wybacz, Adamie, ale chyba tu będziemy musieli się pożegnać. Nie widzę sposobu, żeby go stąd wydostać. Biedny drań, i tak jest mu trzy ćwierci do śmierci.

Do pierwszych trzech Zwykłych dołączają dwie osoby. Pięć do jednego - kiepskie rokowania, nie ma co się ludzić. Większe miałbym szanse, gdybym się położył płasko na stosie trupów.

Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłem. Może uda mi się prześliznąć do tego zbiorowego grobu...? Ruszyli. Jeden z nich idzie w stronę mojej szopy. Chryste, nie mam nawet noża przy sobie. Tkwi po rękojeść w bebechach tamtego faceta. Może dosięgnę swojego plecaka...

Zaraz... zatrzymują się.

Coś przyciągnęło ich uwagę. Wiem, że nie mam nic do stracenia, więc czołgam się po podłodze tam, skąd będę miał lepszy widok. Wycofują się w stronę frontowej ściany budynku. Nie wiem, z jakiego powodu, ale broń mają przygotowaną. Dostrzegam okazję, żeby się przedrzeć. Wstaję, porywam plecak i wybiegam na zewnątrz. Zatrzymuję się, bo nagle jeden z wrogów przelatuje obok szopy. Ślizga się po ziemi jak rzucona szmaciana lalka i w końcu ląduje w pyle kilka metrów ode mnie. Pojawia się drugi facet, biegnie do tyłu i próbuje strzelać z karabinu - wycofuje się i równocześnie broni przed czymś, co ich zaatakowało. Znalazłem się na otwartej przestrzeni. Należy tu zostać, podpowiada mi zdrowy rozsądek, ale wygrywiają z nim ciekawość i zdumienie. Teraz w końcu widzę, co się stało. Przyjechała kawaleria! Alle-kurwa-luja! Furgonetka z naszymi ludźmi pojawiła się na miejscu w najbardziej odpowiednim momencie. Za nią dwaj potężni i niesamowicie bojowi skurwiele, którzy błyskawicznie rozprawiają się z każdym Zwykłym, jaki staje im na drodze. Ci dwaj walczą w sposób tak dziki i brutalny, że aż dech zapiera, gdy się na to patrzy. Nie dbając o własne bezpieczeństwo, sprawnie prą naprzód i choć wyglądają zwyczajnie, są niezwykle szybcy. Całkowicie skoncentrowani na zabijaniu, nie zwracają uwagi na nic i na nikogo wokół siebie.

Stary mężczyzna, którego widziałem rabującego trupy, kuśtyka teraz w moją stronę. Na jego ogorzalej twarzy maluje się bezgraniczny strach. Biegnie prosto na mnie i woła o pomoc. Jest zbyt przerażony, by zauważyć, że zamierzam go zabić.

- Uciekaj stąd - próbuje mnie ostrzec, ledwo dysząc. - Oni...

Nie zdążył skończyć tego zdania. Nie miał szansy. Chwytam go za pęk siwych włosów, odchylam mu mocno głowę do tyłu i walę pięścią w szyję. Pada mi pod nogi, dławiąc się. Wyjmuję nóż z plecaka i kończę ze staruchem. Nagle odzyskuję werwę i wigor, biegnę na pole bitwy przed rzeźnią. Bardzo chcę zabijać.

Zanim tam docieram, jest już po wszystkim. Nierówną walkę skończyło błyskawicznie i brutalnie siedmiu ludzi takich jak ja i Adam. O nic mnie nie pytają. Bez słów w jednej chwili rodzi się między nami zaufanie. Przez kilka minut pomagam im zaciągnąć ciała Zwykłych do masowego grobu, wypełnionego tysiącami innych trupów.

i Adama - pieszo dotarła tu jeszcze jedna grupa, szli przez las, z którym rzeźnia graniczy od wschodu. Znalazłem się na zaplanowanym wcześniej spotkaniu i zamierzam skorzystać z sytuacji. Nie zostaniemy tutaj zbyt długo. Duża grupa rzuca się w oczy, a to jest niebezpieczne.

Pracują szybko. Swoje samochody chowają za budynkiem. Zbierają broń i wszelkie wartościowe rzeczy. Wartownicy stale patrolują teren, a kilku z dachu obserwuje okolicę. Po obu stronach rzeźni ustawiono dwie najbardziej agresywne osoby. Gdy idę w stronę szopy z przysadzistym mężczyzną, zauważam, że jedna z tych osób - kobieta - jest przykuta. Wokół bioder ma owinięty ciężki łańcuch zamknięty na kłódkę, który przymocowano do metalowego pręta wkopanego głęboko w ziemię.

- Po co to? - pytam cicho. Nie chcę, żeby kobieta mnie usłyszała. Mężczyzna zdejmuje okulary i rogiem koszuli przeciera jedyną pozostałą w nich soczewkę.

- Nigdy przedtem nie miałeś do czynienia z Brutalami?

- Z Brutalami?

- Tak ich nazywamy.

- „Ich”? Mówisz tak, jakby tworzyli osobną grupę.

- Niezupełnie. - Wzdycha, jakby wyjaśnienie wymagało od niego sporo wysiłku. - Są tacy jak my, tyle że ekstremalni.

- Ekstremalni?

- Czy ty jesteś tym facetem, który się tu ukrywał?

- Nie ukrywałem się, tylko...

- Dlaczego nie zaatakowałeś?

- Co takiego?

- Kiedy rano te dranie grabiły trupy, dlaczego ich nie zaatakowałeś?

- Bo nie wiedziałem, ilu ich jest. Nie wiedziałem, jaką mają broń i...

- Właśnie - przerywa mi. Wkłada okulary. - Wiedziałeś, co ci grozi, że zostaniesz zabity, gdybyś podjął jakąś akcję.

- Nie warto było ryzykować.

- Nie winię cię za to - mówi. Opiera się o ścianę szopy z chemikaliami i osłania oczy przed wschodzącym słońcem. - Ja bym prawdopodobnie też tak postąpił.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że Brutale by się nie zawahali. Nie mogliby. Gdy tylko złapią trop Zwykłych, muszą ich dopaść i zaatakować, bez względu na szanse powodzenia.

- Cholera jasna...

- Ale jest z nich pożytek. Są dobrymi strażnikami! Zawsze czujni, jak psy. Tylko spójrz na nią...

Wskazuje głową kobietę przykuta łańcuchem z tyłu rzeźni. Łańcuch jest napięty, kobieta usiłuje się uwolnić, by ścigać wroga, bo wie, że wróg jest tu gdzieś w okolicy. Przystanąłem i jak porażony patrzę na jej twarz czerwoną z wściekłości. A jednak, gdy się jej uważniej przypatrzę, wcale nie przypomina zabójcy. Gdy się odpręży, jej rysy stają się zadziwiająco delikatne, łagodne i kobiece.

- Mogłaby być czyjaś matką.

- Była matką. Ma na imię Pat. Kiedy ją znaleźliśmy, był z nią ktoś, kto ją znał sprzed Zmiany. Pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej. Aż trudno w to uwierzyć, prawda? Podpora społeczeństwa ciesząca się szacunkiem, opoka społeczności, lubiana przez dzieci, nikogo by nie skrzywdziła... wyobrażasz sobie?

- Nie do wiary.

- Mój brat był Brutalem - ciągnie mężczyzna. - Pracownik walcowni z dnia na dzień zmienił się w zabójcę.

- Co się z nim stało?

- Straciliśmy go.

- Współczuję ci...

- Och, nie umarł, tak sędzę. Mówiąc, że go straciliśmy, mam na myśli dosłownie: straciliśmy.

Sprytny drań wyswobodził się z łańcuchów i uciekł. Bóg wie, gdzie teraz jest. To chyba nie ma znaczenia, jeśli nadal zabija. Twój kolega jest tutaj?

Uderza dłonią w szopę.

- Co? - Zamyśliłem się. Myślę o zaginionym bracie tego człowieka i zapominam, po co tu przyszliśmy. - Tak, przepraszam. Jest z tyłu szopy.

Odsuwamy worki z przejścia i przygotowujemy się do przeniesienia Adama. Do tego czasu chłopiec odzyskuje przytomność. Nadal jednak jest w złym stanie: blady, spocony, prawie nie może się poruszać. Z desek odbitych ze ścian głównego budynku rzeźni robimy prowizoryczne nosze, kładziemy na nie Adama i wynosimy go na zewnątrz.

6

Nazywam się Preston. - Mężczyzna energicznie ściska mi dłoń. Jest rozbrajająco pewny siebie, choć przymilny. Od razu wiem, że go nie polubię. Jest zbyt głośny i bezczelny. Przypomina mi dyrektorów, z którymi miałem do czynienia w pracy: im wyżej udało im się wspiąć po korporacyjnej drabinie, tym bardziej stawali się aroganccy, wstrętnei, podlizujący się. Preston ma na sobie dziwaczne ubranie skompletowane z wojskowych i cywilnych ciuchów. Wygląda jak podtatusiały facet, który na bal maskowy przebrał się za generała z drugiej wojny światowej.

- Danny McCoyne.

- Miło mi, Danny. Jadłeś coś?

- Tak, ja...

- Znakomicie. Przedstawiono cię innym osobom?

- Z kilkoma rozmawiałem. Nie wiem, czy...

- Wspaniale. - Znow mi przerywa. Irytujący gnojek. Najwyraźniej jest samozwańczym dowódcą tego oddziału i łaskawie udzielił mi audiencji. Dowiedziałem się, że wszyscy „rekruci” doświadczyają tego zaszczytu. Siedzimy z tyłu zdezelowanej furgonetki ford transit, tylko on i ja. Jest gorąco i duszno. Preston odsuwa drzwi.

- Słuchaj, ja... - zaczynam.

- Więc co planowałeś, Danny - przerywa mi po raz trzeci.

- W jakim sensie?

- Od początku wojny... co porabiałeś?

Czy to podchwytliwe pytanie? Co według niego miałbym robić? Walczyłem, gdy była okazja, starałem się zlikwidować jak najwięcej Zwykłych. Czy facet uważa mnie za leniwego dekonika, który chowa się w głuszy i czeka na koniec wojny?

- Walczyłem.

- Dobrze. Sam?

- W zasadzie wędrowałem samotnie, walczyłem, gdy nadarzała się okazja. O co w tym wszystkim chodzi?

- Ilu zabiłeś?

Facet zaczyna mnie już naprawdę irytować. Idiota. Mam ochotę pójść sobie. Zadaje kłopotliwe, wręcz nieodpowiednie pytania. Wydaje mi się, że nie mógłbym walczyć bardziej zaciekle, ale jak to się ma do wyników innych ludzi? Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że nie wiem, jak „dobrym” jestem bojownikiem. Czy moje osiągnięcia w zabijaniu są większe czy mniejsze od przeciętnej? Czy to ma znaczenie? Póki wszyscy mordujemy, czy kogoś to obchodzi, jak szybko, entuzjastycznie i skutecznie to robimy? Nagle czuję się tak, jakby w firmie poddawano mnie bezsensownej ocenie okresowej. Czy osiągnął pan zakładany w tym miesiącu cel - zabił zakładaną liczbę Zwykłych?

- Wielu - odpowiadam - ale nie prowadziłem statystyki.

- Zbyt wielu, żeby się doliczyć, co? - Uśmiecha się. Protekcyjnalny drań.

- Jakoś tak.

- Czy zauważyłeś, że ich liczba spada? Że jest coraz mniej do zabijania?

- Tak.
- A czy wiesz, dlaczego tak jest?

Wzruszam ramionami.

- Może być wiele powodów - odpowiadam. Nagle czuję się jak uczeń stojący przed całą klasą przy tablicy. Staram się wyrażać mętnie, nie chcę dać gościowi okazji do kpin. Nie podaję konkretnych faktów, bawię się z nim w kotka i myszkę; tak zwykle postępowałem w pracy ze swoim przełożonym i członkami rady nadzorczej. - Z pewnością nie dlatego, że zabiliśmy wszystkich.

- Gdyby tylko tak się rzecz miała! Rzeczywisty powód jest taki, że oni ciągle się koncentrują w wybranych miejscach, zupełnie się wyprowadzili z takich rejonów jak ten. Powiedz, czy słyszałeś o Chrisie Ankinie?

Zastanawiam się przez chwilę. Nazwisko wydaje mi się znajome. Nagle sobie przypominam: Chris Ankin to polityk. Na początku wojny słyszałem jego nagrane przemówienie. Gdy tamtej nocy uciekłem z rzeźni, dzięki jego przesłaniu w końcu zrozumiałem, co się ze mną dzieje i dlaczego. Znalazłem kiedyś telefon komórkowy z nagraniem tego przemówienia. Odtwarzałem je sobie w kółko, aż bateria się wyczerpała i wyrzuciłem telefon.

- Znam go. Myślałem, że nie żyje.
- Żył, gdy go ostatni raz widziałem.
- Kiedy to było?
- Jakieś dziesięć dni temu. Czy słuchałeś jego apeli?
- Od tygodni nic nie słyszałem.

Preston odwraca się i szuka czegoś z tyłu. Wyjmuje laptopa spod przedniego fotela i włącza go. Obserwuję, jak startuje system, pojawia się ekran powitalny i komunikaty. Tak jakbym zaczynał oglądać hollywoodzki hit. Niespodziewanie ogarnia mnie nostalgia i uczucie pustki. Uświadamiam sobie, ilu rzeczy nie widziałem, o ilu sprawach nie myślałem od czasu, jak skończyło się moje dawne życie. Po kilku minutach laptop jest gotowy. Preston dwoma palcami - niczym osoba obawiająca się komputera - loguje się i otwiera plik wideo. Na dole ekranu pojawiają się ikonki i dymki, a potem znikają, gdy program bezskutecznie szuka aktualizacji w sieci, która już nie istnieje. W małym okienku ukazuje się wynędzniała, zmęczona i popikselowana twarz (to Chris Ankin, jak mniemam). Preston usiłuje ją powiększyć, siarczyście przeklinając. Po wielu próbach mu się to udaje i głowa Ankina się rozszerza. Preston przekazuje mi laptopa. Teraz polityk zajmuje cały ekran. Ze słabych głośniczków dobiega jego zniekształcony głos, ale jest to głos nadal rozpoznawalny i dziwnie krzepiący.

„Gdy taktyka wroga się zmienia, wy też musicie dostosować do tego własną taktykę - wyjaśnia. - Od pierwszych dni wojny los i okoliczności tak się ułożyły, że staliśmy się słabszą stroną. Tak, jesteśmy słabsi, ale tylko liczebnie”.

Spoglądam na Prestona, ale on na mnie nie patrzy. Oczy utkwili w ekranie. Prawdopodobnie setki razy słyszał to przemówienie, a jednak teraz spija z ust Ankina każde słowo.

„Od pierwszego dnia wrogowie się cofali. Prowadziliśmy tę wojnę w taki sposób, że oni od początku byli w odwrocie i z takiej pozycji usiłują zmienić bieg spraw. Póki nie uświadomiliśmy sobie, że rzeczywiście stanowimy oddzielne grupy, my i przeciwnicy byliśmy bardzo ciasno ze sobą spleceni, dlatego nie mogli się od nas odizolować i bronić przed nami. Praktycznie byliśmy dla nich niewidzialni i to bardzo wzmacniało nasze pozycje. Teraz jednak, po wielu miesiącach kampanii, sytuacja zaczyna się zmieniać.

Z każdym mijającym dniem nasi ludzie są coraz bardziej rozproszeni. Przemieszczamy się od walki do walki, od bitwy do bitwy, idziemy tam, gdzie jesteśmy potrzebni. W rezultacie nasze siły są coraz bardziej rozproszone, a wróg to wykorzystuje”.

- O czym on mówi?

Preston patrzy na mnie wściekle.

- Zamknij się i słuchaj.

„Wycofali się do centrów miast, ściągnając swoich ludzi z przedmieść. Mają przez to przewagę liczebną. I my musimy podobnie postępować. Przestaniemy walczyć pojedynczo i utworzymy skoordynowane działające oddziały. Armię - można to tak nazwać. Ale będą nas ścigać. Jeśli zaczniemy koncentrować siły, znajdą nas i...”

Preston wzdycha i zatrzymuje filmik. Przeciera oczy i kręci głową.

- To nas, ciebie i mnie, znacznie przerasta - stwierdza. - Jesteśmy tylko trybikami w maszynie i łatwo nas zastąpić. Ankin nie mówi o stworzeniu wojska z sierżantami sztabowymi, kapitanami i tak dalej. Próbuje nas zachęcić do działania, do skoordynowania wysiłków.

- Rozumiem to, ale...

- Musimy w lepszy sposób wykorzystywać ludzi i nasze zasoby i uderzać we wroga tam, gdzie wyrządzimy największe szkody. Jeśli uda nam się ich sprowokować, zniszczą sami siebie. Słyszałeś chyba o Londynie?

- Nie, od tygodni nie miałem żadnych wiadomości.

- Wszystko potoczyło się niewiarygodnie szybko. Tamtej nocy straciliśmy tysiące naszych, ale wróg stracił znacznie, znacznie więcej...

- W jaki sposób? Co się stało?

Wydaje się zdziwiony, że nic nie wiem.

- Największa z bitew - wyjaśnia. - Zaatakowaliśmy ich ze wszystkich stron, wywołaliśmy taką panikę i zamęt, że stracili kontrolę. W końcu jedynym dla nich wyjściem było całkowite zniszczenie miasta.

- Jezu...

- I możemy znów do tego doprowadzić, jeśli zaczniemy walczyć z większym sprytem. Nie mamy innego wyboru. Alternatywą byłoby czekanie tu, na pustkowiu, aż oni wyjdą na otwartą przestrzeń, żeby nas ścigać. Ale wtedy będzie już za późno. Musimy działać teraz.

- Więc czego ode mnie oczekujesz?

Patrzy mi prosto w oczy, zamyka laptopa, rezygnując z dalszego oglądania filmiku. To nie wróży nic dobrego. Zamierza mnie poprosić, żebym się zadeklarował i przystąpił do tej radosnej brygady zabójców. Jestem tego pewien. Tylko że całe tygodnie walczyłem sam, jeśli nie liczyć Adama. Czy naprawdę znów chcę wrócić do czasów, gdy byłem jednym z setek im podobnych? Nigdy nie byłem zbyt dobry w słuchaniu rozkazów.

- Chcę, żebyś walczył razem z nami - mówi. Nie dziwi mnie to. Gryzę się w język. - Im więcej nas razem, tym większe mamy szanse. Opowiedz mi o sobie, Danny. Jakie masz kwalifikacje, dokąd zmierzasz?

- Nie wiem, od czego zacząć...

Przez chwilę jestem naprawdę skołowany. Żaden aspekt mojego poprzedniego życia nie ma wpływu na mój dzień dzisiejszy. A jeśli chodzi o moje kwalifikacje, to co mam mu powiedzieć? Że mam dyplom z obcinania rąk i nóg? Doktorat z technik duszenia? Niezręczna cisza się przedłuża.

- No, co robiłeś poprzednio?

- Pracowałem w biurze.

- Rozumiem. W jakim sektorze?

- Przetwarzałem mandaty za parkowanie.

Preston milczy, próbuje pojąć banał mojej przedwojennej egzystencji.

- Obecnie nie ma na to zbyt wielkiego popytu - wzdycha. W jego głosie zupełnie nie słychać sarkazmu. - Masz jakieś specjalne umiejętności? Doświadczenie wojskowe albo w policji?

Nagle czuję, jaki jestem nieudolny. Wszystko robiłem instynktownie, to nie było wyuczone. Odpowiadam mechanicznie, głupio:

- Przez pewien czas byłem skautem...

- Nie rób sobie jaj - ostrzega. - Mówię poważnie.

- Nie mam specjalnych umiejętności.

- Więc teraz szwendasz się bez celu? Ukrywasz się za ciałami naszych ludzi?

- Nie ukrywałem się - warczę. - Przechodziliśmy tędy.
- Wszyscy tak mówią.

Prawdę mówiąc, byłem zagubiony, jak to sugerował Preston. Teraz jednak miałem cel wędrówki.

- Właśnie zmierzam do domu - oznajmiam.
- Do domu? A po co, do diabła, chcesz tam iść? Z jakiego powodu miałbyś szukać związku ze swoim minionym życiem?
- Chcę znaleźć córkę.

Patrzy na mnie z nagłym zainteresowaniem.

- Dlaczego?

Co mam mu powiedzieć? Czy popełniłem błąd, przyznając się, że szukam Ellis? Czy uważa, że dlatego jestem mniej męski? Że jestem słabszym wojownikiem? A może nawet jestem taki jak nasi wrogowie? A czy ja na pewno wiem, po co szukam Ellis? Co mam nadzieję osiągnąć? Życie z nią nie mogłoby być już nigdy takie jak poprzednio, więc dlaczego mi na tym zależy. Sama myśl o tym, kim i czym przedtem byłem, jest mi teraz wstrętna, ale zastanawiam się, czy to rzeczywisty powód, że chcę znów z nią być? Może próbuję zbudować most nad przepaścią między dniem dzisiejszym a tym wszystkim, co działo się w latach poprzednich. Niezręczne milczenie trwa całe wieki. Otwieram i zamykam usta, żeby coś powiedzieć, ale żadne słowa się z nich nie wydobywają. Odzywa się natomiast Preston.

- Ona jest jak my, prawda?

7

Preston wpatruje się we mnie uważnie. Do diabła, co on sobie myśli? Wie, że Ellis jest jedną z nas, no i co? Jaka to dla niego różnica? Z jakiegoś powodu ton jego głosu się zmienia.

Nagle Preston staje się poważny i bezpośredni. Na chwilę wysiadł z furgonetki, a potem wrócił i zasunął drzwi. Robi się gorąco i duszno, aż trudno oddychać.

- Opowiedz mi o niej, Danny.

To mi się nie podoba. Będę sącył informacje, żeby się przekonać, o co mu chodzi. Życie w starym świecie odcisnęło na mnie piętno i mam się na baczności. Dręczą mnie podejrzenia, że natknąłem się na ostatni działający gang pedofilów. Nic nie mówię, więc zadaje mi kolejne pytanie:

- Ile ona ma lat?
- Niedawno skończyła pięć.
- I twierdzisz, że wiesz, gdzie ona teraz może być?
- Niewykluczone - odpowiadam szybko. Mogę mu podać kilka mglistych szczegółów. Nawet gdybym wiedział, gdzie jest Ellis, nie powiedziałbym mu tego. On nic o niej nie wie. Nawet nie wie, jak ona wygląda. Chryste, nie powiedziałem mu nawet, jak ma na imię.
- Jest gdzieś tu w okolicy?
- Możliwe.

Preston pochyla się na przednie siedzenie i bierze mapę. Rozwija ją.

- Pokaż mi na mapie.
- Nic ci nie pokażę, jeśli mi nie powiesz, dlaczego tak interesujesz się moją córką. Kim ty jesteś? Zboczeńcem? Zwabiasz małe dzieci?

Jego twarz jest cały czas obojętna i poważna. Nie ma na niej żadnych emocji.

- Nie chodzi nam jakoś szczególnie o twoją córkę - wyjaśnia w końcu. - Uważamy, że dzieci są kluczowym elementem dla naszej przyszłości. Są bardzo ważne obecnie, a jeszcze ważniejsze będą później, gdy wygramy wojnę.

- I co?
- Czy kiedykolwiek widziałeś, jak dzieci walczą? Są szybkie, silne, zwinne. Nie mają żadnych zahamowań. Nie są obciążone wspomnieniami z poprzednich lat, gdy sprawy wyglądały inaczej. Znają tylko teraźniejszość. Akceptują to, co widzą i czego doświadczają obecnie. I akceptują bezdyskusyjnie. To właśnie jest ich normalność.

Wyjaśnienia Prestona mają nawet sens, ale on sam nie wzbudza mojego zaufania. Mówi w sposób gładki, oślizły, co natychmiast mnie irytuje. Wyraźnie widać, że to polityk, spec od propagandy. Wiem, że walczymy po tej samej stronie, ale czy nasze cele są takie same?

- Dużo mówisz, ale w zasadzie nie ma w tym treści. Dlaczego mam ci podać jakiegokolwiek informacje o mojej córeczce?

- Danny, dzieci to prawdziwi bojownicy. Wręcz doskonali bojownicy. Brutale są silni i agresywni, ale dzieci to zupełnie inna kategoria. Sądzę, że...

Nagle milknie, jakby nie był pewien, czy można mi ufać. Naciskam go, chcąc usłyszeć, co ma do powiedzenia. Przesuwa dłonią po tłustych, gładko zaczesanych do tyłu czarnych włosach.

- Sądzę, że podział między nami i Zwykłymi zaczyna się zacierać, gdy chodzi o małe dzieci. Jak już mówiłem, one nie mają bagażu wspomnień takiego jak my. Jeśli dziecko Zwykłych zostanie odpowiednio przygotowane i zachęczone, to nawet ono nauczy się walczyć jak my.

Znów zapada cisza. Obaj zastanawiamy się nad tym, co Preston powiedział. Początkowo skłonny jestem uznać, że to bzdury, ale może on ma jednak rację. Dzieciak dorastający w tym obłąkanym świecie nie będzie znał innego. Żeby przeżyć, musi się nauczyć walki, bez względu na to, z czym i z kim był początkowo związany.

- Odłączyłem się od rodziny, gdy Zmiana mnie dotknęła -mówię. Dochodzę do wniosku, że nie mam nic do stracenia, jeśli udzielę nieco informacji, bez wdawania się w szczegóły. Biorę od niego mapę i stukam palcem w miejsce, gdzie kiedyś mieszkałem. - Ostatni raz widziałem ich tutaj, ale mojej partnerce udało się uciec z dziećmi.

- Z dziećmi? Czyli jest ich więcej?

- Dwaj synowie i córka. Ale tylko Ellis mnie interesuje.

- To twoja córeczka?

- Tak.

- Nie powinieneś tak od razu skreślać synów...

Przesuwam palcem po mapie i w pewnym miejscu go zatrzymuję.

- Myślę, że Lizzie poszła do domu swojej siostry. Co to za znaki?

Na mapie narysowano dwa okręgi o środku w centrum miasta. Moje mieszkanie i dom siostry Lizzie znajdują się tuż za większym kołem. Preston wyjaśnia:

- Jak powiedział Ankin, Zwykli wycofali się do miast. Mamy informacje sprzed paru tygodni, ale uważamy, że Zwykli skupiają się w pierwszym kole.

- A druga linia?

- To zewnętrzna granica strefy zamkniętej, pasa pustej ziemi między siedliskiem Zwykłych a resztą kraju. Dość dobrze broniony rejon. Dlatego znacznie trudniej przez niego przejść niezauważonym. Nie jest to niemożliwe, ale nieco bardziej utrudnione.

- Więc w jaki sposób Ankin planuje niepostrzeżenie przeprowadzić armię przez ziemię niczyją?

- Znajdzie jakiś sposób - odpowiada Preston. To nie brzmi przekonująco. Usiłuję znów skierować rozmowę na Ellis.

- Mam taki plan - mówię. - Najpierw sprawdzę mieszkanie, potem poszukam Ellis w domu siostry Lizzie.

- A jeśli jej tam nie będzie?

- Jeszcze tak daleko nie wybiegam myślami naprzód. Nie chcę.

Preston zwija mapę i zastanawia się przez chwilę.

- A jeśli moglibyśmy ci ofiarować pomoc?

- Pomóc mi? W jaki sposób?

- Dziś jedna z naszych grup zmierza w tamtym kierunku, będą szukali rekrutów. Możesz z nimi pójść. Z naszym poparciem masz większe szanse.

- A co wy z tego będziecie mieć?

- Są dwa warunki - oznajmia złowieszczo. - Po pierwsze, jeśli nie znajdziesz córeczki,



zapomnisz o niej i wrócisz do nas, żeby walczyć u naszego boku. Po drugie, jeśli ją znajdziesz, oboje wrócicie do nas i będziecie walczyć.

8

Mogłem załatwić całą trójkę - mówi Adam głosem cichym i słabym, ale z wyraźnym entuzjazmem i podnieceniem napędzonym adrenaliną. - Nie potrzebowałem twojej pomocy. Doskonale bym sobie dał radę, gdybyś nie wrócił...

- Na pewno - przerywam mu. - To kupa bzdetów, wiesz o tym?
- Sam jesteś kupą bzdetów - śmieje się. - To ty schowałeś się na drabinie!
- Nie chowałem się...

Kaszele i znów się śmieje. Na nagą pierś pryskają kropelki krwi. Bez dwóch zdań: chłopak się kończy. Oddech ma coraz płytszy i nierówny. Już wcześniej był osłabiony z powodu ran zadanych przez ojca i nieleczonej infekcji, która się potem wdała. Brutalne cięgi, jakie dostał dziś rano, dodatkowo pustoszą organizm. Ciało Adama jest pokryte siniakami i opuchnięte. Od wielu godzin chłopak prawie się nie rusza i jego stan stale się pogarsza.

Znów nastał upalny dzień. Powietrze jest suche, a w bezlitosnym żarze zapach rozkładających się ciał staje się nieznośnie mdlący. Mnożą się owady. Z każdym wdechem wciąga się do płuc bzyrczący rój tego draństwa. Wyruszymy do miasta dopiero po zmroku, więc przez kilka następnych godzin nie mamy nic do roboty, musimy odpocząć i przygotować się do kolejnej walki.

- Chce mi się pić - wzdycha Adam. Biorę opróżnioną do połowy plastikową butelkę z wodą i przystawiam ją do spękanych ust chłopca. Usiłuje przełknąć, ale większość płynu ścieka mu po brodzie. Znów kaszele i krzywi się z bólu, ale nie narzeka. To nie do wiary - ciągle jest nakręcony bitewnym podnieceniem. Biedaczysko, prawdopodobnie zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że do rana umrze.

- Następnym razem - mówi, a każde słowo wymawia z wysiłkiem - będę celował prosto w głowę, wiesz, co mam na myśli?

Potakuję. Nie mam serca, żeby mu powiedzieć, że nie będzie następnego razu.

- Wiem - kłamię.
- Rozumiesz - kontynuuje, usiłując się podciągnąć na łokciach, ale natychmiast opada na ziemię - spojrzą na mnie i pomyślą, że ponieważ mam schrzanioną rękę i nogę, to łatwo sobie ze mną poradzą. Ale to gruba pomyłka...

Powieki mu trzepoczą i zamykają się na sekundę. Wydaje mi się, że umarł. Wyciągam dłoń, żeby sprawdzić mu puls, ale uderzeniem odsuwa moją rękę, mamrocząc coś niewyraźnie. Jest jak zwierzę z błogą nieświadomością własnej śmiertelności. Przekonany, że będzie żył i żył, i żył. Aż mu zazdroszczę tej niewiedzy. Traci przytomność.

- Umarł? - pyta kobieta nieprzyjemnie głośno. Wstaję i próbuję ją odciągnąć dalej od Adama, ale ona stoi mocno w miejscu. Ma na imię Julia. Koordynuje grupę tych z nas, którzy wyruszają. Od innych ludzi dowiedziałem się, że to twarda suka, która nie da się zbajerować. Ma silny irlandzki akcent i kiedy mówi, kojarzy mi się z IRA i różnymi problemami. Nie powinno tak być, ale kogo to obchodzi. Równość, różnorodność kulturowa i polityczna poprawność to pojęcia należące teraz do przeszłości, zepchnięte do lamusa historii przez Nienawiść - ona wszystko równa. Wyzwiska, obelgi i język pogardy - tego wszystkiego staraliśmy się kiedyś unikać - straciły obecnie swoją moc rażenia.

- Jeszcze nie. Ciągle się trzyma.

Julia kiwa głową. Surowa twarz wyprana jest z wszelkich emocji.

- W furgonetce jest jedzenie. Koniecznie się najedz, zanim wyruszysz. Nie wiadomo, kiedy znów będziesz miał szansę coś zjeść.

Przy tym upale, muchach i fetorze ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest jedzenie.

- Biedaczysko - mówię cicho - spójrz tylko, w jakim jest stanie.

Odszedłem krok od Adama i widzę, jak z nim źle. Na całym ciele ma otwarte, sączące się rany, a

pogruchotane przez ojca kości nie zostały prawidłowo złożone. Czuję niepokój, gdy pomyślę, w jak okrutnym i bezwzględym świecie przyszło nam żyć. Chłopak umrze jeszcze dziś, choć jego rany nie są w zasadzie śmiertelne. Istnieją lekarstwa, doktorzy i odpowiedni sprzęt medyczny. Można by mu uratować życie, ale wszystko jest poza naszym zasięgiem. Julia odgadła, o czym myślę, i werbalizuje to z nieprzyjemną precyzją.

- Nie oskarżaj się o to - mówi. - Nie ma sensu. Spójrz prawdzie w oczy: w tym stanie jest już nikomu niepotrzebny.

- Wiem, ale...

- Ale nic. Nie mamy czasu na łatanie ludzi, którzy nie będą znów zdolni do walki. Miesiące miną, zanim by się wykaraskał, a i wtedy do niczego nie będzie się nadawał. I kto go będzie pielęgnował? Brakuje ludzi. Obecnie nie ma ani lekarzy, ani pielęgniarek, ani chirurgów. W ostatecznym rachunku wszyscy jesteśmy bojownikami, i tyle.

Mam ochotę zaprotestować, powiedzieć coś w obronie poległego w boju przyjaciela, stanąć po jego stronie, ale wiem, że to nie ma sensu. Chryste, ona ma rację, przecież dziś rano i tak miałem zamiar go porzucić.

- Bojownik, który nie może się bić - kontynuuje tonem kaznodziei - to tylko trup. Jeśli chcesz mu pomóc, to znajdź pistolet i wpakuj mu kulę w głowę.

9

Opuszczam rzeźnię, trupy, muchy i fetor, a przed sobą mam pole ciągnące się aż po horyzont. Spalona słońcem, sięgająca do kolan trawa kołysze się leniwie w ciepłym wietrze, faluje jak łagodne morze. Świat jest doskonale piękny, spokojny, panuje niemal zupełna cisza. Czuję się silny, zrelaksowany, ożywiony i gotów do kolejnej walki. Czas wychodzić.

Robię kilka kroków do przodu. Ostre słońce oślepia mnie i pali mi skórę. Butami gniotę wysoką trawę, zostawiając za sobą wydeptany ślad. Jest tak blisko rzeźni, a panuje tu niesamowity spokój i czystość. Przede mną niczego nie ma, ziemia aż po horyzont ledwo zauważalnie faluje, tylko w dali z żółto-zielonego terenu wystaje kilka suchych drzew na tle intensywnie niebieskiego nieba.

Zaraz, co to takiego?

Coś słyszę. Szelest trawy. Kroki? Już myślę, że to wiatr, gdy kilka metrów przede mną pojawia się dziecięca postać, ukryta przedtem w wysokiej trawie. Dziecko jest prawie nagie i rozpaczliwie chude, nie potrafię określić jego płci. Powoli się prostuje, obserwując mnie uważnie. Kołysze się lekko. Nie obchodzi mnie, kto to ani co to. Wiem, że muszę to zabić.

Zaczynam biec, koncentrując się całkowicie na tym, by złapać owo małe indywiduum, na nic innego nie zwracam uwagi. Dzieciak biegnie - po ruchach odgaduję, że to chłopak - i nagle błyskawicznie skręca w lewo. Porusza się znacznie szybciej ode mnie. Odległość między nami się zwiększa, podążam za nim po wydeptanej trawie, zakręcając niezbyt ostrym łukiem, aż w końcu docieram do miejsca, z którego rozpocząłem bieg. Dzieciak znika. Podnoszę wzrok i w dali widzę ruiny swego rodzinnego miasta. Całe tygodnie mnie tu nie było, ale wszystko wygląda tak, jak to zapamiętałem, tylko panuje tu większy brud i bałagan. Ciemne, brzydkie domy stanowią silny kontrast z pięknym krajobrazem. Nad wszystkim unosi się rozproszony dym. Białe smugi dryfują między wysokimi budynkami, a chmury brudnej szarości zalegają na poziomie ulicy jak ciężka mgła.

Zupełnie straciłem dzieciaka z oczu, ale wydeptany w trawie szlak mógł mnie doprowadzić prosto do niego. Znowu zaczynam biec. Pogoń sprawia mi coraz więcej trudności. Powietrze jest suche, jakby buchało z pieca, czuję palące słońce na odkrytych plecach. Zmuszam się do dalszego pościgu, napędza mnie myśl o zabijaniu. Ślina napływa mi do ust, gdy wyobrażam sobie ciało Zwykłego rozrywane na strzępy...

Pole trawy okala wąski pas kolczastego żywopłotu. Przedzieram się, nie zważając na gałęzie i kolce, które siekają mnie bezlitośnie. Potem biegnę pustą ulicą. Nie rozpoznaję jej. Po obu stronach dominują zdemolowane szkielety domów. Są na tyle wysokie, że zasłaniają słońce. Prawie

przestają widzieć, gdy nagle przechodzę ze słońca w cień. A w cieniu panuje lodowate zimno. Jestem zdezorientowany i biegnę wolniej. Dzieciak, którego gonię, już dawno mi uciekł.

Znów słyszę z tyłu odgłos stóp; tym razem nie jest to jedna osoba. Odwracam się: tłum biegnie prostą ulicą. Goni mnie wielu ludzi. Mogliby wypełnić całą szerokość jezdni, ale nie widzę wszystkich, bo mrok gęstnieje. Podejmuję ucieczkę, zmuszam się do szybszego biegu. Kończą mi się zasoby energii. Teraz to mnie ścigają i każdy mój krok wymaga zwielokrotnionego wysiłku. Głód został wyparty przez strach. Tłum mnie dogania. Za każdym razem, gdy oglądam się przez ramię, widzę, że są coraz bliżej. Między domami po lewej stronie dostrzegam prześwit - alejka prowadzi na inną węższą ulicę. Skracam. Ciężkie buciory na obolałych stopach uderzają w betonową nawierzchnię, wstrząsy przenoszą się na całe ciało. Siła i energia całkowicie ze mnie wyciekły. Nie mogę już dalej biec...

Zatrzymuję się w połowie następnej ulicy i nie jestem w stanie zrobić ani kroku. Oglądam się za siebie. Tłum sunie na mnie jak stado spłoszonych zwierząt. Są tak blisko, że widzę pojedyncze twarze. Nagle nieoczekiwanie zatrzymują się, zachowując pewną odległość. Mam wrażenie, że w każdej chwili mogą mnie zaatakować. Jestem przerażony. Pierwszy raz od wielu miesięcy czuję prawdziwy strach. Patrzę na ludzi z przodu grupy pościgowej i widzę, że są tacy jak ja, ale wyczuwam, że zamierzają mnie zaatakować. Dlaczego? Czy uważają mnie za Zwykłego? Otwieram usta, żeby im wszystko wyjaśnić, żeby zrozumieli, ale nie mogę wydobyć ani jednego słowa. Czuję się zmiażdżony, załamany i poniżony, żałuję, że nie jestem znów taki jak oni. Patrzą na mnie z totalną nienawiścią...

Odwracam się, by ruszyć do ucieczki, i staję twarzą w twarz z Ellis. Nie daję wiary i zbliżam się do niej. Cofa się. Ja robię krok do przodu, ona - do tyłu. Ja staję i ona staje.

- Ellis. - Chrypię przez spieczone usta. Ledwie słychać mój słaby głos. - Myślałem, że ty...

Rzuca się na mnie, skacze z błyskawiczną prędkością i chwytą mnie za gardło. Nie zdążyłem się zorientować, a już padam twarzą na ziemię...

10

Męczy cię zły sen, Śpiąca Królowno? - pyta mężczyzna siedzący obok mnie. Kiwam potakująco głową, ale nie odpowiadam. Rozcieram sobie czaszkę; przed chwilą uderzyłem nią w okno furgonetki. Natychmiast przypominam sobie, gdzie jestem. Jest późne popołudnie, wracam do domu z trzema innymi bojownikami i mdli mnie od jazdy samochodem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jechałem drogą tak jak teraz. Czy to bezpieczne? Reszta osób w samochodzie zachowuje się bardzo pewnie. Ja takiego poczucia pewności nie mam.

Siedzący obok mnie zarozumiały facet z kwaśną miną nazywa się Paul Hewlitt. Ma o sobie i o swoich umiejętnościach znacznie wyższe mniemanie niż o dwojgu pozostałych. Z przodu furgonetki siedzą Carol i Keith, który prowadzi. Jak się zorientowałem, nic ich nie łączy, ale sprzeczą się i kłócą jak stare małżeństwo. Czuję, że nie pasuję do tego towarzystwa. Chyba pójdę własną drogą. Czyżbym odzwyczaiał się od przebywania w większej grupie ludzi?

- Może byś odłożyła to cholerstwo, co? - zrzędzi Keith, gdy Carol zapala papierosa.

Wypuszcza dym w jego stronę, specjalnie chce go rozzłościć.

- Nie - ucina zgryźliwie Carol. Głos ma suchy i ostry.

- Nie wiem, skąd masz stałą dostawę.

- Lepiej, żebyś nie wiedział - wtrąca się Paul.

- A co to ma znaczyć? - rzuca Carol.

- Widziałem, jak przeszukujesz kieszenie trupów - mówi Paul.

- Przecież już tego nie potrzebują - upiera się Carol. Ma rację. Ale czy przez to nie upodabnia się do Zwykłych, którzy obskubują trupy, jak to widziałem wcześniej?

- Jesteś obrzydliwa - wzdycha Keith.

- Jestem uzależniona - odparowuje błyskawicznie - i nie chcę się odzwyczajać. Pety to jedna z niewielu przyjemności, jaki mi pozostały. A skąd mam je brać?

- Przynajmniej otwórz okno. Nie chcę być przez ciebie biernym palaczem.
- To wstrzymaj oddech - burczy i niechętnie opuszcza szybę po swojej stronie. Chłodne, dość świeże powietrze wdiera się do furgonetki. Oddycham głęboko z ulgą.

Patrzę na trzy osoby, z którymi dziś wieczór podróżuję, i ogarnia mnie niepokój. Jeszcze żadnej z nich nie widziałem w akcji, ale nie wiążę z tym zbyt wielkich nadziei. Keith wygląda tak, jakby częściej przebywał w przydomowym ogródku niż na polu bitwy. Carol cały czas się złości. Jest niska, ma wylupiające oczy i ciemne włosy, które kiedyś były farbowane, ale powstały odrosty i resztki farby tworzą miedzianą obwódkę. Długie paznokcie, kiedyś chyba manikiurowane i lakierowane, teraz wyglądają jak szpony. Carol przypomina mi kobietę, z którą pracowałem - zgorzkniałą, otumanioną alkoholem była właścicielką pubu. Ma rumianą cerę pijaczki i sprawia wrażenie, że najszcześliwiej by się czuła za barem lub po paru głębszych. Paul natomiast - wydaje się - rwie się do walki. Arogancki skurwiel. Podczas jazdy już kilka razy opowiadał mi, jakim jest znakomitym bojownikiem; stracił nawet rachubę, ile setek ludzi pozabijał. Przejrzałem go. Przechwałki i agresywne gadanie mają tylko zamaskować niepewność. Szamota się wewnętrznie jak każdy z nas.

A więc, ogólnie biorąc, nie tworzymy wspaniałej drużyny. Ale jeśli pomogą mi w poszukiwaniach Ellis, to jakoś z nimi wytrzymam.

- Daj jakieś wskazówki, stary. - Keith ogląda się przez ramię do tyłu i patrzy na mnie. Pochylam się do przodu, żeby się lepiej przyjrzeć okolicy. Furgonetka jedzie szybko szeroką drogą usianą śmieciami i gruzem; trzęsie się i zatacza z boku na bok. Z mojego miejsca trudno coś dostrzec, tym bardziej, że Keith nie włączył świateł, ale gdy tuż przed nami na tle wieczornego nieba wypelza czarna złowieszczą sylwetka wielkiego helikoptera wrogów, migoczącego w mroku światłami na ogonie, cieszę się, że nie jesteśmy widocznymi.

Przed nami stoi drogowy znak. Furgonetka zatrzymuje się i wszyscy czworo wpatrujemy się w niego, usiłując przeczytać nazwy miejscowości i kierunek. Duża część znaku drogowego pokryta jest warstwą zielonkawo-brązowego biota i mchu.

- To Chapman Hill, tak? - pyta Paul. Rozglądam się na wszystkie strony, próbując rozeznaczyć się w okolicy. Ma rację. Ostatni samochód kupiłem w salonie gdzieś tu w pobliżu, ale nie poznaję tego miejsca. Teraz domyślam się, gdzie mniej więcej jesteśmy, i powoli przypominam sobie ulice i domy. To dziwne: wszystko wygląda w zasadzie tak samo, a jednak wszystko się zmieniło. Znane mi przedtem charakterystyczne budowle nadal tu są, ale wojna nieodwracalnie je oszpeciła. Długi rząd dobrze prosperujących sklepów to teraz rozpadająca się, poczerniała ruina, niemal całkowicie zniszczona przez pożar. Zadaszenie parkingu przed salonem zapadło się i kilka niesprzedanych aut, których nikt nie ukradł, stoi z przygniecioną karoserią. Biurowiec obok salonu ma pół przedwojennej wysokości. Otaczają go sterty gruzu pochodzącego z pięciu górnych pięter. W gasnącym świetle dnia wydaje się, że wszystkie ulice i chodniki pokrywa warstwa pyłu i gruzu. W tym chaosie tylko trupy są bardziej wyrazistymi kształtami. Tuż przed nami z rumowiska wystaje ręka szkieletu, jakby zmarły chciał nas o coś spytać albo zatrzymywał autostop.

- No, zwiedzasz okolicę czy mówisz nam, gdzie mamy jechać? - niecierpliwie się Keith.
- Przepraszam - odpowiadam szybko. Usiłuję się otrząsnąć z transu. - Jedź prosto jakieś półtora kilometra, potem skrzyżuj w prawo. Powiem ci, kiedy znajdziemy się w pobliżu. Keith już ma ruszać, gdy Carol go powstrzymuje. Pochyla się i chwyta go za rękę.

- Poczekaj, coś nadjeżdża...

Carol wpatruje się uważnie w skrzyżowanie przed nami.

- Przecież nic nie jedzie - szepcze Keith, odruchowo zniżając głos. - Znowu reagujesz zbyt emocjonalnie. Chyba czas...

Milknie natychmiast, gdyż przez skrzyżowanie mknie krótki, lecz silny konwój. Tylko trzy pojazdy: przodem wielka wojskowa ciężarówka, za nią zdezelowany jednopiętrowy cywilny autobus, z tyłu ciężko uzbrojony jeep. Jadą na łeb na szyję, za szybko, by nas zauważyć. Keith czeka. Spogląda na Carol, która ciągle milczy. W końcu kiwa głową. Na dany przez nią znak Keith

rusza.

- Możemy przedostać się tamtą ulicą? - pyta, zwalniając na skrzyżowaniu, gdzie konwój przeciął nam drogę.

- Chcesz jechać za nimi? - dziwię się.

- Byli tak uprzejmi i oczyścili nam drogę. Tak, chcę jechać za nimi.

Ma rację. Za pojazdami został pas czystej jezdni.

- To nieco dalej, ale zgoda, tędy też dostaniemy się na miejsce.

Kiwa głową i rusza, a ja od razu widzę, że jego decyzja ma sens. Teraz możemy jechać znacznie szybciej po oczyszczonej trasie i łatwiej zachować właściwy kierunek. Siadam głębiej na fotelu i zwracam się do Paula.

- Czy jesteśmy tu bezpieczni?

- Prawdę mówiąc, nigdzie nie jesteśmy bezpieczni - odpowiada cicho. - Ale ostatnio nie było tu problemów.

- A ten konwój?

- Myślę, że szukali ocalałych. - Paul wzrusza ramionami.

- Tak by nazwali swoją misję - wtrąca się Carol. Odwraca się do nas i wydmuchuje dym kącikiem ust. - Ale na pewno niewielu ocalało. Przyjeżdżają tu po to, żeby sobie do nas postrzelać.

- Którędy teraz? - Keith usiłuje przekrzyczeć warkot silnika. Zbliżamy się do kolejnego skrzyżowania. Próbuję się rozeznać, gdzie jesteśmy. W pewnej odległości widzę zapalające się od czasu do czasu czerwone światła stopu trzech samochodów Zwykłych. Zmierzają prosto do centrum miasta. My jednak nie tam chcemy jechać. Rozglądam się to w prawo, to w lewo i w końcu dostrzegam duży, znany mi pub. Wiem, gdzie jesteśmy. Budynek sprawia wrażenie zupełnie nietkniętego, ale po chwili widzę, że zaplecze jest prawie całkiem zrujnowane i tylko fasada się trzyma, stoi jak filmowa dekoracja. Byłem tu raz na przyjęciu pożegnalnym kolegi z pracy. A może na czyichś urodzinach?

- Jak pojedziemy prosto, to zbliżymy się do tamtych, więc musimy albo w prawo, albo w lewo. Na litość boską, mów! Nie mamy czasu się tu chrzanić.

- W lewo - odpowiadam. Gryzę się w język. Nie chcę okazywać złości. Ci ludzie nie rozumieją, jakie to wszystko dla mnie trudne.

Jedziemy znajomą drogą i uświadamiam sobie, że tędy jechałem do mieszkania z teściem rano tego dnia, kiedy go zabiłem. Tę ulicę przebyłem po raz ostatni jako Zwykły. Teraz podążamy tą samą trasą, co nieoczekiwanie odbiera mi odwagę. Mijamy rząd domów, potem wskakujemy w lewo na wiadukt nad autostradą. Keith nie włączył świateł. Zatrzymuje się w połowie wiaduktu. Przyciskam twarz do szyby i patrzę w dół na szosę, na której kiedyś panował duży ruch. Jedna strona autostrady jest uprzątnięta - gruz został zapewne odsunięty przez ciężkie, choć rzadko tu jeżdżące samochody Zwykłych. Po drugiej stronie jest mnóstwo różnych pojazdów. Niektóre wyglądają tak, jakby zostały po prostu porzucone, inne - jakby je ciśnięto przez pas rozdzielający dwa kierunki autostrady. Przypomina to bardziej złomowisko niż drogę.

- Duży ruch dziś wieczór - mówi Carol. Spoglądam na nią: kobieta wpatruje się w miasto. Wędruję za jej wzrokiem i po raz pierwszy widzę wyraźnie centrum miasta zajęte przez wroga. Na tle ostatnich promieni zachodzącego słońca rysują się sylwetki wysokich budynków, stojących dumnie i wyzywająco. Nawet stąd, z odległości kilkunastu kilometrów, dostrzegam, że w obozie uchodźców panuje duży ruch. Samoloty i helikoptery przelatują po ciemniejszym niebie jak muchy krążące wokół zdechłego zwierzęcia. Jestem zaskoczony, że w niektórych budynkach palą się światła. Ciągłe mają prąd! Keith znów rusza. Wpatruję się w odległe domy, aż znikają z pola widzenia.

- W porządku? - pyta Paul, widząc, jak wyciągam szyję.

- Tak - odpowiadam szybko. Mam nadzieję, że nie zauważył mojego niepokoju. Muszą tam być dziesiątki tysięcy Zwykłych i wiem, że wszyscy, co do jednego zginą, zanim wojna się skończy. Widok ich twierdzy w centrum miasta uprzytamnia mi, jak ogromne zadanie stoi przed

nami. Uświadamiam sobie, że Chris Ankin może mieć rację. Żeby pokonać wroga, musimy działać wspólnie.

11

Skręć w lewo, a potem wjedź w górę ulicy - mówię Keithowi tak cicho, że muszę to powiedzieć jeszcze raz, dopiero wtedy mnie słyszy. Już niedaleko. Zwykle tą drogą wracałem wieczorem z pracy do domu. Kiedy skręcimy za róg, zobaczę dom mieszkalny na szczycie wzgórza. Przygotowuję się; niechętnie wracam na dawne śmiecie. Keith nagle hamuje i czeka. W końcu musi włączyć reflektory. W snopie jasnego światła widzimy, że coś przemyka ulicą przed nami. Przypatrujemy się w milczeniu stadu bezdomnych psów, wałęsających się po ruinach w poszukiwaniu jedzenia. Kiedyś były prawdopodobnie leniwymi, sytymi, rozpieszczonymi pupilami, teraz są nerwowe, dzikie i wychudzone. Jeden z nich - nędzny, płowy kundel o wystających żebrach i zmierzwionej sierści - zatrzymuje się pośrodku drogi i bezczelnie obserwuje furgonetkę. Uszy mu drżą, światło odbija się w ślepiach. Po kilku sekundach coś bardziej interesującego każe psu zawrócić i pognać za resztą sfory.

Po tej krótkiej przerwie Keith znów rusza i moim oczom ukazuje się dom, w którym mieszkałem z Lizzie i dziećmi. W zimie z tego miejsca widziałem zapalone w oknach światła i czasami cienie dzieci, które gonily się po pokojach, drocząc się z mamą i ze sobą nawzajem. Już zdążyłem to zapomnieć, ale jest mi ciężko. Podjeżdżamy coraz bliżej i każde wspomnienie odbieram jak bezpośredni cios w twarz. A równocześnie czuję obrzydliwy niesmak - niemal wstyd - że kiedyś byłem częścią tego miejsca. Nie mogę uwierzyć, że aż tak długo tkwiłem w takim żalonym, ograniczonym i bezsensownym życiu.

- Miły kąć - gdera Paul sarkastycznie, przyglądając się zdewastowanemu budynkowi, który kiedyś nazywałem swoim domem. Niebo jest czyste, ale księżyc, choć jasny, nie daje zbyt dużo światła. Mimo to widoczne są szczegóły, których wolałbym nie dostrzegać.

- Niewiele tu się zmieniło - mówię prawie poważnie. - Przed wojną wyglądało to niemal równie podle.

Nadlatuje helikopter. Stałego łopotu wirnika nie zagłusza nawet terkoczący silnik wiekowego transita. Tamtych troje patrzy z niepokojem, jak maszyna przechyla się wysoko nad nami, zakręca i odlatuje, ale ja prawie wcale nie zwracam na nią uwagi. Koncentruję wzrok na ciemnym budynku, do którego szybko podjeżdżamy. Do diabła, co ja tam znajdę w środku? - zastanawiam się. Wiem, że Ellis tam nie będzie. Chcę znaleźć jakieś ślady, jakieś wskazówki, choćby najdrobniejsze, na temat tego, dokąd ją mogli zabrać.

Keith zatrzymuje furgonetkę w ciemności, przy wysokim drewnianym płocie, i gasi silnik. Nadlatują jeszcze dwa helikoptery. Czyżby nas wyśledziły? Moi towarzysze podróży zupełnie się tym nie przejmują.

- Masz pięć minut - mówi Keith z lekką niecierpliwością w głosie. - Jeśli za długo będziesz się tam opieprzał, to odjeżdżamy i już nas nie zobaczysz. Dziś dość dużo tu się dzieje, nie chcę się wpakować w jakąś wymianę ognia. Rozumiesz?

- Tak.

Już mam otworzyć drzwi, gdy znów słyszę Keitha.

- Pamiętaj - mówi ostrzegawczym tonem - jesteśmy tu po to, żeby znaleźć takich jak my, a nie tylko twojego dzieciaka. Jeśli nie ma jej tu ani w innym domu, zapomnij o niej. Jasne?

Za kogo ten skurwiel się uważa? Mówi do mnie jak jakiś cholerny sierżant. Nie zwracam na niego uwagi i wysiadam z furgonetki, zanim ktoś z nich jeszcze coś doda. Odruchowo zatrzaskuję drzwi. W pustej okolicy brzmi to jak huk wystrzału.

Stoję na końcu ścieżki prowadzącej do bramy komunalnego domu. Mam ze sobą tylko plecak, latarkę i nóż. Mieszkanie wygląda jak zawsze, z wyjątkiem wybitego okna - zasłony powiewają na wietrze. Na widok mieszkania znikają ostatnie trzy miesiące mojego życia. Mam wrażenie, że byłem tu zaledwie wczoraj...

Keith z irytacją naciska klakson. Głośny, nieprzyjemny dźwięk zmusza mnie do działania. Idę po nierównym chodniku i pcham drzwi. Początkowo nie ustępują, ale napieram mocniej i otwierają się z tym samym co zawsze przeszywającym skrzypieniem, tylko że dziś dźwięk wydaje się tysiąc razy głośniejszy na tle panującej wokół śmiertelnej ciszy. Wchodzę do środka, świecąc sobie latarką. Wspólny hol wejściowy jest zdemolowany, podłogę pokrywają szczątki rozbitych mebli i inne śmiecie. Rozpoznaję niektóre rzeczy - należały kiedyś do mnie i mojej rodziny. Dzieci nienawidziły tego holu.

Drewniane drzwi wejściowe do mieszkania są otwarte. Kołyszą się na lekkim wietrze. Są rozłupane na całej długości i widać brudne ślady butów; zostawili je prawdopodobnie żołnierze, którzy usiłowali się dostać do mieszkania, gdy ja próbowałem je opuścić. Byłem tam wtedy po raz ostatni. Z niepokojem pcham drzwi, wchodzę i natychmiast jak obuchem uderza mnie widok znajomych przedmiotów. Kopię z przejścia w korytarzu przewrócony do góry nogami wózek spacerowy najmłodszego syna i przechodzę dalej, najpierw do kuchni, i czuję zapach ciała mojego teścia, zanim jeszcze je widzę. Leży dokładnie tam, gdzie je zostawiłem, nadal okryte zakrwawioną kołdrą niczym całunem. Uległo rozkładowi i teraz jest o połowę mniejsze niż za życia. Aż trudno uwierzyć, że ta cuchnąca, wyschnięta, pełna bakterii masa to wszystko, co pozostało z Harry'ego. Pamiętam go jako człowieka, który zajmował się dziećmi i zawsze dawał mi się we znaki. Zręczący, siwy, stary sukinsyn, który starał się zatruć mi życie. Mimo to trudno patrzeć na niego w takim stanie.

Podnoszę wzrok i oświetlam latarką pokój w kierunku drzwi. Nagle przypominam sobie krzyki i przerażone twarze moich bliskich, gdy zobaczyli, co zrobiłem. Bardzo wyraźnie pamiętam przestraszoną twarzyczkę Ellis, która bardzo chce, żebym jej wszystko wyjaśnił, a ja jeszcze nie wiem, czy mogę to zrobić.

Idę teraz po ich śladach, wycofuję się korytarzem, aż dochodzę do salonu. Mały krąg światła latarki całkowicie mi wystarcza. Przekraczam zaporę z mebli, którymi Lizzie zabarykadowała się przede mną. W pokoju jest zimno i wilgotno. Okno jest wybite i przez całe tygodnie hasały tu żywioly. Na ścianach zaległa się pleśń i tapety odłazą. Mieszkanie jest zdewastowane, ale to nie robota Lizzie. Nasze rzeczy zostały zniszczone i porzucane przez ludzi, którzy grzebali tu w poszukiwaniu jedzenia, broni czy czegoś wartościowego. Tracili czas. Nigdy nie mieliśmy nic wartościowego.

Nad domem rozlega się przeszywający ryk pocisku czy samolotu odrzutowego. Po kilku sekundach wraca cisza, ale Keith znów trąbi klaksonem, więc zaczynam się śpieszyć. Nie zaglądam nawet do pokoju Edwarda i Joshua. Wchodzę natomiast do sypialni, którą dzieliłem z Lizzie, i spoglądam na nasze łóżko. Samo wspomnienie fizycznej bliskości z Lizzie przyprawia mnie o dreszcze. To dziwne, ale myśl, że teraz jestem tak daleko od niej, sprawia, że czuję się podle. Chwytam swoje czyste ubranie z szafy (wszystkie ubrania Lizzie nadal tam są - dowód, że tu nigdy nie wracała). Potem biegnę do pokoju Ellis. Pakuję do plecaka kilka jej rzeczy - lalkę i tęczowy pulower, w którym często chodziła. Myślę, że dobrze znane przedmioty przydadzą się, kiedy znów się połączymy. Obojętne, co robiła czy dokąd szła - gdy prosiliśmy ją, żeby się ubrała, zawsze wybierała ten pulower. Przykładam go do nosa i wącham, mając nadzieję, że zachował jej zapach. Nie. Pachnie tak jak całe mieszkanie: wilgocią i pleśnią.

Rzucam ostatnie spojrzenie. Wiem, że bez względu na to, co się stanie, nigdy tu nie wrócę. Idę do samochodu. Gdy biegnę przez hol wejściowy, znów słyszę klakson Keitha. Pcham ramieniem drzwi, wyskakuję na dwór i głęboko nabieram w płuca powietrza. Czuję ulgę, że wydostałem się z tego cuchnącego, klaustrofobicznego piekła pełnego wspomnień o osobie, którą kiedyś byłem. Słyszę strzały, a potem krzyki wściekłości czy bólu. Wrzucam torbę do furgonetki, wskakuję do środka i zatrząskuję drzwiami.

- Jakież ślady? - pyta Paul.

- Żadnych.

Nadlatuje kolejny helikopter, tym razem wisi w górze i reflektorami oświetla ziemię.

- Przez pewien czas nigdzie więcej nie pojedziemy - oznajmia Keith. Włącza silnik i rusza. -

To miejsce jest dziś cholernie ruchliwe, za bardzo jak na mój gust. Znasz coś w okolicy, gdzie by się można schować, póki sytuacja się nie uspokoi?

Wszyscy patrzą na mnie i odczuwam nieprzyjemną presję. Jednego jestem pewien: nie wrócę do mieszkania. Usiłuję sobie przypomnieć inne miejsca w pobliżu, które by się nadawały. Przez przesmyk między dwoma domami na samym dole Calder Grove widzę wysoką, ciemną sylwetkę wieżowca. Jest chyba w nienaruszonym stanie. Nada się.

- Skreć w lewo na dole ulicy - mówię mu. - Znam jedno miejsce.

12

Keith zatrzymuje samochód za rzędem przepelnionych kontenerów na śmieci, niemal bezpośrednio na tyłach bloku mieszkalnego. Każde z nas chwyta swoją torbę z bronią i sprzętem i idzie schować się w budynku. Drzwi frontowych nie ma, a hol przy wejściu jest zdemolowany jak wszystkie inne miejsca. Odruchowo naciskam guzik windy. Głupiec ze mnie. Trudno się pozbyć starych nawyków.

- To raczej nie zadziała, stary - szepcze Paul sarkastycznie. Mijam go i idę za Carol, która już wchodzi na schody. Jej drogę znaczą pomarańczowy ogień papierosa. U stóp schodów leży ciało kobiety w stanie straszego rozkładu. Ma złamany kark, a zmasakrowana głowa przyciśnięta jest do ściany. Była jedną z nas. Bardzo mnie to denerwuje. Przechodzę nad ciałem i zaczynam się wspinać po schodach. Czy kobieta upadła, czy ktoś ją zepchnął? - zastanawiam się.

Przez kilka minut pokonujemy schody, nasze kroki rozbrzmiewają echem w ciemnej klatce schodowej. Poruszamy się szybko, najczęściej przeskakujemy po dwa stopnie. To duży wysiłek, ale prawie nie odczuwam bólu. Przychodzi mi to z łatwością. Jest coś perwersyjnego w tym, że odżywiam się ochłapami, śpię pod gołym niebem i żyję z dnia na dzień, ale nigdy nie byłem w tak dobrej kondycji. To samo dotyczy pozostałych. Carol gna jak młódka, jakby miała połowę swoich lat. Czuję w sobie siłę, kipię energią. Mój organizm działa prawidłowo i sprawnie. Zastanawiam się, jak do tego doszło, że gdy wszystko miałem podane na talerzu i musiałem się jedynie martwić o swoją rodzinę i zasraną lekką pracę, udało mi się tak strasznie wszystko spieprzyć? Wspomnienia o tym, kim byłem i czym byłem, są naprawdę kłopotliwe. Żałuję, że to wszystko nie przytrafiło mi się wiele lat temu.

- Jak daleko jeszcze? - krzyczy Carol kilka pięter nade mną.

- Nie zatrzymuj się - odpowiadam. Pokonaliśmy ponad połowę drogi. Uważam, że im wyżej wejdziemy, tym będziemy bardziej bezpieczni.

- Czekaście! - wrzeszczy Keith. Staję i odwracam się. Keith jest piętro niżej ode mnie. - Popatrzcie!

- Na co mamy patrzeć? - Paul chrząka, brakuje mu tchu. Przeciska się obok mnie i schodzi na dół. Idę za nim na ósme piętro w tym jedenasto- czy dwunastopiętrowym bloku. To piętro jest inne od pozostałych. Minałem je zbyt szybko, żeby coś zauważyć. Drzwi z klatki schodowej do części mieszkalnej są zabite deskami. Wokół jest mnóstwo rozbitego szkła i gruzu, ale wydaje się, że barykada nie została sforsowana.

- To zrobiono od wewnątrz - stwierdza Keith coś, co jest oczywiste.

- Więc w środku ktoś może być - dodaje Carol, równie niepotrzebnie.

- Na pewno Zwykli - szepcze Paul. Przesuwa dłonią po dużym kawałku sklejk, który przybito do framugi od wewnętrznej strony. Pcha i szturcha go w różnych miejscach, szukając słabego punktu. Znajduje obluzowanie na dole w prawym rogu, gdzie framuga zmurszała. Nogą odgarnia odłamki szkła, siada na podłodze i pcha deskę butem. Gdy deska nieco ustępuje, Paul kiwa do mnie, prosząc o pomoc. Staję bezpośrednio między nim a poręczą schodów, żeby nie przesunął się do tyłu, i mocno napieram na Paula, który kopie w deskę. Odgłosy uderzeń rezonują w pustej zamkniętej przestrzeni, ale w chwilach między kopnięciami zapada kojąca cisza. Zdołał zrobić niewielki otwór. Wrzuca plecak do środka, a potem sam się tam przeciska. Po drugiej stronie odciąga sklejki i szarpie ją. Udaje mu się odłupać kawałek, mniej więcej metr kwadratowy.



Przesuwam swój plecak i przechodzę za Paulem.

Stoimy w pustym, w zasadzie niezagraconym korytarzu, prowadzącym do trzech mieszkań. Dwa po jednej stronie, jedno - po drugiej. Dwoje drzwi jest otwartych. Szybko sprawdzam jedno z mieszkań. Ma trzy pokoje dość puste i w niezłym stanie. Na stole przed martwym telewizorem stoi zapleśniały, nietknięty posiłek. Właściciel tego mieszkania musiał opuścić je w pośpiechu. A może został wywleczony. Keith znika w drugim mieszkaniu i po kilku sekundach znów pojawia się na korytarzu.

- Nic - mówi cicho. - Tylko trup na łóżku.

- Na łóżku? - pyta Carol zdziwiona.

- Ktoś położył tam swoją kobietę albo matkę, albo znajomą. Ubrał ją ładnie, uczesał. Ale i tak wygląda to okropnie.

- Wzruszające - mamrocze Paul. Przykłada ucho do drzwi trzeciego, zamkniętego, mieszkania. Pcha je lekko, ale nie ustępują.

- Może rozwalić? - sugeruję. W dłoni trzymam przygotowaną siekierę. Paul, zupełnie bez sensu, łomocze dłonią w drzwi, potem kiwa głową i odsuwa się na bok. Podnoszę siekierę i uderzam, rozlega się szcęk metalu, ponieważ trafiłem w zasuwę yale. Znów unoszę ramię, ale Keith chwyta mnie za nadgarstek i nie zdążam zadać ciosu.

- Posłuchaj.

Nasłuchuję, ale niczego nie słyszę. Próbuję wyswobodzić dłoń, ale mocniej mnie przytrzymuje, patrząc na mnie wściekle.

- Ja coś słyszę - szepcze Carol. Teraz ja też. Cichy, stłumiony głos wołający nas z wnętrza mieszkania.

- To nie moj... - dobiega nas zdanie, ale ostatnie słowa brzmią niewyraźnie.

- Nie moje wino? - sugeruje Keith.

- Nie moja wina - proponuje Paul, wzruszając ramionami. - Rozwal drzwi, stary, i zabijmy go. To jakiś świr.

Stosuję się do prośby Paula. Uderzam siekierą raz, drugi, trzeci, aż słabe drewno łupie się i zamek puszcza. Kopniakiem otwieram drzwi i zaglądam w ciemność. Dokładnie w tym momencie na zewnątrz coś wybucha i wszystko przez ułamek sekundy skąpane jest w niebieskawym świetle, jakby w blasku flesza fotograficznego. To mi wystarcza. Dostrzegam osobę stojącą w końcu krótkiego korytarza wewnątrz mieszkania. Przez mgnienie oka widzę prosto przed sobą zarys nieruchomej sylwetki. Drzwi powoli znów się zamykają.

- Ilu ich jest? - pyta Carol.

- Widzę tylko jednego - odpowiadam. - Keith, Podaj nam latarkę.

Keith zapala latarkę, ale zanim zdążył mi ją przekazać, drzwi nagle się otwierają i postać rzuca się na mnie. Jestem zaskoczony siłą tego niespodziewanego ataku. Zanim zdążyłem się zorientować w sytuacji, zataczam się do tyłu, potykam i leżę na plecach, a cuchnący skurwiel jest tuż nade mną. Chwyta mnie za kołnierz płaszcza i pochyla nade mną głowę, jest parę centymetrów od mojej twarzy. Oddech ma tak cuchnący, że zbiera mi się na wymioty.

- To nie moja wojna - krzyczy, przyskajac na mnie śliną. - Nie moja wojna...

Keith uderza go w skroń latarką. Facet zatacza się.

- To nie mój problem - drwi Keith. Próbuje się nie śmiać z własnego dowcipu. Atakujący pada, wstaje i, głupiec, zaczyna iść na Keitha.

- Nie moja wojna - powtarza. Krew ścieka mu po twarzy. - Zostawcie mnie. To nie moja wojna. Wynocha stąd...

Keith rusza naprzód, chce zadać cios latarką, gotów mordować.

- Keith, to jeden z nas - ostrzega go Carol, ale jest za późno. Keith robi zamach i wali latarką w twarz mężczyzny. Ten pada na podłogę, ale tym razem się nie podnosi. Keith świeci na niego latarką. Chryste, Carol ma rację. To jeden z naszych. Keith patrzy na niego z pogardą, potem przekracza trupa i wchodzi do wnętrza.

Małe zapuszczone mieszkanie przypomina kokon. Drzwi, które wylałam, od tygodni nie były otwierane. Powietrze jest zatechłe, pokoje wypełnione pudełkami po zapasach. Sprawdzamy i przekonujemy się, że prawie wszystko zostało zjedzone. Mężczyzna w zasadzie już nie miał żywności.

- Dobrze się spisał, że wytrzymał aż tak długo - stwierdza Paul, gdy ja sprawdzam pozostałe puste kartony.

Keith wyciera latarkę w kwiecistą zasłonę. Potem otwiera drzwi do drugiego pokoju i rozgląda się.

- Moim zdaniem - mówi - tacy ludzie są równie źli jak Zwykli. Jeśli ktoś nie walczy u naszego boku, to jakby walczył przeciw nam. Nie ma wyboru, czy się chce brać udział w wojnie, czy nie. Nikomu nie dano opcji wycofania się.

- To była jego żona, wiesz - wyjaśnia Paul. Wychodzi za mną na balkon, z którego rozciąga się widok na ruiny mojego rodzinnego miasta. Stoję tu od kilku chwil, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Co?

- Ten facet, którego załatwił Keith... to jego żona leży na łóżku w sąsiednim mieszkaniu.

- Skąd to wiesz?

- Znalazłem ich wspólne zdjęcie. Piękna para... - mamrocze z ironią.

- Była jedną z nas?

- Nie. Zwykła.

- Ale on nie mógł tego znieść?

- Na to wygląda. Prawdopodobnie zabił ją, a potem tego żałował. Prawdziwa miłość, co? - próbuje żartować. - Zawsze są komplikacje.

- Chyba się nie mylisz. Moja druga połowa była...

- Wiem. Masz pecha, stary.

- A ty?

- Ciekawa sprawa.

- Co masz przez to na myśli?

- Byłem ze swoją dziewczyną od trzech lat, gdy się to wszystko rozpętało.

- Była Zwykła?

- Nie, nic z tych rzeczy. Po wybuchu wojny trzymaliśmy się razem przez pewien czas, a potem poszliśmy w inne strony. Po prostu nie byliśmy sobie już potrzebni jak wcześniej.

Zerkam na niego. Stoi obok mnie, wychylił głowę za balustradę i wpatruje się w dal.

- Myślę, że związki i inne takie sprawy musiały ustąpić przed tym wszystkim, co się wydarzyło - mówię.

- Chyba masz rację - wzdycha. - Wiesz, wczoraj tak sobie pomyślałem, że od tygodni nie miałem wzrodu.

- Dzięki, że mi to mówisz...

- Nie uskarżam się - odpowiada szybko - tylko że przedtem mi się to nie zdarzało. Przestałem myśleć o seksie, nie rozglądałem się za kobietami... na Boga, mam nadzieję, że to przejściowe.

U mnie jest tak samo, tyle że ja mu się z tego nie zwierzam. Przypuszczam, że to kwestia priorytetów. Kiedy walka się skończy, sprawy wrócą do normalności.

Patrzę w dal, na centrum miasta, które przypomina dogasające ognisko z żarzącymi się węgielkami. Nocą w tej ruinie jest jakieś dziwne piękno. Zawsze ten rejon wydawał mi się wstrętny i przytłaczający, ale obecnie widzę cudowne szczegóły w rzeczach, których przedtem nie dostrzegałem. Nienawiść otworzyła mi oczy. Wokół wieżowca - który kiedyś nazywałem domem - panuje ciemność i, w zasadzie, cisza. W wieczornym mroku widać tylko kilka małych ognisk i przebłyski ruchu. Tu z góry świat wydaje się rozległy i nieskończony. Nad horyzontem wylaniają się chmury połykające gwiazdy. Nadchodzi deszcz.

- O czym myślisz? - pyta Paul po kilku minutach milczenia. - Mam nadzieję, że nie o moim kutasie!

- O tym, jak wielki wydaje się świat - odpowiadam zgodnie z prawdą. W dali obserwuję samotny helikopter ochraniający konwój pojazdów, którym Zwykli przekraczają tak zwaną strefę zamkniętą. - Jestem tu po raz pierwszy od kilku miesięcy. Stąd z góry widzę, gdzie mieszkałem i gdzie pracowałem. I teren między tymi punktami. Nie mogę uwierzyć, że w zasadzie cały czas spędzałem na tych samych kilku kilometrach kwadratowych. Człowiek czuje się taki nieważny.
- Najlepsze w naszym obecnym życiu jest to, że zniknęły wszelkie mury i bariery, które nas ograniczały - mówi Paul.
- Myślałem o swoim mieszkaniu. Było niewiele większe od tego, a żyliśmy tam w piątkę. Pięcioro! Jak to możliwe, że udało nam się stłoczyć tyle osób na tak małej przestrzeni?
- To nie było życie, to była wegetacja.
- Teraz to dostrzegam, ale kiedy się jest w środku tego wszystkiego, po prostu człowiek to znosi. Próbujesz jak najlepiej wykorzystać warunki, w których żyjesz...  
Paul trąca mnie w ramię. Wskazuje na miasto w dali.
- Stary, to wszystko jest teraz nasze - mówi.

## II

*W sytuacji, gdy każdy znajdował się po jednej albo po drugiej stronie i nie było nikogo pośrodku, bardzo ważne stało się określenie, kto jest kim. Wcześniej opracowano test przynależności oparty na DNA i stworzono Centralny System. Był niewiele więcej niż elektroniczną listą - masową bazą nazwisk ściągniętych ze spisu wyborców, rejestrów narodzin, zgonów i małżeństw. Zapis dotyczący każdej osoby zawierał niewiele danych: nazwisko i imię, płeć, data urodzenia, ostatni znany adres, czy żyje, czy nie żyje, i najważniejsze - czy jest Wściekła, czy Zwykła.*

*Znaczna część danych - nikt nie wiedział jak duża - była niekompletna lub niedokładna. Coraz trudniej było zdobyć aktualizowane informacje. Zbieranie danych prowadzono w miejscach kaźni, w obozach dla uchodźców, prowizorycznych kostnicach, na posterunkach wojskowych i tam, gdzie przepływała kontrolowana rzeka obywateli. Po dwóch miesiącach od wybuchu kryzysu rzeka zmieniła się w strumyk, a wreszcie w kroplówkę. Tysiące ciał gniło w domach, trupy walały się na skwerach i na rogach ulic i nikt tych osób nie rejestrował. Gdy ktoś o nie pytał, dostawał zapis z pustymi rubrykami.*

*Jakość danych nie była jedynym problemem. Administrowanie systemem, jego integralność, prawo dostępu, bezpieczeństwo... Zmiana pojawiła się tak szybko i towarzyszył jej taki chaos, że niektóre funkcje bazy zaprojektowano niezbyt starannie, pracowano bez przekonania, stosowano oszczędności, a ważne elementy w ogóle pominięto. Coraz mniej osób zajmowało się konserwacją systemu - robiły co mogły wierząc, że w końcu ich praca przyniesie jakiś pozytywny rezultat.*

*Mark wrócił do hotelu prawie trzydzieści sześć godzin temu. W drodze udało mu się trochę przespać w pustej skrzyni ciężarówki rozwożącej żywność, ale mimo to był wyczerpany. Topniało grono ochotników gotowych do pracy i Marka nie puszczano, póki był potrzebny. Ciągłe uczestniczył w akcjach, gdyż miał obiecane dodatkowe racje żywności - i jak dotychczas obietnice spełniano -a ponadto czuł się bezpieczniej, będąc razem z ludźmi, którzy byli najlepiej uzbrojeni. Ulice miasta stawały się coraz bardziej nieprzyjemne i niebezpieczne. Uważał, że lepiej mieć najgorszą choćby kamizelkę kuloodporną i broń, niż nie mieć żadnej.*

*Gdy wrócę do hotelu, nie będę już go opuszczał; postanowił mimo wszystko.*

*W ciągu kilku ostatnich dni zauważył zmianę sytuacji: trudności stały się nie do zniesienia, małe ryzyko przerodziło się w złowieszczą pewność klęski. Sprawy coraz szybciej przybierały zły obrót. Mark nie tracił jednak nadziei, że w końcu powróci coś na kształt normalności, ale wiedział, że najpierw wszystko się znacznie pogorszy zanim zacznie się poprawa.*

*Przetwarzanie. Ze wszystkich prac, jakie mu przydzielano, najbardziej nienawidził Przetwarzania. Może dlatego, że przypominało to jego poprzednią pracę w firmie ubezpieczeniowej? A może dlatego, że to zadanie strasznie go przygnębiało. Do obozu wojskowego trafiali ludzie, którzy ledwo trzymali się na nogach. Przedtem, przez parę miesięcy próbowali żyć samotnie. Były to ludzkie skorupy. Po traumie. Puste. W stanie niemal wegetatywnym.*

*Ulewny deszcz siekł w dach namiotu, bębnił w napięty brezent. Krople miarowo kapwały na róg chwiejnego biurka, rozlewały się szeroko i docierały do papierów. Upalne dni i czyste niebo zapowiadały zwykle zimne noce i choć dziś nad miastem wisiały chmury było piekielnie zimno. Czekając, Mark ogrzewał dłonie przy lampie gazowej. To nie potrwa długo. Powiedziano mu, że patrol aprowizacyjny znalazł kolejną grupę maruderów, ukrywających się w magazynie domu towarowego. Tonęli we własnych odchodach. Kate tu pracowała, gdy oboje przyjechali do miasta. W tamtym czasie sunęła tędy nieprzerwana fala uchodźców; siedem dni w tygodniu przez całą dobę. Obecnie przetwarzało się dane zaledwie kilku osób dziennie.*

*- Żebyś go widział! - Gary Phillips siedział przy suchym końcu biurka. - Kiedy go znaleźliśmy; wpadł w szal jak cholera.*

*W ciągu ostatnich tygodni Phillips często jeździł w tych samych konwojach co Mark. Tego dnia to Gary wyciągnął los i zajął ostatnie wolne miejsce w samochodzie, a Mark został przy biurku. A teraz Gary wrócił i opowiadał mu ze zbędnymi szczegółami, jak to jeden ze znalezionych w magazynie wyszedł z siebie. Mark nie był pewien, czy w ten sposób Phillips chce uporać się z*

własnymi doświadczeniami,, czy może czerpie niezdrową przyjemność, obserwując cierpienia uchodźców. W każdym razie Mark nie powiedział koledze, żeby się zamknął i zjeżdżał. A miał na to ochotę. Zagryzł usta i wysłuchiwał tych bezsensownych bzdur. To lepsze niż jakoś zareagować - tamten mógłby to opacznie zrozumieć.

- To nie do wiary, mówię ci - kontynuował Gary, ciągle napompowany adrenaliną - w tym pieprzonym magazynie mniejszym od tego namiotu było zamkniętych sześć osób. Zjedli wszystkie okruszki, a po drugiej stronie drzwi mieli hurtownię pełną żarcia. Byli tak cholernie przerażeni, że bali się wystawić głowy na zewnątrz.

- To nas dopada w różny sposób - stwierdził Mark cicho. Na kartce rysował linie, używając długiej linijki, a potem wpisywał pytania. Skserowane druki kwestionariuszy wykorzystano już wiele tygodni temu.

- Wiem, ale to była skrajność, pod każdym względem. Żołnierze sforsowali drzwi. Nie wiedzieli, co zastaną w środku. A facet rzucił się na nich, przekonany, że to Wściekli. Grali uczciwie, dali mu szansę, zrobili więcej, niż ja bym zrobił na ich miejscu. Ale głupi drań ich nie słuchał. Cały czas ich atakował...

- I co się stało?

- A jak ci się wydaje? Sukinsyn nie miał szans. Wpakowali w niego tyle kul, że myślałem... co takiego?

Mark skinął głową w stronę wejścia do namiotu. Phillips zamilkł i obejrzał się do tyłu. Za nim stała para starszych ludzi. Wymizerowani, mieli udreżone, puste spojrzenia, ale gdyby nie to, można by uznać, że właśnie wyszli z domu i wybierają się wspólnie na zakupy. Ich ubrania, choć zaskakująco eleganckie, były przemoczone, poplamione i o kilka numerów za duże. Phillips poderwał się od biurka, stopami chlapnął w błoto, chwycił krzesło i postawił je obok drugiego, stojącego naprzeciw Marka.

- Zajmij się tym - powiedział. - Na razie!

I wyszedł. Mark gestem zaprosił starszków, żeby usiedli. Nie lubił tej roboty. Ciężko mu było. Cholernie ciężko. Mężczyzna pomógł się ściągnąć żonie, sam omal nie osuwając się przy tym w błoto, potem usiadł obok niej. Chryste, ci ludzie przeżyli piekło, a ten starszy człowiek nadal potrafi się zachować jak dżentelmen. Prawdopodobnie tak długo otaczał żonę opieką, że stało się to jego drugą naturą. Ona na pewno postępuje podobnie: ceruje jego ubrania i troszczy się o to, czy mąż ma co jeść, gdy oboje usiłują znaleźć jakąkolwiek żywność w świecie, który im się zawalił. Przytulili się do siebie, by się ogrzać. Ich ubrania ociekały wodą, woda kapiała im z koniuszków nosów. Kobieta szlochała i drżała, ramiona jej się trzęsły. Mężowi nie udawało się jej pocieszyć. Próbował, oczywiście, ale lkała bez przerwy. Odwrócił się - patrzył prosto na Marka, bez słowa błagał go o pomoc. Oczy miał pełne łez, usta bezradnie otwarte.

- Dobrze. Jak się...? - zaczął Mark, ale zagłuszył go huk nisko lecącego odrzutowca, który przeciął powietrze nad parkiem. Wydawało się, że samolot mknie kilka metrów nad namiotem. Przeszywający ryk i podmuch wiatru zatrzęsły brezentowymi ścianami. Kobieta jęknęła i mocno zacisnęła powieki. Mąż ujął jej dłoń i trzymał ją mocno. Mark odczekał kilka sekund, aż hałas ucichnie.

- Jak się państwo nazywają?

Żadnej odpowiedzi.

- Czy ma pan jakiś dowód osobisty?

Żadnej odpowiedzi.

- Karty bankowe, listy... coś, na czym było pana nazwisko, adres...?

Żadnej odpowiedzi. Mark westchnął i podparł głowę dłońmi. Nawet nie starał się ukryć znużenia i frustracji. Uniósł wzrok, wyciągnął dłoń przez biurko i delikatnie potrząsnął mokre ramię mężczyzny. Starzec zareagował na dotyk i lekko skinął głową, jakby się właśnie obudził z transu.

- Czy może mi pan podać swoje nazwisko?

- Graeme Reynolds. - Głos był ledwo słyszalny na tle deszczu.

- *Dobrze, panie Reynolds. - Mark zapisał nazwisko na górze poliniowanej kartki. - Czy to pańska żona?*

*Mężczyzna skinął głową. Mark czekał.*

- *Jak ma na imię?*

*Znów zapadło milczenie, jakby mężczyzna drenował pamięć, szukając odpowiedzi.*

- *Mary.*

- *Pańska data urodzenia?*

*Bez odpowiedzi. Graeme patrzył w przestrzeń poza Markiem. Cholera, to strata czasu, pomyślał Mark. Facet znów odjechał. To nie ma sensu.*

- *Proszę tu poczekać - polecił mężczyźnie, choć wiedział, że ten nigdzie nie pójdzie. Wstał z krzesła i, przemierzwszy ciemny namiot, podszedł do drugiego stołu. Wpisał nazwiska staruszków do kartoteki oraz umieścił je w pierwszym wolnym miejscu w innej teczce. Na małej karteczce zapisał kilka szczegółów i zaniósł ją do swojego biurka. Zastanawiał się, czy ktoś kiedyś zbierze te teczki, by uaktualnić Centralny System. Na początku, gdy pracowali tu z Kate jako ochotnicy, system był pieczołowicie uzupełniany przez oddany zespół, który starał się o jak największą dokładność informacji. Wkładano w to dużo wysiłku. Teraz - czy to dlatego, że komputery nie działały, czy z braku wyszkolonych operatorów, czy z jakiegoś jeszcze innego powodu, a były ich setki - system rozpadał się jak wszystko inne.*

*Mark wręczył karteczkę Graemowi. Mężczyzna ją wziął, ale nawet na nią nie spojrział.*

- *Proszę to zanieść do sąsiedniego namiotu - powiedział, choć nie miał pewności, czy dziś wieczór ktoś tam jeszcze pracuje. - To są dane o miejscu państwa zakwaterowania. W namiocie obok dostanie pan kartki żywnościowe. Gdy pan to załatwi, wskażą panu magazyn żywności. Dadzą państwu trochę jedzenia, jeśli coś zostało. ...*

*Przerwał. Staruszkowie nie słuchali go. Biedacy już prawie stracili kontakt z rzeczywistością. Nie wiedzieli, gdzie są, kim jest Mark, co tu robi i co próbuje dla nich załatwić... Reynoldsowie ani drgnęli. Mark długo i uparcie wpatrywał się w ich puste, nieobecne twarze i zastanawiał się - w ostatnich dniach coraz częściej mu się to zdarzało, co go bardzo niepokoiło - dlaczego obchodzi go ich los. Jaki to ma sens? Gdy walki się skończą, czy kiedykolwiek wrócimy do stanu jakiejś normalności? A może zabrnęliśmy za daleko i już nigdy lepiej nie będzie? Zaufanie, nadzieja i wiara na zawsze zniknęły... zostały tylko strach i nienawiść.*

*Mark wstał, ujął Reynoldsa za rękę, poczekał, aż jego żona podniesie się z krzesła, i zaprowadził ich do sąsiedniego namiotu. Nawet nie sprawdził, czy w namiocie ktoś urzęduje, tylko chwycił swój płaszcz i ciężki klucz francuski, który zawsze nosił ze sobą w celu samoobrony. Wyszedł w deszcz. Postanowił iść bez przerwy, aż znajdzie się w pokoju hotelowym, gdzie mieszkał z Kate i z innymi ludźmi.*

Obudziłem się na wytartym dywanie w salonie mieszkania, do którego włamaliśmy się ostatniej nocy. Wszystko mnie diabelnie bolało, ale jak na te warunki nieźle się wyspałem. Znajdujemy się w połowie wieżowca i nie jesteśmy na widoku, na tej wysokości jesteśmy oddzieleni od reszty miasta. Mieszkanie wypełniają ciemne cienie i stonowane niebieskoszare światło wczesnego poranka. Pada. Deszcz stuka w okna, jakby ktoś rzucał w szyby kamykami.

Paul śpi w fotelu w kącie pokoju. Twarz ma zwróconą w stronę sufitu, oczy zamknięte, głowa opadła mu na ramię. Carol skuliła się na podłodze u jego stóp. Wstaję i prostuję kości. Po raz pierwszy w świetle dziennym rozglądam się po nieciekawym pokoju o bardzo przestarzałym wystroju. Mieszkanie zostało zagracone - służyło przecież właścicielowi jako dobrowolne więzienie - ale mimo to wydaje się całe i nietknięte, odizolowane od tego, co działo się na zewnątrz. Patrzę na swoje monochromatyczne odbicie w nieczynnym od dawna telewizorze, potem biorę do ręki fotografię stojącą na odbiorniku. To oprawione w ramkę zdjęcie ślubne sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat. Pan młody przypomina - choć nie za bardzo - mężczyznę, którego widzieliśmy w nocy. Panna młoda to trup z sąsiedniego mieszkania.

Zastaję Keitha w małej kuchni. Na laminowanym stoliku rozłożył mapę.

- Wszystko w porządku? - pyta, gdy idę do niego. Oczy nadal mam zaspane.

- Tak. A u ciebie?

Kiwa głową i znów pochyla się nad mapą.

- Niedługo ruszamy - oznajmia. - Na zewnątrz panuje na razie spokój.

Patrzę na mapę i próbuję opracować najlepszą drogę do domu siostry Lizzie. Na tej mapie - tak jak na mapie Prestona, którą widziałem wczoraj - narysowano dwa okręgi reprezentujące granice obozowiska wrogów i strefy zamkniętej. Tylko że na tej mapie linie przebiegają nieco inaczej. Tu dom siostry Lizzie jest wewnątrz wrogiego terytorium, tuż przy obrzeżach. Wskazuję Keithowi to miejsce na mapie.

- Tam musimy jechać. - Patrzę na Keitha.

- To ty uważasz, że tam musisz jechać - odpowiada szybko. - Spróbujemy tam pojechać, ale niczego nie obiecuję. Szukamy tu rekrutów, to nasz cel. Jeśli znajdziemy twojego dzieciaka, to będzie dodatkowy pożytek.

- Wiem, ale...

- Żadne ale. Pojedziemy w tamtą stronę i zobaczymy, jak daleko uda się dotrzeć.

- Ciągłe zawraca ci głowę tą swoją cholerną córką? - pyta Carol. Powłócząc nogami, wchodzi do kuchni. Szura butami po lepkiem linoleum. Oczy ma zapuchnięte. Zapala pierwszego dziś papierosa.

- Już mu wyjaśniałem - mówi Keith, usiłując bezskutecznie powstrzymać Carol. Nie chce, żeby się wtrącała.

- Musisz z niej zrezygnować - zwraca się do mnie Carol i dmucha na mnie dymem.

- Nie, nie zrezygnuję...

- Przeciwnie: musisz. Jaki w tym sens, żeby jej szukać? Co zamierzasz zrobić, jak ją znajdziesz?

- Chcę wiedzieć, że jest bezpieczna. Chcę, żeby walczyła wraz ze mną.

- A jeśli jej nie znajdziesz?

- Wtedy chyba...

- Założmy, że nadal żyje; co się zatem stanie, jak jej nie znajdziesz?

- Tam, gdzie jest, będzie prowadziła walkę.

- Właśnie. Więc co za różnica?

- Potrzebuje mnie. Ma zaledwie pięć lat.

- Widzę, że ty bardziej jej potrzebujesz niż ona ciebie.

- Bzdury!

- Wcale nie bzdury. - Carol kręci głową i strząsa popiół do zlewozmywaka pełnego brudnych

talerzy i kubków. - Wątpię, czy w ogóle cię potrzebuje.

Głupia baba.

- Nie słyszałaś, co mówiłem? Ona ma pięć lat. Nawet nie wiem, czy potrafi walczyć.
- Oczywiście, że potrafi. My wszyscy potrafimy. Robimy to instynktownie.
- No, dobrze. A jak zdobywa jedzenie? A jak się chowa przed mrozem w zimie? Jak chroni przed deszczem? A jeśli zostanie ranna?
- Da sobie radę. Przeżyje.
- Przeżyje? Carol, na litość boską! Ona nawet nie potrafi sobie zawiązać sznurowadeł!

Keith składa mapę i wychodzi z kuchni. Wyraźnie ma dość przysłuchiwania się naszej kłótni. Potrząsam głową z niedowierzaniem i idę w jego ślady.

- Obudź się i żyj w realnym świecie - krzyczy za mną Carol. Nie ma sensu się z nią spierać, więc milczę.

Paul się obudził i po kilku minutach jesteśmy w furgonetce. Deszcz nieco ustał, ale na ziemi kałuże brudnej wody wypełniły dziury w jezdni i zakryły śmiecie. Teraz jest trudniej jechać niż wczoraj w ciemnościach. Keith omija przeszkody, ale w pewnym momencie musi ostro skręcić, żeby nie wpaść na przewrócony kontener na śmieci, i wtedy tylne koło trafia na coś ostrego. Udaje nam się przejechać jeszcze kilka metrów, gdy nagle rozlega się huk, a potem syk uchodzącego z opony powietrza.

- Cholera! - klnie Keith i sfrustrowany wali dłonią w kierownicę.
- Masz zapasowe? - pytam.
- Nie wiem.

Zatrzymuje się na kawałku suchego gruntu. Wsiadam. Paul idzie ze mną, żeby otworzyć bagażnik. Grzebie w środku. Znajduje podnośnik, jakieś narzędzia, a pod spodem zapasowe koło. Próbuje je wydobyć, a ja w tym czasie przechodzę na drugą stronę drogi, gdzie na chodniku wala się zawartość czyjegoś mieszkania. W rynsztoku leży zmiażdżony płaski telewizor, a przez wybite okno salonu niebezpiecznie wychyla się luksusowa kanapa, przemoczona na deszczu. Zanim się to wszystko rozpętało, mieszkaliśmy w indywidualnych pudełkach z cegły i cieszyliśmy się względną prywatnością. Ściany, drzwi i okna skrywały przed resztą świata nasze życie. To dziwne, jak świat fizyczny wielu ludzi rozsypał się teraz tak samo jak ich stan emocjonalny. Nie ma już prywatności, nie ma granic. Wszystko, co robimy, jest całkowicie odsłonięte. Nie ma już żadnych...

- McCoyne! - krzyczy do mnie Carol z furgonetki. - Spieprzaj z tej drogi!

Odwracam się szybko, ale jest za późno. Bóg wie skąd pojawia się potężny mężczyzna i biegnie prosto na mnie. Ma ponad metr osiemdziesiąt i chyba tyle samo w pasie. Patrzy prosto na mnie szeroko otwartymi dzikimi oczyma - to chyba Brutal z gatunku tych, jakich widziałem w rzeźni. Czy nie wie, że jesteśmy po tej samej stronie?

- Zaczekaj - próbuję do niego przemówić - my...

Biegnie z nadzwyczajną prędkością, nie do wiary jak na takiego kolosa; nie zdążam się ruszyć, a on już chwytam mnie za ramię. Obraca mną, a potem ciska plecami na ziemię. Zaparło mi dech i rozpaczliwie chwytam powietrze, gdy olbrzym rzuca się na mnie, kolanami przygniata klatkę piersiową, wytlacza mi całe powietrze z płuc, aż zaczynam gwałtownie kasłać. Próbuję wzywać pomocy, ale żaden dźwięk nie wydobywa mi się z gardła.

- Złaż z niego, ty pieprzony idioto. - Słyszę Paula. Udaje mi się odwrócić głowę na bok i widzę, jak Paul okłada Brutala lewarkiem. Ten nie reaguje, ledwo zauważył, że ktoś go bije.

Atakując mnie, ma na twarzy dziwny wyraz przerażenia i podniecenia.

- Jak ty - udaje mi się wychrypieć - jestem jak ty.

Wspólnym wysiłkiem Paul i Carol szarpia go i odciągają ode mnie. Rzucają go na tyłek, a potem odskakują w bok, jak od ciśniętego granatu. Usiłuję wstać, cofam się i uderzam plecami o ścianę domu. Brutal zrywa się na nogi z niskim, gardłowym ostrzegawczym warknięciem i patrzy na nas wszystkich po kolei. Wreszcie powoli zaczyna pojmować sytuację. Wzrok przenosi z Paula na Carol, potem na mnie. Paul rusza w jego stronę z lewarkiem gotowym do ataku. Carol odciąga go i



syczy:

- Nie drażnij go. Rzuć to i odejź. On nie wie, co robi.

Paul słucha rady i rzuca ciężkie metalowe narzędzie, lewarek pada na ziemię z głośnym brzdękiem. Carol stoi nieporuszona, plecami opiera się mocno o samochód, a Brutal mierzy ją wzrokiem z góry na dół. Potem powoli się odwraca i oddala. Pokonał ledwie z dziesięć metrów, gdy coś przykuwa jego uwagę. Brutal zaczyna biec susami.

- Co to wszystko znaczy? - pytam, gdy udaje mi się wstać.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiada Paul. Teraz zajęty jest wymianą koła. Obserwuję Brutala, który znika nam z widoku. Czy uważał, że jestem jednym z nich, czy też znalazłem się w złym miejscu o złym czasie? Czy widział mnie i uznał za Zwykłego? Czy Brutale są tacy jak my? A może dostrzegł różnicę między nami i dlatego zareagował?

14

W upale i wilgoci świat cuchnie dziś rano jeszcze bardziej niż zwykle. Wszędzie unosi się nieubłagany, duszący odór zgnilizny zmieszany z fetorem przepelnionych kanałów i z nie wiadomo czym jeszcze. Panuje cisza, zakłóca ją tylko stukot wysłużonej furgonetki. Jednak kruchy to spokój. Co pewien czas przerywają go nagłe odgłosy ofensywy Zwykłych, dalekiej walki, krzyku zabijanej osoby, tłuczonego szkła i walących się domów, rozpaczliwego wycia zagłodzonego zwierzęcia, szukającego jedzenia... Stały szum silnika działa nieoczekiwanie kojąco. Zagłusza wszystko.

Jadę na przednim siedzeniu obok Keitha i daję mu wskazówki. Próbuję się skoncentrować, ale niepokoi mnie fakt, że zniknął pub, do którego czasami chodziłem na drinka. Tam, gdzie przedtem stał, piętrzy się teraz przy ulicy stos poczerniałych gruzów. Przez chwilę nie uświadamiam sobie, że jesteśmy w pobliżu ważnego miejsca. I nagle olśnienie!

- Zatrzymaj się!

- O co chodzi - pyta Keith. Zwalnia, ale nie staje.

- Nic takiego. Tutaj skręć w lewo.

Keith skręca. Carol pochyla się ku nam z tylnego siedzenia.

- Jakiś problem?

- Szkoła podstawowa - wyjaśniam. - Tutaj dzieciaki chodziły do szkoły. Moja kobieta też tu pracowała.

- No i co?

- To, że gdybym był na miejscu Ellis i nie mógł wrócić do domu, spróbowałbym schronić się w szkole.

- Warto zajrzeć, jak już jesteśmy w pobliżu - przyznaje niechętnie Keith. - Ale jeśli nic tu nie ma, ruszamy dalej, a ty z nami.

Szkoła znajduje się za kościołem i rzędem sklepów i biur. W porannym świetle wszystko wydaje się bardziej znajome niż wczoraj, ale również nieco odmienione i obce. Wybite okna, wyważone drzwi i niemal wszędzie ślady walki. Drogę przed nami blokuje rdzewiejący wrak samochodu, który wjechał na chodnik i rozbił się na wiacie przystanku autobusowego. Widać gnijącego trupa kierowcy - Zwykłego - który albo wypadł, albo został wyciągnięty przez strzaskaną przednią szybę. Prawdopodobnie zaatakowano go, gdy próbował uciec. Ciało rozpostarto na zgniecionej masce samochodu. Sina twarz posiekana jest ostrymi odłamkami szkła. Prawe ramię to poskręcany kikut rozerwanego ciała i wystających kości. Reszty ramienia brakuje.

Keith wjeżdża na krawężnik i ostrożnie wprowadza furgonetkę w wąską przerwę, ocierając się o mur z paskudnym, piskliwym zgrzytem. Gdy przejeżdżamy obok muru, spoglądam w dół na inne równie zmasakrowane ciało. Ci, co tu walczyli, byli bezwzględni. Prawdopodobnie jakaś grupa Brutali.

- Teraz skręć w prawo. W uliczkę obok kościoła.

Keith stosuje się do moich wskazówek. Powoli jedzie furgonetką wąską ulicą prowadzącą do

szkoły. Spoglądam za niski kamienny murek po lewej stronie i widzę kilka trupów na przykościelnym cmentarzu. Żadne ciało nie jest w jednym kawałku. Niektóre są w stanie zaawansowanego rozkładu, inne całkiem świeże. Trzymam mocno w dłoni swój ulubiony nóż. Gotów jestem zaatakować albo bronić się w razie konieczności. Mam pewność, że ci, co to zrobili, są po naszej stronie, ale te morderstwa popełniono z niezwykłą brutalnością i okrucieństwem. Keith jedzie przez pusty parking dla nauczycieli i zatrzymuje się przed główną bramą szkoły.

- Niech to jasna cholera! - mówi Paul z tylnego siedzenia. - Co się tu stało?

Wyskakuje z samochodu i podchodzi do drucianego ogrodzenia otaczającego mały prostokątny plac zabaw. Idę za nim i widzę, że przemoc, tak wyraźna na ulicach, dotarła również do szkoły. Asfaltowe boisko ginie pod patchworkiem skomponowanym z ludzkich szczątków. Przyciskam twarz do wysokiego płotu: plac zabaw wygląda jak okratowana arena gladiatorów. Na ziemi, w nielicznych odkrytych miejscach, nadal widnieją namalowane jasnymi kolorami linie do gry w klasy, labirynty oraz wielkie litery i cyfry... Podnoszę wzrok i przypominam sobie, jak poprzednio wyglądał ten teren: bawiło się tu zawsze kilkaset roześmianych dzieci w identycznych szkolnych mundurkach.

- Brutale? - woła Keith z furgonetki, przerywając mi tok myśli.

- Wątpię - odpowiada szybko Paul. - Po co mieliby tu przychodzić? Co więcej, po co w ogóle ktokolwiek miałby tu przychodzić?

- Może to kryjówka Zwykłych? - sugeruję. - Może ktoś wdarł się podczas ewakuacji?

Kucam, żeby się dokładniej przyjrzeć ciałom leżącym blisko płotu. Nie ma pewności - ciała są niesamowicie zmasakrowane i w stanie rozkładu - ale martwe twarze należą chyba do Zwykłych.

Pcham bramę i idziemy w stronę wejścia do szkoły. Carol i Keith zostają przy furgonetce. Bliżej budynku na terenie jest znacznie czystiej. W zasadzie przypomina on stan sprzed wojny, pamiętam to, bo odprowadzaliśmy tu dzieci na lekcje. Paul stuka mnie w ramię. Unoszę oczy i widzę mgnienie szybkiego ruchu - mała postać śmiga pod murem budynku, potem skacze z niskiego ceglanego murku i znika wewnątrz. Biegnę za nią, wpadam przez rozkołysane drzwi. Przechodzę głębiej do środka i nagle staję: uderza mnie obrzydliwy fetor; czuję smród ludzkich odchodów, gnijącego jedzenia i inne, jeszcze gorsze zapachy.

Przechodzę przez hol, kopiąc po drodze śmieci, które zalegają podłogę. Bezpośrednio przede mną znajdują się drzwi do głównej auli. Po lewej stronie są wejścia do pokojów nauczycielskich, gabinetów, a po prawej krótkie schody i korytarz prowadzący na dół do klas. Moje oczy powoli przyzwyczajają się do mroku. Dawniej było to jasne, gwarne, tętniące życiem miejsce - teraz króluje tu ciemność i śmierć, jak wszędzie. To duży kontrast z tym, co pamiętam. Na ścianie wisi gablotka ze zdjęciami nauczycieli i uczniów; zmuszam się i odwracam oczy, żeby nie szukać wzrokiem twarzy Ellis, Edwarda i Lizzie.

- Zobacz! - szepcze Paul, wskazując klasy na dole. Znów przez ułamek sekundy widzę, jak ktoś przemyka z jednego pomieszczenia do drugiego. Biegnę na dół, otwieram drzwi klasy, ale natychmiast zostaję wypchnięty, bo ktoś wpada na mnie z niespotykaną siłą i prędkością błyskawicy. Ślizgam się po podłodze na pupie, usiłując odeprzeć zwinnego napastnika, który chwyta mnie za gardło i zaczyna dusić. Nie potrafię określić, czy w moim ciele zagłębiają się zęby, czy pazury. Próbuję zadać cios nożem, ale zanim w ogóle udaje mi się podnieść ramię, ktoś wczepia się we mnie i gryzie w rękę. Rzucam broń. Czuję, jak cienki szpikulec czyjegoś noża zagłębia mi się w brodę, już prawie przebija skórę, potem czuję, jak małe okrutne dłonie chwytają mnie za stopy, za drugą rękę i przytrzymują przy podłodze... i nagle atak ustaje. To Paul po kolei odciąga ode mnie napastników. Serce mi wali, wycofuję się rakiem po podłodze, aż natykam się na ścianę. Opanowuję się. Teraz widzę, że przede mną stoi tłum dzieci w różnym wielu. Patrzą na mnie i natychmiast przestają się mną interesować, gdy widzą, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. Powoli rozchodzą się i wracają do klasy. Paul i ja idziemy za nimi w bezpiecznej odległości.

- Nie ma tu twojej córki?

- Nie widzę jej - odpowiadam. Ciągłe dyszę po tym ataku. Rozglądam się po sali, patrzę na blade twarze. Niektóre dzieci wpełzają pod ławki i tylko najsilniejsze zostają w otwartej przestrzeni. Mam wrażenie, że dzieci już jakiś czas temu zamieszkały w swojej dawnej klasie. Stoły i krzesła stoją pod jedną ze ścian, a parkiet pokryty jest śmieciami i rozrzuconymi ubraniami. Kawałki materiału służą za prowizoryczne posłania, a z odległego kąta sali snuje się dym nad popiołem - ognisko rozpalono z wydartych kartek podręczników. Panują tu straszliwe warunki. Chlew. Cuchnie jak w ubikacji, ale jeśli nie zważać na brud, siniaki, krew i plamy na twarzach dzieci, to wyglądają one całkiem świeżo i żwawo. Oczy im błyszczą i są pełne życia.

Na stole nauczyciela przykucnął chłopak, który jest mniej więcej w wieku mojego syna Edwarda. Gdyby chodził do tej szkoły, byłby prawdopodobnie w tej samej co Edward klasie, ale nie przypominam sobie takiego kolegi. Chłopak dłubie w drewnianym blacie czubkiem groźnie wyglądającego noża. Odruchowo podchodzę do niego, chcę go poprosić, żeby przestał niszczyć mebel, ale zatrzymuję się - to przecież nie ma znaczenia, a on i tak by mnie nie słuchał. Widać wyraźnie, że te dzieci robią, co im się podoba i kiedy mają na to ochotę. Chyba właśnie dzięki temu udało im się przeżyć.

- Szukam córki.

Chłopak wzrusza ramionami, ale się nie odzywa.

- Czy są tu jeszcze inne dzieci?

Nadal żadnej odpowiedzi.

- To strata czasu - szepcze Paul. - Powinniśmy wsadzić te dzieciaki do furgonetki i zabierać się stąd.

Nie zamierzam nigdzie jechać, póki nie dostanę odpowiedzi.

- Czy są tu jacyś dorośli?

Nastolatek spogląda w końcu na mnie.

- Byli.

- Ale już ich nie ma?

Chłopak kręci głową.

- Więc co się z nimi stało? - pyta Paul.

- Poszli.

- A ty nie poszedłeś?

- A po co?

- Przecież toczy się wojna. Walka.

- Jaka wojna?

Jego reakcja mnie zaskakuje. Robię krok naprzód i niechcący kopię wystającą nogę, która natychmiast się chowa. Pochylam się. Widzę dziewczynkę skuloną pod stołem na posłaniu z brudnej tapicerki i poduszek. Nie reaguje, ale obserwuje mnie. Nawet nie drgnie, ale oczami śledzi każdy mój ruch. Te dzieciaki, myślę, mają zapewne bardzo ograniczone pojęcie o tym, jak wygląda teraz świat. Jak wszystkie dzieci, interesują się tylko sobą. Zabiłyby każdego Zwykłego, który byłby na tyle głupi, żeby się zbliżyć do tej szkoły, ale czy czują tę samą nieodpartą chęć wyjścia na zewnątrz, polowania i atakowania Zwykłych tak jak my? Póki jest im ciepło i stosunkowo wygodnie, póki mają przyzwoite zaopatrzenie w żywność, czego więcej mogłyby chcieć? Zagnieździły się tu.

- Sprawdź pozostałe pomieszczenia i teren - mówię do Paula. Niecierpliwie się, chcę szukać Ellis. Opuzczam klasę i wracam do głównego wyjścia. Sprawdzam mijane po drodze pokoje: wszystkie są puste.

- Nikogo więcej tu nie ma - mówi cichy głos, gdy docieram na szczyt schodów. Odwracam się szybko, ale nikogo nie widzę. Z cienia ostrożnie wychodzi dziewczynka i patrzy na mnie wielkimi jak spodki oczami. Próbuję ocenić, ile ma lat, ale to trudne. Wydaje się istotą całkowicie niewinną, choć równocześnie dziwnie świadomą i dobrze zorientowaną. Wygląda żałośnie: jest bardzo chuda, ma bladą brudną cerę i długie, związane w węzeł włosy. Nosi pidżamę, spod której

wystają bose, ubłocone stopy. Ubranie poplamione jest krwią i odruchowo chcę spytać, czy się nie skaleczyła. Ale uświadamiam sobie, że najprawdopodobniej to krew jakiegoś człowieka, którego dziewczynka zabiła. Nie wiem, co mam powiedzieć. Stoimy w milczeniu i patrzymy na siebie, aż w pewnym momencie dostrzegam coś nad jej ramieniem. Mniej więcej półtora metra nad podłogą na długiej drewnianej poręczy widnieje rząd metalowych haków na ubrania. Nazwisko bezpośrednio za dziewczynką brzmi Edward McCoyne. Nagle o niej zapominam. Wyciągam rękę i z wieszaka syna biorę torbę z ubraniami.

- To stare rzeczy - mówi. - Moja torba jest tam. Chce pan zobaczyć?

- Nie, nie...

Otwieram torbę i wyjmuję koszulkę piłkarską Edwarda. Wewnątrz kołnierzyka jest przywieszka z nazwiskiem, napisanym flamastrem ręką Lizzie. Pamiętam, jak kupiliśmy mu tę koszulkę. Chryste, przez kilka miesięcy nas o to męczył, bo wszystkie inne dzieci już miały takie koszulki. Parę tygodni później drużyna zmieniła model stroju i gówniarz przestał nosić tę koszulkę. Narzekał, że ma teraz nieodpowiednią i... ale po co ja tu stoję? Dość tych myśli, trzeba się wziąć w garść. Tamto życie minęło.

Dziewczynka przechodzi obok mnie i opiera się o drzwi auli.

- Co tam jest? - pytam. Cieszę się, że mogę odwrócić czymś uwagę.

- Różne rzeczy - odpowiada nonszalancko i wrusza ramionami. Otwiera drzwi. Wchodzę za nią do środka i staję jak skamieniały. Podłogę wielkiej szkolnej auli pokrywają ciała. Część złożono na stos, jakby je tu magazynowano. Na ścianach widnieją krwawe odciski dłoni, niektóre tak duże, że nie mogły to być dłonie dziecka. Dziewczynka idzie na palcach między trupami, nie zwracając na nie uwagi, i znika w ziejącej dziurze w przeciwległej ścianie.

Tam byty kiedyś drzwi przeciwpożarowe. Idę za nią w pewnej odległości. Przechodzę ponad pozbawionymi członków ciałami i odpędzam roje brzęczących much. Moją uwagę przyciąga trup Zwykłej kobiety. Jest półnaga, nie żyje zaledwie od paru dni. Twarz ma zwróconą ku podłodze, ramiona rozpostarte, palce wbite w podłogę jak pazury, jakby umierając, zapierała się. Na odsłoniętych udach brakuje kawałków mięśni. Czy zostały wygryzione?

Fetor jest nie do zniesienia. Wymiotuję. Idę za dziewczynką na zewnątrz, rozpaczliwie pragnę świeżego powietrza. Znajduję ją na brzegu mętnego, zarośniętego stawku. Nie wiem, czy to celowo wykopany zbiornik, czy krater po niewielkiej eksplozji lub uderzeniu. Nieważne. Dziewczynka leży w błocie na brzuchu i łapczywie chłepcze brudną, zieloną wodę.

Trudno zagonić dzieci do furgonetki. Było ich ośmioro, ale trojgu udało się uciec. Starsze dzieci w zasadzie rozumieją, co próbujemy zrobić i dlaczego chcemy, żeby stąd wyjechały. Obietnica walki i jedzenia wystarcza, by je przekonać.

- Dobry wynik - mówi Keith. - Zadanie wykonane. Zawieziemy tę paczkę. Preston nie może narzekać na wynik łowów.

Wiedziałem, że do tego dojdzie. Przez ostatnie pół godziny hałaśliwie mówią o powrocie do ludzi, których zostawiliśmy w rzeźni. Z ich punktu widzenia misja została wykonana. Wiem, że powinienem jechać z nimi, ale nie mogę. Ellis nadal gdzieś tam jest...

- Nie jadę.

- Mięczak! - warczy Carol wściekle. - Nie bądź cholernym głupcem.

- Mamy furgonetkę pełną dzieciaków - przekonuje mnie Keith.

- Tak, ale nie mamy mojego dziecka.

- Nie potrzebujemy twojego dziecka.

- Ja potrzebuję.

- Wcale nie. Potrzebujesz tylko...

- Znajdę ją i sprowadzę do was - rzucam przez ramię. Odchodzę od nich. - To nie potrwa długo. Najwyżej kilka godzin.

Słyszę, jak się sprzecząją, ale nic mnie to nie obchodzi.

- McCoyne, zaczekaj! - krzyczy Paul. Idę dalej, ale po paru krokach, wbrew rozsądkowi,

zatrzymuję się i odwracam do nich. - On ma rację. - Słyszę jak Paul usiłuje przekonać Carol i Keitha. - Przecież kazali nam sprowadzić jak najwięcej ludzi do wspólnej walki. Rozdzielmy się, to ma sens. Wy dostarczycie tę grupę dzieciaków, a my będziemy szukać kolejnych ludzi. Zgoda? Keith zastanawia się przez minutę i w końcu kiwa głową.

- Zgoda. Wszystko mi jedno.

Ruszam naprzód. Na ramionach mam plecak, w dłoni siekiere.

- Pójdę z nim. - Słyszę znowu głos Paula. - Julia kazała mi go pilnować.

Przyśpieszam. Jestem zdeterminowany, by znaleźć Ellis. Widziałem te dzieciaki w szkole i mam coraz większą pewność, że Ellis przetrwała. Ale jakim kosztem? W jakich żyje warunkach? Jeśli jej nie znajdę i nie będę się nią opiekował, to czy skończy tak jak te dzieciaki ze szkoły?

- Poczekaj - krzyczy Paul, ale ja idę przed siebie. Nie potrzebuję go. Nie potrzebuję nikogo z nich.

15

Co kilka minut coś przykuwa mój wzrok i zaskakuje mnie. Tym razem to stacja benzynowa. Niewinnie wyglądający wypatroszony budynek. Normalnie nie zwróciłbym na niego uwagi. Zatrzymuję się pośrodku szosy i patrzę. Lampy zwisają z wysokiego dachu nad podjazdem. Duży, niegdyś jaskrawo świecący sztyl stacji leży na ziemi, blokując wjazd pod bezużyteczne teraz pompy paliwowe. Żelazne kraty zupełnie bez sensu ochraniają okna - szyby już dawno wybito. Wewnątrz półki i gabloty ogołococono ze wszystkich cenniejszych rzeczy.

- Coś cię niepokoi? - pyta Paul.

- Nic takiego - kłamię. - Wydawało mi się, że coś dostrzegłem.

Podchodzę bliżej. Żałuję, że nie jestem sam. Nic tu nie ma

i Paul o tym wie. Chciałem tylko zatrzymać się na sekundę, popatrzeć i powspominać. Byłem tu ostatnio pięć miesięcy temu, a jakby upłynęło pięć minut. Lizzie zawiozła swojego tatę do szpitala, a ja zostałem z dziećmi. Zabrałem je do kina. Przejechaliśmy przez pół miasta - zużywając połowę baku - żeby dotrzeć do najtańszego kina. Dzieci kłóciły się, jaki film chcą zobaczyć. Ja i Ed chcieliśmy jedno - Ellis co innego. Wraz z Edwardem wygraliśmy spór. Josh przespał cały film, a Ellis bezustannie jęczała. Zatrzymaliśmy się na tej stacji benzynowej, by zatankować. Kupiłem Ellis coś słodkiego, żeby ją uciszyć. Wtedy zaczęli płakać synowie... Przymykam oczy i widzę, jak Ellis długo wybiera łakocie, przeciąga zakupy, próbuje wymóc na mnie jak najwięcej.

Nagle przychodzi mi do głowy zaskakująca refleksja - jakiż to kontrast z dniem dzisiejszym. Wtedy wszystko było tak banalne i nieważne. Wszedłem z Ellis do tego sklepu i zachowywałem się jak każdy ojciec, którzy usiłuje uspokoić marudzące dziecko. A teraz proszę. Jestem zabójcą. Żołnierzem - podobno, choć tak się nie czuję. Niepodobnym do mężczyzny, jakim byłem. Żyłem z dnia na dzień, z godziny na godzinę... I jeśli wojna wywarła taki wpływ na mnie, to co mogła zrobić z Ellis? Kim jest teraz dziewczynka, dla której tamtego dnia, pięć miesięcy temu, największym zmartwieniem był wybór słodczy?

- Zrób to kiedy indziej - gdera Paul. - Do cholery, przestań marzyć na jawie.

- Nie marzyłem na jawie.

- A właśnie że tak. Kurwa, weź się w garść.

- Wszystko ze mną w porządku - mówię i idę obok niego.

- Miałeś przywidzenia. Musisz oczyścić umysł, stary. Nie rozpraszaj się.

Ten facet nigdy się nie poddaje. Jest jak pies, który złapał kość.

- Nie rozpraszam się, jestem skoncentrowany - mówię opryskliwie.

- Na czym? Na tej cholerniej stacji benzynowej? Przyznaj prawdę, McCoyne: wałęsasz się, nie masz nawet konkretnego planu.

- Mam.

- Jaki? Marsz przez zajęte przez wroga miasto do domu, gdzie ewentualnie może być twój dzieciak? Układasz to sobie na bieżąco, stary. Zrezygnuj z tego i działaj. Powinieneś najpierw zająć

się walką, a wszystko inne odłożyć na drugi plan.

- Jeśli to taki zły pomysł, to dlaczego poszedłeś ze mną?
- Jak mówiłem: mam szukać dalszych ochotników. Poza tym nie uśmiecha mi się, żeby mnie zastrzelono w furgonetce pełnej zdziżonych dzieciaków.
- Ochotnicy? To tak ich teraz nazywacie?
- A jak ty byś ich nazwał?
- Poborowi... stado baranów...
- Więc ta wojna już cię nie obchodzi? Będiesz zadowolony, jeśli Zwykli nadal będą nas atakować? Widziałeś komory gazowe, wiesz, z czym mamy do czynienia.
- Paul, nic się nie zmieniło. Ciągłe chcę zabijać, tak jak ty.
- A więc udowodnij to. - Wzdycha. - Posłuchaj, stary, próbuję ci pomóc. Rozumiem, przez co przeszedłeś.
- Rozumiesz? Do diabła, jak możesz to rozumieć? Moja pięcioletnia córka jest gdzieś tam, zdana sama na siebie...

Pierwszy raz od wieków Paul milczy.

- Czy rzeczywiście sądzisz, że tobie jednemu jest ciężko? - odzywa się w końcu. W jego głosie słyhać napięcie i skrywane przedtem emocje. - Czy uważasz, że tylko tobie jednemu dostało się takie gówniane rozdanie?
- Nie, ja...
- Bo, mój drogi, nie jesteś jedyny. Nam wszystkim jest ciężko. To, co się stało, każdemu rozpieprzyło całe życie. A teraz próbujemy tylko wszystko naprawić.
- Nie twierdzę, że...
- Przyznaj: nigdy nie spytałeś mnie o moją rodzinę. O to, co się ze mną działo. Jak tu trafiłem? I wiesz co? Mówię ci, to dlatego, że nic cię to nie obchodzi i pod tym względem masz rację. To sprawy bez znaczenia. Nieważne, wszystko jest nieważne. Co się stało, to się nie odstanie i teraz liczy się tylko to, czego od tej pory dokonamy.
- Rozumiem, ale jeśli znajdę Ellis, to...

Przerywam, ponieważ on znów się zatrzymuje. Robię jeszcze kilka kroków, a potem się odwracam i patrzę na niego.

- To było w środę wieczór, mniej więcej za dziesięć dziesiąta - mówi. - Wszystko przebiegło tak cholernie normalnie. Oglądałem mecz piłkarski w telewizji. Moja dziewczyna poszła przed chwilą do łóżka i byłem sam na parterze. Siedziałem i patrzyłem na ścianę, gdy wszystko kliknęło mi na miejsce i zaczynało nabierać sensu. Wiesz, to było tak, jakby ktoś włączył światło. Jakbym wszystko jasno zobaczył po raz pierwszy od wielu lat.
- O czym właściwie mówisz?
- Więc siedziałem jeszcze przez chwilę - ciągnie, nie zwracając na mnie uwagi. Usuwa coś sobie z kąta oka. - I potem poszedłem do garażu i wziąłem młotek i piłę. Nic lepszego nie mogłem znaleźć. Wróciłem do domu, poszedłem na piętro i zabiłem Sharon. Kiedy z nią skończyłem, to samo zrobiłem z Dylanem. Nie spał, kiedy wszedłem do pokoju. Stał w swoim łóżeczku i podskakiwał na materacu. Uśmiechał się do mnie, ale jego też zabiłem. Musiałem.
- Tak mi przykro - mamrocze cicho. Czuję się dupowato i nie wiem, co mam powiedzieć. Paul kręci głową i podejmuje marsz. Bezskutecznie usiłuje ukryć złość.
- Problem polega na tym, że kiedy usłyszałem, co mówi nam Preston, cały czas się zastanawiam, co by się stało, gdybym go oszczędził. Czy mógłbym przerobić go na jednego z nas?
- Wierzysz w to wszystko?
- Nie wiem, w co wierzę. Wiem tylko, że nie masz żadnego pieprzonego prawa kwestionować, czy rozumiem to, przez co przechodzisz. Masz dziecko, które prawdopodobnie gdzieś tam żyje, gdzieś walczy, a obecnie nie możemy mieć nadziei na nic lepszego. Więc się teraz zamknij, spójrz prawdzie w oczy i weź się w garść. Zapomnij o niej.

Posuwamy się mozolnie wzdłuż zewnętrznej granicy strefy zamkniętej, czasami wewnątrz strefy, czasami na zewnątrz, w zależności od tego, na czyją mapę patrzymy. Wszędzie panuje nieprzyjemna cisza. Odkąd rozstaliśmy się z naszą grupą przy szkole, widzieliśmy tylko kilku walczących. Tu jednak sytuacja się zmieniła. Wraz z Paulem szybko idziemy przez ruiny rozległego kampusu college'u. Oddalamy się od zniszczonych, zawalonych podczas walk budynków, potem wspinamy się po kilku tarasowo usytuowanych boiskach piłkarskich, przypominających stopnie gigantycznych schodów. Z najwyższego boiska rozciąga się widok na szeroki pas strefy zamkniętej, a za nim, w dali, niewyraźnie rysuje się rejon miasta, gdzie mieszkała siostra Lizzie. Z miejsca, w którym stoję, mogę również dojrzeć centrum obozu uchodźców. Ale to, co widzimy bezpośrednio w dole, jest dla nas o wiele bardziej interesujące. Patrzymy na to, co pozostało ze Szpitala Świętego Jakuba. A tam dużo się dzieje. Nasi wojownicy oblegają szpital jak mrówki porzucony kawałek jedzenia.

- Co o tym sądzisz?

Paul wzrusza ramionami.

- Są tam z jakiegoś powodu - odpowiada. Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, bo Paul wpełza przez dziurę w siatce płotu i rusza w dół, po stromym trawiastym zboczku, w stronę szpitala. Przez chwilę staram się pokonać odruch, by biec z nim, zmuszam się do skupienia na swoim głównym celu - znalezieniu Ellis - ale zaraz uświadamiam sobie, że w pobliżu są Zwykli i pokusa jest zbyt silna. Ślina cieknie mi do ust, gdy biegnę za Paulem. Desperacko chcę się dostać do szpitala i zabijać. Słyszę strzały z pistoletu; to znak, że wróg jest blisko. W tej chwili myślę tylko o jednym: zaspokoić głód i pozbawić Zwykłych życia.

Główne wejście do szpitala jest zdemolowane. Automatyczne drzwi o wypaczonej metalowej framudze zacięły się w pozycji półotwartej. Doganiam Paula, który rozgląda się po zdewastowanym miejscu. Odgłosy do nas dochodzące świadczą o tym, że walki koncentrują się przy parkingach i wokół pawilonów w dalszej części kompleksu szpitalnego.

- Przejdźmy prosto przez budynek - sugeruję i przeciskam się przez szparę w drzwiach. Paul podąża za mną. Idziemy długim korytarzem zaskakująco białym i czystym; nawet teraz w powietrzu unosi się ledwo wyczuwalny zapach środków antyseptycznych. Wydaje się, że ten duży budynek jest zupełnie pusty i gdy po marmurowej posadzce biegniemy w kierunku odgłosów bitwy, w pustych korytarzach rozlega się echo naszych kroków. W ścianie widzę wielkie zygzakowate pęknięcie i przez chwilę zastanawiam się, czy to rozsądnie, żeby tędy iść, ale na odwrót jest za późno. Warto zaryzykować. Zbliżamy się do miejsca walki. Coraz bliżej wroga.

Wypadam przez wahadłowe podwójne drzwi na klatkę schodową. Zatrzymuję się. Instynkt nakazuje mi iść na dół, ale drogę blokuje gruz ze zburzonej ściany. Paul nie czeka, szybko podejmuje decyzję, by iść na górę. Zamierza ominąć rumowisko, jeśli się na nie natknie. Idę za nim, mijamy kolejne drzwi, potem idziemy krótkim korytarzykiem, który skręca w prawo. Odruchowo zwalniamy - wchodzimy na oddział pełen trupów. Ciała są w stanie znacznego rozkładu. Czy to chorzy, których pozostawiono swojemu losowi, gdy wybuchła wojna? To moja pierwsza myśl. Ale przyglądam się bliżej: rany świadczą o tym, co się tu rozegrało. Chuda jak szkielet kobieta została nadziana na metalowy stojak do zawieszania kroplówki. Wokół ramion ma nadal owinięte zaplamione strzępy szpitalnej koszuli. Po lewej widzę wyschniętą łuskę starca, który osunął się na podłogę z rozsuniętymi nogami. Przez tors o okropnej barwie biegnie pionowa szrama - zaczyna się przy zwisających piersiach, a na dole, gdzie powinien być pępek, ranę rozerwano i na wierzch wyciągnięto wnętrzności. Facet został przez kogoś wypatroszony gołymi rękami. Pomysłowość i brutalność sprawcy zapiera dech. Ale to stary trup. Dlaczego dziś ludzie nadal tu walczą?

Widzę wielką dziurę w suficie, a pod nią równie wielką dziurę w podłodze. Koncentruję się. Paul ostrożnie przesuwa się po wąskiej półce, która została nad brzegiem ciemnej przepaści. Idę za nim. Spoglądam w dół: bezpośrednio pode mną leży masa gruzu, łóżka, ciała. Potem patrzę w górę. Nad

nami na każdym piętrze też są dziury aż do dachu, z którego prawie nic nie pozostało. Docieramy do przeciwnego końca oddziału, gdzie znajduje się druga klatka schodowa. Przez wielką bezodpryskową szybę widzimy ludzi walczących na zewnątrz. Nasi bojownicy kłębią się przy barakach stojących na skraju szpitalnego terenu, z dala od głównych pawilonów. Są to może magazyny lub kotłownia. Żołnierze wroga są wszędzie, w oknach i drzwiach, również na dachu, i cały czas strzelają na oślep w nacierający tłum. Po drugiej stronie kutego żelaznego płotu, otaczającego teren szpitala, stoją pojazdy gotowe do szybkiej ewakuacji naszych wrogów, gdyby nasi ludzie podeszli zbyt blisko.

Paul pokonał połowę schodów, ale ja stoję nieruchomo przy oknie. Coś tu się nie zgadza.

- Chodź! - krzyczy.

- Zaczekaj...

Obserwuję, jak w tłumie bojowników wzbiera kolejna fala. Ludzie rozpychają się, próbują się przedostać bliżej przeciwników, skrywając się za towarzyszami walki jak za tarczami. Parze Brutali niemal udaje się zaatakować wroga, ale zostają odparci, padają pod gradem kul. Ich miejsce natychmiast zajmują następni, deptają po powalonych ciałach. To nieliczne próby odważnego ataku, bo poza tym wrogom udaje się nie dopuścić Wściekłych zbyt blisko.

- Ty pieprzony idioto! - wrzeszczy do mnie Paul. - Zanim do nich zdążysz dołączyć, wszyscy polegną.

Znika, ale ja się nie ruszam. Pozornie wygląda to na jedną z setek bitew, jakich wcześniej byłem świadkiem albo w jakich uczestniczyłem, ale dostrzegam subtelne różnice i w głowie odzywa mi się dzwonek alarmowy. Biegnę za Paulem, żeby go powstrzymać.

- Paul - wołam. Mignęła mi jego głowa, za chwilę zniknie w otwartych drzwiach. - Zaczekaj!

- Rozerwiemy ich na strzępy - krzyczy, odwracając się w moją stronę. - Są łatwym celem.

- Nie, nie są!

- Dlaczego?

- W każdej chwili mogą się stąd wydostać. Z góry wszystko widziałem. Są bardzo blisko swojej granicy i po drugiej stronie czekają na nich samochody. W każdej chwili mogą ich stąd zabrać. To podstęp.

- Co takiego? - krzyczy Paul.

- Skurwiele przygotowali zasadzkę! Zobacz, bezpieczną strefę mają półtora kilometra stąd, nie są odcięci od swoich ludzi i nie wygląda mi na to, żeby byli odcięci od zaopatrzenia.

- Nic mnie to nie obchodzi - mówi Paul. Myśli tylko o zabijaniu. Jest jak narkoman na głodzie, który rozpaczliwie potrzebuje działki.

- Oni nie czekają tu na ewakuację - wyjaśniam. - Chcą nas wyciągnąć na otwartą przestrzeń.

Paul kręci głową, odwraca się i biegnie. Wpada w sam środek rosnącego tłumu wojowników, którzy teraz wypełniają prawie cały teren między głównym kompleksem szpitala a budynkami zajęтыми przez Zwykłych. Kule trafiają w okna na wyższych piętrach i wokół mnie pada deszcz szklanych sztyletów. Muszę się stąd ruszyć. Podążam za Paulem na zewnątrz, ale zatrzymuję się na tyłach tłumu. Wykorzystuję nacierające postacie jako osłonę przed pociskami. Próbuję się przemknąć pod murem budynku z powrotem w stronę, skąd niedawno przyszliśmy. Paul zniknął mi z oczu. Stał się jeszcze jednym z tłumu żądnych krwi bojowników. Wszyscy chcą zabijać. Nie wiem, co jest bardziej przerażające: czy to, że zostaliśmy wciągnięci w pułapkę, czy to, że ta masa ludzi jest tak zaślepiona.

Jakby nic innego się dla nich nie liczyło. W powietrzu wisi zapach krwi i wszyscy zachowują się jak Brutale, gotowi wszystko poświęcić, by przeżyć dreszczyk emocji i czerpać satysfakcję z zabijania. Bliskość wroga i stała kanonada tylko rozwsiecza ludzi i tłum staje się jeszcze bardziej agresywny. Może o to im chodzi?

Czuję się tak, jakbym tu walczył przeciw wszystkim. Chwila niezdecydowania i roztargnienia drogo mnie kosztuje. Zajęty obserwacją zasadniczej grupy nie zauważam, że z tyłu zbliża się inna grupa bojowników. Jest już za późno: spychają mnie z drogi pod mur budynku. Zanim się orientuję



w sytuacji, leżę na ziemi. Zakrywam głowę, żeby się chronić, i czołgając się, usiłuję zejść z drogi ludziom, którzy tratuja wszystko wokół. W tym miejscu odgłosy chaotycznej bitwy są stłumione, a ja jestem coraz bardziej dezorientowany. Pchnięty na ścianę, przesuвам się pod prąd tłumu. Mam nadzieję, że zmierzam w dobrym kierunku. W końcu, przytrzymując się rynny, udaje mi się wstać. Wspinam się na daszek stalowo-szklanej wiaty dla palaczy, stojącej w pobliżu zablokowanych drzwi wejściowych do budynku. Mam widok ponad głowami tłumu. Nagle strzelanina ustaje i widzę, że nasi bojownicy zdobyli w końcu baraki. Wdzierają się do środka, miażdżąc każdego, kto wejdzie im w drogę. Stoję na dachu wiaty i przeklinam się za zbyt emocjonalną reakcję. Może Paul miał rację? Może Zwykli rzeczywiście wszystko spieprzyli i dali się, sukinsyny, odizolować?

Już mam skoczyć na dół, gdy dobiega mnie dziwny odgłos. Zatrzymuję się i znów wpatruję się w okolicę. Są, widzę je. Rząd samochodów opancerzonych i jeepów odjeżdża zza baraków. Garstce bojowników udaje się przedostać na drugą stronę płotu. Sądząc jednak po liczbie pędzących pojazdów, odnoszę wrażenie, że większość żołnierzy Zwykłych umknęła. Może nawet wszyscy. Coraz więcej ludzi przedziera się przez baraki i rusza w pogoń za Zwykłymi. Szybko jednak rezygnują z pościgu i obserwują, jak wrogowie odjeżdżają w chmurach pyłu.

Ale co to?

Odgłos silników przybiera na sile.

Samochody prawie zniknęły z pola widzenia, ale hałas stale się zwiększa. Trudno określić, z jakiego kierunku dochodzi; wydaje się odpływać i zanika, po czym staje się naprawdę donośny i konkretny. I wtedy uświadamiam sobie, że maszyny są nad nami. Przewiduję, co się za chwilę zdarzy. Taktyka wroga jest aż nadto przejrzysta.

Skaczę z wiaty. Skręcam sobie nogę w kostce i przypadkowo przewracam paru bojowników. Teraz zapanował tu nastrój apatii, tylko nieliczni na obrzeżach tłumu podejmują poważniejsze próby ucieczki. Większość po prostu stoi w miejscu, niektórzy przycisnęli twarze do płotu i biernie obserwują ewakuację Zwykłych. Podjąłbym jakieś działania, gdyby mnie to obchodziło, ale jedyne, co mnie interesuje, to wyrwać się stąd, póki nie jest za późno.

Biegnę. Przedzieram się wśród stojących biernie ludzi i próbuję nie zważać na ostry, szarpiący ból w kostce. Nad dachem szpitala widzę samolot o wielkich skrzydłach. Leci nisko, powoli i nagle słyszę wizg pierwszych spadających bomb, i biegnę najszybciej jak umiem. Oddaliłem się od tłumu, ale jeszcze nie na tyle, by czuć się bezpiecznie. Cały czas zmuszam nogi do coraz większego wysiłku, ale mięśnie mnie boją i obawiam się, że kostka za chwilę mi wysiądzie. Nie mogę już zrobić ani jednego kroku. Przytrzymuję się muru i trochę skacząc, a trochę się wlokąc, posuwam się naprzód. Wiem, że budynek, o który się opieram, zostanie za chwilę unicestwiony. W dali widzę zarys trawiastego stoku, z którego zbiegliśmy wraz z Paulem, ale ciągle dzieli mnie od niego duża odległość. Nigdy tam nie dotrę. Przeszywające wycie szybko spadających bomb zagłusza przez chwilę wszystkie inne dźwięki. I nagle ustaje.

Nic.

Ułamek sekundy później słyszę niewyobrażalny huk. Siła wybuchu wypycha mi powietrze z płuc. Padam na ziemię i zakrywam głowę, przygotowany na to, że świat wokół mnie eksploduje. Ziemia gwałtownie drży. Ciasno zwijam się w kłębek, oczekuję, że mury szpitala zaczną się kruszyć i rozpadać. Ze strachu wnętrzości podjeżdżają mi do gardła. Przygotowuję się na to, co ma nadejść, a wiem, że najgorsze jeszcze przede mną...

Hałas słabnie.

Dźwięki wydają się stłumione. Gruz pada wokół. Nieco dalej ludzie wołają o pomoc i wyją z bólu.

Co to było?

Postanawiam: policzę do trzydziestu i jeśli nic się nie stanie, spróbuję się ruszyć. Doszedłem do siedmiu, gdy czuję, że ludzie w pobliżu mnie się podnoszą. Czy wszystkie bomby wybuchły? Czy pilot Zwykłych schrzanił sprawę?

Ostrożnie wstaję i odwracam się. Nie wiem, czego mogę się spodziewać. W powietrze plują chmury dymu jak gęsta, brudna, ziarnista mgła, która szybko osadza się, pokrywając wszystko

szarością. Gdy dym się rozwiewa, uświadamiam sobie, że widać odległy mur szpitala - stoi nietknięty. Baraki, o które walczone, zniknęły, ale główne zabudowania szpitalne są w zasadzie w takim samym stanie jak przed atakiem. Brakuje tylko tłumy bojowników i teraz uświadamiam sobie, że to oni byli celem nalotu. Tylko oni. Tym draniom udało się zlikwidować setki naszych ludzi, a przy tym nie naruszyli swojej infrastruktury. Nienawidzę ich i nie wiem, czy mają nienawiść bardziej podsyca widok niezniszczonego szpitalnego budynku, czy pustego miejsca, gdzie przed chwilą stał tłum bojowników.

Mgła opada. Wokół panuje niesamowity spokój, jakby ze snu. Ci, którym udało się ująć z życiem, zataczają się obok mnie. Niektórzy ociekają krwią, inni wyglądają jak duchy o białych twarzach, pokrytych pyłem. Za tymi, którzy mogą iść o własnych siłach, dostrzegam innych, którzy doznali poważnych obrażeń. Jakaś kobieta - przypuszczam, że jedna z Brutali - pełźnie po ziemi. Obie nogi poniżej kolan ma oderwane. Za sobą zostawia nierówny połyskujący krwawy ślad. Udaje jej się pokonać jeszcze parę metrów i umiera. Kręcę głową i próbuję się zmusić do działania, gdy widzę mężczyznę, który zatacza się w moją stronę jak pijany. W prawej ręce niesie swoje lewe przedramię. Prosi mnie o pomoc - tak mi się przynajmniej wydaje - ale go nie słyszę. Czy ma kłopot z mówieniem? Coś mu odpowiadam, lecz prawie nie słyszę własnego głosu. Dźwięki są stłumione i teraz rozumiem, że coś się stało z moimi uszami. Nerwowo rozglądam się na wszystkie strony, świadomy, że jeśli nie będę dobrze słyszał, stanę się łatwym celem ataku. Muszę stąd iść, znaleźć bezpieczne miejsce, pozbierać się, a potem kontynuować to, co zamierzałem zrobić. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy nie powinienem poszukać Paula. To głupi, bezsensowny pomysł. Paul na pewno leży na dnie krateru po bombie, zamieniony w kupkę poczerńiałych kości i popiołu. I tak nie był mi pomocny. Głupi skurwiel w ogóle nie słuchał, co do niego mówiłem.

Weź się w garść, napominam się, gdy powoli mija szok i dezorientacja, a wraca jasność umysłu. Wydostań się stąd, realizuj swój cel, zmierzaj w stronę domu siostry Lizzie. I muszę to zrobić sam, postanawiam. Zaczynam kuśtykać, bo kostkę mam ciągle bardzo słabą. Muszę się trzymać z daleka od wszystkich, ponieważ w grupie jesteśmy łatwym celem dla Zwykłych, łatwo nas namierzyć z powietrza. Tchórzliwe dranie. Wiedzą, że w walce wręcz, twarzą w twarz, nie mają szans. Mogą wygrać z nami tylko na odległość.

Zaczynam biec, początkowo powoli, ale po pewnym czasie ból w kostce staje się nieco bardziej znośny. Wracam do szpitalnego wejścia, przez które wszedłem na samym początku, chcę oddalić się od reszty ludzi. Docieram do stóp trawiastego stoku, pod boiskami college'u, i tym razem skręcam w prawo, w stronę zburzonego osiedla. Mam nadzieję, że ciasna, tarasowa zabudowa po obu stronach drogi zapewni mi tymczasowe bezpieczeństwo. Idę jak najbliżej domów po prawej stronie, pod ich osłoną. Mijam kilka ponurych, rozpadających się fasad. Może warto się tu na chwilę zatrzymać? - myślę. Wróg już prowadził bombardowanie, więc po co miałby znów w to miejsce uderzyć? A ponieważ postanowiłem wędrować samotnie, chyba lepiej zaczekać do zmierzchu. Ale przypomina mi się Ellis i dzieci w szkole i wiem, że muszę kontynuować podróż.

Cholera, ktoś jest na drodze przede mną. Kulę się pod niskim murkiem ogródka przed jednym z domów i obserwuję. Nie sądzę, żeby mnie zauważył, ale maszeruje w moją stronę.

To chyba Zwykły, poznaję go po sposobie, w jaki idzie. Powolne, ostrożne ruchy świadczą o braku pewności siebie. Więc, do diabła, dlaczego się chowam? Siedz cicho i zastanów się nad sytuacją, mówię sobie. Jest sam, więc jeśli to wróg, po prostu go zabiję. Nadal jestem roztrzęsiony po tym bombardowaniu - serce bije mi mocno i pocę się jak świnia. Muszę bezpośrednio stawić czoło temu skurwielowi, kimkolwiek jest. Próbuję myśleć intensywnie o euforii, jaką będę czuł, gdy skrócę jego nędzne życie.

Chwytam siekiere, wstaję i ruszam na niego. Dostrzega mnie i natychmiast sięga do pasa. Przeklinam swoją głupotę - facet na pewno zaraz wyciągnie pistolet i będzie strzelał. Ale nie, odwraca się i szybko ucieka przede mną, i wrzeszczy coś do radia, które trzyma w ręce. Teraz mam pewność, że to Zwykły, i wiem, że nie mogę pozwolić, żeby uszedł z życiem. Przyśpiesza, biegnie z szaleńczą prędkością, nie jestem w stanie go dogonić. Już samo utrzymanie się na nogach to dla

mnie duży wysiłek, ale nie mogę pozwolić mu uciec. Muszę go zabić...

Znika za rogiem. Biegnę za nim. Nagle staję jak wryty. Uliczką trzech innych pędzi w moją stronę, plus jeden na motocyklu cały w skórach. Czterech na mnie jednego. Jestem udupiony. Nie mogę pozwolić, żeby tak to się skończyło. Mam podjąć walkę czy...? Motocyklista unosi pałkę policyjną - przynajmniej tak to wygląda - i przyspiesza. Podejmuję decyzję. Jak skończony tchórz odwracam się i uciekam, nawet nie próbuję atakować; w uszach dzwoni mi odgłos silnika motocyklowego.

Wpadam w otwarte drzwi najbliższego domu i zatrzymuję je za sobą. To powinno na chwilę powstrzymać tych drani. Nie idę na piętro tej ruiny, tylko biegnę przez splądrowany salon na parterze, przeskakując przez wyciągnięte nogi trupa kobiety, która opiera się o martwy kominek. Wygląda tak, jakby się modliła. Kuchnia pełna jest gruzu. Tam gdzie było okno, teraz ziele wielka dziura. Wdrapuję się na niestabilny ociekacz do naczyń i skaczę. Łąduję na betonie, na nodze skręconej w kostce. Żeby nie krzyknąć z bólu, mocno przygryzam wargę. Łapię powietrze. Przez chwilę panuje spokój. Nasłuchuję odgłosu motoru - wydaje się, że słabnie i że maszyna odjeżdża. Nagle słyszę, jak Zwykli wchodzi do domu od frontu i znów zmuszam się do ucieczki. Ruszam wąską ścieżką pośród dzikiego, zarośniętego trawnika, biegnę w stronę wysokiego, ceglanego muru na tyłach ogrodu. W rogu stoi pusta w połowie beczka na wodę. Wchodzę na nią i wspinam się na szczyt muru, potem kopniakiem przewracam beczkę, żeby nikt jej nie mógł od razu wykorzystać. Skaczę na drugą stronę. Staję pośrodku kompleksu sześciu boksów garażowych, po trzy z każdej strony. Mogę albo ukryć się tu i czekać, aż mnie znajdą, albo rzucić się do ucieczki. Są dwie drogi: jedna z powrotem przez mur, a druga przed siebie. Biegnę naprzód. Wtem staję, bo spod ziemi wyrasta ten sukinsyn na motocyklu i przecina mi drogę. Gwałtownie skręca, całkowicie blokując przejście. Udaje mi się przecisnąć obok tylnego koła i przedostać na drugą stronę, ale słyszę, jak dodaje gazu. Zerkam przez ramię do tyłu: uniósł przednie koło i w dłoni trzyma pałkę. Znów zmieniam kierunek, próbując go zmylić, ale noga w kostce mi siada i potykam się. Ledwo udaje mi się utrzymać równowagę i bieć. Nagle czuję rozdzierający ból, gdy pałka z całą siłą uderza mnie w nogi z tyłu. Przewracam się na asfalt w straszliwym bólu.

Teraz nadchodzą inni Zwykli, twarze mają ukryte za motocyklowymi hełmami, przyłbicami i chustkami. Próbuję wstać, ale jeden z nich uderza mnie mocno i przyciska mi ramię do ziemi. Drugi trzyma mnie za nogi. Wyrywam się, ale są zbyt silni. Jest ich zbyt wielu.

- No, jazda, róbcie swoje! - krzyczę do nich. - No, do kurwy nędzy! Zabijcie mnie i skończmy z tym.

Pojawia się jeszcze jeden i staje nade mną. Widzę jego twarz. Mierzy mnie wzrokiem. Zębami zdejmuję z końca strzykawki plastikową zatyczkę i wypluwa ją na ziemię. Próbuję wygiąć plecy i wywinąć się - bezskutecznie. Skurwiel mocno wbija mi igłę w klatkę piersiową.

### III

*W ciągu tygodni dystrybucja żywności i pomocy medycznej w obozach uchodźców zaczęła zawodzić. Z początku wydawało się, że rozdział tych dóbr jest przedsięwzięciem ogromnym, ale stosunkowo prostym. Jednak krótkofalowa - według przewidywań - operacja trwała już czwarty miesiąc i nic nie zapowiadało jej końca. W takiej sytuacji system gwałtownie się załamywał.*

*Na wstępie ustalono podstawowe zasady i pośpiesznie sklecono proste procedury. Urzędowe zaopatrzenie powinno być rozdzielane pod kontrolą wojska, a gromadzone w amfiteatrze miejskim - rozległej, przepastnej hali koncertowej na dziesięć tysięcy miejsc. Oczyszczono ogromną betonową podłogę o powierzchni boiska futbolowego i zgromadzono tam zapasy żywności, środki medyczne i artykuły spożywcze „zebrane” poza granicami miasta. Wszystkiego strzegło wojsko. W olbrzymim obozie uchodźców wyznaczono dziesięć ośrodków dystrybucji i wysyłano tam codziennie ciężarówki z zaopatrzeniem. Na ośrodki wybrano kompleks kinowy, ratusz, dwa centra sportowe i inne budowle publiczne. W ośrodkach żywność rozdzielano uchodźcom, którzy, prócz innych dokumentów, musieli nosić przy sobie książeczki zaopatrzeniowe.*

*W drugim miesiącu dostawy spadły już do niebezpiecznie niskiego poziomu. Władze nie doszacowały liczby uchodźców, nie przewidziały też, że zamknięcie w obrębie miasta będzie trwało tak długo. Przecenily natomiast swoje możliwości, jeśli chodzi o uzupełnianie zapasów. Dzięki częstym wyprawom wojska poza miasto nadal codziennie docierała oficjalnie nabyta (rabowana) żywność, ale to absolutnie nie wystarczało. Co ważniejsze, żywność już przestano wytwarzać. Nie uprawiano ani nie zbierano roślin, nie działały fabryki, zawodziły systemy transportowe i dystrybucyjne...*

*W połowie drugiego miesiąca dostawy spadły do tak niskiego poziomu, że zaopatrywanie dziesięciu centrów odbywało się już nie codziennie, a co drugi dzień. Na początku trzeciego miesiąca żywność dowożono raz na tydzień.*

*W mieście pojawił się czarny rynek i przez krótki okres kwitł i rozwijał się. Po miesiącu czy dwóch oddział bojówkarzy nazywanych potocznie Mleczarzami opanował dwa centra dystrybucji. Nazwę „Mleczarze” gang zawdzięczał stadu skradzionych krów; trzymali je na boisku silnie ochranianego lokalnego klubu piłki nożnej. Drobnymi kryminaliści handlowali więc nie tylko zwykłym asortymentem narkotyków i broni, ale także mlekiem, a od czasu do czasu wołowiną. Komizm tej sytuacji zauważali zarówno owe biedne sukinsyny, zmuszone do handlu z gangiem, jak i wojskowi. Ci ostatni tolerowali Mleczarzy, którzy zdejmowali z armii nieco obowiązków. Interes rozkwitał do chwili, gdy skończyło się działanie podstawowego ekonomicznego prawa podaży i popytu. Żywność, woda i lekarstwa stały się zarówno towarem, jak i środkiem płatniczym. Popyt był niewyczerpany - podaż nie istniała. Handel stanął. Mleczarze zamknęli swój sklepik i wychodzili jedynie po to, by atakować i łupić inne centra dystrybucji, rabując żywność i wodę dla siebie. Kiedy nawet czarnorynkowi handlarze nie mogli zdobyć wody i żywności na własne potrzeby, wybuchły między nimi walki, a wtedy operacje - dotychczas sprawnie przez nich przeprowadzane - załamały się.*

*Pod koniec trzeciego miesiąca amfiteatr był niemal pusty i osiem centrów dystrybucji (włączając w to dwa rządzone wcześniej przez bojówkarzy) przestało funkcjonować. Pozostały trzy miejsca, w tym amfiteatr, którym administrowali obecnie wojskowi i który działał wyłącznie dla potrzeb wojska. Jedno z centrów dystrybucji, mieszczące się w dawnej hali targowej, nadal funkcjonowało, utrzymywane przez gwałtownie kurczącą się grupę altruistów, którzy wciąż naiwnie wierzyli, że należy pomagać innym, i sumiennie wydzielali mikroskopijne porcje tłumom ludzi, stojących w kolejce przed budynkiem dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Prawdę mówiąc, tylko dlatego nadal działali, że wydzielali żywność na zasadzie kroplówki, po kęsie na raz. Przewrotność sytuacji polegała na tym, że tłumy zdesperowanych uchodźców zarówno ochraniały centrum dystrybucji przed atakami bojówkarzy, jak i uniemożliwiały przejazd dostawom wojskowym.*

*Tego ranka ostatnie funkcjonujące centrum dystrybucji - mieszczące się w długim, pustym budynku*

fabrycznym - upadło. Dostawy żywności w końcu wyschły. Ta wiadomość, jak należało się spodziewać, wywołała zamieszki. Odpowiedzialny dowódca wojskowy, nadzorujący centrum z bezpiecznej odległości, bezzwłocznie je odizolował i nakazał likwidację około trzystu zbuntowanych cywili, złapanych wewnątrz. Ludzie musieli być pod kontrolą, bez względu na koszty. Nie można dopuścić, by tego typu rozruchy się rozszerzyły. Następstwa byłyby niewyobrażalne.

Trzy kwadranse temu Mark opuścił zatłoczony pokój hotelowy po raz pierwszy od powrotu z ostatniej wyprawy, którą odbył jako ochotnik. Kate błagała go, żeby nie szedł, ale jaki miał wybór? Miał obowiązek zdobywać pożywienie dla niej i dla swego nienarodzonego dziecka, nie wspominając już o innych członkach rodziny, których wbrew ich woli uwięziono razem z nimi.

Wędrówka ulicami miasta była dlań dziwnym i wręcz przerażającym doświadczeniem. Mark szybko zdał sobie sprawę, że brakuje mu poczucia bezpieczeństwa, które miał podczas wyprawy z żołnierzami. Z nimi, nawet poza strefą niczyją, otoczony przez Wściekłych, czuł się bezpieczniej niż teraz. Usiłował zająć się własnymi sprawami. Patrzył w ziemię, kiedy kogoś mijał, a jeśli wchodził w tłum, spoglądał ponad głowami ludzi. Nie wiedział, dokąd idzie ani po co, ale musiał próbować coś zrobić. Nie mógł po prostu siedzieć w pokoju z całą resztą i czekać, aż coś się wydarzy. Tamci nie dojadali, byli wyziebieni i przestraszeni, a on czuł się odpowiedzialny za nich wszystkich, choć odpowiedzialność wziął na siebie z wielką niechęcią.

Szedł mniej więcej w kierunku budynku fabrycznego, gdzie on, Kate i inni pobierali w przeszłości swoje racje żywnościowe. Szedł przez Plac Lewobrzeżny, zapuszczony teren, który od lat przeznaczano do rewitalizacji. Teraz nie nastąpi to już nigdy. Z trudnością przedzierał się przez niekończące się skupisko tymczasowych szalasów, które upodobiały cały teren do slumsów z Trzeciego Świata. Członkowie dziesiątkowanych rodzin kulili się pod płachtami z polietylenu, trwali przy sobie, rozpaczliwie pilnując resztek dobytku. Przez chwilę czuł niemal wdzięczność za względną wygodę pokoju hotelowego, gdzie go zakwaterowano razem z innymi.

Gdy dotarł w pobliże centrum dystrybucji, przekonał się, że jest zamknięte. Spodziewał się kolejek zdenerwowanych, milczących ludzi. Teraz widział jedynie puste miejsca. Każdy wolny skrawek był obecnie w cenie, więc sam fakt, że ludzie unikali tej okolicy, był złowróżbny. Już miał wracać do hotelu, kiedy zobaczył żołnierzy wlokących gdzieś trupy. Zza wielkiej pudełkowej budowli wznosiła się mgielka szarego dymu. Wiedział, że to dym ze stosu pogrzebowego - typowa wojskowa operacja czyszcząca. Obecnie palili wszystkie trupy; by powstrzymać, a raczej spowolnić rozprzestrzenianie się chorób.

Stopniowo zmieniał kierunek marszu. Paranoicznie bał się, że inni go obserwują. Znalazł się u stóp wieżowca McIver Tower - budynku, w którym pracował - jedynie na chwilę podniósł wzrok. Zagapił się. Zanim się to wszystko rozpetało, spędził tam w górze, na siódmym piętrze, niezliczone godziny. Wraz z nim stu pięćdziesięciu współpracowników przed identycznymi komputerami, z jednakowymi słuchawkami na uszach starało się osiągnąć jednakowe cele. Siedział, sprzedawał ubezpieczenia i załatwiał skargi. To były czasy, pomyślał, niemal z uśmiechem. Pękniętą rurę czy rozbitą szybę uważano za nadzwyczajne wydarzenie... Teraz wydawało się to takie banalne i nieważne, ale wtedy miało to znaczenie. Nie tylko dla niego - dla wszystkich. W tamtych czasach monotonia zajęć czasami mu doskwierała, ale teraz dałby wszystko, by powrócić do nudy i rutyny poprzedniego życia. Zatrzymał się przy budce telefonicznej, by jeszcze popatrzeć na budynek. Starał się nie wzbudzać podejrzeń. Starał się nie patrzeć w oczy mężczyźnie, który siedział na podłodze wewnątrz budki, oparty plecami o drzwi, blokując dostęp do środka innym ludziom. Mark policzył piętra w biurowcu, znalazł siódme, a potem skierował wzrok na okno położone najbliżej miejsca, gdzie kiedyś urzędował za biurkiem. Teraz mieszkali tam ludzie. Widział ich nawet stąd. Setki ludzi upchniętych razem, rozpaczliwie walczących o przestrzeń. Wokół budynku, na prostokątnym placu ogrodzonym niskim murkiem - kiedyś był to ekskluzywny parking dla dyrektorów i wyższego kierownictwa firmy - leżał ogromny stos niepotrzebnego sprzętu komputerowego. Setki zbędnych ekranów, klawiatur i jednostek centralnych, które wyrzucono, kiedy opróżniano piętra w wieżowcu, by zrobić miejsce dla ludzi.

Mark spojrział w dół, na człowieka w budce telefonicznej. Mężczyzna w ogóle się nie poruszył. Czy spał? Mark postukał w szkło knykciami, ale tamten nie zareagował. Zastukał powtórnie. Potem powolnym ruchem potrząsnął drzwiami. Nadal żadnej reakcji. Czy umarł? Nie wiadomo, ale Mark zauważył, że mężczyzna pod swój brudny płaszcz przeciwdeszczowy wetknął reklamówkę. To musiała być żywność. Jeśli nie liczyć broni i narkotyków, tylko jedzenie warto było obecnie ukrywać. Kopnął szybę, tym razem kuląc się w duchu, kiedy kilku ludzi się obróciło, a kilku innych podniosło na niego wzrok - opamiętali się jednak szybko i odwrócili spojrzenia.

Jego uwagę przyciągnął mały chłopiec idący przy ścianie wieżowca. Biedne dziecko wyglądało na beznadziejnie zagubione i wyczerpane, uszła z niego cała energia życiowa. Skoro kryzys do tego stopnia dotykał nawet dzieci, o czymś to świadczyło. Mark widział filmy o dziecięcej odporności - dzieci z czasów drugiej wojny światowej, bawiące się w ruinach własnych domów w zbombardowanych miastach, roześmiane dzieci biegające w nawiedzonych zarazą slumsach subkontynentu indyjskiego, ale teraz... teraz było inaczej. Nawet najbardziej naiwni członkowie społeczeństwa wiedzieli, jak okropna jest sytuacja. Chłopiec nie powinien chodzić samotnie. Z kim był? Czy się zgubił? Porzucono go? Sierota? Miał takie samo jak inni, pozbawione emocji i niemal puste spojrzenie. Malec próbował się odizolować od reszty świata, ale nie był zdolny uciec od narzuconych przed ten świat ograniczeń. Mark i tak nie mógłby sprawdzić czy z dzieckiem jest wszystko w porządku, czy też może jest chore, czy... Przerwał te rozważania. Musiał spojrzeć w drugą stronę i nie myśleć o chłopcu. Nie mógł sobie pozwolić na troskę o obce osoby.

Tego ranka, zanim wyszedł z hotelu, pokłócił się z Kate. Żadne z nich nie chciało się kłócić, ale kiedy już zaczęły krzyczeć, nagromadzona od tygodni frustracja spowodowała, że nie mogli przestać. W pokoju hotelowym Kate czuła coraz większą klaustrofobię, a brak prywatności doprowadzał ją do utraty zmysłów.

- Co mam robić? - spytał. - Dopóki sytuacja się nie zmieni, mamy tylko ten pokój. Nie ma szpitali ani klinik, ani...

- Więc co się stanie, jak przyjdzie na świat dziecko?

- Poradzimy sobie.

- Jak?

- Jeszcze nie wiem... Weźmiemy kilka ręczników i wodę, jak radzili, i...

- Jakie ręczniki? Skąd woda? Chryste, Mark, nie będę mogła nawet umyć dziecka. Nie mamy nawet dosyć wody do picia, nie mówiąc już...

- Uspokój się, Kate. Jesteś po prostu...

- Uspokoić się! Jezu Chryste, czemu miałabym się uspokoić. Jestem kurewsko przestraszona, a ty oczekujesz, że urodzę dziecko na podłodze pokoju hotelowego, na oczach moich rodziców.

- Pozostało jeszcze kilka miesięcy. Pomyśl, jak wiele może się zmienić w ciągu następnych czterech miesięcy...

- Pomyśl, jak bardzo może się wszystko pogorszyć.

- A teraz po prostu gadasz głupstwa.

- Jestem przerażona.

- Wszyscy jesteśmy przerażeni.

- Ja się boję o dziecko.

- Miliony kobiet każdego roku rodzą dzieci, prawda? I radziły sobie, zanim powstały szpitale i...

- Nie o to chodzi...

- Więc o co?

- Boję się o to, czym może się okazać nasze dziecko. A jeśli będzie inne niż my? A jeśli jest jednym z nich i...

- Nie bądź głupia. Ja jestem normalny', ty też. Nasze dziecko również będzie normalne.

- A jeśli nie będzie? Nie wiesz tego na pewno, prawda? Nikt nie wie, dlaczego jesteśmy tacy jacy jesteśmy, i dlaczego oni są inni...

*Oczywiście miała rację, ale on dalej próbował ją przekonywać, że wszystko będzie w porządku, podtrzymywał pozory i plótł te bzdury, ponieważ tylko to mógł robić.*

*Nagły hałas przykuł jego uwagę i Mark wrócił do terażniejszości. Głęboko w tłumie ludzi po drugiej stronie ulicy powstało zamieszanie. Nie widział dobrze, co się dzieje. Wyglądało to na bójkę - ktoś prawdopodobnie załamał się pod presją sytuacji, w której się znalazł i on, i wszyscy pozostali. Niespodziewany wybuch długo tłumionych emocji sprowokował u uchodźców różne reakcje. Jedni uciekli. Drudzy usiłowali udawać, że nic się nie stało. Jeszcze inni zapomnieli, gdzie są i co przeszli. Zareagowali najbardziej naturalnym, podstawowym odruchem - wszczęli bójkę.*

*Marka nie obchodziło to, co się tam stało i z jakiego powodu. Wykorzystując sytuację oraz fakt, że wszyscy skupili uwagę na bójce, mocno pchnął drzwi do budki telefonicznej. Kiedy nieruchomy człowiek na ziemi nadal nie reagował, Mark znowu pchnął drzwi, aż utworzyła się szczelina, przez którą mógł wsunąć rękę. Złapał reklamówkę mężczyzny, ukrył ją w płaszczu i ruszył do hotelu.*

Jezu, ale mnie boli głowa!

Do diabła, gdzie ja jestem? Ciemno, choć oko wykol. Leżę płasko na wąskim łóżku. Jestem prawie nagi, mam na sobie tylko podkoszulek i szorty. Usiłuję się poruszyć, ale ręce i kostki nóg mam przykute łańcuchami do czterech rogów metalowej ramy łóżka. Nie mogę nawet unieść dłoni z materaca, nie ma żadnego luzu. Im silniej ciągnę, tym mocniej trzymają mnie łańcuchy. Próbuję ruszyć głową, ale przez czoło przebiega jakiś ciasny pasek. Zabiję skurwiela, który mi to zrobił, niech się tylko tu pojawi.

Oczy przywykają do mroku, ale nie ma tu nic do oglądania. Pokój jest wąski, prostokątny, pod jedną ścianą stoi moje łóżko, pod drugą - krzesło. Na ścianie obok solidnych drewnianych drzwi wisi przekrzywiony krucyfiks. Wyciągam szyję do tyłu, tyle ile się da. Za mną jest okno zabite płytą, która przy brzegu przepuszcza cienką linię światła.

Jak długo tu jestem? Dopiero się obudziłem? Czy byłem nieprzytomny przez wiele dni? Ogarnia mnie panika. Staram się oddychać powoli i przywołać fakty, które pamiętam: dzieci w szkole, wędrówka z Paulem, walki w szpitalu, na ulicach Zwykli polują na mnie i dają mi zastrzyk z narkotyku. Zorganizowano na nas zasadzkę i zrobili to ci sami dranie, którzy mnie tu uwięzili. Znow szarpie łańcuchy, ale nie mogę się ruszyć. Nie rozumiem sytuacji. To nie ma sensu. Jeśli to naprawdę Zwykli, to dlaczego mnie nie zabili? Po co mnie trzymają w tym dziwnym miejscu?

Ktoś krzyczy. Nie potrafię określić, skąd ten głos dobiega. Nie wiem, czy to wołanie o pomoc, czy krzyk bólu. Może Zwykli urządzili tu salę tortur? Przykuwają nas do łóżka, żebyśmy cierpieli. Zboczone sukinsyny. Dranie mogą przyjść tu w każdej chwili i zabrać się za mnie, a ja nic nie będę mógł zrobić. Może to eksperyment? Próbują odkryć, co sprawia, że jesteśmy lepsi i silniejsi od nich, i dlatego chcą nam zrobić sekcję? Ilu załatwią, zanim przyjdą po mnie? Czy teraz moja kolej? Koncentracja.

Spokój.

Skupienie.

Myśl o zabijaniu dodaje mi sił. Przypominam sobie, ilu Zwykłych zamordowałem w ciągu ostatnich miesięcy i w jaki sposób dokonałem masakry. Zakończyłem ich bezsensowne życie. Jakże łatwo mi to poszło! I jak łatwo będzie to zrobić ponownie.

Ellis.

W ciągu sekundy znikąd pojawia się myśl o Ellis i nagle wszystko znow się na mnie wali. Ciemność mnie przytłacza, łańcuchy coraz bardziej uciskają, nie mogę poruszyć żadnym cholernym mięśniem. Zawiodłem ją. Moja córka żyje gdzieś tam sama, a ja jestem tu zamknięty jak dzikie zwierzę. Im dłużej jest sama, tym większe prawdopodobieństwo, że skończy jak te dzieciaki w szkole. Znow próbuję się poruszyć, szarpie mocno i przez chwilę wydaje mi się, że zdołam zerwać łańcuchy, ale zaciskają się jeszcze mocniej. Czuję się tak, jakbym stał w kolejce przed rzeźnią, czekając na śmierć. I nic nie mogę na to poradzić.

Ramiona mnie bołą. Są ciężkie i zdrętwiałe. Barki płoną mi z bólu. Swędzi mnie prawa noga z boku tuż nad kolanem i teraz marzę jedynie o tym, żeby się podrapać. Próbuję nie zwracać na to uwagi, ale tak się nie da. Teraz tylko o tym potrafię myśleć, a im bardziej o tym myślę, tym jest gorzej. Jakby ktoś przesuwiał końcem igły po mojej skórze. Doprowadza mnie to do szaleństwa.

Dobrze.

Skupienie.

Skoncentruj się na bólu i zablokuj inne doznania.

Zgasnąłem? Odchylam głowę do tyłu i spoglądam za siebie, ale nie widzę okna. Czy na zewnątrz jest ciemno? I czy to okno wychodzi na dwór? Czy ciągle jestem w tym samym pokoju, czy przenieśli mnie, gdy spałem? Jeśli w ogóle spałem. Może cały czas byłem obudzony. I leżałem tu przez wiele godzin. A może dłużej. Przez wiele dni.



Panuje cisza. Słysząc tylko odgłos powolnego kapania w rogu pokoju. Jakby rura przeciekała. Miarowo. Nieustannie. Między kolejnymi kapnięciami liczę do ośmiu.

W gardle mi zaschło. Muszę się napić wody. Chcę krzyknąć, ale nie mogę. Nie wiem, kto mnie słucha. Nie chcę się zniżyć do tego, by mówić do Zwykłego, nawet gdyby...

- Jak się czujesz?

Głos z ciemności napędził mi strachu. Mogę tylko poruszyć oczami, ale z każdej strony widzę jedynie nicłość. Czyżbym to sobie wyobraził? Serce wali mi w piersi, jakbym przebiegł piętnaście kilometrów. Próbuję się poruszyć, ale nadal jestem mocno przypięty. Nikogo nie widzę, ale wiem, że ktoś jest blisko. Słyszę jego kroki i oddech. Czuję, jak ociera się o moją rękę, i cały sztywnieję. Drzwi odrobinę otwierają się do środka, do pokoju wpada wąska smuga przyćmionego, żółtego światła.

- Nie chciałem cię przestraszyć - mówi ten sam męski głos z afrykańskim akcentem. - Obserwowałem cię przez chwilę. Chciałem się upewnić, czy nic ci nie jest.

Mężczyzna milknie i staje nade mną. Jego niska, lecz szeroka sylwetka rysuje się na tle światła padającego z zewnątrz. Czy czeka na odpowiedź? Długo poczeka, bo nie zamierzam się odzywać, póki się nie dowiem, kim jest i dlaczego mnie tu trzymają.

Co on teraz robi? Przykucnął i słyszę, jak majstruje coś obok łóżka.

- Lepiej, żebyś zamknął oczy. Mam tu lampę.

Próbuję mieć powieki szeroko otwarte, ale zamykają się odruchowo, gdy mężczyzna zapalą zapalającą jasną lampę gazową. Zmuszam się do otwarcia oczu, nie zważając na ból; bardzo mi zależy na tym, żeby po długich godzinach ciemności jak najdokładniej zobaczyć całe otoczenie. Jaskrawe światło parzy mnie w oczy. Widzę tylko żarnik lampy gazowej wysyłający białe światło. Buzowanie płonącego gazu wydaje się teraz niewiarygodnie głośnie po tak długiej ciszy.

Intensywne żarzenie się lampy przygasa, gdy moje oczy przywykają do jasności. Mężczyzna stawia lampę na krześle naprzeciw łóżka. Odwraca się i po raz pierwszy widzę jego twarz. Sukinsyn jest Zwykły. Nie potrafię się opanować; muszę zareagować. Próbuję wyrwać się do przodu, ale łańcuchy nadal mnie trzymają. Wyginam plecy i usiłuję się wyswobodzić. Nic z tego, ledwo się ruszam. Mężczyzna cofa się w róg pokoju, nie chce być zbyt blisko mnie, boi się. Muszę go zabić. Muszę się go pozbyć, ale nie mogę. Tracę panowanie nad sobą. Mogę tylko splunąć. Ślina pada na ścianę i zaczyna ściekać w dół. Usta mam zbyt suche, żeby plunąć ponownie.

- Skończyłeś? - pyta. Skurwiel. Odprężam bolące mięśnie. Czuję przejmujący, rozrywający ból w ramionach, nadgarstkach, nogach i karku. Po raz pierwszy jestem tak blisko Zwykłego i nie zabijam go. Wnętrznosci mam ściśnięte. Nie potrafię myśleć jasno. Nie mogę się poruszyć. Nic nie mogę zrobić. Muszę go zabić, ale jest to fizycznie niemożliwe. Drań. Nawet nie mam dość siły, by na niego napluć.

Ciemnoskóry Zwykły zdejmuje lampę z krzesła, stawia ją na podłodze i siada. Udaje mi się nieco przekreślić głowę na bok; wpatruję się w niego. Nie mogę oderwać wzroku od tego skurwiela. Gdyby nie te łańcuchy, zabiłbym go w mgnieniu oka. Ma najwyżej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i nadwagę. Jest prawie kwadratowy. Białka oczu są jasne i czyste. Wyobrażam sobie, jak się wybałuszą, gdy owinę mu szyję łańcuchem i mocno go zacisnę.

- Opanuj się - mówi. - Zachowaj spokój.

Nie jest uzbrojony. Siedzi swobodnie na krześle i szczerzy do mnie zęby, ale spojrzenie ciemnych oczu ma zimne i złe. Nogi rozsunał, ramion nie skrzyżował, dłonie rozprostował i wnętrzem zwrócił do góry - podręcznikowa mowa ciała. Czy uważa mnie za głupca? Skurwiel usiłuje pokazać, że jest otwarty i nieagresywny, ale ja się na to nie dam nabrać. W istocie jest przerażony, boi się jak cholera, bo wie, co z nim zrobię, jak się wyrwę. Nie mogę znieść tego, że jest przy mnie tak blisko i oddycham tym samym co on powietrzem...

- Na pewno masz jakieś pytania - mówi. Słusznie, mam w głowie setkę pytań. Wie, że ich nie zadam, ale mimo to czeka, aż się odezwę. Szkoda, że jest nieco za daleko, żebym go zabił. Gdybym miał przynajmniej jedną rękę wolną, owinałbym mu szyję łańcuchem i udusił go, zanim by się

zorientował, co się dzieje. Gdybym mógł, rozwalilibym mu głowę o ścianę albo podpaliłbym go lampą, albo rozbiłbym klosz i odłamkami przeorał mu twarz, albo...

- Nazywam się Joseph Mallon - mówi głosem opanowanym, spokojnym, nieśpiesznym. Ma silny akcent. - Podczas twojego pobytu będę z tobą pracować.

Pracować ze mną? O czym on, do diabła, mówi?

- Miałeś wielkie szczęście, że udało ci się ująć z życiem ze szpitala - kontynuuje. - Według mnie jesteś albo strasznie fartowny, albo bardzo inteligentny. Mam nadzieję, że to drugie. Sądząc po twoim wyglądzie, nieźle wszystko przetrzymałeś. Jesteś w dobrej kondycji...

Czy chce mnie zabić, czy pieprzyć?

- Powiem ci, co wiem o tobie, żeby po prostu jakoś nawiązać rozmowę...

Milknie i w przerwie między jego słowami już, już chce się odezwać, ale w ostatniej chwili przypominam sobie, z kim mam do czynienia, i nie otwieram ust. W całym ciele znów czuję napięcie.

- Przejrzałem twoje rzeczy - mówi. - Nawiasem mówiąc, są w bezpiecznym miejscu. Wiem, że nazywasz się Danny McCoyne. Zabawne, że nadal nosimy ze sobą takie rzeczy jak portfele. Chyba z przyzwyczajenia? Nawet ktoś taki jak ty, kto bardzo chce się odciąć od tego, kim był przedtem, ciągle wędruje z portfelem na dnie torby. Nie mogłeś się zmusić, żeby się go pozbyć, co? Już ci jest niepotrzebny, masz tam bezużyteczne banknoty, karty kredytowe, których już nigdy nie wykorzystasz, zdjęcia rodzinne. Nawiasem mówiąc, piękne dzieciaki...

Gdy słyszę o swojej rodzinie, odruchowo szarpie łańcuchy. Uśmiecha się do mnie. Właśnie o to mu chodziło. Przeklinam się, że tak łatwo dałem się przejrzeć.

- Trafiłem w czułe miejsce? - Śmieje się zadowolony z siebie. - To wyjaśnia, dlaczego taki twardziel jak ty nosi w torbie lalkę i dziecięce ubrania. Szukasz kogoś?

Odwracam oczy, specjalnie przerywając kontakt wzrokowy. Wpatruję się w sufit. Niezrażony tym Mallon wstaje i pochyla się nade mną. Wyginam plecy, usiłując się do niego zbliżyć i nastraszyć skurwiela, ale tym razem stoi nieporuszony. Lampa na podłodze rzuca dziwne cienie na jego ohydną twarz. Szczerzy zęby w uśmiechu i nachyla się bliżej, ale pozostaje poza moim zasięgiem. Niemal czuję jego oddech.

- Odpreż się. Nigdzie się nie spieszysz, Danny McCoyne.

Nagle z zewnątrz dobiega hałas - stłumiony łomot i dudnienie dalekiej eksplozji. Mallon podchodzi do okna, lekko odchyła płytę i wygląda na zewnątrz. Nie komentuje tego, co widzi, ale sam fakt, że on może wyrzeć na zewnątrz, a ja nie, przypomina mi, że nawet nie wiem, gdzie jestem. Co to za miejsce? Poza tym nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Jezu, mogę być nawet w...

- Jakieś pytania? - odzywa się nagle Mallon. Starannie mocuje płytę w poprzedniej pozycji. - Jeśli nie zmierzasz ze mną rozmawiać, to pozwól, że sformułuję pytania, których nie zadajesz, bo jesteś zbyt dumny. Zacznijmy od podstawowych, dobrze? Kim jestem? Gdzie się znajdujemy? Co tu robisz? Jak to się stało, że ciągle jestem żywy? Jak długo pozostanę żywy? Co zamierzają ze mną zrobić? Powiedz, Danny, czy mam rację?

Ma rację. Chcę to wszystko wiedzieć. I dowiedzieć się też o innych sprawach. Ale nadal milczę. Nie mogę odpowiadać.

Nawet na niego nie spojrzę. Zaciskam pięści, naprężam mięśnie i zgrzytam zębami, wpatrując się w sufit. Za wszelką cenę nie chcę mu dać satysfakcji. Kręci głową i cmoka niezadowolony. Jeśli będą długo milczał, może udzieli mi wyjaśnień? Sukinsyn lubi chyba dźwięk własnego głosu.

- Nie odezwiesz się do mnie dziś wieczór?

Nie reaguj. Chce, żebyś zareagował. Próbuje cię sprowokować.

- Wiesz, że mogę cię tu trzymać, jak długo mi się spodoba.

Ignoruj go.

- Wydaje mi się, że niewygodnie ci, jak tak leżysz. Jeśli zostawię cię na całą noc, to będzie cię strasznie bolało.

Wciska kit. Nie rozkuje mnie z tych łańcuchów bez względu na to, co zrobię.

- I będziesz okropnie głodny. Jak długo nie jadłeś? Dzień? Dłużej? No i woda... w gardle musi cię niezłe palić...

Skurwiel pogrywa ze mną. Nie daj się na to złapać.

Czeka. Obserwuje mnie. Próbuje mnie wyprowadzić z równowagi.

- Danny McCoyne - wzdycha. W jego głosie słychać udawane rozczarowanie. Podnosi lampę i nachyla się nade mną niżej. - Potrzeba ci trochę czasu, żebyś się zastanowił nad swoim trudnym położeniem. Całkowicie straciłeś kontrolę, słoneczko. To, co się z tobą stanie, zależy wyłącznie ode mnie.

Wpatruje się we mnie jeszcze przez chwilę. Też na niego patrzę. Jestem zdecydowany: pierwszy nie cofnę wzroku. Po paru sekundach - a wydaje się, że mijają minuty - Mallon prostuje się i idzie do drzwi.

- No, dziś nie chce mi się tracić na ciebie więcej czasu. Jestem głodny. Mamy tu dobre wyżywienie. Lepsze niż inni. Wezmę sobie coś do picia, do jedzenia i się prześpię. Miło się z tobą rozmawiało.

Wychodzi, zabierając ze sobą lampę. Zatrząskuje drzwi i zamyka je na klucz. Słyszę oddalające się kroki, potem zapada cisza. Ogluszająca cisza, przerywana tylko słabym odgłosem dalekiego helikoptera czy samolotu i miarowym kapaniem wody w kącie pokoju.

Panuje kompletna ciemność, do której oczy nie mogą przywyknąć.

Kimże jest ten Joseph Mallon? Działa samodzielnie? Samotny świr, który próbuje stawić opór, czy trybik większej maszyny?

Kiszki mi marsza grają i powraca swędzenie nad prawym kolaniem. Bardzo bym chciał się podrapać. Tylko tego mi potrzeba: kilku sekund drapania i problem zniknie. Czuję, jakby ktoś zatapiał mi gwóźdź w skórze.

19

W ciemności słyszę krzyk, ale nie jestem w stanie określić, czy dochodzi z budynku, czy z zewnątrz. W jednolitej ciemności wszystko traci formę i konkret. Nie mam wycucia czasu, nie wiem, jak długo tu jestem. Próbuję liczyć spadające krople, ale zmęczony mózg nie potrafi skoncentrować się na liczbach, a teraz każda spadająca kropla jest jak uderzenie młotem w głowę. Nie mogę już leżeć nieruchomo, nie mogę również się poruszyć. Gdy tylko szarpnę łańcuchami, one jeszcze mocniej się zaciskają.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś piłem, ale mój pęcherz stale się wypełnia. Nie będę wołał i zdawał się na litość Josepha Mallona czy innego drania. O to mu chodzi. Próbuje mnie złamać, zakutego w ciemnościach w łańcuchy poddać presji głodu. Jestem od niego silniejszy. Nie dopuszczę go do siebie. Ale równocześnie nie mogę powstrzymać ciała przed czynnościami fizjologicznymi. Zsiusiałem się niedawno. A cóż mogłem zrobić? Albo siusiać, albo zawołać Mallona. Teraz leżę zmoczony cuchnącą uryną. Była ciepła, lecz teraz moje nagie nogi marzną i cały śmierdzą. Sukinsyn doprowadził mnie do tego, ale nie dam się pokonać.

Całe ciało mnie boli. Zdrętwiały mi nogi i ręce. Nigdy nie przypuszczałem, że długie pozostawanie w pozycji nieruchomej może być tak bolesne. Żebym choć mógł wstać i przejść się trochę. Boże, jak strasznie jestem głodny. Mam skurcze jelit, wydaje mi się, że mój pusty żołądek wywróci się na drugą stronę. Nie wiem, co zrobię, jak zechce mi się srać. Nie będę o tym nawet myślał, póki do tego nie dojdzie. Muszę się czymś zająć, ale to niewykonalne, bo nic nie widzę, nic nie słyszę, nie mogę się poruszyć, nie wiem, gdzie jestem i jak długo tu pozostanę.

Dosyć tego.

Skup się.

Właśnie na tym mu zależy. Próbuje doprowadzić mnie do ostateczności. To mu się nie uda. Nie dopuszczę do tego.

Noga znów mnie swędzi. Bardziej niż poprzednio.

Helikopter. Daleko stąd...

Ile czasu potrzeba, żeby w ciemnościach zwariować? Dzieciak w szkole... dawno, dawno temu... mówił, że dzieje się to w ciągu kilku godzin, jeśli nie ma żadnego światła. Bez sensu są te rozważania o czasie, ponieważ nie wiem, jak długo tu leżę. Poniękad chciałbym, żeby Joseph Mallon tu wrócił. Żeby przerwać monotonię. Nigdy nie sądziłem, że cieszyłbym się ze spotkania z jakimś Zwykłym, ale patrzeć na jego gównianą twarz to lepsze, niż leżeć tu, patrzeć w nicość i tylko dumać. Nie podoba mi się, że w ogóle nachodzą mnie takie myśli. Zaczynam kwestionować, czy to, co wiem, było od samego początku słuszne. Zaczynam wątpić. Napływają głupie, szalone myśli na temat Ellis: jak blisko byłem przy niej i jak teraz jestem od niej daleko. Byłem już kilka kilometrów od domu siostry Lizzie, a teraz jestem nie wiadomo gdzie.

Co robi moja córeczka? Czy walczy? Czy już nie żyje? Czy jest w innym pokoju w tym budynku? A jeśli Mallon nie wróci? Jeśli spieprzyłem okazję? A jeśli mnie tu zostawi, żebym zagłodził się na śmierć przywiązany do zasiekowanego materaca?

Co za kurewska porażka. Tyle zamieszania, walk i głupot - aż cztery miesiące - i dałem się pokonać słabemu, otylemu zwykłemu, który wygląda tak, jakby nie potrafił się wydostać z papierowej torby. To niemożliwe, żeby tylko on jeden prowadził ten przybytek. Na ulicach osaczyło mnie co najmniej czterech i żaden z nich nie był gruby i fajtlapowaty jak Mallon.

To przywiodło mi na myśl szpital; krytykowałem wtedy Paula za to, że bez zastanowienia chce wziąć udział w nierównej bitwie, która wydała mi się podstępem. On przynajmniej poszedł walczyć. Może nadal tam jest, a ja tymczasem tkwię w tym miejscu...

Zaczynam się bać.

Odgłos kapiących kropli staje się coraz głośniejszy, kapią coraz szybciej.

Gdzie popełniłem błąd? Nie mogę przestać myśleć o tym, jak się tu dostałem. Nie chodzi mi o dzień dzisiejszy, ale o dni, tygodnie i miesiące walk, które doprowadziły mnie do tego miejsca. Pamiętam pierwsze dni Nienawiści, gdy wraz z Lizzie i dziećmi chowałem się w mieszkaniu i bałem się nawet wyjrzeć przez okno. Dochodzę do wniosku, że wtedy, gdy zabiłem Harry'ego, popełniłem pierwszy błąd. W tamtym czasie nie mogłem zrobić nic innego, jak go zamordować, ale to, co stało się potem - to było niewłaściwe. Powinienem był walczyć nadal i zaufać swemu instynktowi. Powinienem zabić Lizzie, Edwarda i Josha, a potem opuścić dom wraz z Ellis, nie oglądając się za siebie. Wyobrażam sobie, gdzie byłbym teraz. A jestem tutaj, powalony jednym ciosem. Do diabła, co się ze mną dzieje?

Wydaje mi się, że coś się poruszyło na łóżku.

Wydaje mi się, że widzę błysk światła.

Czy to halucynacje?

Czy mój pieprzony mózg zaczyna wariować? Fiksuje w tej ciemności? Muszę się skoncentrować i przywołać w pamięci twarz Ellis. Ale im mocniej się skupiam, tym mniej widzę. Boję się, że zapomnę, jak wygląda. Widzę teraz twarz - ale to nie jest jej twarz, to zlepek twarzy zdziczałych dzieciaków, które znaleźliśmy dziś rano w szkole... albo wczoraj rano... albo... kiedy to było, do diabła?

Swędzi mnie noga.

Chcę się tylko podrapać.

20

Drzwi otwierają się na oścież i do pokoju wparowuje Mallon. Niesie coś w obu rękach, oświetlając sobie drogę. Nie widzę szczegółów - tylko silny snop światła i cienie. Mallon na mnie nie patrzy, na pewno jest skoncentrowany na tym, co ma ze mną za chwilę zrobić. Odwraca się do mnie plecami i stawia coś na krześle, potem kładzie lampę na podłodze w rogu pokoju.

Co tak pachnie? Chryste, cudownie. Pachnie gorącym jedzeniem... chyba zupą. Ale to przecież niemożliwe? Czy człowiek może sobie wyobrażać zapach? Czy mój zmęczony umysł płata mi figla? Mallon odwraca się i podchodzi bliżej. Na krześle stoi taca. Na tacy miska, z której unosi się para, a obok plastikowa butelka z wodą. W żołądku mi głośno burczy, kotłuje się.

- Musisz być cholernie głodny - mówi Mallon. Jego głęboki głos wypełnia cały pokój. Odpowiedź mam już na końcu języka, ale w ostatniej sekundzie mi się przypomina, co tacy jak on zrobili takim jak ja. - Wyglądasz na głodnego. Chyba umierasz z głodu. Pochyla się nade mną, a ja instynktownie naprężam łańcuchy, żeby go dopaść. Może tym razem się uda...

Ramiona i nogi bardzo mnie bołą i szybko opadam na materac. Sukinsyn nawet nie drgnął. Wie, że nic nie osiągnę.

- Cuchniesz szczynami - mówi. Śmieje się do mnie i kręci głową. - Kiepsko z tobą, wielkoludzie! Zagubiony, samotny, przykuty łańcuchami i cały w sikach!

Odruchowo wyrwam się, ale ból jest tak silny, że ani drgnąłem. Mallon patrzy mi w oczy i podnosi rękę. Mocno zamykam powieki, naprężam się i czekam na cios. Ale ból nie nadchodzi. Czuję, jak Mallon ciągnie za szeroki pasek, biegnący przez moje czoło. Połuźnia go lekko, a potem cofa się. Nadal nie mogę podnieść głowy, ale przynajmniej mam pewną swobodę ruchu z boku na bok. Ta wolność jest prawdziwym szczęściem.

Mallon podnosi tacę i siada na krześle naprzeciw mnie. Wdycha zapach zupy czy może potrawy - nie wiem, co to jest - a potem nabiera jedzenie łyżką i unosi ją do ust. Zatrzymuje się.

- Chcesz trochę?

Skurwiel wie, jak bardzo chcę. Znów ze mną pogrywa, a ja muszę mu stawić opór. Nie odpowiem, nie dam mu tej satysfakcji. Nie zniżę się do tego, żeby z nim rozmawiać. Obserwuję, jak dmucha na łyżkę i wkłada jedzenie do ust. Zamyka oczy i na znak zadowolenia kręci głową z teatralną przesadą.

- Och, jakie dobre... Wiesz, Danny, obecnie coraz trudniej znaleźć tak dobrą żywność. Założę się, że dawno nie jadłeś czegoś równie smacznego, jak ta zupa.

Nabiera sobie kolejną porcję. Chciałbym, żeby przestał. Proszę, nie zjedz wszystkiego...

- To kurczak. Oczywiście z puszki, ale, człowieku, czujesz mięso. Nie jestem pewien, czy to naprawdę mięso, ale zupa jest świetna.

Odkłada łyżkę i otwiera butelkę. Usta i gardło mam suche. Język jest dziesięć razy większy niż normalnie, tak mi się zdaje. Aż nie mieści się w jamie ustnej. Mallon pociąga wodę z butelki i teatralnie wzdycha z rozkoszy. Wlepiam w niego oczy i on wie o tym. W żołądku znów mi się kotłuje.

Wstaje i zabiera tacę. Wpatruję się w parę, unoszącą się nad miską, i obserwuję, jak się rozwiewa w powietrzu. Próbuję sobie wyobrazić smak zupy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem ciepły posiłek...

- Możesz dostać trochę - mówi do mnie Mallon i stawia mi tacę na piersi. Widzę, jak taca unosi się i opada wraz z moim szybkim, nerwowym oddechem. Czuję na skórze ciepło zupy. -

Możesz to zjeść. Dostaniesz jeszcze więcej, tylko musisz zrobić jedną rzecz. Wiesz, o co chodzi?

Nie reaguję. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie mam nic takiego, na czym zależałoby temu skurwielowi. Ale jeśli coś takiego jest, to wiem, że stale będzie mnie naciskał. I im dłużej będę udawał niemowę, tym mocniej Mallon będzie musiał naciskać. Jeśli długo zachowam milczenie, będzie musiał mi coś powiedzieć, żeby pchnąć do przodu to głupie przesłuchanie. Odchrząkuje: wstęp do dalszego przemówienia. Przewidywalny sukinsyn.

- Danny, musisz tylko odezwać się do mnie - mówi, pochylając się niżej nade mną. - Nie musi to być prawdziwa rozmowa. Jeśli nie chcesz, powiedz tylko, żebym się odchrzanił. Chcę tylko usłyszeć twój głos. Chcę, żebyś mi odpowiedział...

Nie zrobię tego. Raczej zagłodzę się na śmierć. Mallon czeka, patrząc na mnie z nadzieją. Czekaj sobie, skurwielu.

Więc czeka. Obserwuje mnie przez kilka minut.

- To dziwne - szepcze w końcu - że ktoś tak głodny i spragniony nie może się zmusić do jednej małej rzeczy, żeby dostać to, czego tak bardzo mu potrzeba. Nikt się o tym nie dowie,

Danny. Nikt nas nie podgląda...

Skup się. Unoszę wzrok i liczę rysy na suficie.

- Bardzo dziwni z was ludzie. Gdybym miał czas i ochotę obserwować ciebie dłużej, sądzę, że prędzej byś umarł, niż się poddał. Obłądne zachowanie...

Pochyla się nade mną, zasłaniając mi swoją twarzą cały widok. Znowu moje ciało się pręży, ale Mallon łagodnie pcha mnie na materac jedną ręką i wiem, że nic nie mogę zrobić. Patrzę mu prosto w oczy i nie chcę odwrócić wzroku. Zabiję go, gdy się stąd wydostanę. Rozerwę jego cholerne ciało na strzępy, rozwalę głowę o ścianę...

Mallon wzdycha. Kręci głową z teatralnym rozczarowaniem, potem bierze tacę i z powrotem stawia ją na krześle. Wpatruję się w butelkę ciągle w trzech czwartych pełną i obserwuję ostatnie smużki pary znad zupy. Mallon stoi z lampą w drzwiach.

- Tylko się odezwij. Powiedz coś do mnie... cokolwiek.

Milknie na chwilę, potem kręci głową i wychodzi. Trzaska drzwiami i zamyka je na klucz. Pokój pogrąża się w całkowitych ciemnościach.

#### IV

*Konsekwencje Nienawiści były różnorakie i trudne do przewidzenia. Choć wpływ odczuła ocalała ludność - czyli ci, którzy pozostali po obu stronach Zmiany - skutki Nienawiści sięgnęły o wiele dalej.*

*Sama natura podziału, który rozbił rasę ludzką na dwie nierówne części, wywołała trwale szkody w tych dziedzinach życia, gdzie pracowano wspólnie. Podstawowe usługi załamały się i padły w ciągu kilku dni. Potem nastąpił okres gorączkowych, słabo skoordynowanych wysiłków, gdy priorytetem stały się podstawowe usługi komunalne i obrona. Tam też kierowano większość ludzi i środków. Ale po upływie tygodni nawet najbardziej podstawowe usługi publiczne przestały istnieć. Powstała namiastka rządu (rzecznik był cywilem, ale kontrolę nad rządem objęło wojsko). Rząd ten próbował sterować resztkami infrastruktury kraju. Rady miejskie i okręgowe również albo rozwiązano, albo się same rozproszyły. Zamknięto wszystkie szkoły. Szpitale i służba zdrowia sobie nie radziły. Pozostałości policji i straży pożarnych wchłonęło wojsko.*

*Koncentracja mas uchodźców w zupełnie nieprzygotowanych do tego miejscach również powodowała ogromne, praktycznie nierozwiązywalne problemy logistyczne i bytowe.*

*Brakowało żywności, mieszkań oraz podstawowej opieki medycznej. Ponadto dostawy wody, gazu, elektryczności bardzo szybko się załamały, gdyż obsługa wodociągów, gazowni i elektrowni porzuciła pracę, a urządzenia zniszczono lub unieruchomiono. Ponieważ wszyscy bez wyjątku zostali wciągnięci w wojnę, najdłużej działały urzędnicy niewymagające obsługi przez człowieka.*

*Ewakuacja mas Zwykłych do obozów w śródmieściu tylko zwiększyła problemy z którymi borykały się władze. Bardzo ograniczone usługi komunalne - dostępna woda, gaz i prąd zostały w całości skierowane na potrzeby armii. Wojsko miało pierwszeństwo. Pieprzyć cywili, trzeba wygrać wojnę. Pozbawione należytych dostaw czystej wody i podstawowej opieki medycznej, obozy uchodźców wkrótce stały się wylegarniami chorób. Dolegliwości uprzednio z łatwością leczone nagle stały się zabójcze, a niewielkie ogniska zachorowań szybko stawały się przyczyną epidemii. Większość trupów zbierano i palono, ale dziesiątki ciał gniło w ukryciu. Niemal zupełnie brakowało urządzeń sanitarnych, co dramatycznie powiększało problem.*

*Zamknięte w miastach masy uchodźców wytwarzały ogromne ilości śmieci, których nie zbierano i nie przerabiano. Narastające góry odpadów stanowiły bezpośrednie zagrożenie fizyczne oraz przyspieszały rozwój chorób. Szczury i inne szkodniki żerowały w zapasach żywności. Studzienki i kanały albo zostały uszkodzone podczas walk, albo szybko się zapchały.*

*Majowe upały a do tego częste ulewy jeszcze bardziej pogorszyły standardy życia w obozach uchodźców.*

*Każde pomieszczenie, w którym dało się mieszkać, przeznaczono dla uchodźców; ale popyt nieubłaganie przekraczał podaż. Mnóstwo ludzi nie znalazło dachu nad głową. Niektórzy żyli w namiotach, przyczepach lub kontenerach, większość jednak zamieszkała w szalaszach skleconych z rozmaitych materiałów. Mimo to ponad trzydzieści procent uchodźców musiało wegetować pod gołym niebem - setki tysięcy wyczerpanych, bezbronnych, niedożywionych ludzi pozostawiono na łasce żywiołów.*

*- Zatkajcie to! - ryknął Mark, kiedy woda deszczowa zaczęła wlewać się przez wybitą szybę pokoju na najwyższym piętrze hotelu. Normalnie o tej porze, rano, pokój był już dobrze oświetlony, ale teraz w pomieszczeniu panował niemal smolisty mrok. Niebo nad miastem napuchło od deszczowych chmur. Już od kwadransa krople deszczu padały z siłą kul karabinowych i nic nie wskazywało na to, że ulewa ustaje. Rynny zniszczonego starego budynku nie mogły poradzić sobie z masami przepływającej wody. Woda z zatkanej rynny przelała się, dostała za deski okapu, a potem sączyła przez futrynę okna. Strumienie lały się przez zbitą szybę.*

*- Czym to zatkać? - krzyknęła Kate. Łapała wodę w wiadro, puszki, kubki i inne naczynia.*

*- Nie wiem. Zostań tutaj, pójdę i coś znajdę.*

*- Nie wychodź - błagała. Odwróciła się, chcąc go zatrzymać, lecz cięża utrudniała jej ruchy.*

*- Proszę, Mark.*

- Tylko do końca korytarza, dobrze?

Nie dał jej czasu na odpowiedź. Obszedł podwójne łóżko, gdzie w zimnie leżeli zgnębieni, wystraszeni, mokrzy rodzice Kate, potem minął stale zamknięte drzwi łazienki. Otworzył z klucza główne drzwi, odpiął zabezpieczający łańcuch i wystawił głowę na zewnątrz. Na korytarzu przebywała jedynie garstka ludzi - przemoczona kobieta z sąsiedniego pokoju (która najwidoczniej miała podobne problemy, co on) i Chińczyk z trójką dzieci, który sypiał w zepsutej windzie. Mark spojrzał w górę i w dół i dostrzegł drewnianą klapę na ścianie między dwoma pokojami naprzeciwko. Węża przeciwpożarowego, który tkwił kiedyś za małymi kwadratowymi drzwiczkami, już tam nie było. Mark pociągnął klapę i pchnął ją z góry. Poczul, że zawiasy słabną. Po kilku sekundach szarpania posypały się drzazgi, rozległ się trzask i klapa ustąpiła. Mark pobiegł z nią z powrotem do pokoju 33, a po drodze ściągnął jedyną zasłonę, która zwisała obok wielkiego okna balkonowego, wychodzącego na ulicę. Jezu Chryste, sytuacja na dole wyglądała źle. Tłumy ludzi kulili się przy ścianach budynków, rozpaczliwie szukając jakiegoś schronienia. Sama Arley Road, szeroka, raczej prosta i lekko opadająca ulica, przypominała rzekę. Wartki prąd wody deszczowej mknął po niej ku centrum miasta, niosąc masę śmieci.

Mark wrócił do pokoju i podał Kate zasłonę. Dziewczyna zaczęła wycierać wodę, która płynęła kaskadami po szybie i zalewała parapet i podłogę.

- Kto to? - ryknął przerażony i zdezorientowany ojciec Kate. Starszy mężczyzna po raz pierwszy od kilku godzin uniósł głowę znad poduszek. - Czy to jeden z nich?

Obok niego matka Kate leżała na boku, łkając. Brudną pościel podciągnęła pod samą brodę.

- To tylko Mark, tato - krzyknęła Kate.

- Joe, to ja - powiedział Mark. Pochylił się nad staruszką, by ten zobaczył jego twarz. Starzec już dawno zgubił okulary. Mark nie wiedział, czy ten go rozpoznaje.

Zasłonił klapą wybite okno i jak najsolidniej starał się ją umocować.

- Zbieraj wodę - powiedział Kate.

- Co takiego?

- Deszczówkę... zbieraj ją!

- Do czego?

- Do wanny.

Kiedy potop został czasowo zahamowany, Kate przeniosła na wpeł wypelnione wiadro przez pokój, klapiąc bosymi stopami na wilgotnej wykładzinie. Zapukała do drzwi łazienki.

- Wpuść mnie.

Po krótkiej pauzie szczęknął zamek i drzwi łazienki się otworzyły. Pojawiła się w nich kobieta o zapadłej, wychudzonej twarzy. Banitka, jak wszyscy.

- Wszystko w porządku? - zapytała. Kate skinęła głową.

- Mark powiedział, że powinniśmy nabrać wody do wanny.

Kobieta skinęła głową i wzięła od niej wiadro. Mark podał jej kilka pełnych kubków z wodą, którą zebrał spod okna.

- Warto zgromadzić jej jak najwięcej - stwierdził, odbierając puste wiadro. Kobieta bez słowa skinęła głową.

Po chwilowym zatamowaniu wody Kate, wyczerpana, usiadła na wilgotnym krześle obok rodziców. Jej matka nadal łkała, ale Kate nie mogła się zdobyć na słowa pociechy. Zamknęła oczy i powiodła rękami po wypukłym brzuchu.

Mark wziął ostatni garnek z wodą i zaniósł go do łazienki. Deszcz chyba w końcu zelżał. Kobieta kryjąca się w łazience wzięła od niego kubek i wylała wodę do wanny.

- Dziękuję, Lizzie - powiedział.



Już tego nie wytrzymam. Od wyjścia Mallona musiało upłynąć na pewno kilka godzin. Nie czuję zapachu zupy, ale wiem, że miska tu stoi i bardzo chce mi się jeść. Kiszki mi się skręcają i dosłownie pękają. Ból jest nie do wytrzymania, jakby moje ciało samo się zjadało od środka. Próbuję nie myśleć o głodzie, ale za to pojawia się frustracja. Frustracja przechodzi w zamęt, a zamęt zmienia się w strach. A ten potęguje tysiącrotnie ból barków, ramion i nóg. Staram się leżeć spokojnie, ale nawet najmniejszy ruch jest męczarnią.

Co to było? Coś się po mnie rusza. Jakby owady pełzły po swędzącej nodze. Może to rzeczywiście owady? Nie widziałem swojej nogi, odkąd tu leżę przypięty. Może swędzenie to otwarta, nieopatrzona rana? Może wdało się zakażenie, a czerwie i robaki, i Bóg wie co jeszcze żywią się moim ciałem? Czuję, jak wkręcają się i wiercą wewnątrz rany, drażnią tunele, przegryzają się przez skórę.

Nagle wrażenie to ustaje.

Czy działa moja wyobraźnia? A może łąziło po mnie coś większego? Mysz albo szczur?

Jedynym bodźcem zmysłowym jest odgłos kapiącej wody. Teraz niemal ciągły, jak strzelający karabin maszynowy. Do cholery, ani na chwilę nie ustaje.

Mogę to zakończyć. Muszę jedynie rozmawiać, powiedział Mallon. Pozwól mi odnieść tylko to jedno małe zwycięstwo, a ja dam ci trochę światła, jedzenia i wody. Chryste, tak strasznie chce mi się pić...

Otwieram usta, by krzyknąć po pomoc, ale się powstrzymuję. Co mi się roi? Zapomniałem, kim jest Joseph Mallon i co jemu podobni zrobili (i nadal robią) moim ludziom? Jest przecież jakaś przyczyna, że to wszystko się stało. Gdyby nie oni, nie musielibyśmy zabijać i moja rodzina nadal żyłaby razem. Musieliśmy ich zabić w obronie własnej. Ta cała wojna toczy się w obronie własnej... to jedyny powód. Oni nas do tego zmusili. I ja miałbym jednego z nich błagać o litość... Chryste, co ze mnie byłby za człowiek, gdybym to zrobił? To jak zbezczeszczyć pamięć tych wszystkich, którzy w tej walce polegli.

Ale czemu nie?

Dlaczego nie miałbym się odezwać?

Nikt się nie dowie. A jakie mam inne wyjście? Leżeć tu i umrzeć z głodu czy przełknąć dumę i współpracować?

Nie... w żadnym wypadku... wtedy by mnie mieli. Chcą, żebym właśnie w ten sposób myślał. Wywierają na mnie presję i próbują mnie złamać i zmusić do poddania się. Dlaczego miałbym to zrobić? Jestem silniejszy od nich. Pokonam ich sprytem i wezmę ich na przetrzymanie. To ja ich złamię, a nie oni mnie. Kiedy sprawa się zakończy, to oni polegą pokonani, a nie ja. Będę stał nad nimi z rękami umazanymi ich krwią.

Tylko że teraz nie mogę wstać. Teraz nie mogę się ruszyć. Teraz nie mogę zrobić niczego bez przyzwolenia tego pieprzonego Mallona. Na litość boską, leżę na łóżku we własnych odchodach i prawie nie potrafię myśleć logicznie. Nie wiem, jaka to pora dnia, nie wiem, gdzie jestem ani kto mnie tu przetrzymuje... i nic się nie zmieni, chyba że ktoś ustąpi. Nie mają nic do stracenia. A może Mallonowi sprawi to jakąś wynaturzoną frajdę, jeśli umrę. Będą mieli jednego Wściekłego mniej. Ale co się stanie, jeśli nadal będę odmawiał współpracy i zamienię się w nicość w tych nieskończonych ciemnościach? Nigdy już nie zobaczę Ellis. Prawdopodobnie i tak jej nie znajdę, ale jeśli będę tu zamknięty, na pewno nigdy jej nie zobaczę.

I muszę jeść i pić. Głód bardzo mi doskwiera.

Zrobię to.

Odchrząkuję, ale na tym koniec.

Znów brak decyzji.

Podsumowując: jaki użytek z uwięzionego ojca ma Ellis?

Ktoś musi ustąpić.

Próbuję krzyczeć, ale głos mam schrypnięty i z gardła wydostaje się jedynie żalony, stłumiony

jęk. Przez chwilę czuję ulgę, potem mówię sobie: musisz to zrobić. Ale teraz nie mogę nawet zgromadzić w ustach dość śliny, żeby wydać z siebie głos. Sfrustrowany, próbuję znowu, tym razem nieco głośniejsze. Udaje mi się wykrztusić ni to słowo, ni to kaszlnięcie, ale zaraz tego żałuję. Czuję się jak zdrajca w zмовie z wrogiem. Może o to chodzi? Może są to ludzie Chrisa Ankina? Testują moją lojalność?

Czekam i nasłuchuję pełen nadziei. Przez plusk kąpiącej wody słyszę odgłosy dalekiej walki, strzały z broni palnej i ostrzał artyleryjski, od czasu do czasu ryk odrzutowca śmigającego po niebie. W samym budynku natomiast panuje cisza większa niż poprzednio. Czy jestem tu sam? Wiele wskazuje na to, że leżę w ostatnim zajęтым pokoju rozpadającej się ruiny. Joseph Mallon może już dawno poszedł...

Krzyczę ponownie, tym razem tak głośno, że chyba gardło rozrywa mi się od środka.

Leżę na łóżku, jest mi przeraźliwie zimno, cuchnę moczem i czuję się żałośnie. Czy naprawdę jestem głupcem, naiwnym desperatem, który wierzy, że Mallon wróci i da mi jeść?! Wrzeszczę. Tym razem raczej z frustracji. Milknę. Czyżbym coś słyszał? Dźwięk jest bardzo słaby. To efekt mojej wyobraźni? Nie, znowu słyszę... wyraźny odgłos zbliżających się kroków. Czuję ulgę i strach w równych proporcjach.

Joseph Mallon wkracza z latarką do pokoju. Świeci mi w twarz.

- Mówiłeś coś?

Krztuszę się z emocji, jestem pełen nienawiści i zbyt wściekły, by odpowiedzieć. Mallon kieruje latarkę na krzesło, gdzie stoi

taca z zupą, która już wystygła, ale nadal jej chcę. W snopie światła woda w butelce iskrzy się, jest klarowna i czysta. Mallon podchodzi do okna, wygląda na zewnątrz, potem odwraca się i znów świeci na mnie latarką.

- Wydawało mi się, że coś powiedziałeś.

Ciągle nie mogę mówić. Słowa więzną mi w gardle i duszą mnie. Tak jakby pasek z czoła przesunął się na szyję i uniemożliwia mi mówienie. Chcę, ale nie mogę...

- Pomyliłem się - wdycha Mallon. - Wybacz, że ci przeszkodziłem.

Wychodzi przez drzwi.

- Nie...

Przystaje na dźwięk mojego głosu. Odwraca się i patrzy na mnie. W słabym żółtawym świetle latarki wydaje się stary i zmęczony, ale powoli grymas niezadowolenia malujący się na jego twarzy zmienia się w szeroki uśmiech.

- Dobrze! Wiedziałem, że to zrobisz.

Nic więcej nie mówi. Nie wciąga mnie w rozmowę, wbrew moim obawom. Nie próbuje swoich sztuczek psychologicznych. Po prostu bierze plastikową butelkę i strumieniem leje mi wodę do ust. Jak cudownie smakuje... zwietrzała, ciepła, orzeźwiająca woda. Przetykam, czuję, jak cieknie mi przez gardło. Bogu dzięki...

Butelka jest pusta. Teraz Mallon wlewa we mnie kilka łyżek zupy. Dławię się tą zimną, kluchowatą pełną chrząstek breją, ale zmuszam się do przełknięcia, bo wiem, że pozwoli mi nabrać energii i składników odżywczych, utraconych podczas pobytu w tym zamknięciu. Gdy kończę jeść, Mallon lekko poluźnia mi łańcuchy na nadgarstkach. Nadal są przymocowane do łóżka, ale przynajmniej mam minimalną swobodę ruchów. Wreszcie mogę poruszać ramionami i rękoma i czuję tak wielką ulgę, że nie sposób jej opisać.

- No i co ci to szkodziło? - Uśmiecha się i wychodzi, zamykając drzwi na klucz.

22

Otwieram oczy i tym razem wąski pokój jest pełen długich cieni. O szyby bije deszcz, a woda w kącie już nie kapie, lecz cieknie stróżką. Odchylam głowę jak mogę najdalej i widzę, że płyta z okna została odsunięta. Zapewne zrobił to Mallon, gdy tu ostatnio był. Jest tylko lekko odsunięta, ale to wystarczy: przyćmione linie światła padają na przeciwległą ścianę i sięgają połowy

odległości między oknem a przekrzywionym krucyfiksem. Chyba spałem przez pewien czas. Żałuję, że się odezwałem. Czuję się jak zdrajca, jakbym zdradził samego siebie i własną grupę. Jakbym utracił człowieczeństwo, bo odezwałem się do Mallona. Ale gdybym tego nie zrobił, prawdopodobnie nadal leżałbym nieruchomo w całkowitej ciemności z nogami i rękami przykutymi do łóżka i z pustym żołądkiem. Przekonuję samego siebie, że nie przekazałem żadnej informacji (i tak nic nie miałem do powiedzenia) i nikogo nie naraziłem na szwank prócz siebie. Obowiązuje reguła, że przeżyją najlepiej przystosowani, i jeśli utknę w tym miejscu, to będę udupiony, gdy zacznie się następna walka. A na pewno się zacznie...

Słyszę, że na zewnątrz coś się dzieje, ktoś się porusza za drzwiami. Nagle otwiera się z klucza zamek i do pokoju energicznie wkracza Mallon. Hałas mnie zaskakuje. Przeklinam się: zabrakło mi koncentracji i nie spostrzegłem, że on jest już tak blisko. Nie mogę sobie pozwolić na taki brak czujności. Leżąc tu, jestem odsłonięty i bezbronny. Jeśli postanowi mnie zaatakować, koniec ze mną.

Stawia na krześle nową butelkę wody i zamyka drzwi.

- Jak się czujesz, Danny?

Nie odpowiadam. Pochyla się nade mną i patrzy mi w twarz. Instynktownie chcę go zaatakować, zapominam o łańcuchach. Moje ramiona są jak zwichnięte, obolałe barki, jakby wypadły z panewek stawowych. Mallon stoi w pewnej odległości, nieporuszony.

Skurwiel. Chcę widzieć strach i nienawiść w jego twarzy, ale twarz ma bez wyrazu. Znow ze mną pogrywa. Te jego pieprzone gierki.

- Dajmy tu więcej światła, żebyśmy się lepiej nawzajem widzieli - mówi, podchodząc do okna. Całkowicie odsuwa płytę i po raz pierwszy widzę wszystkie zakamarki tego małego, prostokątnego pokoju, w którym przetrzymują mnie jak więźnia. Jest brudny, zniszczony, drzwi są pokryte brudnymi odciskami dłoni, jakby ktoś w nie walił, żeby się stąd wydostać. A ściany pomalowano na różowo! Bóg jedne wie, co to za miejsce. Na pewno nie więzienie (w oknach nie ma krat), ale ten pokój to z pewnością cela.

Mallon cały czas obserwuje mnie uważnie. Kuca przy mnie i sięga pod łóżko. Ciągnie za łańcuchy, prawdopodobnie chce je mocniej zacisnąć. Wstaje i cofa się, a ja czuję, że mogę z większą swobodą poruszać lewą ręką. Rzuca mi butelkę wody - jestem w stanie ją złapać. Otwieram zębami zakrętkę i wypijam wodę do samego dna. Zgniatam pustą butelkę i machnięciem dłoni w nadgarstku odrzucam ją Mallonowi. Drań jedynie uśmiecha się z zadowoloną miną.

Lekko przesuwa ku mnie krzesło i ostrożnie je stawia, jakby w tym miejscu na podłodze przebiegała szczególna linia, za którą jest bezpieczny. Siada, a potem długo i twardo wpatruje się we mnie. Wytrzymuję jego spojrzenie, postanawiam, że nie spuszczę oczu jako pierwszy. To on mi ułatwia sytuację i odwraca wzrok.

- Jesteś tu prawie dwa dni, Danny - mówi - i nie dostałeś żadnej odpowiedzi na nurtujące cię pytania. Mogę się założyć, że jeśli jesteś podobny do reszty waszych ludzi, z którymi miałem do czynienia, to prawdopodobnie nie zadasz jeszcze tych pytań. Co więcej, mam świadomość, że gdybym bardziej poluzował łańcuchy, próbowałbyś wyrwać się z łóżka i zabić mnie.

Ma rację jak cholera. Niczego bardziej nie pragnę, jak owinąć mu łańcuchy wokół szyi i wydusić życie z tego podłego, żalostnego sukinsyna. Ale wiem, że nic takiego nie zrobię. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Dziś proszę, żebyś leżał spokojnie i słuchał mnie - kontynuuje głosem niskim i denerwująco spokojnym. - Chcę ci opowiedzieć swoją historię. Podobne rzeczy słyszałeś już setki razy. Może nie dokładnie takie, ale mogę się założyć, że widziałeś mnóstwo podobnych sytuacji. Do diabła, na pewno sam robiłeś gorsze rzeczy niż to, co ci opowiem. Widzisz, Danny, tacy ludzie jak ty zrujnowali mi życie. Przez ciebie wszystko straciłem. Rozerwałeś mój świat na strzępy...

Czego on ode mnie oczekuje? Litości? Przeprasin? Odczuwam przyjemność, że sprawiliśmy mu cierpienie, i chciałbym więcej o tym słyszeć. Poznać wszystkie szczegóły. Pragnę wiedzieć, jaką mu wyrządziliśmy krzywdę i w jaki sposób to robiliśmy.

- Wyobraź sobie, Danny, następującą scenę - zaczyna głosem nazbyt spokojnym. - Jest piątkowy wieczór i właśnie wróciłem z pracy do domu. Nie będę cię zanudzał szczegółami o tym, gdzie przedtem mieszkalem i co robiłem zawodowo, ponieważ, szczerze mówiąc, to było nudne. Tylko że to było moje życie, moje zwykłe sprawy, i byłem z tego zadowolony. A ty i twoi ludzie odebraliście mi to wszystko.

Jest opanowany, ale pod powierzchnią spokoju wyczuwam wrzące emocje. Czyżby się rozklejał? Chcę widzieć, jak ten drań cierpi, chcę widzieć jego ból. Milknie, zamyka oczy, oddycha głęboko i kontynuuje:

- To się wydarzyło na wczesnym etapie. Pamiętasz te pierwsze dni, gdy sądziliśmy, że w zasadzie nie ma problemu i że na ulicach walczą tylko członkowie samozwańczych oddziałów samoobrony, którzy naśladują to, co widzieli w telewizji? Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że ludzie tacy jak ty naprawdę się zmienili. W tamtych dniach nie było jeszcze w nas takiego przerażenia jak później, bo później ze strachu przestaliśmy sobie patrzeć w oczy. Pamiętasz? Odruchowo patrzy na mnie, oczekując odpowiedzi, ale jej nie dostaje.

- Jak już mówiłem, to był piątkowy wieczór. Skończyliśmy kolację i oglądałem wiadomości w telewizji. Mówili, że sprawy toczą się w złym kierunku. Żona była w kuchni, kłóciła się z Keishą, naszą siedemnastoletnią córką, która chciała wyjść z domu. Matka mówiła to, co mówią wszystkie zatroskane matki. Że nie lubi, jak córka wychodzi z domu podczas weekendu, a zwłaszcza teraz, kiedy jest tak niespokojnie na ulicach. Wyobrażasz to sobie. Więc siedzę sobie z nogami na podnóżku i próbuję odizolować się od domowego hałasu i skoncentrować na tym, co mówią w telewizji, ale dyskusja w kuchni przybiera na sile. Keisha krzyczy na Jess, Jess krzyczy na Keishę, ta się odszczekuje, a ja wpatruję się w ekran i marzę tylko o tym, żeby obie się zamknęły...

Znów milknie, a ja w nagłej ciszy przypominam sobie te wszystkie kłótnie z dziećmi przed telewizorem; tak mnie nękały w poprzednim, pozbawionym perspektyw życiu. Szybko się koryguję. Czyżbym się identyfikował z tym skurwielem? Może właśnie o to mu chodzi? To prawdopodobnie kolejna bzdura, manipulacja, próba przekabacenia mnie.

- Krzyki są coraz głośniejsze - mówi - i słyszę, jak kuchenne drzwi otwierają się i zatrząskują, ale nagle uświadamiam sobie, że ciągle słyszę oba głosy. Potem trzask i jedna z nich zaczyna wrzeszczeć, potem głuchy odgłos i kolejny trzask. A potem wrzaski ustają. Patrzy prosto na mnie. Po policzkach spływają mu łzy. Wyciera je rękawem.

- Wstaję, odwracam się i ruszam w stronę kuchni, i widzę tego faceta w środku kuchni. Stoi tyłem do mnie, a u jego stóp leżą moje dwie kobiety. Od razu wiem, że nie żyją. Zbir ma w dłoni kij baseballowy ociekający krwią. Widzę tylko nogi Keishy, Jess leży metr ode mnie na plecach, jej twarz... Chryste, z twarzy nic nie pozostało, jakby cała czaszka się zapadła. Tam, gdzie była jej piękna twarz, jest tylko ciemna, krwawa jama... Ten nasz domek to był mały, skromny, wąski szeregowiec, znasz przecież takie mieszkania. Zacząłem się cofać z kuchni, modląc się, żeby morderca mnie nie zobaczył. Jestem w połowie pokoju, gdy tamten rusza. Pod schodami mieliśmy szafę z żaluzjowymi drzwiami. Opuszczam się na ręce i kolana, wpełzam za kanapę, chowam do szafy i zamykam się w środku. Najgorsze jest to, że wszystko dokładnie widzę. Ten człowiek robi krok nad ciałem mojej żony i wchodzi do salonu. Drań płacze jak dziecko. Już nawet sobie nie przypominam, jak on wyglądał, pamiętam tylko, że lamentował i szlochał, jakby to on właśnie znalazł swoją martwą rodzinę. Przypuszczam, że Zmiana właśnie przed chwilą go dopadła. Rozumiesz, żałował tego, co zrobił, i wciąż nie mógł się z tym pogodzić. Powiedz mi, Danny, z tobą też tak było?

Myślę o tamtej chwili tuż po zabiciu Harry'ego, czułem wtedy popłoch i zamęt. Ale nic nie mówię. Mallon wyciera oczy i kontynuuje:

- Po pewnym czasie facet się uspokaja. Siada na kanapie, jakby był tu właścicielem, i ogląda telewizję. Częstuje się nawet moim piwem, bierze sobie parę puszek z lodówki. Spędza w moim domu kilka godzin, gdy ja tkwię zamknięty w szafie, tak jak ty jesteś tu zamknięty. Tylko że ty nie

musisz patrzeć na zmasakrowane ciała ludzi, których kochałeś nade wszystko na świecie. W jego głosie słyhać gorycz, ale ja nadal nie reaguję. Zastanawiam się, jak długo jeszcze potrwa ta opowieść tego żalosego sukinsyna.

- W końcu facet podniósł się i wyszedł. Nawet nie rozejrzał się po całym domu, po prostu wstał i wyszedł. A ja nie miałem odwagi, żeby go zatrzymać i zaatakować. Początkowo chciałem zostać przy swoich dziewczynach, ale nie mogłem, tak były zmasakrowane.

Jeśli kobiety były Zwykle, musiały zginąć. To oczywiste. Już mu chcę to powiedzieć, gdy Mallon podejmuje przerwana opowieść. Znowu jest nieco bardziej opanowany.

- Na pewno już wcześniej słyzałeś takie historie. Ale gdy mnie to spotkało, postanowiłem, że nie ujdzie im to na sucho, i szukałem zemsty. Może trudno w to uwierzyć, kiedy patrzy się na mnie, ale wyszedłem na ulicę i szukałem kłopotów. Dość szybko się zorientowałem, że nic z tego. Wplątałem się w rozmaite nieprzyjemne sprawy. Nikogo nie zabiłem, choć kilka razy ledwie uniknąłem śmierci. Przystąpiłem do oddziału samozwańczej milicji. Parę razy było naprawdę gorąco. A wiesz dlaczego? Bo ludzie myśleli, że jesteśmy tacy jak wy! Widzieli, jak próbujemy bronić swego i odegrać się, i uważali, że jesteśmy Wściekłymi. A potem po paru tygodniach wycofałem się z tego wszystkiego i uświadomiłem sobie, że mają rację. W zasadzie nie było żadnej różnicy między nami i ludźmi takimi jak ty. Pomyślałem o mężczyźnie, który zabił moje dziewczyny, i przypomniało mi się, jak płakał. Zrozumiałem: on nie chciał ich zabić, tylko myślał, że musi zabić. Joseph wstaje z krzesła i podchodzi do okna. Cały czas stara się pozostać poza ograniczonym zasięgiem moich rąk. Staje na palcach i wygląda na zewnątrz.

- A to prowadzi do głównego punktu mojego porannego kazania - mówi z uśmiechem. - Uważaj, Danny, musisz tego dokładnie wysłuchać! Kiedy przestałem walczyć, życie znów stało się lepsze. Dla ciebie to może brzmieć jak bzdura, ale to prawda. Już się poddałem. Myślałem, że już nigdy nic się nie poprawi i że nic nie mogę zrobić, żeby przywrócić życie Jess i Keishy, ale zrozumiałem, że zemsta nie jest rozwiązaniem. Nie można zwalczać ognia ogniem. Wiesz, o czym mówię?

Odsuwa się od okna i przemierza krokami mały pokój.

- I wtedy natknąłem się tutaj na ludzi, którzy doszli do takich samych wniosków. Zdałem sobie sprawę, że nieważne, co spowodowało te wszystkie wydarzenia; najważniejsze jest to, żeby położyć temu kres, póki nie jest za późno. Właśnie o to nam chodzi. Nasze działania to jak robienie przecinki w lesie. Wiesz, co mam na myśli? Kiedy strażacy próbują powstrzymać pożar lasu, czasami w pewnej odległości od objętego pożarem obszaru wypalają pas ziemi. Gdy ogień dociera do tego pasa, nie ma czego trawić i gaśnie. My działamy podobnie. Każdy z nas ma za sobą doświadczenie walki. Braliśmy udział w bitwach. Więc gdy człowiek taki jak ty dociera do nas ze swoją nienawiścią, nie znajduje dla niej pożywki. Gasimy ogień. Zapobiegamy pogorszeniu sytuacji.

Siada i kieruje wzrok prosto na mnie. Co on sobie myśli? Czy naprawdę wierzy w te wszystkie brednie, które tu mi wciska? Patrę w jego ciemne brązowe oczy i myślę tylko o tym, że chcę jego śmierci, tak jak chcę śmierci wszystkich jemu podobnych. Ale jest mała różnica. Inni, których zabiłem, patrzyli na mnie z nienawiścią w oczach. On nie. Z Mallonem jest inaczej. Czy w tym, co mi powiedział, jest ziarno prawdy, czy to całkowita bzdura? Chce mnie dręczyć? Osłabić mnie i obrabiać psychologicznie, a potem mnie zabije? Prawdopodobnie chce mnie zaskoczyć. Zaatakuje, gdy tylko moja obrona osłabnie.

Znów zaczyna mówić.

- Nieważne, kim jesteś i po której stoisz stronie. Każdy odruchowo reaguje na nienawiść w taki sam sposób. Instynkt samozachowawczy przeważa nad innymi. Każdy walczy. Każdy chce przeżyć. Dlatego wszystko się tak szybko rozpadło. Pierwszy przejaw kłopotów i wszyscy zwracamy się przeciw wszystkim, żeby się bronić. I wbrew propagandzie i bzdurom, którymi nas karmiono na samym początku, czy wiesz, która strona była gorsza?

Odruchowo kręcę głową, którą ciągle mi krępuje szeroki pasek.

- Nasza - odpowiada na własne pytanie. - I nadal tak jest. Czy widziałeś organizowane przez nas masakry? Komory gazowe! Na litość boską! Przez lata uczyliśmy kolejne pokolenia o Holokauście, twierdząc, że nie dopuścimy, by się to ponownie powtórzyło. A potem, gdy jest to wygodne i gdy sami stajemy w obliczu niebezpieczeństwa, zapominamy o wszystkim, w co kiedyś wierzyliśmy, i uciekamy się do ludobójstwa. Zgładzone setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Mówię ci, Danny, wstydzę się, że jestem człowiekiem.

Chryste, czy w tym, co ten facet mówi, jest jakiś sens? Nie bądź głupi, powtarzam sobie, to Zwykły. Zapadła cisza i usiłuję się skoncentrować na kapiącej wodzie w kącie pokoju. Nie dam się zrobić Mallonowi i nie dam się nabrać na jego gierki, postanawiam.

- Zadam ci pytanie - oznajmia nagle. - Co się stanie, jeśli pozwolimy, żeby sprawy toczyły się własnym biegiem?

Czeka w napięciu na odpowiedź, choć dobrze wie, że jej ode mnie nie usłyszy. Dokładniej: nie mogę odpowiedzieć. O przyszłości ośmielam się myśleć tylko w najbardziej mrocznych chwilach, w skrytości. Dotychczas miałem stały dopływ adrenaliny, bo toczyłem jedną walkę za drugą, jedną za drugą, i to mi wystarczało. Ważniejszą sprawą jest przeżyć dzień dzisiejszy niż myśleć o jutrze.

- A co się stanie, jeśli nie uda nam się przerwać tego cyklu? Jak się to wszystko skończy? Gdybym ci zaufał, zdjąłbym ci łańcuchy i wyprowadził cię na zewnątrz, zobaczyłbyś tylko ruiny i gruzy. Nie jesteśmy tu bezpieczni - już nikt nie jest bezpieczny - ale nasze położenie jest lepsze niż pozostałych. Świat się rozlatuje, ale ludzie stają się silniejsi. Przeszukiwaliśmy ruiny, wypatrując osób takich jak ty, żeby je poddać rehabilitacji. Zamierzamy utworzyć zaporę przeciwpożarową i powstrzymać rozprzestrzenianie się bólu i nienawiści.

Wstaje pośpiesznie, jakby sobie przypominał, że ma coś pilnego do roboty. Odsuwa krzesło, zbliża się do łóżka, i nagle bliskość Mallona skłania mnie do reakcji. Szybko wyciągam do niego lewą rękę, ale łańcuch napięty z całej siły ciągnie mnie za nadgarstek. Mallon nawet nie drgnie, ale widzę, jak obserwuje mnie przez ramię. Specjalnie się zbliżył, żeby się przekonać, czy gryzę. Patrzę na niego uważnie, gdy idzie do drzwi; próbuję powściągnąć swoją agresję. Zapomniałem się.

- Na razie dosyć. Może za pewien czas przyniosę ci trochę jedzenia i wody. Do zobaczenia. Spróbuj się odprężyć. Zbieraj siły, będziesz ich później potrzebował.

Do diabła, co on przez to rozumie? Szybko podchodzi do okna i zasłania je płytą. Do pokoju powraca nieprzenikniona czerń. Nie mogę już tego wytrzymać. Nie zostawiaj mnie znów w ciemności, proszę! Stoi w drzwiach i patrzy na mnie, czeka na moją reakcję. Zaczyna zamykać drzwi.

- Zaczekaj... - mówię, zaskoczony brzmieniem własnego głosu. Ale jest już za późno. Drzwi się zamknęły i Mallon odszedł, a ja słyszę tylko spadające krople w kącie pokoju.

23

Wydaje mi się, że od tamtej chwili minęła wieczność. Mallon wbiega do pokoju, nie patrzy na mnie ani się nie odzywa. I, o dziwo, drzwi pozostawia otwarte. Widzę za nimi dwóch Zwykłych i puls mi przyspiesza. Czy to kaci? Ale to by przeczyło wszystkiemu, co mi dotychczas powiedział. Nie wiem, co o tym myśleć. Straciłem rozeznanie, co jest bzdurą, a co prawdą.

Mallon usuwa pasek z mojego czoła, potem kładzie się na podłodze i majstruje przy łańcuchach pętających mi ręce i nogi. Próbuję unieść głowę i popatrzeć, ale nic nie widzę. Mallon zniknął pod łóżkiem i przez kilka minut robi tam nie wiadomo co, wreszcie wypęza i się otrzepuje. Staje po drugiej stronie pokoju i patrzy na mnie.

- No, i gotowe. Teraz możesz...

Nawet nie dokończył zdania, gdy uświadamiam sobie, że kajdany zostały odcepione od ramy łóżka. W jednej chwili gwałtownie się obracam - och, jak boli! - wykonuję zamach ciałem i wstaję. Moje nogi i ręce są zimne, zdrętwiałe, ciężkie, nie reagują, ale wiem, że mam szansę zabić Mallona. Podnoszę obolałe ręce, a między nimi odcinek łańcucha; chcę owinać to skurwielowi

wokół jego brudnej szyi i wydusić z niego życie. Rzucam się naprzód, ale z łatwością robi unik i podstawia mi nogę. Padam na bok tak szybko, że nie zdążam wyciągnąć dłoni dla asekuracji. Lewym barkiem zawadzam o krawędź krzesła, a głową uderzam o ścianę. Przewracam się na plecy w strasznym bólu, w głowie mi się kręci, wzrok mam mętny. Mallon stoi nade mną, przygląda mi się, kręci głową i cmoka z niezadowolaniem.

- Uważasz mnie za głupca?

Odsuwa krzesło i wzdycha rozczarowany.

- Naprawdę, Danny, nie słuchałeś tego, co do ciebie mówiłem? Niczego sobie nie przemyślałeś? Im więcej walczysz, tym mniej osiągniesz.

Podczas zamieszania, gdy przypuściłem ten żalosny atak, kopniakiem zamknąłem drzwi. Teraz znów się otwierają i Mallon gestem zaprasza do środka dwóch mężczyzn. Jeden z nich -potężny, groźnie wyglądający drań - bierze w ręce łańcuchy zwisające mi z nadgarstków i z niepokojącą łatwością podnosi mnie z podłogi. Staję niepewnie na nogach. Gdyby był jednym z nas, należałby do Brutali, myślę. Chwyta mnie mocno za ramiona; czuję, jakby mnie ściskano w imadle. Nic nie mogę zrobić. Drugi mężczyzna podchodzi do mnie i kładzie mi coś na głowę. To poszewka poduszki, dość cienka, bym mógł oddychać, ale na tyle gęsta, że niczego nie widzę. Łańcuchy na nogach ktoś spina mi kłódką. Pod stopami czuję zimną i mokrą podłogę.

- Uspokój się i panuj nad sobą, to nic ci się nie stanie -mówi Mallon. - Jeśli zaatakujesz, pożałujesz tego.

Czy to groźba, czy tylko ostrzeżenie, żebym postępował według jego zasad? Nie wiem, ale zniknął lekki błysk nadziei, jakiej nabrałem od poprzedniej wizyty Mallona. Teraz w miejsce nadziei pojawił się strach. Co mają zamiar ze mną zrobić? Jestem całkowicie zdany na łaskę tych nędznych sukinsynów i nic nie mogę na to poradzić. Czuję się przegrany, jest mi wstyd, że zostałem pokonany przez Zwykłych. Nawet gdyby udało mi się ich teraz odpędzić, nadal pozostaną zakuty w łańcuchy. Nigdy się stąd nie wydostanę.

- Ruszaj - warczy mi do ucha stojący za mną olbrzym. Głos ma głęboki, donośny, pozbawiony emocji. Pcha mnie prosto w plecy i lecę do przodu, ledwo udaje mi się ustać na nogach i nie potknąć o łańcuchy między stopami. Omal się nie przewracam, ale jeden z mężczyzn - może to nawet Mallon - podtrzymuje mnie i stawia do pionu.

Zwieszam głowę i widzę tylko swoje brudne stopy w łańcuchach. Nogi mam jak z ołowiu, ciężkie, obolałe. Uginają się pode mną, gdy uświadamiam sobie, że to może mój ostatni spacer. Te bzdury o zwalczaniu ognia ogniem, o przerwaniu cyklu... to wszystko kłamstwa - tania, żalosna gadka, żeby mnie czymś zająć i osłabić czujność. A najgorsze jest to, że tak łatwo dałem się nabrać. Powinienem przejrzeć ten podstęp. Próbowali mnie spacyfikować, żeby potem łatwiej było im mnie zabić, gdy będą na to gotowi. Dokąd mnie prowadzą? Przed pluton egzekucyjny? Zostanę ukamienowany? Dadzą mi śmiertelny zastrzyk? Próbuję się przed tym obronić - odwracam się i chcę się im wyrwać - ale skurwiele nic sobie z tego nie robią. Powściągają mnie, ale nie atakują, nie dają nawet tej odrobiny satysfakcji, żeby walczyć ze mną. Gdy przestaję się szamotać, zwalniają uścisk i pozwalają mi na samodzielny marsz. Droga na miejsce ostatecznej karni ciągnie się w nieskończoność. Myślę o Ellis, potem o Lizzie, Joshu i Edwardzie, a ból i frustracja są nie do wytrzymania. Płacę jak małe dziecko, szlocham, trzęsę się. Jakże jestem żalosny.

Skręcamy w prawo. Potykam się przy drzwiach, uderzam się w palec u nogi na niskim progu. To na pewno tu, miejsce przeznaczenia. Jeden z mężczyzn prowadzi mnie przez dużą pustą salę, potem mnie zatrzymuje. Jestem odsłonięty, bezbronny, wystawiony na atak. Czuję, jak ciągnie za moje łańcuchy, zdejmuje mi kajdany z kostek, potem słyszę brzęk metalu, gdy mocno owijają mnie w pasie innym łańcuchem, który przypina do czegoś za mną z tyłu. Czeka i słyszę, jak mężczyzna oddala się w kierunku, z którego właśnie przyszliśmy. Zostawiono mnie samego. Lekko się chwieję, nadgarstki nadal mam spętane, ciężkie nogi są ciągle sztywne i obolałe po wielu godzinach unieruchomienia. Pochyliam się do przodu, aż łańcuch się napina, podtrzymując ciężar mojego ciała. Zwieszam głowę ku bosym stopom. Płacę ze złości i rozpacz, łzy padają na

podłogę. Co ujrzę, gdy zdejmą mi poszewkę z głowy? Czy w ogóle to zrobią? Może zastrzelą mnie, gdy będę miał oczy zakryte. Wyobrażam sobie, że w drugim końcu sali z obu stron Mallona stoi dwóch ludzi z pistoletami wycelowanymi w moją stronę. Mogą strzelić w każdej chwili. Może to ostatnie sekundy mojego życia? Nogi się pode mną uginają, ale postanawiam stać dumnie i wyniośle, zachować się jak mężczyzna. To nie tak powinno się skończyć...

Ktoś zrywa mi poszewkę z głowy i rzuca na podłogę. Na ułamek sekundy zamykam oczy, potem otwieram je szeroko. Mallon odsuwa się ode mnie. W sali jesteśmy tylko on i ja. Jestem przykuty do ściany stalową obejmą. Uczucie strachu maleje i ogarnia mnie niepewna ulga, ale wiem, że to nie koniec. Chociaż jeszcze mnie nie zabił, nie oznacza to, że nie zamierza tego zrobić. W sali jest jasno i chłodno. Na jednej ścianie są okna, ale umieszczone zbyt daleko i wysoko, żebym mógł coś przez nie zobaczyć. Dostrzegam tylko same czubki drzew i ołowiane niebo, nic więcej.

Mallon obserwuje mnie uważnie, potem odwraca się i wychodzi. Co się teraz stanie? Czy to komora gazowa? Nie widzę tu rur ani dmuchaw, ale na brudnej ścianie widnieją czerwono-brązowe plamy i kleksy - cholera, to krew, kał i Bóg wie co jeszcze. Po prawej stronie ode mnie stoją dwa brudne wiadra, jedno pełne wody. Podtapianie? Tortury? Ale przecież nie znam żadnych sekretów, nie mam tajnych informacji, więc czego mogliby się ode mnie dowiedzieć? A może czeka mnie coś gorszego? Czy Mallon zacznie ze mną sadystyczne zabawy? Może mnie nawet zgwałci? Cokolwiek zamierza, nic na to nie mogę poradzić. Ale kiedy to się stanie, będę walczył ze skurwielem i albo on zginie, albo ja.

Wraca, tym razem niesie jedzenie i stos ubrań. Czy to mój ostatni posiłek skazańca?

- Cofnij się - poleca mi, obserwując mnie uważnie. - Do samej ściany.

Robię, co każe. Przesuwam się tyłem do ściany, nie ryzykuję obrotu. Mallon podchodzi do miejsca, gdzie przed chwilą stałem. Nie spuszcza ze mnie oka. Kładzie na podłodze ubrania i jedzenie, a potem się wycofuje. Siada w bezpiecznej odległości.

- Poczęstuj się.

Jestem zszokowany.

- Co takiego? - wrywa mi się.

- Powiedziałem, żebyś jadł. Dziś jedzenie smakuje podle, ale jest ciepłe, a to lepsze niż nic. A ubrania, niestety, należały do człowieka, który umarł, ale przynajmniej nie cuchną moczem jak twoje.

Nie poruszam się. Kiwa na mnie, żebym podszedł bliżej; zbliżam się powoli niczym niedźwiedź okrążający krwawy kawał mięsa umieszczony w potrzasku. Czy jedzenie, które biorę do ust, jest zatrute? Poprzednie nie było. Siadam po turecku i zaczynam jeść. Jestem zbyt głodny, żeby się cokolwiek przejmować. Nie wiem nawet, co jem, ale Mallon ma rację - smakuje podle. Nieważne, grunt że mam coś do żarcia. Szybko zmiatam wszystko z talerza, popijając zatęchłą, ciepłą wodą.

- Lepiej? - pyta Mallon. Wyciąga się na podłodze i jest wyraźnie odprężony. - Potem dam ci więcej. Tu jest dla ciebie mydło, a w wiadrze woda do mycia. Wyszoruj się, Danny. Pozbądź się tego smrodu i stań się znów człowiekiem.

Nie sprzeciwiam się. Wstaję i podchodzę do wiader. Stoją akurat w zasięgu łańcucha. Ściągam brudne szorty i rozrywam podkoszulek - kajdany na dłoniach i tak by mi nie pozwoliły na normalne zdjęcie podkoszulka - i zaczynam się myć. W drugim wiadrze na dnie leży dwucentymetrowa warstwa środka dezynfekującego. Przeznaczenie jest oczywiste. Podsuwam wiadro pod ścianę, kucam i się załatwiam. Wycieram się do czysta starym podartym ubraniem.

Myję się starannie. Potem Mallon rzuca mi koc i wycieram się. Wkładam spodnie, które od biedy pasują, i owijam ramiona kocem, żeby nie marznąć. Idę do Mallona - łańcuch napina się maksymalnie. Sukinsyn siedzi sobie i tylko patrzy na mnie. Wie, że nie mogę go dosięgnąć.

Nagle - jestem kompletnie zaskoczony i nie mogę w to uwierzyć - rzuca mi pęk kluczy i ubrania, które leżały poza moim zasięgiem. Czeka, przygotowuje się psychicznie, wreszcie podchodzi tak blisko, że prawie się dotykamy.



- Chcemy tylko ... - Przerwywam skurwielowi. Chwytam go za kołnierz, obracam go i powalam na podłogę. Usiłuje mnie odepchnąć, ale go pokonałem. Doigrał się. Zaciągam pod ścianę jego kłocowate, pulchne cielsko. Macha żałośnie rękami i nogami. Ujmuję dłońmi luźny odcinek łańcucha, pętającego mi nadgarstki, i okręcam go wokół szyi Mallona. Charczę, opluwając mnie obrzydliwą śliną, a oczy - które i tak ma wypukłe - wychodzą mu jeszcze bardziej z orbit. Zaciskam łańcuch i czuję, że życie z drania uchodzi; w wyobraźni widzę, jak Zwyczajny leży martwy u moich stóp.

- Zabij mnie - krztusi się. Dyszy ze świstem. - Wtedy wszystko stracisz. Ciągnę mocniej. Łańcuch zagłębia się w szyję, zaciska na tchawicy, odcinając mu dopływ powietrza.

Zaraz, co on powiedział? Może ma rację? Puszczam go.

Pada na twarz, gwałtownie łapie powietrze i zaczyna się czołgać. Odsunął się ode mnie zaledwie o metr, gdy biorę się w garść i pokonuję swoją głupią słabość. Chwytam go za nogę i ciągnę do siebie. Czuję przyływ siły. Przekręcam go. Owijam sobie łańcuch wokół pięści i już mam zmiążyć mu twarz, gdy słyszę:

- Przerwij cykl.

Zadaję cios, który zahacza tylko o szczękę, bo Mallon uchylił głowę. Siadam okrakiem na bezkształtnym ciele i blokuję go kolanami, żeby się nie ruszał. Skończę to jego nędzne życie. Moja lewa noga robi się wilgotna. Zsikał się ze strachu.

- No i kto teraz cuchnie szczynami?

Unoszę pięść. Mallon zasłania sobie ramieniem twarz.

- Proszę, Danny, opanuj się. Zabij mnie teraz, a oni przykują cię łańcuchami i zostawią, żebyś tu zgnił.

Opuszczam na niego pięść. Tym razem wiem, że uderzeniem wykończę go.

- Pomyśl o swojej rodzinie. Zastanów się, co mógłbyś zrobić, kiedy się stąd wydostaniesz.

Bzdury.

A może nie?

W jednym ma rację: nadal jestem przykuty do ściany i nie mogę uciec z tej sali. I choć wiem, że wspomniał o mojej rodzinie tylko dla efektu, jak będę mógł pomóc Ellis, jeśli zostanę tu uwięziony i umrę z głodu? Widzę klucze na podłodze, ale są daleko ode mnie.

Wbrew własnemu rozsądkowi, wbrew temu, w co wierzę i co czuję, wstaję i cofam się o krok. Mallon na czworakach pełźnie w bezpieczne miejsce. Trzyma się za usta, plując krwią na podłogę. Czy skurwiel chce mnie teraz zostawić? Zatacza się i wreszcie staje. Pociera sobie szczękę, odwraca się do mnie z uśmiechem, szczerząc żółtawe zęby z plamami krwi.

- Udało ci się! Wiedziałem, że potrafisz tego dokonać!

- Co takiego?!

- Udało się, Danny. Nie zrobiłeś tego.

Nic nie rozumiem. Siada wyczerpany i ciężko dyszy. Podchodzę do niego na tyle blisko, na ile pozwalają mi łańcuchy.

- Dałem ci okazję, żebyś mnie zabił, ale ty z niej nie skorzystałeś. Omal mnie nie zabiłeś, a jednak się powstrzymałeś. Opanowałeś nienawiść.

- Tylko dlatego, że... - zaczynam wyjaśniać. Unosi rękę, uciszając mnie tym gestem. Płucze sobie usta wodą z mojej butelki. Jeden z nas kopnął ją daleko podczas walki. Pluje czerwoną wodą na brudną wykładzinę.

- Nie ma znaczenia dlaczego - mówi. - Ważne, że ci się udało. Tylko osoba inteligentna jest do tego zdolna. Ktoś, kto ma szerokie horyzonty, potrafi dostrzec poza nienawiścią i walką to, co naprawdę jest ważne.

Protekcjonalny sukinsyn.

- Popełniłem błąd, a ty miałeś szczęście.

Kręci głową.

- To nie tak.  
- A ja się z tobą nie zgadzam.  
- Nie - mówi poważnym tonem - mylisz się. Oto co się stało: dałem ci okazję do morderstwa, ty ją instynktownie podchwyciłeś. Ale powstrzymałeś się od zrealizowania zamiaru i rozważyłeś wszystkie za i przeciw. Zrozumiałeś, że wybór jest konkretny: albo zabijesz i zgnijesz tu, albo puścisz mnie i przeżyjesz.

Drań ma rację.

- A najważniejsze jest to, że przewyciężyłeś instynkt -ciągnie Mallon. - Opanowałeś Nienawiść.

Muszę mu przyznać rację. Chciałbym się sprzeczać, ale nie mogę. Siadam naprzeciw niego. Powinienem był go zabić, ale tego nie zrobiłem. Co się ze mną stało? Czuję się dziwnie zażenowany, jakbym popełnił jakiś wstydlivy czyn. Czuję się jak nastolatek przyłapany przez mamę na masturbacji. Gdzieś z daleka dobiegają stłumione odgłosy wybuchów. Tam ciągle toczą się walki. Tu też powinna toczyć się walka. Powinienem teraz wyciągnąć ręce, schwycić tego Zwykłego i zabić go. Ale tego nie robię.

- Więc jak to z tobą było, Danny? - pyta. Usta nadal mu krwawią. - Opowiedziałem ci swoją historię. O tym, co twoi ludzie uczynili mojej rodzinie. Teraz kolej na ciebie.

Nie odzywam się.

- No... co ci zależy, opowiedz. Spójrz prawdzie w oczy: mogłem kazać cię zabić od razu, gdy się tu pojawiłeś, ale tego nie zrobiłem. Mogłem to zrobić własnoręcznie, ale zamiast tego karmiłem cię i poilem, nie torturowałem. Nie masz żadnych cennych dla mnie informacji, tajnych planów ataku, więc nie ma sensu, żebyś milczał. Wykonałeś najtrudniejszą część pracy, teraz dokończ dzieła. Przerwij cykl. Rozmawiaj ze mną jak myśląca racjonalnie ludzka istota. Wiem, że myślisz racjonalnie. Od ciebie zależy...

Widzę frustrację na jego twarzy. Nie próbuję zachowywać się teraz arogancko, tylko myślę nad tym, co od niego usłyszałem. Albo racja jest po jego stronie i nie mam nic do stracenia, albo jest już za późno i wszystko straciłem. A może ten żaloszny przyływ słabości to efekt fizycznego i emocjonalnego stresu wywołanego uwięzieniem? Czyżbym stracił zdolność jasnego myślenia?

- Wczoraj, w tamtym pokoju wzdrygnąłeś się, kiedy wspomniałem o twojej rodzinie. W twojej torbie znalazłem lalkę i ubranka... chcesz mi o tym opowiedzieć? To przedmioty zdobyczne czy pamiątki?

Bardzo się staram ukryć uczucia, ale moja reakcja na wspomnienie rodziny jest aż nazbyt czytelna. Mallon natychmiast to podchwytuje.

- Więc co się stało? Byłeś razem z nimi, gdy nastąpiła Zmiana? Cały czas nosisz w sobie poczucie winy, bo zabiłeś ludzi, których kiedyś kochałeś?

Dotknął mojego czulego punktu. Nic na to nie poradzę.

- Moja wina polega jedynie na tym, że ich nie zabiłem - mówię.

Słyszę swój głos donośny, silny, obcy i dziwny.

- Opowiedz mi coś więcej...

- Byłem zdezorientowany, miałem mętlik w głowie. - W moim głosie jest złość, emocje mnie dławią. - Powinienem ich zabić, ale tego nie zrobiłem. Byłem zaskoczony.

- Miałeś partnerkę?

Kiwam głową.

- Dzieci?

- Troje. Jedno jest jak ja, dwoje jak ty.

Minę ma niewyraźną.

- Jedno jest jak ty?

- Córeczka Ellis.

- Co się z nią stało?

Już mam mu powiedzieć, ale nagle uzmysławiam sobie, że rozmawiam ze Zwykłym. Nie chcę,

żeby wiedział, że wróciłem do miasta z powodu córki.

- Matka ją zabrała - rzucam. Mallon powoli kiwa głową, na znak, że mnie rozumie.
- Musi ci być trudno - mówi. - Uważałem, że moja sytuacja jest zła, ale przynajmniej wiem, co stało się z żoną i córką. Wiem, że obie umarły, i pogodziłem się z tym, ale ty nie wiesz, gdzie są twoi najbliżsi, nawet nie wiesz, czy żyją.
- Powinienem był ich zabić - powtarzam.
- Aż trudno mi sobie wyobrazić, co przeszedłeś. Świadomość, że stałeś się mordercą, musiała być bardzo dotkliwa. Jak oni ci umknęli?
- Byłem zdezorientowany. Zabiłbym ich w mgnieniu oka, gdyby tu teraz byli.
- Przecież mnie nie zabiłeś.
- Nie, ale...
- Pochodzisz z tej okolicy, tak? - przerywa mi.
- To zależy, co to jest „ta okolica”?
- A dwoje pozostałych dzieci?
- Dwaj chłopcy. Jeden trochę starszy, drugi młodszy od mojej małej.
- Naprawdę jest ci trudno - mówi cicho. Kręci głową i znów płucze zakrwawione zęby. -  
Więc jak sobie z tym poradziłeś?

Robi sobie teraz ze mnie jaja?

- Zabijałem skurwieli takich jak ty. Wszystkich, na których się natknąłem - odpowiadam. Znów czuję w całym ciele napięcie.
- Z wyjątkiem mnie.
- Przyjdzie czas...
- Dobrze - mówi szybko. Odchyła się do tyłu i spogląda w sufit. - Ale czy ci to rzeczywiście pomogło znaleźć córkę? Czy choćby zbliżyło do tego celu? Domyślam się, że właśnie po to wybrałeś się do miasta.

Chryste, muszę przyznać, że jest bystry. Nie dałem mu żadnych podstaw do tego domysłu.

- Znajdę ją, nawet gdybym miał to przypłacić życiem.
- To dobrze.
- Naprawdę?

Potakuje energicznie.

- Oczywiście, bo to dowodzi, że jest w tobie coś więcej niż tylko nieustanna chęć walki i zabijania. Cholernie ci zależy na córce, a to znaczy, że ciągle masz szanse. Mówię ci, Danny, większość ludzi takich jak ty, którzy się przez to miejsce przewinęli, nie rokowała żadnych nadziei. Interesowało ich tylko zabijanie. Ty jesteś inny. Sięgasz myślami w przyszłość, poza następną bitwę.

- To nie oznacza, że nie będę walczyć. Że cię nie zabiję.
- Oczywiście że nie, ale uważam, że zabicie mnie byłoby najgorszym dla ciebie wyjściem. Na co ci to? Jak już powiedziałem, to jak walka z ogniem za pomocą ognia. Zastanów się sekundę i spójrz wstecz, Danny. Pomyśl o wydarzeniach, które doprowadziły cię do tego miejsca. Nienawiść zabrała ci wszystko, co miałeś. Odarła cię z duszy i osobowości. Przez Nienawiść przestałeś funkcjonować jako istota ludzka.

- Nie. Dokładnie wiem...

- Wszystko przez to straciłeś: rodzinę, dom, córkę. Gdyby nie Nienawiść, nadal mógłbyś być z córeczką. Człowieku, zapłaciłeś własną godnością i wolnością. Ostatnie dwa dni spędziłeś, leżąc na łóżku we własnym moczu, przykuty łańcuchami jak zwierzę. Również w tej chwili jesteś o krok od utraty kontroli nad swoją przyszłością. Gdybym chciał, wyszedłbym stąd teraz, nie oglądając się za siebie. Mógłbym cię zostawić samego, żebyś umarł z głodu. Nie wiesz, gdzie jesteś, ilu innych ludzi jest w tym budynku, co jest za drzwiami tej sali. Spójrz prawdzie w oczy, Danny: masz tylko mnie.

Przerywa i czeka na moją odpowiedź. Nie mogę odpowiedzieć. Mogę tylko patrzeć w jego prawie

niehumaną twarz. Czy on ma rację? Przysuwa się w moją stronę, jest tuż, tuż poza zasięgiem łańcucha. Drażni się ze mną? Testuje mnie?

- Ludzie uważają, że tracę czas z osobnikami twojego pokroju. Mówią, że jesteście nie lepsi od zwierząt, że w waszych żyłach płynie wściekła krew, że trzeba was wszystkich spędzić w jedno miejsce i powystrelać.

- Nie obchodzi mnie, co oni...

- Wiesz, co im powiem? Powiem im, że się mylą. Ale tylko ty możesz naprawdę zdecydować, kto ma rację. Gdyby sytuacja się odwróciła i ja byłbym twoim więźniem, co byś teraz zrobił?

- Bym...

- Głupie pytanie. Nigdy nie dotarlibyśmy do tego etapu. Już dawno byś mnie zabił. Możesz zrobić to teraz, jeśli chcesz, ale myślę, że masz dość oleju w głowie.

Znów przysuwa się bliżej. Robię ruch, żeby podrapać się w prawe kolano, i Mallon się wzdraga. Drży. Czy to część komedii, czy autentyczny strach?

- Współpracuj ze mną i udowodnij tamtym, że się mylą. Pokaż mi, że potrafisz kontrolować swoje emocje, wtedy ci pomogę. Mogę uzyskać dostęp do spisów ludzi. Spróbuję się dowiedzieć, co się stało z twoją córką...

To nie brzmi wiarygodnie. Słyszę w tym nutę desperacji i on o tym wie.

- Bzdury!

Wzrusza ramionami.

- Może, ale co mógłbym przez to zyskać? A dokładniej: co ty masz do stracenia?

W głowie mam zamęt. Nic z tego nie rozumiem. Nie potrafię jasno myśleć. Serce podpowiada mi: zabij, ale coś mi każe czekać, ponieważ Mallon ma rację. Walka do niczego mnie nie doprowadziła. A jeśli jest choćby najmniejsza szansa, że on mi pomoże, to czy powinienem z niej skorzystać? Wychyla się i podnosi pęk kluczy. Zdejmuje jeden klucz z kółka i rzuca go mnie.

- To do łańcucha na nadgarstkach - mówi. - Zdejmij go i skończ się ubierać.

Stosuję się do polecenia, prostuję ramiona i napinam mięśnie. Jak dobrze być wolnym po tylu godzinach w kajdanach. Podchodzę do stosu ubrań. Joseph cały czas siedzi na podłodze. Jest w zasięgu łańcuchów, przypinających mnie w pasie. Obaj wiemy, że gdybym chciał, mógłbym go zabić. Jest przerażony, poznaję to po jego oczach. I to daje mi siłę, żebym trzymał nerwy na wodzy. Powstrzymuję Nienawiść.

Może dam mu szansę. Jeśli mnie zawiedzie, zabiję go.

Nikt się nie spodziewał ulewnych deszczy, prognoza pogody była dawno zapomnianym luksusem. Gwałtowna powódź spowodowała bezprecedensowe zniszczenia w obozie uchodźców w centrum miasta, wielu ludzi zginęło. Szczególnie ucierpieli ci, którzy mieszkali na ulicach - w ciągu niecałych dwóch godzin spadło tyle wody, co normalnie w ciągu miesiąca. Ludzie wraz z dobytkiem zostali dosłownie zmyci. Zatkane i uszkodzone kanały ściekowe uniemożliwiły odpływ wody, więc jezdnie i chodniki zmieniły się w bajora. Domy i partery wielu budynków zostały zalane. Powódź zmyła niemal połowę bazy wojskowej w parku miejskim, utracono mnóstwo namiotów, w których mieszkali uchodźcy. A potem, jakby tego było mało, nastąpiły upały. Deszcze ustały równie szybko, jak się pojawiły. Na szczęście przez większość dnia słońce kryło się za warstwą ciężkich chmur. Jednak letni skwar wysuszył i zapiekł przemoczony grunt. Ziemię pokryło cuchnące błoto, na domach pozostały brudne obwódki - ponure przypomnienie, jak wysoko sięgała fala powodziowa. Góry przemoczonych deszczem śmieci i odpadków zaczęły fermentować, a żerujące na nich owady mnożyły się z zastraszającą szybkością. Helikoptery stale nadzorowały z powietrza granicę i strefę zamkniętą. Wszystkie zaplanowane akcje poza miastem zostały czasowo zawieszane, gdyż poważnie uszczuplone tym razem siły zbrojne musiały się zająć tysiącami ludzi, pozostających ponoć pod ich opieką. Rozkazy dla wojska były proste: usunąć jak najwięcej ludzi (żywych czy martwych) z ulic, a potem oczyścić główne szlaki prowadzące przez miasto.

W mroku wczesnego wieczoru Arley Road podążała grupa żołnierzy, sprawdzali kolejne budynki. Za nimi sunęła powoli zbieranina rozmaitych pojazdów, jedna z ciężarówek, zaopatrzona w pług śnieżny spychała do rynsztoka tony mokrych odpadów. Zostawiała za sobą obrzydliwą, metrową hałdę śmieci. Za pojazdem, po świeżo odsłoniętej nawierzchni, szli żołnierze w odzieży ochronnej i w maskach. Wyciągali trupy z grzęzawiska i ładowali je do żółtych ciężarówek - śmieciarek. Ciężarówki te ostatnio zarekwirowano, uprzednio należały do rozwiązanej obecnie rady miejskiej. Ze sporego budynku - niegdyś domu mieszkalnego, przekształconego w ostatnich latach w biurowiec - wyloniła się grupa trzech żołnierzy. Świecąc sobie latarką, jeden z nich wypisał sprayem prostą wiadomość na ceglanej ścianie obok drzwi. Wiadomość przeznaczono dla tych, którzy szli za nimi.

37 wewnątrz

6 martwych

20 dodatkowo

Żołnierze przenieśli się do następnego budynku. Nie zwracali uwagi na wyciągnięte ku nim ręce, nie odpowiadali na pytania wystraszonych uchodźców. Trzydziestu siedmiu ocalałych, sześć ciał do usunięcia, wewnątrz można pomieścić dwadzieścia dodatkowych osób.

Ktoś załomotał nagle do drzwi pokoju 33. Mark, który próbował zasnąć na wilgotnej podłodze, poderwał się i podbiegł do drzwi, potykając się o zwisające z łóżka nogi ojca Kate. Przycisnął oko do wizjera w drzwiach.

- Kto to jest? - Kate stanęła tuż za nim.

- Żołnierze.

- Nie wpuszczaj ich.

- Muszę wpuścić.

Dowódca patrolu znowu zabębnił w drzwi i ryknął, by otworzyli.

- Nie otwieraj - błagała Kate.

- Jeśli nie otworzę, wywalą to cholerstwo.

Zanim zdołała zaprotestować, otworzył drzwi. Trzech żołnierzy wkroczyło do wnętrza, odpychając go na bok. Stanęli pośrodku pokoju, zapalili latarki i oświetlali każdy kąt małej, zatłoczonej przestrzeni.

- Co się dzieje? - spytał Mark. Ustawił się bezpośrednio w smudze światła.

- Podliczamy miejsce - odpowiedział żołnierz głosem pozbawionym zainteresowania i emocji.

Rozglądał się wokół. - Ilu was tu jest?

- *Pięcioro. I pięcioro to aż nadto, już teraz ledwo starczy miejsca.*

- *Kto?*

- *Co takiego?*

- *Kto tu jest?*

- *Ja, moja dziewczyna, jej rodzice i żona kuzyna. A moja dziewczyna jest w ciąży. Jak mówiłem, nie ma więcej miejsca...*

*Jeden z żołnierzy zapisał coś na kartkach przypiętych do podkładki. Inni nadal się rozglądali. Kate wpełzła się między nich, uniemożliwiając jednemu z żołnierzy obejście podwójnego łóżka. Stała przed nim, wypinając dla większego efektu ciężarny brzuch.*

- *Przecież wam powiedział. Nie ma tu już miejsca.*

*Żołnierz ją zignorował, odsunął z drogi, a potem schylił się i zajrzał pod łóżko. Oświetlił latarką ludzi na łóżku, dwoje pomarszczonych, wygłodniałych starszych uchodźców, którzy pod prześcieradłami trzęśli się ze strachu niczym postaci z opowiadania Roalda Dahla.*

- *Twoi rodzice?*

*Kiwnęła głową. Żołnierz odwrócił się. Lizzie siedziała na krześle przed drzwiami łazienki, z nogami wciągniętymi pod siebie. Nerwowo obgryzała paznokcie. Oczy spuściła i uparcie nie podnosiła wzroku. Mark próbował dyplomatycznie nakłonić żołnierza do wyjścia.*

- *Partner mojej kuzynki - wyjaśnił cicho, tak żeby Lizzie go nie słyszała. - On był, wiecie... jednym z nich. Straciła dzieci i to ją popieprzyło. Naprawdę, stary, to nie jest dobry pomysł, żeby nam kogoś dokwaterować. Co z dzieckiem, które się wkrótce urodzi i...*

- *To nie ja decyduję, kolego - odparł żołnierz.*

- *Ale ja byłem ochotnikiem - protestował. - Byłem z wami poza miastem. Byłem...*

- *Nie ja decyduję - powtórzył żołnierz i patrol opuścił pokój. Mark zatrzaskał drzwi i oparł się o nie. Oderwał się od nich, dopiero gdy usłyszał, jak otwierają się drzwi następnego pokoju.*

- *Nie możemy tak dalej żyć - szepnęła Kate, stając przy nim. - Musimy jej znaleźć jakieś inne miejsce. Tu nie jest bezpiecznie.*

- *A gdzie, według ciebie, jest obecnie bezpiecznie? - westchnął i znowu oparł się o drzwi.*

- *Ale ona jest...*

- *To rodzina. Wszyscy są rodziną. Twoją rodziną, moją rodziną... naszą rodziną. Trzymamy się razem, i tyle.*

- *Ale, Mark...*

- *Czy poprosiłbym, żebyś wyrzuciła swoich rodziców?*

- *To co innego...*

- *Doprawdy? Nie będę już o tym dyskutował; Kate. To bezcelowa rozmowa. Ona należy do rodziny i tu zostaje. Nikt nigdzie nie idzie.*

Wróciłem do celi. Współpracowałem i kazałem się tu zaprowadzić. Uważałem, że cisza i ciemność pomogą mi przemyśleć sytuację. W powrotnej drodze z sali zakryto mi głowę.

Im dłużej tu przebywam, tym większa niepewność znów mnie ogarnia. Nie wiem już, komu i czemu dać wiarę. Nie rozumiem, dlaczego nie zabiłem Mallona, gdy miałem okazję, ale równocześnie wiem, że póki tu przebywam, Mallon jest moją jedyną nadzieją. Jak dotychczas za bardzo mi nie dopiekl. Ale jeśli to zrobi - a teraz jest przekonany, że mu ufam - to go zabiję, zanim się obejrzy.

Nadal jestem przykuty łańcuchem do łóżka, ale tym razem kajdany są luźno przymocowane do metalowej ramy i mogę się poruszać po celi. Udaje mi się odsunąć płytę z okna i po raz pierwszy mogę wyjrzeć na zewnątrz. Jednak widok mnie rozczarowuje. Z okna widzę jedynie ceglane mury drugiego skrzydła tego budynku i szary łupkowy dach nad niższą jego częścią. Widzę również kilka innych okien i mam nadzieję, że zobaczę w nich ludzi takich jak ja. Na razie nikogo nie zauważyłem. Teraz jest ciemno. Może jutro uda mi się kogoś dostrzec.

Mam mętlik w głowie. Ciągle nie mogę pozbierać myśli, żeby wszystko zrozumieć. Rozmywa się granica między tym, co wiem, a tym, co czuję, i trudno mi się w tym rozeznąć. Cały czas się waham. Czuję złość i frustrację, że nie zabiłem Mallona, a za chwilę chcę, żeby tu wrócił i rozmawiał ze mną. Żeby mnie poinformował, czego się dowiedział o Ellis - ale przecież równocześnie wiem, że żadnych informacji o niej nie znalazł. Wątpię, czy w ogóle ma możliwość zdobycia jakichś informacji, choć nie mogę wykluczyć, że jednak potrafi do nich dotrzeć. Może po prostu go zabiję, kiedy następnym razem wejdzie do tego pokoju. Położę kres temu bezsensownemu chrzanieniu.

Siadam na łóżku. Odwróciłem materac na drugą stronę, ale i tak jest wilgotny. Patrzę w sufit, śledząc wzrokiem znane wzory na pożółkłej farbie. Gdybym zabił Mallona - a wiem, że mógłbym to zrobić - co bym przez to osiągnął? Ciągle nie wiem, gdzie jestem. Niewykluczone, że otaczają mnie setki Zwykłych uzbrojonych po zęby. Będę trupem, zanim ciało Mallona zdąży ostygnąć. Choć trudno mi się z tym pogodzić, muszę przyznać, że tylko na Mallona mogę liczyć.

Ale w istocie czego on ode mnie chce? Pomińmy te wszystkie bzdety... po co on to robi? Jasno się wyraził, że nie mam niczego, na czym by mu zależało. Więc bawi się ze mną w ciuciubabkę dla draki czy może myśli, że uda mu się zrobić ze mnie obłąskawione zwierzę? Przypuśćmy na chwilę, że nie chodzi im o to, żeby nas „wyleczyć” albo całkowicie eksterminować. Jakie Zwykli mają inne opcje? Dowiedzieć się, jak nas oswoić i kontrolować.

Więc co mam robić?

Zaczynam śnić na jawie: wyobrażam sobie, że uwolniony z kajdan chodzę po budynku i swobodnie wtapiam się w tłum Zwykłych. Widzę się w zatłoczonym pokoju, otaczają mnie ze wszystkich stron, ale ich na razie nie zabijam, siłą woli panuję nad strachem i powstrzymuję Nienawiść. Patrzę w ich twarze - głupie, złe, prymitywne twarze. Żaden z nich nie wie, kim jestem. Musieliby zrobić test DNA, zajrzeć do akt, widzieć nasze zachowanie, żeby się przekonać, z kim mają do czynienia. Z nami jest inaczej: my ich po prostu wyczuwamy. Wiemy, kim są od razu...

Cholera. Dotarło do mnie.

Cała niezwykłość dzisiejszego dnia uderza mnie jak młotem. Czy Mallon zdaje sobie sprawę, co zrobił?

Dziś oparłem się pokusie zabijania. Bez względu na to, z jakiego powodu, potrafiłem się opanować i nie walczyłem. I jeśli naprawdę potrafię powściągnąć Nienawiść, to z czasem będę mógł robić dokładnie to, co sobie przed chwilą wyobraziłem. Mogę wmieszać się w tłum Zwykłych i nikt mnie nie wykryje. Wyobraźcie sobie tylko, jaką by mi to dało przewagę! Mógłbym stać tuż obok wroga, który by mnie nie rozpoznał. Mógłbym wszędzie chodzić, wszystko robić, każdego zabić...

Ale czy bym potrafił? Czy z własnej woli zechciałbym powstrzymać Nienawiść? A może Mallon dopadł mnie akurat w momencie, gdy przechodziłem kryzys?

Znów myślami powracam do tej chwili, gdy mogłem go zabić, ale tego nie zrobiłem. Chciałem,

lecz się powstrzymałem. To nie słowa Mallona mnie wyhamowały... ja sam to zrobiłem. I znów mogę to zrobić, wiem, że mogę.

Nie ma znaczenia, w co wierzę i czy zgadzam się z bzdurnymi teoriami Mallona - „przerwać cykl, nie zwalczać ognia ogniem” - ważne, że Mallon przywrócił mi zdolność samokontroli. Muszę to wykorzystać.

25

Jedzenie - obwieszcza Mallon, wkraczając do celi. Budzę się. Jest późno, Mallon przynosi lampę. Na widok jego twarzy opanowuje mnie znany odruch: zabić! Powściągam ten odruch siłą woli. Przełykam to uczucie jak niewyplute wymiociny. Mdły niepokój ciąży mi w trzewiach. Staję naprzeciw Mallona - widzę zdenerwowanie w jego oczach, choć stara się je ukryć. Im dłużej patrzymy sobie w oczy, tym większej pewności nabiera Mallon. Ciągłe jednak wyczuwam w nim strach. Niemal czuję jego smak.

- Człowieku, niesamowicie dobrze się spisałeś - mówi, gdy biorę od niego tacę, siadam na łóżku i zaczynam jeść.

- Dzięki - mamrocze z pełnymi ustami. Prawdę mówiąc, gównu mnie obchodzi, co on myśli. Odczuwam ulgę, niemal podniecenie, że udało mi się powstrzymać od ataku. Przychodzi mi to z trudnością, pokusa jest prawie nie do pokonania, ale siłą woli panuję nad sobą. Próbuję się skupić na jedzeniu, jednak pokusa zabójstwa nie ustępuje. Z wysiłkiem się hamuję, omal nie upuściłem tacy, bo coś mnie pcha, by rzucić się na Mallona. W ostatniej sekundzie odzyskuję samokontrolę. To wręcz nieprawdopodobne, jak ja sobie daję radę; jakbym musiał stale sobie przypominać, żeby oddychać.

- Jestem naprawdę zadowolony - mówi Mallon i na sam dźwięk jego głosu kiszki mi się wywracają. - Naprawdę zrozumiałeś, co chcemy tu zrobić. Innym ludziom zajmuje to przeważnie kilka dni, nim dojdą do tego etapu, ale ty jesteś bardzo inteligentny. Błyskawicznie wszystko zrozumiałeś.

- Nie wymagało to zbyt wielkiego wysiłku - odpowiadam. Próbuję podtrzymać tę iluzję. - Przecież stwierdziłeś, że im więcej się walczy, tym mniej się dostaje.

- Właśnie.

Obserwuje mnie, jak pałaszuję niesmaczną potrawę. Spoglądam na niego: patrzy na mnie jak dumny ojciec. Uświadamiam sobie, że Mallon rzeczywiście wierzy w te swoje brednie. Uważam się za znacznie lepszego od tego idioty. On sądzi, że wszystkim steruje, ale to ja kontroluję sytuację. Moja przewaga umysłowa sprawia, że łatwiej mi to znieść.

- Więc co teraz? - pytam. Czuję większy spokój, mam większą pewność siebie. Postanawiam sprawdzić, jak daleko się posunie.

- Co masz na myśli?

- Jaki masz plan? Chcesz mnie tu trzymać w zamknięciu w nieskończoność? Wdrażasz jakiś program resocjalizacji? Czy też może rozpoczniesz doświadczenia na mnie i potnisz mnie na plasterki?

Drań uśmiecha się z wyższością.

- Niezły jesteś! Nie, Danny, powiem ci prawdę, że to, co się teraz stanie, nie zależy ode mnie.

- Więc kto decyduje?

- Dwie osoby.

- Kto?

- Jedna to ty...

- A druga?

- To Sahota.

- Sahota? Do diabła, kto to jest Sahota?

- Dowiesz się jutro.

Rusza do drzwi. Nagle czemuś nie podoba mu się ta rozmowa i nie chce jej ciągnąć.



- Nie możesz sobie teraz wyjść... Kto to jest Sahota?

Wstaję i idę w jego stronę, ale on przyśpiesza. Zatrzymuje się przed drzwiami - tuż poza zasięgiem mojego łańcucha - i odwraca się do mnie.

- Szef - mówi krótko. Teraz wyraźnie znów ze mną pogrywa, przekazuje mi tylko tyle informacji, ile trzeba, by podsyć moją ciekawość. Potem milknie i trzyma mnie w niepewności. Tylko to mu pozostało. Fizycznie - łańcuchy; psychicznie - przewaga informacyjna. Gdyby był nieco bliżej, rozerwałbym mu gardło. Zamyka drzwi, ale nie odchodzi i ponownie je otwiera.

- Zaczekaj. Zapomniałem ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Twoja córka...

- Znalazłeś ją?!

Nie potrafię ukryć ciekawości i emocji. Proszę, powiedz mi coś...

- Nie - mówi i kręci głową. - Zrozum, Danny, obecnie trudno zdobyć informacje. Więcej wnioskujesz na podstawie tego, czego ci nie mówią, niż tego, co ci powiedzą. Centralny System sypie się po tych wydarzeniach...

- Powiedz!

Wzdycha, głęboko nabiera powietrza w płuca i robi dłuugi wydech.

- Jest dobra wiadomość i zła wiadomość.

- Chcę obie...

- Zła wiadomość to ta, że nie ma jej nigdzie w aktach.

- W takim razie jaka może być dobra wiadomość?

- Nie rozumiesz? To właśnie jest dobra wiadomość. To oznacza, że być może twoja córka nie umarła.

- „Być może nie umarła”. Tylko to masz mi do powiedzenia?

- Powinieneś być wdzięczny i za to. Moja córka nadal leży na podłodze w kuchni z roztrzaskaną głową. Mógłbym przecież stać tu przed tobą i informować cię o dacie śmierci twojej córki oraz miejscu spalenia zwłok, a ja ci przecież dałem nadzieję. Co z tym zrobisz, zależy od ciebie.

Zatrząskuje drzwi i zamyka je na klucz.

## VI

Szósta rano. Arley Road prowadzono kilkuset uchodźców. Z każdej strony osłaniał ich silnie uzbrojony jeep wojskowy oraz kolumna żołnierzy i bojówkarzy. Do każdego budynku wprowadzano ściśle określoną liczbę ludzi. Nie brano pod uwagę względów osobistych, więzów przyjaźni, bliskich związków z drugą osobą ani pokrewieństwa. Nikt z uchodźców nie oponował ani się nie skarżył. Wszyscy byli zmęczeni i wystraszeni, nie mieli sił stawiać oporu. Mieli prosty wybór: albo znieść to wszystko, albo się na to wypiąć i próbować szczęścia samemu. A każdy, kto by się nie podporządkował wojskowym rozkazom, skończyłby na ulicy z kulą w głowie. Porządek publiczny musiał być utrzymywany.

- Ale tutaj nie ma już miejsca - protestował Mark, blokując drzwi do pokoju 33. - Powiedziałem im wczoraj wieczór...

Żołnierz, niezainteresowany jego wywodami, odepchnął go i wszedł do środka.

- W czym problem? - spytała Kate. Podniosła się z łóżka i stanęła mu na drodze. Instynktownie objęła ramionami ciężarny brzuch, chroniąc nienarodzone dziecko.

- Nie ma żadnego problemu - odpowiedział szybko. Jego szorstki, zmęczony głos tłumiała maska na twarzy. - Macie nowego lokatora, to wszystko.

- Ale to wariactwo! Już i tak brakuje nam miejsca. Jak mamy... ?

Żołnierz położył jej ręce na ramionach i pchnął ją z powrotem na łóżko. Następnie odwrócił się i ruszył do drzwi, zatrzymując się tylko po to, by obejść Marka. Mark wiedział, że kłótnia jest bezcelowa. W najlepszym razie zostałby zignorowany, w najgorszym - oskarżono by go o to, że jest Wściekłym, i zostałby „usunięty”. Kate podążyła za funkcjonariuszem - ona mniej się przejmowała ewentualnymi konsekwencjami własnego oporu, jej rodzice usiedli na łóżku, próbując się zorientować, co się dzieje. Stary, przestraszony ojciec, słaby i niedożywiony, nie zdołał niczego zauważyć, więc po prostu położył się z powrotem zbyt zmęczony, by się przejmować sytuacją. Matka, niegdyś inteligentna, skromna, łagodna kobieta, balansowała półnaga na skraju łóżka, zawodząc żalośnie.

- Mamy tu tłok. Nie chcemy więcej. Weźcie ich i znajdźcie im jakieś inne miejsce. Nie możecie...

Kate podbiegła do matki, by ją uciszyć. Udobruchanie żołnierza pozostawiła Markowi.

- Gurmit Singh - oznajmił żołnierz, wpychając do pokoju starszego Azjatę. Singh protestował głośno i szybko po pendzabsku. Nikt go nie rozumiał ani nie słuchał. Za nim wrzucono zniszczoną poobijaną torbę z całym jego ziemskim dobytkiem. Hindus potknął się o torbę; omal nie zsunął mu się z głowy przy tym pomarańczowy turban. Odwrócił się do żołnierza i kontynuował hałaśliwą tyradę. Nie przerwał jej ani na chwilę, nawet gdy żołnierz zamknął mu drzwi przed nosem. Teraz kierował swoje słowa do Marka.

Mark pokręcił głową.

- Nie rozumiem - powiedział, rozpaczliwie chcąc go uciszyć. - Mów po angielsku.

- Angielski, nie - warknął tamten w odpowiedzi i ciągnął wywód po pendzabsku.

- Nie może tu zostać - krzyknęła z łóżka matka Kate. - Nie możemy trzymać tu tego typu...

Singh wskazał na nią, a może na łóżko? Potarł się po karku, a potem uderzył dłonią w materac i podniósł głos aż do wrzasku. Mark próbował przemówić mu do rozsądku, by uciszyć Hindusa. Singh go zignorował, wziął torbę i gniewnie siadł w fotelu w kącie pokoju. Ciągłe wrzeszczał, wskazując na łóżko.

Kate stała przy drzwiach, dłońmi zatykając uszy. Nie chciała słyszeć krzyków matki i Gurmita Singha. Mark próbował ją przytulić, ale wyrwała się, niemal wzdragając się przed jego dotykiem.

- Nie zniosę tego - łkała. - Albo oni sobie pójdą, albo ja.

- Nikt z nas nigdzie nie pójdzie. Na miłość Boską, Katie, na tym polega problem, że nie ma już dokąd iść.

- Wszystko mi jedno. Wykop ich. Wyrzuć na ulicę, jeśli musisz.

- O kim teraz mówisz?

- *Wiesz dokładnie, o kogo mi chodzi... To zbyt niebezpieczne. Musimy myśleć o sobie i dziecku i pieprzyć całą resztę...*
  - *Nie mogę. Wiesz, że nie mogę...*
  - *Więc ja to zrobię. Mówię poważnie, Mark, jeśli się ich nie pozbędziesz, idę stąd.*
  - *Katie, oni nie mają dokąd pójść. Proszę cię kochanie, po prostu się uspokój i...*
  - *Nie traktuj mnie protekcyjnie. Nie mów mi, bym się uspokoiła. Jak mogę się uspokoić, kiedy...?*
  - *Sza... - błagał. Dłonią zakrył jej usta. - Proszę cię, Katie, nie krzycz, usłyszają nas. Mogliby tu wrócić. Wiesz, co się stanie, jeśli to zrobią.*
  - *Może właśnie powinnam? - odparła, odpychając go. - Chyba dokładnie to powinnam zrobić. Gdyby wiedzieli, co się tutaj dzieje, może by nam pomogli. Przyszli by tutaj i pozbyli się...*
  - *Zamknij się - syknął gniewnie i znów zasłonił jej usta.*
- Gurmit Singh, który już prawie zamilkł, znowu się gwałtownie ożywił, zaskoczony widokiem Lizzie, która wyłoniła się z łazienki.*
- *Kto to jest, do cholery? - zapytała.*
  - *Pan Singh - odpowiedział Mark. - Właśnie go dostarczono.*
  - *Ale my nie mamy miejsca...*
  - *Nie możemy tu trzymać takiego człowieka - ryknęła matka Kate. Chwyciła Lizzie za ramię i przyciągnęła ją bliżej. Lizzie wzruszyła ramionami, strząsając jej dłoń.*
  - *Dużo tutaj - ryknął w odpowiedzi Singh, przełączając się nagle na angielski. - Złe plecy. Potrzebuję łóżka.*
  - *Och, znasz język, kiedy ci to odpowiada - szydziła z niego Kate.*
  - *Co się dzieje, Mark? - spytała Lizzie.*
  - *I tak nic z tym nie możemy zrobić - zaczął. - Nie mamy nic do powiedzenia w...*
  - *Nie możemy tego tak ciągnąć - przerwała mu Kate. Łzy rozpaczły napłynęły jej do oczu.*
  - *Musimy... - zaczął Mark.*
  - *Wobec tego, Kate, powiedz mi, co mam zrobić? - warknęła wściekle Lizzie. - Słyszałam, co mówiłaś. Wiem, czego chcesz...*
  - *Więc coś z tym zrób!*
  - *Dokąd jeszcze mam pójść? Co według was mam zrobić?*
- Następny wybuch Singha przerwał kłótnię. Hindus wstał z fotela i przepchnął się między nimi, ciągle wskazując łóżko. Lizzie, wściekła, odepchnęła go z powrotem na fotel.*
- *Cofnij się! - rzuciła mu w twarz, a potem znowu zwróciła się ku Kate. - Postaw się na moim miejscu, Katie, co byś zrobiła?*
  - *Ona nie może tu zostać. To niebezpieczne. Wszystkich nas narażasz na ryzyko.*
  - *Rozejrzyj się, już jesteśmy wystawieni na ryzyko. Wszyscy, którzy pozostali przy życiu, są narażeni na ryzyko, na miłość boską.*
  - *Uspokójcie się obydwie - szepnął Mark. Bezskutecznie starał się rozdzielić obie kobiety, zaniepokojony, że hałas z powrotem sprowadzi żołnierzy.*
  - *Nie zamierzam się uspokoić - ryknęła Kate. Otworzyła gwałtownie drzwi do łazienki i wskazała palcem wewnątrz. - Ta rzecz tam w środku jest zła!*
  - *Ta rzecz to moja córka.*
  - *Zabiła twoich synów!*
  - *Wiem, ale nadal jest moją córką.*
- Lizzie uklękła w drzwiach. Przed nią leżała Ellis - skulona na podłodze, przykuta łańcuchem do nogi umywalki, zakneblowana, związana i nafaszerowana środkami uspokajającymi. Lizzie pogłaskała ją po włosach i delikatnie przesunęła dłonią po uspokojonej lekami twarzy.*
- *Ona mogła cię zabić, Lizzie. Mogłaby zabić nas wszystkich.*
  - *Wiem, ale nie mogę jej wypuścić. Spróbuj to zrozumieć...*
  - *Nie ma tu nic, co trzeba zrozumieć.*

- *Przeciwnie, należy wiele zrozumieć. A jeśli twój niemowlak zmieni się w coś takiego? Czy sprawy będą wyglądały inaczej? Czy możesz sobie wyobrazić wydanie własnego dziecka?*
- *Nie, ja...*
- *Jest moją córką, Katie, i bez względu na to, czym jest, co zrobiła czy co jeszcze mogłaby zrobić, jestem za nią odpowiedzialna. Będę ją chroniła i walczyła w jej obronie, póki nie padnę.*
- *Jeśli dalej będziemy tak postępować - ostrzegła Kate - nastąpi to wcześniej, niż ci się wydaje.*

Myślałem, że ten ranek nigdy już nie nadejdzie. Godzinami leżę na łóżku i nie mogę zasnąć. Wspominam, jak w domu zamykaliśmy się z Ellis w pokoju i spaliśmy na piętrowym łóżku Edwarda. Ciągłe myślę o jej dużych, niewinnych oczach. Nie obchodziło jej, co się dzieje dokoła, i leżała zwinięta obok mnie w kłębek, kochająca i pełna niemej ufności.

Bosy i wychłodzony, ostatnie godziny spędzam, stojąc przy małym oknie i obserwując, jak ustępuje ciemność i niebo szarzeje, gdy słońce wschodzi ponad dachami tego dziwnego więzienia.

Zastanawiam się, kim jest Sahota i czego ode mnie chce. Pewnej otuchy dodaje mi fakt, że naiwne zaufanie Josepha Mallona w stosunku do mnie jest chyba autentyczne - wczoraj kilka razy narażał swoje życie, a przecież Zwykłym nic teraz nie pozostało prócz własnego życia. Mallon jest albo nadzwyczaj ufny i odważny, i głupio optymistyczny, albo - co wydaje się najbardziej prawdopodobne - autentycznie wierzy w ten cały chłam, który mi sprzedawał. Czy Sahota okaże się taki sam? Opracowuję taktykę, zastanawiam się, jak powinienem rozegrać spotkanie z szefem. Ale jak przygotować się do rozmowy z człowiekiem, którego nigdy nie widziałem, w miejscu, o którym nic nie wiem?

To wszystko nie ma znaczenia.

Najważniejsze to wydostać się stąd i szukać Ellis. Wojna... my - oni... kto jest po czyjej stronie... to teraz sprawy drugorzędne. Dla świętego spokoju będę zgadzał się z Mallonem, z jego hipisowskimi bredniami pacyfisty. Do momentu, aż mnie stąd wypuszczą. Chyba że nie będą zamierzali mnie wypuścić. Wtedy przystąpię do planu awaryjnego - do planu B, który kiedyś był planem A - i zacznę walczyć, i nie zatrzymam się, póki ostatni skurwiel nie legnie martwy u mych stóp.

Drzwi się otwierają i wchodzi Mallon. Najwyższy czas! Nie przyniósł tacy z jedzeniem, nie zaczyna towarzyskiej rozmowy, nie prawi mi uprzejmości. Najwyraźniej przyszedł wykonać swoje zadanie. Opuści mnie i zacznie się zajmować innym stworem? A może nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy, ponieważ wie, co teraz nastąpi? Chcę go zaatakować, ale nie atakuję. Siłą woli panuję nad Nienawiścią, przełykam ją jak zatrutą żółć.

- Co się teraz stanie? - pytam, ale natychmiast żałuję, że się odezwałem. Chryste, jak nisko upadłem. Nie dość, że jestem więziony przez Zwykłych, to jeszcze błagam ich o informacje. Żalodne.

- Powiedziałem ci wczoraj wieczór. Spotkasz się z Sahotą.

- Tak, ale...

Mallon prostuje się i patrzy na mnie. Choć ciągle zachowuje czujność, nieco się odpręża. Kładzie mi dłoń na ramieniu, mam ochotę ją strącić, ale się powstrzymuję.

- Nie trać wiary, Danny. Sahota to dobry człowiek. Taki człowiek jest w stanie zakończyć tę wojnę.

Nie poprawia mi to samopoczucia.

- Ale kim on jest? Po co chce się ze mną zobaczyć?

Moje pytania brzmią rozpaczliwie i ja to wyraźnie czuję. Mallon uśmiecha się półgębkiem.

- Dowiesz się.

Schyla się i zdejmuje mi kajdany z nóg. Teraz tylko nadgarstki mam spętane łańcuchem. Mógłbym go w tym momencie zabić, ale to byłby błąd. Jeśli mam dziś kogoś zabić, to szefa, a nie jego sługusa.

Mallon wyprowadza mnie na szeroki korytarz. Tym razem nie ma środków bezpieczeństwa, nie założono mi poszewki na głowę i po raz pierwszy mogę obejrzeć budynek, w którym mnie przetrzymują. Dziwnie wygląda to miejsce - nie przypomina więzienia, jak to sobie przedtem wyobrażałem. Ściany są gołe, pokryte jasnożółtą, wyblakłą, łuszczącą się farbą. Gdzieś widać znaki kultu religijnego - jak ten przekrzywiony krucyfiks w mojej celi. U szczytu schodów wisi obraz kobiety o łagodnym wyglądzie, na innej ścianie widnieje starodawny napis o niejasnej treści, a krucyfiksów jest tyle, że wystarczy do odpędzenia całej armii wampirów...

Docieramy do rozwidlenia na końcu długiego korytarza, idziemy pod dziurawym dachem; deszcz zalewał tu podłogę i wykładzina przesiąkła wodą. Lewa odnoga korytarza biegnie ku klatce schodowej. Po prawej jest krótki, wąski podest, z którego trzy stopnie prowadzą do drzwi o złowieszczym wyglądzie. Czy to izba tortur w Ministerstwie Miłości? Czy to kres mojej wędrówki? Strach i niepewność, które udało mi się odsunąć, nagle znów powracają. Puls mi przyspiesza, gardło mam suche. Wszystkie mięśnie napięte. Staję i odwracam się do Mallona. Pragnienie morderstwa jest bardzo silne, zbyt silne...

- Nie rób tego, Danny - błaga żałośnie, jasno wyczuwając moje intencje - proszę, nie. Jesteś już teraz tak blisko...

Wyprzedza mnie szybko, wchodzi po schodach i otwiera drzwi na oścież. Przesuwam się bliżej, próbując zajrzeć do środka. Pomieszczenie wygląda jak poczekalnia u lekarza, jak krótki korytarz. Jest tu czysto, po obu stronach znajdują się drzwi, przez świetlik w górze wlewa się światło, pod ścianą stoi niski stół i rząd trzech krzeseł. Ciekawość bierze górę, więc robię jeszcze jeden krok do przodu. Mallon stoi przy drzwiach, blokując mi drogę, jakby się ze mną droczył. Nie mogę tego znieść. Za dużo już tych bzdur. Myślę, że w tym cholernym budynku nikogo więcej nie ma. Zabiję go, a potem wywalczę sobie drogę na zewnątrz.

Ruszam na skurwiela, ale on się uchyla i pcha mnie do pokoju. Odwracam się, ale on w tym momencie zatrzaskuje mi drzwi przed nosem

- Nie zawal sprawy - krzyczy do mnie. Słyszę, jak zasuwają się zamyka. Zza drzwi dobiega stłumiony głos Mallona. - Nie

trać wiary, Danny, jesteś blisko celu. Pamiętaj wszystko, czego się nauczyłeś.

Walę pięścią w drzwi, ale to bezcelowe - są zamknięte, a Mallon już odszedł. Jak mogłem być tak głupi i dałem się wciągnąć w prostą pułapkę?

Będę czekał, aż pojawi się Sahota.

Jestem gotowy do walki. Drań nawet się nie zorientuje, co go zaatakowało.

27

Cisza. Absolutna, cholerna cisza. Stoję i obserwuję drugie drzwi, czekam, aż się otworzą. Gotów jestem do ataku. Nikt nie wchodzi. Czy to kolejna pułapka? Kolejna głupia gierka? Zmusić mnie do czekania, żebym wpadł w panikę i się załamał? Teraz już na to za późno.

I jedno, i drugie drzwi są zamknięte, ale świetlik w suficie jest nieco uchylony. Wchodzę na krzesło. Ręce mam nadal spętane. Próbuję się podciągnąć. Dzwoniące łańcuchy ciążą mi na nadgarstkach, a rama okna nie wydaje się zbyt mocna, by utrzymać mój ciężar. Ściągnę ją na dół, zanim...

- Wybierasz się gdzieś?

Skaczę, wykonuję obrót i rzucam się na mężczyznę stojącego w drzwiach. Robię zamach rękoma owiniętymi łańcuchami i uderzam go w głowę tak silnie, że mógłbym ją rozwalić. Jakimś cudem udaje mu się uchylić, a potem pcha mnie w brzuch. Przewracam się na krzesło, na którym przed chwilą stałem, spadam na plecy i walę głową o podłogę. Przetaczam się i próbuję wstać, ale drań jest szybki. Pcha mnie na ziemię i wciska mi but prosto między łopatki. Unieruchomił mnie. Przygotowuję się na jego kolejne uderzenie, ale on podnosi nogę z moich pleców. Patrzę do tyłu - drań odchodzi. Jestem zdezorientowany. Wspieram się na drugim krześle i podciągam. Głęboko nabieram w płuca powietrza. Odwracam się i staję z nim twarzą w twarz.

Co? W jaki sposób on...

- Jesteś chyba Danny McCoyne? - pyta, ale jeszcze nie mogę wydusić z siebie odpowiedzi. - Nazywam się Sahota.

Przede mną stoi mężczyzna w nieco pogniecionym, ale eleganckim garniturze w prążki i nieskazitelnie białej koszuli - to jeden z naszych. Nie jest Zwykły. Moja reakcja jest spowolniona, ale wiem, że się nie mylę. To przyjaciel i sojusznik. Od razu wiem, że jesteśmy po tej samej stronie. Jest niski i drobny, ale nadrabia braki postury pewnością siebie i opanowaniem.

Oczywiście widzi na mojej twarzy zdziwienie i dezorientację, i z pewnością nie jest tym zaskoczony.

- Proszę wybaczyć ten podstęp i to wszystko, co się działo przez kilka ostatnich dni - mówi i gestem zaprasza, żebym szedł za nim do sąsiedniego pokoju. Zatrzymuje się tuż za drzwiami, jakby sobie coś ważnego przypomniał. Szuka czegoś w kieszeniach spodni. Wyjmuje klucz, którym otwiera kajdanki na moich nadgarstkach. Rzuca łańcuch na podłogę poczekalni i zamyka za nami drzwi.

Stoję i wpatruję się w Sahotę. Nie wiem, czego oczekiwałem, ale ten człowiek nie wyróżnia się niczym szczególnym. Jest ponad czterdzieści centymetrów niższy ode mnie, ma ciemną skórę i krótko przycięte ciemne włosy, siwiejące na skroniach, starannie przystrzyżone wąsy i okulary w drucianej oprawce. Po raz pierwszy od miesiąca uświadamiam sobie nagle, jak nędznie wyglądam: spodnie i koszula po zmarłym, bose nogi, długie zmierzwiłone włosy, twarz pokryta zjeżoną szczecina.

- Wejdz i usiądź. - Wprowadza mnie w głąb pokoju. Jest to obszerne, dość czyste, niezagracone pomieszczenie biurowo-mieszkalne. W jednym kącie stoi łóżko o metalowej ramie, podobne do tego w mojej celi. Tu jednak pościel jest czysta, zasłana z żołnierską starannością. Na jednej ścianie znajduje się kilka dużych okien, przeważnie nietkniętych (jedyną wybitą szybę zastąpiono drewnianą płytą). Przede mną stoi duże drewniane biurko i po jednym krześle z obu jego stron. Sahota zamyka drzwi na klucz, siada przy biurku tyłem do okna i gestem zaprasza mnie, bym zajął miejsce naprzeciw niego.

- Od czego mamy zacząć? - pyta. Mówi bardzo poprawnie, jak człowiek wykształcony. Nalewa wody i przesuwając szklanę po blacie.

- Nie wiem - mamrocze żałośnie i piję łąpczywie. Mam tyle pytań, że sam nie potrafię się w nich rozeznaczyć.

- Nic nie szkodzi. - Uśmiecha się do mnie. - To dość normalne. Wiele przeszedłeś.

- Nie wiem, przez co przeszedłem.

Znów się uśmiecha.

- Nie zrobilibyśmy tego w ten sposób, gdyby była inna możliwość.

- Więc co dokładnie zrobiliście?

- Kto się o ciebie troszczył? Selena, Joseph czy Simon?

- Troszczył się o mnie?! Nie tak bym to określił.

- Które z nich?

- Joseph.

- I co ci powiedział?

- Mnóstwo bredni: przerwać cykl, nie zwalczać ognia ogniem, powściągnąć Nienawiść... Powiedział, że im więcej będę walczył, tym trudniej mi będzie.

- Uwierzyłeś w to?

Wzruszam ramionami. Prawdę mówiąc, nadal nie wiem, w co wierzę.

- Niektóre elementy brzmią sensownie.

- To, co mówił, musiało mieć jakiś wpływ na ciebie, ponieważ tu jesteś, a on ciągle żyje. Gdyby było inaczej, zabiłbyś go.

- Powiedział, że jestem tu zamknięty z powodu Nienawiści. Powiedział, że im więcej walczymy, tym mniej dostajemy.

- A ty, Danny, co o tym myślisz?

- Nie jestem pewien, co myśleć...

- Chyba musisz mieć jakiś pogląd? Nie przekonasz mnie, że tak inteligentny człowiek jak ty leży samotnie w ciemności przez wiele godzin i nie rozmyśla o tym, co usłyszał.

- Uważam, że ma rację, mówiąc, że tkwimy w błędnym kole i że sprawy tylko się pogorszą...

- I co dalej?

- Nie rozumiem jednak, jakie to ma znaczenie? Co innego mielibyśmy robić? Nie możemy

żyć ze Zwykłymi, musimy ich zabić.

- Masz absolutną rację.
- Więc jak wygramy wojnę, nie prowadząc walki?

Sahota wstaje, bierze szklankę i podchodzi do okna. Wygląda przez nie, zastanawiając się nad kolejnymi słowami.

- Istnieje alternatywa.
- Naprawdę? Nie dostrzegam jej.
- Tylko dlatego, że nieodpowiednio na to patrzysz. Ze złej perspektywy. Musisz spojrzeć z właściwej, Danny. I po to jesteśmy w tym miejscu. Powiedz, czy zanim tu trafiłeś, słyszałeś coś o Chrisie Ankinie i jego planach?

- Na początku wojny słyszałem jego orędzie, a ostatnio przez kilka dni byłem z grupą ludzi, którzy twierdzili, że próbują stworzyć armię.

Odwraca się i patrzy prosto na mnie.

- I co o tym myślisz?
- Chodzi o moją instynktowną reakcję?
- Tak.
- Kiedy tylko zaczniemy się zbierać w większe grupy, wróg nieźle nam wpierdzieli.
- Słuszna uwaga. Mają przewagę liczebną, wojsko i struktury dowódcze. Moglibyśmy walczyć z nimi na ograniczonym froncie i, racja, prawdopodobnie starliby nas na proch. Gdy my skoncentrujemy się na jednym mieście, inne miasta będą się trzymać mocno. Już nam pokazali, że są gotowi poświęcić tysiące swoich ludzi, aby nas zniszczyć. Trzeba ci było widzieć, jak stracili Londyn.

- Co się stało z Londynem?
- Nie słyszałeś?
- W zasadzie nie. Tylko kilka szczegółów.
- To działo się w początkowym etapie, zanim powstały obozy uchodźców. Nie planowaliśmy tego, raczej to oni nie potrafili temu zapobiec. Stolica była za duża do obrony, za bardzo rozciągnięta. W Londynie okazało się, co potrafimy osiągnąć. Walki na ulicach musiały być naprawdę niesamowite. Prawie żałuję, że w tym nie uczestniczyłem. Nas była garstka w porównaniu z nimi, ale udało nam się wywołać straszną panikę, nawet się tego nie spodziewaliśmy. Osiągnęli masę krytyczną...

- Masę krytyczną? Nie rozumiem.
- Moment, w którym nie było odwrotu... taki etap, gdy nie dało się już przywrócić porządku, gdy toczyło się tyle pojedynczych, bardzo intensywnych bitew, że oni nie mogli już oddzielić siebie od nas. Nie wiedzieli już, kto jest kim. Pozostała im jedyna opcja: wszystko zniszczyć.

- Zniszczyli Londyn?
- Całe miasto i wszystkich, którzy w nim byli. Zmiotli z powierzchni ziemi tysiące naszych, ale wraz z nimi tysiące tysięcy swoich własnych ludzi.

Zbaczamy z głównego wątku i czuję się zdeorientowany.

- Nadal nie rozumiem. Jaki to ma związek z tym, że mnie tu więzicie?
- W ostatecznym rozrachunku Londyn został zniszczony dlatego, że Zwykli wpadli w panikę i zapanował wśród nich chaos. Po prostu. Jak już mówiłem, gdybyśmy zorganizowali armię i zaatakowali, Zwykli zorientowaliby się, że nadchodzimy, i by nas roztarli na proch, nim zdołalibyśmy zbliżyć się do miasta.

- Powiedziałeś, że nieodpowiednio na to patrzę...
- Zgadza się. Oni również patrzyli nieodpowiednio.
- Nadal cię nie rozumiem. Bardzo mi przykro, ale posłuchaj, przez ostatnie dni rozpieprzaliście mi umysł i jestem zmęczony. Przestań mówić zagadkami i wyjaśnij...

- Czy słyszałeś o dziele Sztuka wojenna?
- Tytuł jest mi znany, ale nic o książce nie wiem. Nigdy jej nie czytałem.



- To chiński podręcznik rzemiosła wojennego, napisany przez Sun Zi ponad dwa tysiące lat temu.

- I co z tego? Co on wiedział o nas, o Zwykłych?

- Zupełnie nic. Ale choć nasza wojna jest wyjątkowa, niektóre taktyki walki są równie aktualne dziś, jak w starożytnych Chinach. Sun Zi twierdzi, że podstawą wszystkich wojen jest podstęp. Musimy oszukać wrogów - niech uważają nas za słabych, choć jesteśmy silni, niech wierzą, że jesteśmy wiele kilometrów od nich, gdy my znajdujemy się tuż-tuż. „Zarzuć przynętę, żeby skusić wroga. Udawaj zamęt i zmiążdż go”.

Sahota recytuje tekst z pamięci. Czekają na moją reakcję, ale w głowie ciągle mi się kręci i nie wiem, o co w tym chodzi. Wyczuwa, że jestem zdezorientowany, i wyjaśnia:

- Oczekują z naszej strony walki bezpośredniej. Wydaje im się, że jedyną naszą taktyką to walka, ciągła walka, aż tylko my zostaniemy na polu bitwy. Taką mają o nas opinię. Gdy przenikniesz do miasta, przekonasz się, że ta ich opinia powoduje, iż oni się ze sobą nie komunikują i...

- Zaraz, zaraz - przerywam mu - co rozumiesz przez „przeniknąć do miasta”?

Sahota uśmiecha się i nalewa mi drugą szklanekę wody.

- Spodziewają się, że pobiegniemy prosto na nich, wymachując pięściami. Nie spodziewają się natomiast, że możemy stać tuż obok nich. Zamierzamy przeniknąć głęboko do ich miast, żeby wywołać zamieszanie i panikę. I kiedy oni będą się rozszarpywać, nawet nie zauważą, jak wkroczy armia Ankina. Mamy zamiar doprowadzić do tego, że sami od środka się zniszczą.

- Ale w jaki sposób tego dokonamy? Wystarczy, że znajdziemy się kilka metrów od nich, i musimy ich atakować, to silniejsze od nas...

- Na pewno? Czy niczego się nie nauczyłeś z kontaktów z Josephem?

Zaczynam rozumieć. A więc do tego służy to miejsce!

- Powściąganie Nienawiści...

- Właśnie - mówi, siada przy biurku i nachyla się ku mnie. - Chodzi o to, że to jedyny sposób pokazania ludziom, jak to się robi. Jeśli nie powstrzymasz swoich odruchów, jeśli nie narzucisz sobie ograniczeń, zabijasz, zanim w ogóle zdasz sobie sprawę, co robisz.

- Ale Joseph...?

- Joseph i inni to tylko marionetki. O niczym nie mają pojęcia. Autentycznie wierzą w to, co ci mówią, ale w ostatecznym rozrachunku to bzdura. Joseph jest z nich najlepszy... albo najgorszy, zależy, jak na to patrzeć. Są dni, kiedy sam chciałbym go zabić.

- Niesamowite...

Oczy Sahoty rozszerzają się z podniecenia.

- Pomyśl, Danny, jaką to nam daje przewagę. My wiemy, kim oni są, ale oni nie potrafią nas odróżnić od siebie, póki nie zaczniemy walczyć. Nim zorientują się, że jesteśmy wśród nich, będzie za późno.

- Jezu Chryste!

- Musimy działać szybko. Z różnych powodów sytuacja w mieście błyskawicznie się pogarsza. Normalnie trzymalibyśmy cię tu jeszcze przez kilka dni, by się upewnić, że rozumiesz zasady, ale obecnie czas jest zbyt cenny. Teraz nadszedł idealny dla nas moment. Czy uważasz, że jesteś gotów?

Przez sekundę szukam właściwych słów, ale wreszcie zdaję sobie sprawę, że mogę powiedzieć tylko jedno:

- Tak.

- Zuch z ciebie. Co za hart ducha! Kiedy tylko mi o tobie powiedziano, od razu wiedziałem, że jesteś dobrym kandydatem...

- Co przez to rozumiesz? Kto ci o mnie powiedział?

- Wysyłaliśmy ludzi, żeby przyglądali się walkom. Czekali poza polem bitwy, obserwowali i wyławiali takich jak ty, którzy potrafili się w pewnym stopniu kontrolować, a nie tylko atakować.

Przyznaj, że byłaby to strata czasu, gdybyśmy próbowali przekazywać naszą wiedzę Brutalom. Potrzebni nam ludzie twojego pokroju, zdolni do zachowania dystansu i rozważenia różnych opcji przed podjęciem ataku. Ludzi, którzy wykorzystują Nienawiść i panują nad nią, nie pozwalając, by to ona nad nimi zapanowała.

Patrzy mi prosto w oczy.

- Powiedz, pamiętasz moment, kiedy po raz pierwszy stanąłeś bardzo blisko Josepha, ale go nie zaatakowałeś?

- Pamiętam.

- Co wtedy myślałeś? Ze słuszne jest to, co on mówi, czy też, że należy mu się podporządkować, żeby nie pogorszyć swego położenia?

Zapamiętałem z ostatnich paru dni utratę pewności. Różnica między „my” i „oni” nagle się zaciera. Teraz jednak jestem poza całą, a Sahota tak prosto sformułował pytanie, że odpowiedź wydaje się jasna i jednoznaczna. Wszystko nabiera wyrazistych kształtów.

- Grałem z nim. Naciągałem go. Robiłem to, czego się ode mnie domagał, bo chciałem dostać jedzenie i odzyskać wolność.

- Właśnie! Doskonała odpowiedź! W chwili gdy postanowiłeś, że go nie zabijesz, całkowicie zapanowałeś nad sobą.

Zbyt wiele tego, nie da się wszystkiego pojąć. Sahota obserwuje mnie uważnie. Krępuje mnie to jego uporczywe spojrzenie. Próbuję odwrócić oczy, ale wracam do niego wzrokiem. Zza ciężkiej szarej chmury wygląda na chwilę słońce i przez brudne okno wdziera się do pokoju. Chryste, tak byłem zajęty tą dziwną rozmową, że zapomniałem o odzyskanej wolności. W tyle głowy ciągle tkwi myśl, że nadal jestem przykuty łańcuchami. Wstaję i okrążam biurko.

- Pochodzisz z tych okolic? - pyta Sahota.

- To zależy, co znaczy „te okolice”.

- Niedaleko od szpitala, skąd cię wzięliśmy. Kilka kilometrów stąd.

- Kilka kilometrów w którym kierunku? Od centrum miasta czy...?

Milknę, podchodząc do okna. Znam to miejsce. Okna biura Sahoty wychodzą na wąski parking. Za nim ciągnie się długi, zarośnięty pas ogródków przydomowych, należących do domów szeregowych. Kiedyś były to dobrze utrzymane siedziby, teraz są zdewastowane. Za domami na wzgórzu jest mały park o dziwnym kształcie. Na placu zabaw dla dzieci ciągle stoją jaskrawo pomalowane huśtawki i zjeżdżalnie, co dziwnie kontrastuje z panującym wszędzie chaosem. Przesmyk między domami łączy parking z ulicą, a wielka brama z kutego żelaza nie pozwala osobom nieupoważnionym na wjazd ani na wyjazd.

- Czy to...?

- Zakon Świętych Sióstr Ubogich, jak brzmi oficjalna nazwa - wyjaśnia. Stanął obok mnie i patrzy na podwórzec. -Dziwne miejsce, prawda?

- Dziwne?

- Częściowo budynek zakonny, częściowo dom opieki. Idealny dla nas.

Ma rację. Potężny, ceglany kompleks jest jak forteca. Stoi w zamożnej kiedyś okolicy otoczony ze wszystkich stron domami; nieco cofnięty od drogi, jest ogrodzony wysokim płotem i murami, broniącymi dostępu wszelkim, nawet najbardziej zdeterminowanym intruzom. Większość osób nawet się nie domyśla, że tu coś jest. Pamiętam, że mieścił się tu kiedyś zakon, a potem kościół założył finansowany przez społeczeństwo dom opieki. Ojciec Lizzie miał znajomego, który przez pewien czas mieszkał w tym domu.

- To chyba Highwell?

- Dokładnie mówiąc, jesteśmy na granicy między Highwell a Stepły.

- Czyli jakieś...

- Trzy kilometry od centrum miasta.

- Więc jesteśmy...

- Już w obrębie miasta. Na wewnętrznej granicy ich strefy zamkniętej.

- Chryste! Ilu naszych ludzi jest tutaj?
  - Niewielu. Teraz tylko ja i kilku innych. Poza mną jest tu jeszcze załoga debilnych pacyfistów, Zwykłych, którzy myślą, że przyczyniają się do zbawienia świata. Gdy tylko osoby takie jak ty nauczą się kontrolować swoje emocje, odeślę tamtych do miasta. Jak już mówiłem, sytuacja szybko się tu pogarsza. Nie ma czasu do stracenia.
- Milcząc, stoję przez chwilę przy oknie. Za parkingiem, za domami, wszystko wydaje się pozbawione życia, zamarłe. Widać zwykłe charakterystyczne ślady po bitwach, ogródki są zarośnięte i dzikie. Okolica wydaje się opuszczona i bezludna. Jednak im dłużej się przyglądam, tym więcej dostrzegam. W dali widzę helikopter lecący w stronę centrum miasta - pojawia się tylko w prześwitach między koronami drzew. W parku leży stos zwłok, zrzucony na klomb. Bliżej, bezpośrednio przede mną, kilku Zwykłych przenosi torby z jedzeniem między dwoma budynkami. Ciągłe oglądają się za siebie z obawy przed atakiem. Daleko po prawej powoli posuwa się drogą pokiereszowany samochód. Wjeżdża przez jedną z bram i przez wąski pasaż, a potem zatrzymuje się w cieniu wysokiego muru, ogradzającego teren. Obserwuję, jak dwóch Zwykłych przenosi takiego jak ja bojownika, który ma skrępowane ręce i nogi. Uderza mnie ironia tego, co się tu dzieje: ci głupcy myślą, że pracują w jakiejś misji zbawienia, gdy tymczasem uczestniczą w treningu swoich własnych zabójców.
- W samym centrum miasta umieściłem kilka tajnych komórek szpiegowskich - mówi Sahota.
  - Chciałbym, żebyś dołączył do jednej z nich.
  - Dobrze - odpowiadam natychmiast, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Dzięki temu wydobędę się stąd, a teraz to dla mnie rzecz najważniejsza.
  - Polecę wydać ci twoje rzeczy i przekażę ci wskazówki, adresy kontaktowe i prowiant. Idź tam i przyzwyczajaj się do przebywania na zapleczu wroga, a potem znajdź swoją komórkę.
  - A potem?
  - A potem czekaj na sygnał.
  - Na jaki sygnał?
  - Gdy nadejdzie właściwy czas, wszystkie komórki dostaną rozkaz zajęcia pozycji głęboko w sercu miasta. Potem, gdy będziemy gotowi, wszystkie komórki zaczną walczyć, wywołując jak największą panikę. Wyobraź sobie, Danny... nagle narasta przemoc, często w miejscach przypadkowych, i wszystko dzieje się równocześnie, bez wyraźnej przyczyny. Wróg nie będzie wiedział, co się dzieje. A my będziemy dla niego niewidoczni. Zwykli będą walczyć ze sobą nawzajem i to będzie piękne. To jak rzucenie zapalniczki do cysterny z benzyną. Zanim się obejrzymy, całe miasto się rozpadnie. Wyobraź sobie: zadziałamy nie jak terroryści, lecz jak komórki raka.
- To brzmi wspaniale. Wszystko wydaje się takie łatwe.
- Więc musimy tylko...
  - Ty musisz - poprawia mnie - dostać się tam, czekać, aż będziemy gotowi, a potem wywołać jak największy zamęt i urządzić jak największą jatkę.
- Znów patrzę przez okno, próbując w pełni ocenić wagę i niebezpieczeństwo akcji, do której Sahota mnie kieruje.
- Danny, to zaszczyt. Docierając tak daleko, okazałeś niesamowitą siłę i wiarę w siebie. Nigdy nie zostanie ci zapomniane to, co zrobisz w sercu miasta.

28

Jeszcze kilka godzin temu myślałem, że jestem trupem. A teraz niosę w plecaku broń, zapasy, rzeczy Ellis i idę przez wymarłe ruiny miasta, które kiedyś nazywałem swoim. Mam pomóc w zlikwidowaniu wroga. Nowy porządek świata jest kapryśny i nieprzewidywalny. W jednej chwili jesteś na dnie, a za chwilę znów na górze.

Na drogach wokół kwatery Sahoty panował krzepiący spokój i pustka, co napawało mnie wiarą i siłą. Ale gdy tylko dostrzegłem pierwszych Zwykłych, znów ogarnęły mnie wątpliwości. Trzech

kuliło się w drzwiach zrujnowanego częściowo domu. Z ulicy prawie ich nie było widać, tylko oczy świeciły w mroku. Przeszedłem trening, ale mimo to instynkt mówił mi:

zabij. Nikt by się o tym nie dowiedział, a ponieważ u pasa miałem nóż i siekiere, na pewno potrafiłbym załatwić całą trójkę bez specjalnych trudności. Bałem się jednak - bałem się, że gdy zacznę zabijać, nie zdołam się już powstrzymać. Spokój! - nakazywałem sobie. Pokonałem pokusę i szedłem dalej. Mijałem tych nędznych skurwieli, a oni obserwowali mnie jak jastrzębie. Ale dwie myśli pchały mnie do przodu. Pierwsza: wiedziałem, że jeśli dotrę do miasta, to mam szansę, choć niewielką, zdobycia informacji o Ellis. Druga: im dłużej uda mi się wytrzymać bez zabijania i im głębiej wniknę do miasta, tym więcej będzie ofiar, kiedy walki w końcu na dobre się zaczną. Darowałem życie tej trójce - jeśli w ogóle można to nazwać życiem - wiedząc, że dzięki temu mogę zabić tysiące Zwykłych.

Zaskoczyło mnie to, że im więcej Zwykłych spotykam, tym łatwiej jest mi przebywać w ich pobliżu. Samokontrola ciągle sprawia mi trudność, ale Zwykłych jest coraz więcej i to mi stale przypomina, że zabijanie mogłoby źle się dla mnie skończyć. A może widok tego, w jak żalonym, przerażającym są stanie, stłoczeni niczym bydło, wzmacnia moją siłę i poczucie wyższości. Ci ludzie są niczym.

Chryste, ale mi zimno. Przesuwam dłonią po świeżo ogolonej głowie i brodzie - widzę swoje odbicie w brudnym oknie wystawowym sklepu. Wyglądam jak nowy człowiek, jakbym odrodził się podczas ucieczki z tego dziwnego bajzlu, w którym przebywałem przez kilka ostatnich dni. Robię to, o co prosił mnie Sahota. Nigdy nie sądziłem, że będę w takiej sytuacji. Powiedział mi, żebym się wmieszał w tłum Zwykłych. Gdy poprzednio walczyłem, chodziłem w tym samym ubraniu, aż się zdarło, a tu z niedowierzaniem obserwuję, że część Zwykłych przywiązuje wagę do swojego wyglądu. Oczywiście standardy się obniżyły, nie istnieją już eleganckie sklepy z najmodniejszymi strojami, ale dla wielu ludzi ubranie nadal jest czymś istotnym. Chodzi o to, żeby cię zaakceptowano, powiedział mi Sahota, stań się częścią tłumy. Minutę temu widziałem kobietę z makijażem. Po co? Jaki to ma sens. Głupia suka. Nie ma znaczenia, jak wyglądasz, gdy umierasz.

Koncentracja na oddychaniu - to moja technika. Zmuszam się do równomiernego oddechu, do powolnego, stałego, miarowego kroku. Gdy zaczynam myśleć o zabijaniu i walce, próbuję się od tego oderwać i zajmuję się rzeczami banalnymi: liczę latarnie, unikam nadeknięcia na szczelinę w chodniku, przypominam sobie imiona i twarze osób, które kiedyś znałem. To niesamowite uczucie - wyobrażam sobie, że tak musi się czuć niepijący alkoholik. Póki nie zabijam, czuję się dobrze. Ale gdybym musiał zaatakować choćby jednego z nich - tak jak niepijący alkoholik złamałby zakaz i wypił jednego drinka - wiem, że nie potrafiłbym się zatrzymać. Pamiętam slogan Mallona: im więcej walczysz, tym mniej dostajesz. Miał rację. Jeśli będąc tu sam, wywołam jakąś awanturę, wpadnę w gówno po uszy. Zachowasz spokój, to masz szansę przetrwania, napominam się.

Znajduję się w dziwnym otoczeniu, czegoś takiego się nie spodziewałem. Ulice i domy wewnątrz wrogiej strefy wyglądają odmiennie od tych, które dotychczas widziałem. Za granicami miasta, na zewnątrz ich strefy zamkniętej, wszystko zmieniło się w ruinę po wielu tygodniach walk. Przez parę miesięcy wojska Zwykłych atakowały nas bez zmiłowania, bombardowały z niespotykaną zaciętością, zmieniając te rejony w zrujnowaną pustynię. W niektóre wsie i miasteczka tak dotkliwie uderzono, że przestały istnieć - pozostały po nich sterty gruzu obrastającego zdziczałą roślinnością. Tutaj natomiast ulice i budynki są w zasadzie nietknięte, ale wyglądają tak, jakby powoli niszczały. Wszystko pokryte jest gruzem i brudem. Widzę przed sobą hałdę niewywiezionych śmieci, część wylewa się z rozerwanych, czarnych toreb, większość wala się w rynsztoku. W pełnym świetle szczury i inne szkodniki czują się bardzo pewnie, nie boją się człowieka. Ptaki dziobią trupy, a z gnijącej hałdy leniwie sączy się strumyk cuchnącej wody, która zbiera się w olbrzymią kałużę i rozlewa na drogę, gdyż studzienki uliczne są zapchane. Wiatr marszczy wody czarnego, brudnego jeziora, po którego powierzchni pływają odpadki niczym łódeczki o dziwnych kształtach.

Sahota przekazał mi adres miejsca znajdującego się niedaleko stąd, na zachód, na wewnętrznej

granicy strefy zamkniętej. Ostrzegał mnie, bym trzymał się głównych dróg i otwartych przestrzeni, choćby kusilo mnie, by się ukryć. Teraz zrozumiałem logikę tej rady. Tutejsi ludzie są niemal w transie, w jakimś dziwnym stanie fałszywego spokoju. Najczęściej poruszają się skrajem ulic, tłocząc się w cieniu; próbują się wcisnąć w jakieś zakątki, jakby pragnęli zniknąć. Niektórzy ukrywają się w ciemnych przejściach między domami, inni siedzą za kierownicą bezużytecznych, porzuconych samochodów, które już nigdzie nie pojadą. Spoglądam w okna mijanych budynków. Widzę blade twarze rozplaszczone na szybach, prawie wszystkie miejsca w oknach są zajęte. Wokół mnie sunie niekończąca się procesja zagubionych, znękanym osobników. Idą pojedynczo, we dwójkę lub w trójkę, ze wzrokiem wbitym w ziemię; wystraszeni, nawiązują kontakt wzrokowy najwyżej z najbliższymi przyjaciółmi czy krewnymi. Nie straciłem instynktu mordercy, ale ci ludzie nie są nawet wari w wysiłku, by ich zabić. Puste, banalne skorupy. Już są jak martwi.

Część ludzi idzie ulicą w tym kierunku co ja, inni spacerują bez celu w drugą stronę. Po prostu się wałęsają, a ja staram się dostosować do ich powolnego kroku. To trudne, jakby ktoś mnie zmuszał do trzymania dłoni w garnku z wrzątkiem. Chciałbym biegiem przedostać się przez tę część miasta, ale nie śmiem robić niczego, co przyciągnęłoby uwagę i wyróżniało mnie w zbiorowości. Wyczuwa się tu kipiące pod powierzchnią spokoju napięcie i strach. Wszyscy - włącznie ze mną - zmuszeni są do tłumienia emocji w obawie, co mogłoby się stać, gdyby okazali prawdziwe uczucia. To straszna myśl, że miałbym się porównywać z wrogami, ale uświadamiam sobie, że wszyscy - ja też - robią to samo: udajemy, że jesteśmy czymś innym niż w rzeczywistości.

W zasadzie panuje cisza. Zakłóca ją jedynie sporadyczny hałas spowodowany przez jakiś pojazd wojskowy, warkot przemykających w górze helikopterów i z rzadka odgłosy dalekiej walki, dobiegające z nieokreślonego kierunku. Idę drogą biegnącą równolegle do murów amfiteatru. To olbrzymi, pozbawiony duszy obiekt; nigdy nie mogłem sobie pozwolić na bilety na żaden koncert. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, widzę blokady wokół tego terenu oraz żołnierzy przy drzwiach i wyjściach. Na parkingu stoją puste ciężarówki. Czyżby zorganizowano tu centrum rozdziału żywności? Nie wiem, ale wygląda na to, że ośrodek został zlikwidowany, choć nadal na jego obrzeżach obozują cywile, czekający na racje żywnościowe, których prawdopodobnie nikt nigdy tu nie dostarczy. W innej części ogrodzonego płotem terenu tli się stos trupów. Chyba setki ciał...

Oglądam ponure widoki i tak jestem tym zajęty, że wpadam na kogoś idącego w przeciwnym kierunku; on również najwyraźniej nie zwraca uwagi na potok ludzi. Nie jestem przygotowany na to niespodziewane zderzenie. W nagłym przyplywie niekontrolowanego, ślepego przerażenia rzucam się naprzód i chwytam niechlujnego mężczyznę za kłapy marynarki. Obracam nim, ciskam go na asfalt i sięgam po nóż, gdy wtem... wtem przypominam sobie, gdzie jestem i kim jestem. Natychmiast go puszczam i odchodzę; boję się, że mnie zauważono i że zdradziła mnie gwałtowna, przesadna reakcja. Oglądam się za siebie: mężczyzna podrywa się na nogi i oddala się szybko ode mnie, dzieli nas już kilka metrów. Spuszcza głowę i idzie dalej, stara się nie wpaść w panikę. Co chwila zerka przez ramię. Rozglądam się na boki. Obserwuje mnie wiele osób, ale na szczęście są zbyt wystraszone, żeby ingerować.

Pieprzony idiota. Nie mogę sobie pozwolić na takie błędy.

Dokładnie wiem, gdzie teraz jestem. Przy następnej przecznicy znajduje się wydział mandatów, gdzie pracowałem. Gdy widzę ten budynek, opanowują mnie sprzeczne emocje: odraza, że strawiłem tu taki kawał swego poprzedniego nędznego życia, ulga, że te czasy już dawno minęły, oraz zaskakująca dla mnie samego bolesna nostalgia, gdy przypominam sobie to wszystko, co utraciłem i pozostawiłem za sobą. To było tak dawno temu, że mam wrażenie, iż wspomnienia należą do kogo innego. Jestem tu, wspominam to miejsce i związane z nim wydarzenia, a jakbym oglądał film z życia kogoś mi nieznanego. Chryste, w budynku mieszkają teraz ludzie. Widzę ich w oknach, przy których spędzałem kiedyś całe godziny, gapiąc się na miasto. Czy może być gorsza egzystencja?

Odruchowo zatrzymuję się tuż przed wejściem do biurowca. Stoję pośrodku ulicy jak wycieczkowiec, który nagle zapomniał o całym świecie. Hałas szybko nadjeżdżającego samochodu

wyrywa mnie ze stanu niebezpiecznego ośpienia. Odwracam się - to jeep jedzie środkiem ulicy prosto na mnie. Po obu stronach siedzą uzbrojeni żołnierze. Ich twarze zakrywają przyłbice hełmów, trudno dostrzec, jakie żołnierze mają zamiary. Czyżby mnie szukali? Jeep jedzie szybko i nawet nie stara się omijać wałęsających się uchodźców, których jest pełno na ulicy. Ludzie uskakują z drogi i trzymają się z dala, póki żołnierze nie przejadą. Jestem sparaliżowany nieracjonalnym strachem i nie wiem, czy powinienem walczyć, czy zachowywać się biernie. Reaguję ślamazarnie. Żołnierz spycha mnie na chodnik i robię wszystko, żeby się na niego nie rzucić i nie zamordować go. Stoję mocno, nie ustępuję, okazuję głupi opór. W jego przyłbicy odbija się moja twarz.

- Jakiś problem? - krzyczy. Jego okropna twarz znajduje się kilka centymetrów od mojej. Czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła, a trujące, obrzydliwe przerażenie narasta we mnie i nie mam pewności, czy uda mi się je stłumić. Czy daruję mu życie? Jedyna rzecz, jakiej pragnę, to zabić i w tej sytuacji bezczynność jest prawie niemożliwa. Siłą woli przypominam sobie celę, Josepha Mallona oraz fakt, że tak łatwo potrafiłem go oszukać - to dodaje mi niezbędnych sił. Zgrywaj głupiego, przemawiam do siebie. Daruj mu. Zabijesz tysiące innych, gdy nadejdzie właściwa pora.

- Nie, skądże - odpowiadam. Cofam się i ulatniam, usiłując naśladować reakcję innych tchórzy, których tu pełno. Czuję, jak jego wzrok wypala mi dziury w plecach, ale się nie odwracam. Idę przed siebie...

Mija dziesięć sekund i nic się nie dzieje.

Tylko się nie odwracaj.

Kolejne dziesięć sekund. Czy odjechali?

Skrećam za róg i wiem, że jestem bezpieczny.

Plac Milenijny.

Kiedy ostatnio tu byłem, trafiłem w sam środek strzelaniny: bitwę toczyły grupy uzbrojonych policjantów, którzy nieoczekiwanie znaleźli się w przeciwnych obozach. Biegłem, żeby się ukryć, a wraz ze mną setki innych ludzi, wszyscy przerażeni. Pamiętam, to było tego dnia, gdy wszystko się naprawdę zmieniło. Tego dnia Nienawiść wzięła górę. Dziwne, że z perspektywy czasu to przerażające doświadczenie wydaje się czymś zupełnie zwyczajnym. Teraz jestem twardszy, silniejszy. Wtedy byłem po prostu elementem tłumu, usiłowałem się w niego wtopić, by nikt mnie nie zauważył. Dziś jestem tu, by zabijać.

Rozległy miejski plac nie jest już pusty jak kiedyś. Wszędzie stoją tymczasowe przytuliska rozmaitych rozmiarów, kształtów i kolorów. Nie mogę się powstrzymać i zaglądam do kilku mijanych slumsów - w każdym widzę uchodźców, którzy z rozpaczliwą nadzieją ufają, że licha konstrukcja sklecona z tektury, desek i plastiku da im bezpieczeństwo i nikt się do środka nie wdrze. W jednej z takich szop leży para w średnim wieku. Oboje są martwi. Zzieleniałe ciała splotły się w uścisku. Nikt na nich nie zwrócił uwagi. Stęchłe powietrze w ciasnym pomieszczeniu roi się od much.

Dzicy lokatorzy zajęli toalety publiczne i wprowadzili się tam na dobre. Przedtem takie miejsca były dewastowane co najmniej dwa razy w miesiącu i służyły gejom za miejsce spotkań. Mężczyzna i kobieta siedzą na krzesłach w ciemnym wejściu niczym król i królowa strzegący swego ponurego królestwa. Uwiązany na sznurku wygłodniały pies o groźnym wyglądzie nie dopuszcza tu osób niepożądanych.

Obok widzę zaskakująco pusty kawałek gruntu. Podchodzę bliżej: to ulica pokryta strumykami i kałużami schnącego błota niczym wysychające koryto rzeki. Zapewne gwałtowna powódź zmyła kwartał prowizorycznych namiotów, odsłaniając pole ubłoconych płyt, między którymi wyrastają już chwasty. Rada miejska wydała kiedyś fortunę na budowę i utrzymanie tego placu - pamiętam, jak kolega z innego wydziału psioczył z tego powodu - a teraz jest to miejsce równie zapuszczone, jak wszystkie inne rejony. Nie do wiary, ale zegar uliczny nadal działa. Pokazuje godzinę trzecią po południu, czwartek szesnastego. Przez ułamek sekundy wzbiera we mnie poczucie ulgi - przecież

zbliża się weekend. Chryste, ależ jestem głupi! Wszystko wokół tak bardzo się zmieniło, ale wieloletnie przyzwyczajenia znikną dopiero po wielu miesiącach. Czy właśnie z tego powodu konserwowano zegar? Czy pomaga on Zwykłym przetrwać, ponieważ dzięki niemu wiedzą, czym się różni ich obecna sytuacja od poprzedniej.

Po drugiej stronie placu zauważam coś szczególnego. Mury dwóch sąsiadujących domów od ziemi do wysokości dwóch metrów oblepione są setkami plakatów - tak to wygląda z mojego miejsca. Podchodzę bliżej i widzę, że to zdjęcia ludzi przypięte, przybite gwoździami, przylepione do wielkich arkuszy sklejki, którymi zabito okna i drzwi domów. Dokładniej przyglądam się temu kolażowi; wiem, że jestem bezpieczny w kłębiącym się tłumie Zwykłych. Ta ekspozycja to nic szczególnego, widziałem podobne na filmach i w telewizji - społeczności dotknięte tragedią organizują miejsce spotkania, by dzielić wspólny ból po stracie bliskich; tworzą zaimprovizowaną kapliczkę dla upamiętnienia przyjaciół i rodziny. Może jest tu gdzieś fotografia Lizzie? Szukam uważnie wśród rozmazanych przez deszcz, wyblakłych zdjęć.

Wpatruję się w przypadkową twarz, jedną z setek. Niczym się nie wyróżnia spośród innych. Zdjęcie ukazuje mężczyznę dobrze po czterdziestce; ma on gęste kręcone ciemne włosy, krótką brodą i ciemne, prostokątne okulary. Umieszczony pod spodem napis głosi: „James Jenkins. Zabił swoją żonę Louise i córkę Claire”. Podobna informacja widnieje na sąsiednim zdjęciu: „Marie Yates. Zamordowała wszystkie drogie mi osoby”. A więc nie są to zdjęcia ofiar. To zdjęcia zabójców. Chryste, czy jest tu gdzieś moja twarz? Wpadam w panikę i zaczynam szybko przeglądać ekspozycję, mam nadzieję, że znajdę swoje zdjęcie, zanim ktoś inny je dostrzeże. Przecież mogą mnie rozpoznać.

Żałuję, że za radą Sahoty ogoliłem głowę. Broda i zmierzwiłone włosy skryłyby moją twarz. Ale nagle przychodzi mi do głowy całkiem odmienna myśl. Mam nadzieję, że znajdę tu swoją fotografię, ponieważ to by świadczyło, że Lizzie tu była. To i tak nie ma znaczenia.

Siłą woli zmuszam się do odejścia. Nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu. Gdzieś w tym cuchnącym, brudnym, zatłoczonym, zniszczonym mieście może się ukrywać kobieta, z którą dzieliłem życie. A jeśli uda mi się ją znaleźć, dowiem się, co się stało z moją córką.

19

To gdzieś blisko. Gdy Sahota przekazywał mi ten adres, wydawało mi się, że znam tę część miasta, ale teraz okolica wygląda zupełnie inaczej niż dawniej. Znów wędruję na skraj obozu uchodźców i zmierzam do granicy strefy zamkniętej. Coraz mniej Zwykłych wokół mnie. Co za ulga, że już mnie nie otaczają i nie muszę ciągle się kontrolować. Oddalam się od centrum miasta. Tutaj budynki są przeważnie pustawe, prawie nie zamieszkane. W polu widzenia mam zawsze jednego czy dwóch Zwykłych, ale gdy idę w ich stronę, starają się mnie nie zauważać i szybko umykają w cień.

Staję przed ufortyfikowanym domem. W oknach i drzwiach zainstalowano metalowe kraty. Sąsiednie domy są zburzone, ale ten budynek najwyraźniej zdołał uniknąć zniszczenia podczas walk. Z ciekawości wchodzę w ciemną, wąską uliczkę, oddzielającą dom od gruzowiska. Pośrodku zachwaszczonego trawnika widzę rozkładające się ciało Zwykłego; niemal szkielet, zwrócony twarzą do dołu, obleczony w mundur polowy, który łopocze na wietrze. Leży tu co najmniej od kilku tygodni. Czy mężczyzna był właścicielem tej posiadłości? Drzwi od podwórka zostały wyrwane z zawiasów. Wchodzę do środka. Meble blokują wejście do poszczególnych pokoi. W sypialni na piętrze zostały tylko krzesło, stolik i łóżko. Wszędzie walają się podarte kartony, pudełka po żywności, ściany ktoś zasmarował bezsensownymi sloganami: „Śmierć Wścikiemu”, „Zabij ich, zanim oni zabiją ciebie”. W domu nie ma nic wartościowego. Wychodzę z tego domu. Kręcę głową i uśmiecham się do siebie. Jakże żałosny musiał być ten Zwykły, który tak długo próbował bronić tego, co do niego należało. Próżny wysiłek. Lepiej by zrobił, gdyby szukał szans w tłumie, w centrum miasta.

Drogę blokuje wrak ciężarówki. Przewrócona na bok, przypomina wieloryba wyrzuconego przez

morze na plażę. Zawartość kontenera rozsypała się na całą szerokość ulicy. Przedzieram się przez to pobojuwisko i schodzę po pochyłym podejździe w stronę ruchliwego niegdyś lokalnego centrum handlowego. Odgłos moich kroków odbija się echem na małym, zapuszczonym, kwadratowym placu, który w połowie jest zalany czarną wodą, rojącą się od zarasków. W najgłębszym miejscu wystaje obuta noga martwego żołnierza; na sfalowanej przez wiatr powierzchni wygląda jak płetwa rekina.

Widzę wokół puste, splądrowane sklepy: kantor bukmachera z plakatami w oknie, zapowiadającymi mecz piłkarski, który się nigdy nie odbył; smażalnia ryb; bar z pizzą na wynos; fryzjer; sklep spożywczo-przemysłowy. Nie tracę czasu, nie zaglądam do wnętrza. Jeśli było tam coś wartościowego, na pewno zostało zrabowane lub zniszczone.

Przecinam plac na ukos. Czuję się coraz bardziej nieswojo, gdy obchodzę jeziorko chlupoczącej, brudnej deszczówki. Ja, Wściekły, głęboko na terytorium Zwykłych. Czy mnie obserwują? Chcę się jak najszybciej ukryć. Przyspieszam kroku i wchodzę między dwa opuszczone domy. Wreszcie widzę budynek, do którego mnie wysłał Sahota. Klub Konserwatystów w Risemore. Jest to miejsce brzydkie jak wszystko dokoła. Niski budynek z czerwonej cegły, który, szczerze mówiąc, mógłby zyskać na wyglądzie, gdyby spadła na niego bomba. Przed wojną unikałem takich miejsc. Gdy byłem mały, mój ojciec - zanim zostawił mamę - zaciągał mnie w niektóre weekendy do swojego klubu. Siedziałem tam z nim i strasznie się nudziłem. Przez kilka godzin sączyłem puszkę coli, a tymczasem ojciec pił, palił, czytał gazetę, dyskutował zaciekle ze swoimi równie pijanymi kumplami albo oglądał jakichś gównianych komików, piosenkarzy czy kabareciarzy, którym właściwie powinno się zakazać występów publicznych. Zbliżyłem się do klubu i automatycznie moja wyobraźnia konstruuje obraz tego, co czeka mnie w środku: hałas, stęchły zaduch, wiszący w powietrzu papierosowy dym, lepiąca się od brudu wykładzina podłogowa, niewygodne, pokryte plastikiem siedziska z wyzierającą przez dziury wyściółką...

Nie mogę wejść przez drzwi frontowe. Blokują je wysoka sterta gruzu. Obchodzę dom, szukając innego wejścia. Przeklinam swoją naiwność. Przecież nie należy się spodziewać wejścia od frontu. Jeśli ktoś koordynuje akcje tajnej komórki terrorystycznej, nie może dopuścić do tego, że niepowołane osoby będą pukać do frontowych drzwi i swobodnie sobie wchodzić. Czy teraz stałem się terrorystą? Zamachowcem-samobójcą, ale bez bomby? A może ja jestem tą bombą?

Wąska alejka między ceglanyymi murami biegnie prosto na zaplecze budynku i kończy się na prawie pustym parkingu. Nikogo nie widzę, nie ma też żadnych oznak, że ktoś się tu ostatnio pojawiał. Widzę wyjście przeciwpożarowe - wzmocnione, obite metalem drzwi. Stukam w nie pięścią i czekam na odpowiedź. Zaczynam wątpić, czy dobrze trafiłem. Sparszywiały bury kot wyskakuje spod żywopłotu i czmycha pod stojący na kółkach przepelniony kosz na śmieci. Odruchowo przywołuję zwierzę. Kiedyś lubiłem koty.

Drzwi pożarowe otwierają się, ku mojemu zaskoczeniu. Odwracam się i staję twarzą w twarz z wysokim, silnym, paskudnie wyglądającym draniem pokrytym tatuażami. Dzięki Bogu jesteśmy po tej samej stronie.

- Szukam Chapman - mówię. Sahota kazał mi o nią spytać.

- Kto szuka?

- Ja - odpowiadam bez zastanowienia.

- A ty kim jesteś, pieprzony idioto? - Wzdycha i daje krok do przodu, zmuszając mnie do cofnięcia się na środek parkingu. Kładzie dłoń na rękojeści wielkiego noża o groźnym, ząbkowanym ostrzu.

- Nazywam się Danny McCoyne - odpowiadam szybko. Usiłuję mówić głosem pewnym siebie i zamaskować zdenerwowanie. - Sahota mnie tu przysłał.

Na dźwięk tego nazwiska zbir wyraźnie się odpręża. Mierzy mnie wzrokiem, potem staje z boku i gestem wskazuje drogę do wnętrza budynku. Idę i czekam na niego, gdy zamyka drzwi od środka i zabezpiecza je ciężką, drewnianą belką. Prowadzi mnie przez pomieszczenia na parterze. Moje oczy powoli przywykają do ciemności. Potykam się na drewnianym podeście, lekko wzniesionym



ponad poziom podłogi. Zbir patrzy na mnie, kręcąc głową.

Sala klubu jest w oplakany stanie. Nie przypomina głupiego, nieaktualnego obrazu, jaki miałem w pamięci. Podłoga jest usiana resztkami styropianowych białych płyt sufitowych. Jeśli sufit jest w tak nędznym stanie, to jak mocna jest reszta budynku? - zastanawiam się. Z rozczarowaniem - ale bez zaskoczenia - stwierdzam, że bar został kompletnie ogołocony. W wyłożonej lustrami ścianie jest pusty pas - tu były kiedyś lampy. Chryste, przydałby mi się drink na uspokojenie nerwów. W tym miejscu czuję większy niepokój niż poprzednio w centrum miasta, gdy ze wszystkich stron otaczali mnie Zwykli.

Mój przewodnik nie jest skory do rozmowy. Prowadzi mnie szerokim korytarzem do drugiego, znacznie mniejszego baru, potem długimi schodami na piętro. Z kwadratowego podestu odchodzi czworo drzwi. Troje drzwi jest otwartych i w każdym pokoju widzę jedną, dwie osoby. Osilek otwiera czwarte drzwi; wchodzę za nim do dużego pomieszczenia, niemal tak dużego jak główny bar na parterze. Mebli tu niewiele, ale w zasadzie nie ma śladów zniszczeń. Pod ścianą piętrzą się skrzynie ze sprzętem. W dalekim rogu przy stole siedzi facet z laptopem, pod oknem ktoś śpi na materacu. Gdy tylko wchodzę, z wytartej kanapy wstaje kobieta, która się tam wylegiwała. Jest w cieniu, nie widzę jej dokładnie, ale wydaje mi się znajoma. Jestem pewien, że już ją kiedyś widziałem. Czy to Chapman?

- Kto to? - pyta. Ma lekki akcent irlandzki, zgaszony jednak szorstkim tonem głosu.

- Mówi, że cię szuka. Mówi, że Sahota go przysłał.

Mój nieżyczliwy przewodnik znika; wykonał swoje zadanie. Kobieta zbliża się do mnie, wychodzi na światło. Od razu ją poznaję, ale nie wiem, gdzie ją spotkałem. W tym życiu? W dawnym życiu?

- Rzeźnia - mówi.

- Co takiego?

- Rzeźnia, kilka dni temu. Próbowaleś sobie przypomnieć, gdzie mnie wcześniej spotkałeś. Byłeś tam z chłopcem, który miał zmiążdżone rękę i nogę, a ja...

- Powiedziałas mi, żebym się nim nie przejmował, bo on i tak wkrótce umrze - przerywam jej, przypominając sobie spotkanie.

- Właśnie. I chłopak umarł. Jestem Julia Chapman.

- Radosna z ciebie dziewczyna - mówię z sarkazmem. Podajemy sobie dłonie. Przypominam sobie, jak kategorycznie i rzeczowo się wtedy wypowiadała. Omal nie miażdży mi ręki żelaznym uściskiem. Daje mi do zrozumienia, kto tu dowodzi.

- Jestem realistką - odpowiada - i koncentruję się na naszych celach. Ty też powinieneś tak postępować. Mówię ci, kiedy wojna się skończy, ja pierwsza zatańczę na przyjęciu i ostatnia sobie potem usiądę. Ale na razie interesuje mnie tylko walka.

- Niezły zbieg okoliczności, że cię tu spotykam.

- I co o tym sądzisz?

- Myślałem, że zajmujesz się werbunkiem do armii Ankina.

- Nadal to robię.

- Więc dlaczego tu jesteś?

- Żeby dopilnować, by Sahota dostawał odpowiednich ludzi.

- Co? Czy chcesz przez to powiedzieć, że śledziliście mnie aż do miasta?

- Niczego nie chcę powiedzieć. Ale tak, coś w tym stylu. Brało w tym udział jeszcze kilku ludzi, a śledziliśmy nie tylko ciebie.

- Nie wierzę ci.

- Koleś, wierz sobie, w co chcesz, to mnie nie obchodzi. Rzecz w tym, gdzie teraz jesteśmy, a jesteśmy tutaj. Najważniejsze jest to, co wkrótce zrobimy.

- Skoro tak twierdzisz.

Zastanawiam się, czy zawsze tak pieprzy, czy tylko stara się zrobić na mnie wrażenie i zademonstrować swoją władzę. Patrzy mi prosto w oczy i przez sekundę myślę, że zaraz zdzieli mnie pięścią. Przygryza wargę i odwraca się.

- Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Wychodzę za nią z pokoju na podest. Potem idziemy do innej części budynku. W mroku czeka dwóch innych bojowników. Gdy ich mijam, patrzą na mnie, ale nie wykonują żadnego ruchu. W rogu pokoju widać zniszczone wojną schody, które nie mają już dokąd prowadzić, bo w suficie zieje wielka czarna wyrwa. Wchodzę za Julią na chwiejne stopnie, wynurzamy się na pokrytym gruzem dachu, który był wcześniej górnym piętrem albo poddaszem klubu. Teraz zostały tu tylko kikuty złamanych krokwi i zawałone ściany. Na podłodze widnieją duże kałuże. Dwa leżaki stoją pod rozwieszoną plandeką. Stąd rozciąga się panoramiczny widok na zrujnowane miasto - gdy patrzy się w jednym kierunku - i na strefę zamkniętą, gdy spogląda się w trzech innych. To miejsce odgrywa najwyraźniej rolę zaimprovizowanej wieży obserwacyjnej.

Julia prowadzi mnie na skraj dachu, na tę stronę, skąd rozciąga się widok na obóz uchodźców w centrum miasta. Widok jest niesamowity. Z innych stron dachu widać tylko opuszczone domy i wyludnioną ziemię. Naszą ziemię. Nie ma tam ani jednego Zwykłego.

- Zapiera dech, co?

Julia napawa się widokiem, z wyczuwalną nienawiścią wpatruje się w miasto, gdzie w nędzy żyją setki tysięcy uchodźców. Są tak blisko, że czuję niepokój.

- Właśnie to chciałaś mi pokazać?

- Tak, ale powinieneś nie tylko na to patrzeć, powinieneś myśleć. Wczuć się w to. W całym kraju nasi wrogowie grupują się i kryją w takich miejscach. Tysiące gnieźdzą się na obszarze kilku kilometrów kwadratowych, siedzą sobie na głowach i ledwo mogą oddychać. Teraz się odwróć i zobacz, co tam mamy. Za granicami miasta możesz iść całymi kilometrami i prawie nikogo nie spotkasz.

- Zaszedłem do naszego poprzedniego mieszkania i nie mogłem uwierzyć, jak tam było ciasno.

- A wiesz, co jest jeszcze gorsze? - podejmuje Julia. W ogóle mnie nie słucha. - Ci idioci ciągle ufają ludziom, którzy są jakoby ich przywódcami, choć nigdy tych przywódców nie widzieli, nigdy nie słyszeli od nich żadnego przesłania. Chryste, ludzie nawet nie wiedzą, kim są ci rzekomi przywódcy. Rozpaczliwie trzymają się struktur i organizacji, które regulowały ich żalosne życie, i wierzą systemowi, który umarł na długo, zanim myśmy się pojawili.

- Czy dasz wiarę, że zwykle...? - zaczynam, ale mi przerywa. Jej przesadny entuzjazm jest przerażający.

- Wiesz, niektórzy z tych skurwieli uważają, że będą chronieni i że w końcu wszystko skończy się dla nich dobrze. Rzecz w tym, że ty, ja i wszyscy inni mają odmienne zdanie, prawda?

- Nigdy nie zwyciężą - odpowiadam szybko. Zapieram się mocno nogami, gdyż nieoczekiwany poryw wiatru mógłby mnie zepchnąć z dachu. - Nie są w stanie.

- I dlatego to, co zamierzamy zrobić, będzie miało tak wielkie znaczenie. Sprawimy, że ziemia im się usunie spod nóg.

- Ilu nas tu jest?

- Włączając ciebie - dziesięciu.

- I tylu wystarczy?

- Nie jesteśmy jedyną grupą. Są inni. Wiem, że Sahota chce zgromadzić nas ponad setkę, gdy nadejdzie czas.

- I uważasz, że to się uda?

- Bez wątplenia. Zwykli nie ufają sobie nawzajem. Chryste, oni wręcz nie mogą patrzeć jeden na drugiego. Nigdy nie było tam prawdziwego zaufania, ale teraz mają wbite do głów, że w każdej chwili każdy może się przeciw nim obrócić. Więc panuje tam strach, napięcie i niepewność, które nigdy nie znikną. Im więcej Zwykłych stłoczy się w murach miasta i im dłużej tam będą przebywać, tym bardziej strach będzie narastać.

- A my tam wkroczymy...

- .. i podpalimy lont. Są już na skraju wyczerpania. Daję im najwyżej tydzień, w najlepszym

dla nich razie dziesięć dni. I to jeśli wcześniej nie wkroczyliśmy do akcji. Bez jedzenia, bez urządzeń sanitarnych, bez lekarstw. Powodzie...

- Aż dziw, że wytrwali tak długo.
- Byłeś tam już?
- Niedawno tam przechodziłem.
- Więc wiesz, jak to wygląda?
- Sporo widziałem...
- Rzecz w tym, że każdy myśli tylko o sobie, nawet jeśli się do tego nie przyznaje. Każdy zrobiłby wszystko, żeby przeżyć, i wypieprzyłby wszystkich innych. Rządzi nimi instynkt samozachowawczy. Tylko to im pozostało.
- W takim razie kiedy przystępujemy do działania? Kiedy wkraczamy?
- To zależy od Sahoty. On będzie wiedział, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.
- A jak my się o tym dowiemy?
- Dowiemy się, możesz mi wierzyć.
- Więc teraz tylko siedzimy tu i czekamy?
- Czekamy dziś wieczór, może również jutro. Potem dostaniemy rozkaz zajęcia pozycji. To potrwa kilka godzin, może nawet dni. Wkraczamy, ukrywamy się, a potem wybuchamy. To niewielka ofiara.

Ofiara? Mrozi mnie to słowo. Będę walczył ramie w ramie z tymi ludźmi, ale nie zamierzam się poświęcać. Nie teraz, kiedy są jakieś szanse odnalezienia Ellis.

- Więc doprowadzamy ich do ostateczności, a potem się wynosimy?
- Doprowadzamy ich do ostateczności, a potem nadal na nich naciskamy - odpowiada szybko. Mój brak entuzjazmu wyraźnie ją irytuje. - Najważniejsze jest to, co mamy zrobić w mieście. Nie myśl o przyszłości, o tym, żeby się wynieść, porzucić walkę... nic z tych rzeczy. Jeśli wytrzymasz aż do końca - dobra robota. Jeśli nie, to trudno. Chodzi o sprawy znacznie większe, przerastające każdego z nas.

To powiedziawszy, odchodzi. Zostaję sam na dachu. Czuję się tak, jakbym się właśnie zamknął z grupą sekciarzy-samobójców.

## VII

Mark musiał zdobyć więcej żywności. Nie chciał nawet myśleć o tym, co się stanie, jeśli jej nie zdobędzie. Czekaly go straszne decyzje. Jak moglo do tego dojść? Kate jeść musiała, to sprawa pierwszoplanowa, ale kto był drugi w kolejce? Gurmit Singh niech idzie do diabła, on nic go, Marka, nie obchodził, ale co z rodzicami Kate? Jej ojciec dochodził osiemdziesiątki, mama była niewiele młodsza... Czy marnowanie cennych zapasów na osoby w ich wieku było usprawiedliwione? Boże, o czym ja myślę? Mam pozwolić, by umarli z głodu? Sam też musiał jeść. Bo jak bez niego Katie i ich dziecko przeżyją w tym koszmarnym świecie? A jeszcze Lizzie. Jaką miała pozycję w hierarchii grupy? A jeśli chodzi o to stworzenie, uwiązane w łazience... Mark przeklinał dzień, kiedy się zgodził, by z nimi pozostało.

Numer hotelowy po przekątnej od pokoju 33 opustoszał. Mark przed chwilą słyszał dobiegający stamtąd hałas i widział przez wizjer w drzwiach uciekających mieszkańców tego pokoju. Nie wiedział dokładnie, co się stało. Przypuszczał, że ktoś się załamał, nie wytrzymał napięcia i został zabity - uznano go za Wściekłego. Nie pojawili się żołnierze, by przeprowadzać śledztwo - już nie zajmowali się takimi sprawami - a w tamtym pokoju leżały przecież co najmniej dwa trupy. Mark się tym nie przejmował. Gdy tylko ujrzał, że reszta lokatorów w panice zbiega z hukiem po schodach, wiedział, że ma dwie minuty, by się tam dostać, zabrać wszystko, co wartościowe, i wynieść się, zanim inni uchodźcy zgłoszą pretensje do cennej powierzchni mieszkalnej.

Mark przeszedł nad pierwszym trupem i stanął pośrodku małego pokoju. Czuł się jak detektyw amator; próbujący odtworzyć scenę morderstwa. Pokój był zwierciadlanym odbiciem pokoju 33. Na podłodze leżała kobieta o bladej poszarzałej twarzy szyję pokrywały siniaki, obrzęki i skaleczenia. W przeciwległym rogu siedział mężczyzna - Mark przypuszczał, że to brat lub partner kobiety - a z ran ciętych na szyi i nadgarstkach nadal ciekła krew. To on się załamał, pomyślał Mark. Wylądował nagły przyływ agresji na kobiecie, a potem zabił się z żalu. Kolejna niepotrzebna strata ludzkiego życia.

Nie czas na sentymenty. Rozpoczął poszukiwanie żywności. Zaglądał do kryjówek; takich samych jakie miał w swoim pokoju po drugiej stronie korytarza. Znalazł trochę ochłapów, nic wielkiego, ale to i tak lepsze niż powrót z pustymi rękami. Przynajmniej będzie mógł...

Przeraźliwy wrzask przerwał ciszę. Mark natychmiast rozpoznał, że dochodzi z pokoju 33. Zgarnął jedzenie i ruszył biegiem, potykając się po drodze o wyciągnięte nogi zabitej kobiety. Wiedział, co się dzieje. Słyszał ją. Wyrwała się na wolność.

Pchnął drzwi dokładnie w tej samej chwili, gdy Gurmit Singh pociągnął je i otworzył od wewnątrz. Mark jednym płynnym ruchem wpadł do pokoiku, wciągnął Singha z powrotem do wnętrza i kopnięciem zatrasnął drzwi za sobą. Choć Hindus mówił niezrozumiale, nie można było ryzykować, że wyjdzie i komuś opowie, kogo tutaj przechowują.

Dziewczynka leżała na łóżku ubrana tylko w brudną szarą bluzkę. Nadgarstki nadal miała skrepowane plastikową linką, ale nogi już swobodne. Otoczyła drobnymi dłońmi szyję ojca Kate. Co chwila podrywała mu głowę do góry i biła nią o drewniane wezłowie łóżka. Kate i Lizzie usiłowały odciągnąć ją od starca, ale ona nie chciała puścić - jej małe, lecz silne palce wbiły się w skórę mężczyzny i trzymały niczym imadło. Mark odsunął na bok obie kobiety i rękami objął w talii małą Wściekłą. Cofał się od łóżka, wlokąc za sobą oboje - dziewczynkę i starca. Lizzie oderwała palce córki od wychudłej szyi staruszka, a potem pchnęła go z powrotem na materac. Z tyłu osłupiała matka Kate skowyczała śmiertelnie przerażona.

- Co się, do diabła, stało? - spytał Mark. Sapał z wysiłku, usiłując utrzymać El lis. Objął mocniej rękami tors dziewczynki, ograniczając jej ruchy. Ellis pochylila głowę i ukąsiła go w przedramię, jednak rękaw grubej marynarki ochronił skórę. - Gdzie się podział ten cholerny knebel?

Nikt nie zdażył odpowiedzieć. Ellis odrzuciła głowę w tył i walnęła Marka w podbródek. Mark mocno ugryzł się w język i zaskowyczał z bólu. Ellis, dwukrotnie od niego mniejsza, bez przerwy szarpała się z niewiarygodną wściekłością, nie zważając na to, że Mark mocno ją trzyma. Gdyby

nie miała związanych rąk, zabiłaby już kilku mieszkańców tego pokoju. Może nawet wszystkich. Jeszcze raz rozpaczliwie próbowała się wyrwać: wygięła plecy w łuk, a potem się rozluźniła. Zrobiła tak dwukrotnie, po czym kopnęła do tyłu, z całej siły uderzając Marka w krocze. Oparła stopę o najbliższą ścianę i odepchnęła się - zaskoczony, zatoczył się w tył. Walnął o przeciwległą ścianę i rozluźnił chwyt. Ellis wyrwała się i pognęła do starców na łóżku, ale Kate była na to przygotowana. Trzepnęła ją po twarzy ciężką książką telefoniczną. Ellis, oszołomiona, opadła na kolana.

- Przestań! - krzyknęła Lizzie, biegnąc ku córce, kiedy pochylona nad nią Kate szykowała się do następnego uderzenia. Lizzie odepchnęła ciężarną kobietę, przykucnęła i wbiła strzykawkę w obnażone udo Ellis. Ellis zaskowyczała z nagłego bólu. Ze strzykawką wbity w ciało odwróciła się i smagnęła matkę skrepowanymi dłońmi. Zadrapała jej policzek - pozostały na nim trzy równoległe, krwawe linie.

A potem się uspokoiła.

Podniosła się na nogi. Oczy miała szkliste. Postąpiła dwa kroki w przód i runęła na brudną podłogę, twarzą na dół. Próbowwała znowu się podnieść, ale nie zdołała unieść głowy - straciła przytomność.

W pokoju natychmiast zapadła cisza. Nawet rodzice Kate milczeli - matka była w szoku, ojciec miał wstrząs mózgu. Gurmit Singh, który dotychczas kulił się przy drzwiach z dłońmi na głowie, wstał i sięgnął do klamki. Mark również wstał. Pulsujący ból w jądrach ustępował.

- Otwórz te drzwi i wyjdź, a już tu nie wrócisz! Twój wybór! - krzyknął do Singha.

Singh spojrział na niego. Mark nie wiedział, czy tamten zrozumiał ale z ulgą zobaczył, że Hindus cofa dłoń i człapie z powrotem do fotela, który uważał za swój. Po drodze przekroczył bezwładne ciało Ellis i wskazał na nie palcem.

- Zła - wysyczał, dźgając palcem w kierunku drzwi. - Wstrętna suka! Niech idzie! Nie tutaj! Kate zajęła się rodzicami, którzy wpadli w katatonię. Mark trzymał mocno Ellis, a Lizzie związała obie nogi dziewczynki nylonowym sznurkiem do suszenia bielizny i znowu ją zakneblowała. Potem wtarła krem antyseptyczny na otarcia i skaleczenia, których Ellis nabawiła się przez tygodnie szarpania się ze swymi więzami.

- Do diabła, co się stało?

Lizzie pokręciła głową, wytarła łzy i usiłowała nad sobą zapanować.

- Zaczyna mi brakować tabletek. Dawałam jej połowę dawki. Chciałam ją tylko umyć... Myślałam, że jest nieprzytomna, ale najwidoczniej tylko spała albo próbowała mnie oszukać, albo...

Przerwała i zaczęła lkać, gładząc proste, przethuszczone włosy córki. Odeszła, powlócząc nogami, a Mark powlókł Ellis do łazienki i przykuł ją do nogi umywalki.

- Ile zostało ci zastrzyków?

- To był ostatni.

- A tabletek?

Wycofał się z łazienki. Lizzie nie odpowiadała, póki całkiem nie zamknął drzwi i córka przestała być widoczna.

- Najwyżej na tydzień.

- Jezu...

- Co mam robić, Mark?

- Ten stwór musi odejść - krzyknęła Kate, wskazując oskarżyciel-sko drzwi łazienki. - Wyrzuć go stąd, bo jeśli tego nie zrobisz, to...

Podszedł do Kate i chciał ją objąć, ale mu się wyrwała. Oparła się o ścianę i ześlizgnęła po niej plecami, obejmując swój wydatny brzuch.

- Ten stwór - lkała Lizzie - to moja córka.

- To była twoja córka - odparła Kate. - Bóg wie, czym jest teraz.

- Co mam robić? - spytała Lizzie. Siedziała naprzeciw niej na podłodze i trzymała głowę w

dłoniach. - Powiedz mi, co mam zrobić?

- Po prostu się jej pozbadź. To jedna z nich, Lizzie. Nie przestanie walczyć', dopóki nas wszystkich nie pozabija.

- Wiem, ale...

- Zabiła twoich chłopców. Jak możesz znosić jej obecność, skoro zabrała ci synów?

- Nie mogę - odpowiedziała Lizzie natychmiast. Podciągnęła kolana do piersi i pochyliła głowę, zawstydzona własnym wyznaniem. - Też nie chcę jej tutaj, ale nie wiem, co mogę robić innego. Jestem jej matką i...

- Możesz ją przekazać żołnierzom.

- Wiesz, że nie mogę. Już to przerabialiśmy. Gdy tylko ją dostaną, wpakują jej kulę w łeb.

- Więc co?

- Nie mogę na to pozwolić - warknęła Lizzy, nagle zagniewana, o czym świadczył coraz bardziej rozpaczliwy ton głosu. - Masz rację, Katie, nie powinnam była jej tu przyprowadzać, ale co mogłam zrobić? Jeśli ją teraz wypuszczę, zacznie mordować. Wytropią ją i zabiją. Nawet gdyby wywieźć ją z miasta, nie przeżyłaby. Nie byłaby w stanie znaleźć żywności, ogrzać się, zatroszczyć o siebie czy...

- Trudno. Powinniśmy po prostu to zrobić.

- A jak się przedostać przez tłumy? - spytał Mark. Usiłował się skupić na problemach praktycznych i nie dopuścić, by emocje przeszkodziły mu w ocenie sytuacji.

- Nafaszeruj ją narkotykami. Daj jej wszystko, co ci pozostało. Zabij ją, na miłość boską.

- Katie... - zaprotestował słabo Mark.

- Nie mogę jej skrzywdzić - łkała Lizzie. - To moja córka, moje ciało i krew. Bez względu na to, co robiła, co może zrobić, muszę ją chronić.

McCoyne, to ty?

Szybko siadam. Widzę nieostro. Gdzie jestem? Nie ma łańcuchów. Mętne szare światło. Rozglądam się i usiłuję rozeznaczyć się w otoczeniu. To jeden z pokoi na piętrze klubu. Znalazłem te poduszki na kanapie na dole i...

- McCoyne, to ty? - Pytanie dochodzi gdzieś z tyłu. Szyję mam sztywną. Patrzę przez ramię i widzę postać stojącą w drzwiach.

- Taak, co za problem?

- Żaden problem. Chodź ze mną.

Mężczyzna odwraca się i znika, a ja nie mam wyboru - muszę iść za nim. W budynku jest zimno, więc biegnę truchtem przez westybul, by go dogonić. Teraz go rozpoznaję. Nazywa się Craven. Julia wczoraj nas sobie przedstawiła. Chyba jest jej głównym pomocnikiem.

Wchodzimy do największego pokoju na górze. Śpią tam Julia i jakiś inny mężczyzna. Craven gestem zaprasza mnie, bym usiadł obok niego przy stole w rogu, gdzie włącza laptopa. Kiedy pierwszy raz się tu pojawiłem, też z niego korzystał.

- Macie tu prąd? - pytam, zauważywszy kabel zasilania podłączony z tyłu do komputera. Głupie pytanie.

- Tak jakby - odpowiada. W jego głosie brzmi zmęczenie równe mojemu. - Prąd jest kilka ulic stąd. Przeprowadziliśmy stamtąd kabel, by działał laptop.

- Co takiego, przedłużacz?

Patrzy na mnie osłupiały.

- Tak, pieprzony przedłużacz.

Kręci głową i skupia się na laptopie. Obserwuję, jak loguje się do jakiejś centralnej bazy danych. Czy to ten sam system, o którym mówił Mallon? Moja wiedza na temat takich spraw jest ograniczona, a nie chcę wkurzyć Cravena jeszcze bardziej, pytając, jak, do diabła, może się stąd łączyć z czymkolwiek. Czy w ogóle pozostało coś, z czym można się łączyć? Z tyłu maszyny zwisają rozmaite druty wchodzące do małych, czarnych pudełek i skrzyneczek - myślę, że właśnie w nich tkwi sekret. Patrzę, jak Craven pracuje, i błędzę myślami. Przestaję zastanawiać się nad tym, co takiego robi; spoglądam na jasny displej oraz słucham odgłosów klawiatury. Kiedyś słyszałem ten odgłos przez cały dzień, codziennie. W pracy. Dźwięk przywołuje wspomnienia...

- Przepraszam za wczesną pobudkę - mamrocze, nadal skoncentrowany na ekranie. - Dostęp do systemu jest nieregularny, więc kiedy już go mamy, musimy go intensywnie wykorzystywać. Zazwyczaj o tej porze puszcza program automatycznych napraw, więc łatwiej ominąć zabezpieczenia...

Ekran się zmienia, a on milknie i skupia się na wklepywaniu komend.

- Jest... mam to.

- Co takiego?

Przesuwa laptopa w moim kierunku.

- Weszliśmy. Wprowadź swoje dane.

- Jakie dane?

- Nazwisko, datę urodzenia, ostatni kod pocztowy. Zaczynam dźgać klawisze dwoma palcami. Nie używałem klawiatury od miesiący.

- Czekaj - mówi. - Danny to zdrobnienie od Daniela?

- Tak.

- Wprowadź swoje pełne imię. Robię, co każe.

- O co w tym wszystkim chodzi? Co robimy? - pytam.

- Zabijamy cię - odpowiada bez cienia sarkazmu.

- Zabijacie mnie?

- Cechą tej wojny - mówi, zabierając mi laptopa - jest to, że zmieniała nasze priorytety.

Wszyscy się niepokoją o swoje fizyczne bezpieczeństwo, a o sprawach, które uważano za ważne, teraz się zapomina, zaniedbuje. To klasyczny przykład. Tu mamy jedyny system w kraju, który nadal działa poza systemami obronnymi, a każdy, kto ma choć połowę mózgu, może się do niego włamać i go zmodyfikować.

- Ale co dokładnie robisz?
- To ty? - pyta i znowu kieruje ekran ku mnie. Przeglądam szczegóły.
- Tak, to ja.
- Doskonale - odpowiada, przedzierając się przez menu różnych poziomów - Ach, dobrze, już jesteś martwy.
- Co takiego?
- Zapisali cię jako nieżyjącego. Słuchaj, czy przechodziłeś kiedyś prosty test na raka tarczycy albo pobierali ci ślinę z ust wacikiem?
- Tak. Czemu pytasz?
- Ponieważ właśnie z nich czerpana jest większość informacji. Usiłowali robić coś w rodzaju spisu powszechnego i próbowali badać prawie całą ludność, kiedy to wszystko się zaczęło. To było raczej „kto jest czym”, niż „kto jest kim”, jeśli wiesz, co mam na myśli.
- Tak jakby. W każdym razie nie jestem martwy.
- Według tej bazy danych, jesteś.

Pstryka w klawisze i patrzy na inny ekran.

- Hunter's Cross. Czy coś ci to mówi?
- Zupełnie nic.
- To komora gazowa. Zannotowano, że tam zostałeś zabity.
- Zagnano mnie do czegoś takiego, ale wydostałem się, kiedy to miejsce zaatakowano.
- No i mamy, to wyjaśnia sprawę. Prawdopodobnie odhaczyli cię jako martwego, kiedy cię tam posłali. Niewiele brakowało, co?
- Bardzo niewiele.
- Więc załatwione - mówi, zamykając laptopa. - Możesz wracać do łóżka.
- Chwileczkę - mówię szybko. Kładę dłoń na pokrywie komputera i powstrzymuję go przed jej zamknięciem. - Czy mogę?

Chyba natychmiast orientuje się, czego chcę. Prawdopodobnie wcześniej robił to dla wielu osób.

- Pośpiesz się - szepcze. - Jeśli Julia przyłapie mnie na tym, że ci pozwoliłem, urwie mi jaja. Moje dłonie nagle trzęsą się ze zdenerwowania. Spoglądam na swoje dane na ekranie, ale nie ma tam nic, o czym bym już nie wiedział (jeśli nie liczyć faktu, że najwyraźniej jestem martwy).
- Jak mam...?
- Szukasz rodziny?
- Tak, córki.
- Zaczynij tutaj - mówi, wskazując na dół ekranu. Klikam na klawisz oznaczony: „Inni ludzie zapisani pod tym adresem”. Następuje kilkusekundowa pauza, a potem powraca pusty ekran. Dławi mnie w gardle.

- Ile ma lat?
- Pięć.
- Albo jej nie spisali, albo spisali ją gdzieś indziej. Spróbuj poszukiwać po nazwisku.

Wklepuję dane Ellis i naciskam „Start”. Nadal nic.

- Czy ktoś z nią był?
- Jej matka i bracia.
- Poszukaj ich.

Próbuję Elizabeth McCoyne - bez rezultatu. Podaję dane swego syna Edwarda. Jest spisany pod adresem, którego nie rozpoznaję. Podobnie jego brat. Obydwaj są zaznaczeni jako martwi i przez sekundę czuję ostre ukłucie bólu. Ból szybko mija, kiedy Craven zaczyna mówić.

- Posłuchaj - szepcze - wystarczy. Julia się wkurwi.



- Chwileczkę - mówię szybko, zdesperowany. Nie chcę jeszcze odejść od komputera.
- Natychmiast!
- Jeszcze tylko...

Odwracam się do niego plecami i zasłaniam klawiaturę. Piszę. Szukam Elizabeth Parker - przecież Lizzie przyjęła moje nazwisko nieformalnie, ze względu na dzieci. Na oficjalnych dokumentach zawsze posługiwała się swoim nazwiskiem panięńskim. Patrzą na pusty ekran: kursor miga nerwowo. Craven ogląda się przez ramię. Im szybciej potrzebuję uzyskać wynik, tym wolniej system zdaje się pracować.

- Dosyć! - mówi zdenerwowany.

Ekran w końcu wypełnia się wynikami - wymieniono na nim osiem Elizabeth Parker. Przesuwam displej na prawo do daty urodzenia i klikam na pozycję Lizzie. Wymieniono ją przy nazwie „hotel”. Szybko zapamiętuję adres. Hotel Prince na Arley Road - wydaje mi się, że wiem, który to budynek. Podejmuję ryzyko i klikam ponownie na „innych ludzi wymienionych pod tym adresem” i udaje mi się przejrzeć pierwszą część długiej listy nazwisk, ale Craven wyrywa mi laptopa i zatrząskuje pokrywę. Wydaje mi się, że widziałem nazwisko jednego z moich kuzynów, Marka Tillotsena, ale Ellis ani śladu.

Wstaję i odwracam się. Za mną stoi Julia.

- Ktokolwiek to był - ostrzega - zapomnij o nim.

31

Poluję na dole na jedzenie, przeszukuję opuszczone kuchnie i bary, które już wcześniej wielokrotnie złupiono. Mam nadzieję, że znajdę przeoczoną spizarkę i zdołam uzupełnić główniane racje, którymi się ostatnio żywię. Za ladą, wetknięte za nieczynną kasę, znajduję trzy torebki orzeszków arachidowych.

Natychmiast wsypuję zawartość pierwszej torebki do ust i potykam, potem od razu robię to samo z drugą. Trzecią wpycham do kieszeni spodni, na później. Ostatnio nie mam czasu myśleć o jedzeniu, ale kiedy już jem, uświadamiam sobie, jak bardzo jestem głodny. Może pewnego dnia uda mi się zjeść znowu porządny posiłek - to znaczy, jeśli przeżyję następne parę dni.

Za barem znajdują się uchylone drzwi. Nie zauważyłem ich wcześniej. Zaglądam do wnętrza.

- Kto tu, do diabła?

Szybko wycofuję się ze słabo oświetlonego magazynu, zaskoczony głosem z ciemności. Przez drzwi wnika nieco światła i widzę kogoś siedzącego w kącie magazynu, wklonowanego między dwa stopy pustych pudeł.

- Przepraszam, ja...

Mężczyzna podnosi wzrok i kręci głową. Widziałem go zeszłego wieczoru. Nazywa się Parsons.

- Nic nie szkodzi, stary.

Jestem na nogach dopiero od kilku godzin, ale już mi doskwiera przeciągające się oczekiwanie na walkę. Perspektywa rozmowy - każdego urozmaicenia monotonii - jest kusząca.

- Co tutaj robisz?
- Staram się nie wchodzić w drogę.
- Czemu? Zdenerwowałeś czymś Julię czy co?
- Pokaż mi kogoś, kto jej nie zdenerwował.

Wiem, co ma na myśli. Przebywanie w pobliżu Julii przypomina mi pracę pod kierownictwem Tiny Murray w wydziale mandatów. Ciekawe, co się stało z tą zgorzkniałą suką...?

Parsons gestem zaprasza, bym podszedł bliżej. Podchodzę. Osuwam się po ścianie i siadam przy nim. Tego ranka, po wschodzie słońca, w klubie panuje duchota, ale ciemne pomieszczenie magazynowe daje upragniony chłód.

- A więc jesteś na to gotowy? - pytam. - Gotów tam wyjść i rozpocząć walkę?
- Oczywiście, że tak - odpowiada trochę zbyt pośpiesznie. - Nie mogę się doczekać, by znowu zacząć zabijać. Nie mogę się doczekać, chcę zobaczyć, jak się boją, kiedy już dostaniemy znak.

Zapada niezręczne milczenie.

- Nie mówisz z całkowitym przekonaniem.

Cisza przedłuża się, bo Parsons myśli o tym, co właśnie powiedziałem.

- Mam wątpliwości. To znaczy... nie zrozum mnie źle, wiem, co trzeba zrobić i wiem, że to prawdopodobnie jedyny sposób, by dokonać dzieła. Tylko że po prostu...

- Nie chcesz umierać?

- Właśnie.

- Ja też nie - przyznaję. - Kto by chciał?

- Nikt normalny. Wszyscy mówią o tej bitwie jak o jakiejś świętej wojnie. Dostają od tego kręćka. Nie chcę utknąć w środku miasta, kiedy zrównają to miejsce z ziemią, jak Londyn.

- Ale trzeba to zrobić. Nie możesz temu zaprzeczyć.

- Wiem... Denerwuję się tylko, wiesz? - Nadal mówi cicho. - Nie mogę znieść tego całego obijania się. Rozumiesz, jak to jest. Kiedy wiesz, że będziesz musiał walczyć, po prostu chcesz to zrobić.

Ma rację. To ulga spotkać kogoś, kto jest gotów szczerze mówić, co czuje. Przeważnie wszyscy są zbyt zajęci wygłaszaniem hasłek propagandowych oraz okazywaniem gównianej brawury i nie chcą przyznać, że boją się tego, co nadchodzi. Mówią to, co - wyobrażam sobie - mówiliby Brutale - że interesuje ich tylko zabijanie za wszelką cenę.

- Długo tu jesteś? - pytam.

- Przyszedłem mniej więcej pół dnia przed tobą.

- I byłeś na tym konwencie z Sahotą?

Kiwa głową.

- Wszyscy przez to przeszliśmy. Rewelacja, co?

Parsons patrzy w dal, rozmyślając. Czuję, że chce powiedzieć więcej, ale nie jest pewien, czy może. Podejrzewa, że sprawdzam jego oddanie sprawie? Obserwuję uważnie jego zmęczoną twarz. Wygląda na starszego ode mnie o jakieś dziesięć lat i zastanawiam się, jaka wspólna cecha sprawia, że obaj jesteśmy odpowiednim mięsem armatnim dla organizacji Sahoty.

- Więc uwierzyłeś w te rzeczy? - pyta wreszcie.

- W co takiego?

- W to, o czym Zwykli mędrkują w kwaterze Sahoty. Przerwywanie cykli i całe to gówno...

Nie odpowiadam od razu. Czy mogę ufać temu człowiekowi? Teraz ja się zastanawiam, czy nie testuje on mojej lojalności.

- W niektóre - odpowiadam rozmyślnie mętnie. - A ty?

- Zgadza się z tym do pewnego stopnia. Choć to, co mówi Sahota, bardziej mnie przestrasza. Mam wrażenie, że oni po prostu wykorzystują nas jako...

Nagle przerywa.

- Coś się dzieje?

- Posłuchaj...

Szybko wstaję i wycofuję się do baru. Na zewnątrz wyjścia przeciwpożarowego, przez które wczoraj się tu dostałem, ktoś łomocze. Prócz mnie i Parsonsa tu na dole nikogo nie ma i zdaję sobie sprawę, że to ja muszę się skonfrontować z tym, co jest tam na zewnątrz. Przechodzę szybko przez pokój, chwytając złamany kij bilardowy jako broń, a potem stoję przy drzwiach i czekam. Walenie trwa nadal. Drzwi nie mają szyb - aby dowiedzieć się, co jest za nimi, trzeba je otworzyć.

- Zrób to - syczy Parsons z drugiego końca pokoju. Pieprzony tchórze, czemu tu nie podejdziesz i sam nie otworzysz? Zamiast się spierać, biorę głęboki oddech, zaciskam uchwyt na swej bilardowej maczudzie i otwieram drzwi. Przede mną stoi nastolatka, chyba równie spięta jak ja, kiedy tu trafiłem. Wygląda na piętnastolatkę. Jest jedną z nas.

- Szukam Julii Chapman - mówi głosem zaskakująco silnym i pewnym siebie.

- Kto szuka? - pytam. Wspominam swoją pierwszą rozmowę w tym miejscu.

- Nazywam się Sophie Wilson - odpowiada. W tej sytuacji radzi sobie znacznie lepiej niż ja

poprzednio. - Mam dla niej wiadomość od Sahoty.

Wpuszczam ją, zerkając na tył budynku, by upewnić się, że nikt za nią nie szedł. Potem zamykam i barykaduję wyjście przeciwpożarowe.

Prowadzę ją przez niesamowicie cichy budynek. Parsons idzie za nami w bezpiecznej odległości. Zabieram ją na górę, tam gdzie ostatnio widziałem Julię rozmawiającą z Cravenem, ale Julii tam nie ma. Craven wskazuje na sufit. Wycofuję się i idę na dach. Zasłaniam oczy przed jaskrawym światłem. Na jasnym niebie świeci ogromne słońce. Julia siedzi na leżaku pod plandeką i ogląda miasto przez lornetkę. Opuszcza lornetkę, kiedy słyszy, że się zbliżamy.

- To jest... - zaczynam mówić.

- Jesteś Julia? - pyta Sophie. Julia kiwa głową. - Mam dla ciebie wiadomość od Sahoty. Kazał cię zawiadomić, że jestem ostatnia.

- Co jeszcze powiedział?

- Powiedział: ratusz, południowa strona. Szósta rano. Pięciu innych.

Julia spogląda na nią przez sekundę, analizując otrzymaną wiadomość. Potem kiwa głową.

- Dzięki. Odpocznij trochę, póki jeszcze możesz. Może na dole zostało trochę jedzenia. Spytaj kogoś, to ci pokaże.

Sophie wycofuje się na dół bez dalszych pytań, pozostawiając mnie z Julią. Parsons kręci się nerwowo za nami.

- Co oznacza jej wiadomość? - pytam. Czuję, że jestem jedynym niewtajemniczonym.

- Oznacza, że już więcej nas tutaj nie będzie. Oznacza, że nadszedł czas.

Patrzę przed siebie. Stanowczo nie chcę dać po sobie poznać nagłego zdenerwowania.

- Południowa strona?

- Południowa strona ratusza. Chce, byśmy się tam usadowili - odpowiada, spoglądając znowu przez lornetkę. - To tam,

gdzie przewidywałam: dostatecznie blisko wojska, by stwarzać im problemy, a na tyle daleko, by nie wyglądało to podejrzanie.

- A pięciu innych? O co tu chodzi?

- O pięć innych grup, takich jak nasza. To niezbyt dobrze. Spodziewaliśmy się, że będzie ich dwa razy więcej. Jednak powinno wystarczyć.

- A gdzie one będą?

- Nie wiem i jest mi to obojętne. Wszystko, co wiem i co ty musisz wiedzieć, to to, że mamy iść, gdzie nam każą, i we właściwym momencie wywołać pieprzony chaos. Między sześciu naszymi grupami wojskowi będą zdezorientowani. Panika szybko się rozszerzy i zanim się obejrzysz, będzie walczyło całe miasto. A jeśli zrobimy to należycie, niedługo miasto zniknie.

- Nic nie zostanie - mamrocze Parsons pod nosem.

Siedzę na skraju dachu i wpatruję się w dal. Obóz Zwykłych wygląda stąd jak masywna, brudna czarna maszyna czkająca spalinami. Skłębione chmury szarego dymu biją w górę pomiędzy budynków. Helikoptery brzęczą w powietrzu jak muchy wokół trupa. Nie mogę zaprzeczyć, taka bliskość nieprzyjaciela wzbudza we mnie chęć, by iść tam i zabijać. Albo wzbudzałyby, gdybym nie czuł, że sprawy przybierają niekorzystny dla nas obrót. Prawdopodobnie tylko ja tak czuję. Może się mylę? Może powinienem mieć więcej wiary? Ale - powtarzam sobie - nie chcę umierać.

- Tylko sobie to wyobraź - mówi Julia tęsknie, patrząc w dal - wyobraź sobie, że kiedy my zaczniemy walczyć, a oni uciekać, kiedy ogarnie ich przerażenie i spróbują od nas uciec, wbiegną w sam środek następnej potyczki. Jezu, piękny widok! I prawie nie wymaga to wysiłku z naszej strony. Minimum naszej koordynacji wystarczy, by to zapoczątkować, a oni sami zrobią resztę. Reakcja łańcuchowa. Będziemy siedzieć na tyłach i obserwować, jak się wzajemnie zabijają.

Wiem, że powinienem trzymać głowę na kłódce, ale nie mogę.

- Ale chyba jednak tego nie zrobimy, prawda?

- Czego nie zrobimy?

- Jak już się tam znajdziemy, nie można się będzie wycofać.

- To nie ma znaczenia. Ważne jest tylko unicestwienie wroga.
  - Ale jakim kosztem?
  - Nie możemy współistnieć, i tyle. Koszty nie mają znaczenia.
- Pogarszam swoją sytuację, ale nie mogę się powstrzymać.
- Cóż warte jest zwycięstwo, jeśli nie żyjesz? Jak to nazywają? Pyrrusowe zwycięstwo?
  - Jak? - pyta Parsons.
  - Pyrrusowe zwycięstwo - wzdycha Julia. - To wtedy, gdy wygrałeś bitwę, ale w końcowym wyniku też masz przesrane.
  - Wspaniale - chrząka Parson.
  - Mylisz się - zwraca się do mnie Julia. Odkłada lornetkę i wstaje. - Nie możesz mówić w ten sposób.
  - Jak to się mylą? Kiedy wejdziemy do miasta, jest bardzo mała szansa, że ktoś z nas wydostanie się stamtąd żywy.
  - To od wszystkich wymaga poświęcenia.
  - A gdzie w tym czasie będzie twój kumpel Sahota? Będzie obserwować to ze swego gabinetu? Kiedy nas zabraknie, kto pozostanie? Tylko dzieci i Brutale?
- Julia kręci głową.
- Zaproponuj inne rozwiązanie, a ja cię wysłucham. Czy chcesz, by Zwykli przeżyli?
  - Oczywiście, że nie, ale...
  - Ale co?
  - Ale musi istnieć lepszy sposób.
  - Gdyby istniał, czy nie sądzisz, że ktoś taki jak Sahota już by na niego nie wpadł? Czy nie sądzisz, że spróbowalibyśmy alternatywnego rozwiązania? Nikt z nas nie chce umierać.
  - Właśnie o tym mówię.
  - ... ale jeśli dzięki twojej śmierci polegną setki, a nawet tysiące wrogów, ta śmierć na pewno jest tego warta.
- Nie zadaję sobie trudu, by odpowiedzieć. Julia jest w to ślepo zaangażowana, jak terrorysta z wypranym mózgiem, wyruszający na świętą wojnę - dżihad. Nawet gdyby dzięki mojej śmierci zginęły dziesiątki tysięcy Zwykłych, nadal nie chciałbym umierać. I co z Ellis? Niech ta wojna ciągnie się latami, wolałbym raczej stale walczyć, niż składać siebie dzisiaj w ofierze. Nie mogę znieść myśli, że już nigdy nie zobaczę córeczki.
- Julia nie ma zamiaru popuścić.
- Musisz się skoncentrować na tym, co nadchodzi. - W jej głosie słychać szyderstwo i groźbę.
  - Craven powiedział, że wcześniej szukałeś informacji na temat swojej rodziny. Zapomnij o nich, kimkolwiek czy czymkolwiek byli. Twoją jedyną lojalnością musi być lojalność w stosunku do nas. Nic się nie liczy prócz tego, co musimy zrobić, kiedy dostaniemy się znowu do miasta.
- Patrzy mi prosto w twarz, a potem odchodzi. Zatrzymuje się na chwilę przed schodami.
- Jeśli coś sknocisz, to przysięgam, zabiję cię własnoręcznie. To zbyt ważne, żeby spieprzył to jakiś idiota w twoim rodzaju.
- Patrzę, jak odchodzi. Kręcę głową z niedowierzaniem. Parsons spokojnie zajmuje jej miejsce na zwolnionym leżaku. Zapomniałem o jego obecności.
- Dziękuję za wsparcie.
  - Jestem z tobą, stary - mówi, zasłaniając oczy od słońca -ale mam dosyć rozsądku, by trzymać buzię na kłódkę.

Późnym popołudniem i wczesnym wieczorem niebo zasnuły ciężkie chmury. Kiedy zupełnie się ściemniło, zawołano nas do głównego pokoju operacyjnego na górze i rozdano nam broń. Dostałem pistolet, kilka naboju i granatów, ale nie wydaje mi się, bym ich użył. Co ważniejsze, nie mam pojęcia, jak się nimi posługiwać, choć Julia i jeszcze ktoś nam to pokazywali. Pozostanę przy

swoich nożach.

Od wybuchu tej wojny walczyłem u boku setek, może tysięcy ludzi. Nigdy przedtem mnie nie interesowało, kim byli i do czego byli zdolni. Ale teraz, kiedy stałem w dziwacznej scenerii zdemolowanego klubu i patrzyłem na dziesięciu innych bojowników, którzy mieli iść razem ze mną do miasta, próbowałem wyobrazić sobie, jak każdy z nich będzie walczył i zabijał. Obie kobiety - Julia i Sophie - były nieporuszone, w skupieniu szykujące się do każdej akcji. Pozostali również wydawali się skupieni. Jedynie u Parsonsa i faceta o nazwisku Harvey dostrzegłem zdenerwowanie, takie jak u mnie. Harvey jest ociężałym zwałistym mężczyzną. Nosi okulary o śmiesznie grubych soczewkach i cierpi na ostrą astmę. Ma głos jak Darth Vader i przeraźliwie cuchnie mu z ust. Czujesz go i słyszysz o wiele wcześniej, nim go zobaczysz. Biedny sukinsyn. Sprawia wrażenie lekko niedorozwiniętego i zastanawiam się, ile tak naprawdę rozumie z tego, co się dzieje. A jednak musi mieć coś w mózgowicy, jeśli uznano, że zdoła zapanować nad sobą w otoczeniu Zwykłych. Ja nie jestem o tym przekonany.

Opuściliśmy klub tuż po trzeciej rano. Rozdzieleni na cztery pary i jedną trójkę, rozłożyliśmy nasze wyjście w czasie. Każdy z nas obrał inną, z góry ustaloną trasę do punktu spotkania w mieście. Idę z Cravenem, facetem od komputerów, który ocenia, że jesteśmy w drodze niemal od godziny. Idziemy ścieżką flisacką nad kanałem, który przecina ruchliwą niegdyś dzielnicę mieszkalną. Kiedyś to miejsce było ożywionym, hałaśliwym przedmieściem. Dzięki pobliskiemu uniwersytetowi w czasie roku akademickiego przybywało tu mieszkańców. Tanie sklepy, restauracje, kawiarnie, bary i puby wypełniały wąskie uliczki. Teraz panuje tu śmiertelna cisza. Jedyny tutejszy mieszkaniec, którego widzę, spływa kanałem twarzą do dołu.

Ścieżka flisacka doprowadza nas niemal do samego centrum miasta. Docieramy do stromych schodów, wiodących z powrotem na ulicę. Kiedy wchodzimy na nie, czujemy, że centrum jest blisko. Otacza nas apatyczny tłum wystraszonych Zwykłych, którzy nawet na nas nie patrzą, kiedy ich mijamy. Większość z nich po prostu patrzy w przestrzeń. Czekają na coś. Łatwiej jest przebywać wśród nich teraz, kiedy się wie, że to miejsce zostanie rozerwane na strzępy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, do jutra o tej porze miasto upadnie. I jeszcze jeden powód, dla którego mogę teraz znieść Zwykłych: po raz pierwszy od dłuższego czasu skupiam się na czymś innym, nie na nich. Odkąd opuściliśmy klub, myślę tylko o tym, jak dostać się głębiej do miasta, wymknąć się Cravenowi i skierować do hotelu Prince. Poszukam Lizzie i zmuszę ją, by mi powiedziała, gdzie po raz ostatni widziała Ellis. Skorzystam z tego, że w tłumie łatwiej uciec.

- Tędy - mówi Craven. Zmienia kierunek i prowadzi mnie ciasnym przejściem, pełnym ludzi. Patrę w ich puste twarze, oświetlane od czasu do czasu ostrym bezlitosnym światłem księżycy w pełni, gdy wylania się zza chmur, i nie czuję do tych ludzi nic, prócz pogardy. Przypominają mi, jaki byłem przed Nienawiścią: pokonany, nędzny, zrezygnowany. Kulą się w cieniu, oczekując zbawienia, które nigdy nie nadejdzie. Nienawiść odarła ich z tożsamości i pozbawiła celu. Są puści, bezmyślni, tylko czekają, aż przechodząca obok śmierć skończy ich udrekę. Stojąc po kostki w błocie, jakąś częścią umysłu pragnę tu zostać i zobaczyć, jak plan Sahoty zostaje do końca zrealizowany. Chcę zobaczyć, jak ci ludzie płoną.

Nasza droga przebiega skrajem sektora wojskowego. Dziś wieczorem wszystko wygląda inaczej, ale jestem przekonany, że tutaj mieściła się baza rady miejskiej. Teren otacza wysokie ogrodzenie, a przy bramach widać większe grupy żołnierzy. Sektor jest stosunkowo dobrze oświetlony, łomoczące generatory benzynowe zasilają reflektory. Również uchodźców jest tu więcej. Jakśmy ciągną do światła i hałasu. Z Cravenem przechodzimy przez tłum, głowy unosimy wysoko, nie zwracając na nikogo uwagi, i nikt się nami nie interesuje.

- Rozumiem, dlaczego Sahota wybrał właśnie to miejsce - mówię cicho, kiedy zaczynamy schodzić po zatłoczonej, biegnącej w dół głównej ulicy, prowadzącej do ratusza. Nawet obecnie ratusz stanowi mocny akcent urbanistyczny - ogromny, pseudogrecki budynek, z ozdobnymi płaskorzeźbami i rzędami ogromnych, białych, kamiennych kolumn. Miejski plac roi się od ludzi, większość z nich obozuje na dworze na zimnym twardym gruncie, owinięta w płaszcze i koce.

Najwidoczniej działała tu jakaś jadłodajnia dla ubogich - widać porzucone stoły, puste butle z gazem i puszki po jedzeniu; plastikowe talerze i sztucze rozrzuca nagły poryw nieprzyjemnego wiatru.

- Jest doskonale - przyznaje Craven. - Tysiące ludzi na skraju załamania. Prawdopodobnie przyszli szukać żywności i schronienia, nie znaleźli, więc po prostu padli tam, gdzie stali. Zrezygnowali. W jednej chwili wzniećą zamieszki, jeśli ich podjudzimy.

Rozglądam się, kiedy wybieramy drogę wśród leżących. Ma rację. W powietrzu czuje się niewypowiedziane napięcie, z czymś tak intensywnym nie spotykałem się do tej pory. Panuje też nieprzyjemny stan równowagi między cywilami i wojskowymi. Nie wiem, która ze stron bardziej ma się na baczności przed drugą. Może właśnie dlatego żołnierzy jest tutaj aż tylu?

Przechodzimy obok wielkiej kamiennej rzeźby, której widok przywraca w mej pamięci szczególne chwile. Przez sekundę wspominam, jak kiedyś wyglądało to miejsce. W rzadkich przypadkach, kiedy mogłem wyjść z pracy na porządny lunch, czasami tu przychodziłem, uciekając od biura i kolegów. Parę razy spotkaliśmy się tu z Lizzie, zanim jeszcze urodziły się dzieciaki.

- Jest tu Sophie - mówi Craven, trącając mnie łokciem w żebra, i wskazuje ruchem głowy miejsce po przeciwnej stronie placu, gdzie stoi dziewczyna. - Idź, znajdź sobie dobrą pozycję.

Rozdzielamy się, jak planowaliśmy. Każdy z nas zniknie w tłumie aż do rozpoczęcia ataku. Kiedy wszyscy się rozproszymy, będzie to wyglądało mniej podejrzanie. Nie ma to jednak wielkiego znaczenia - gdy zacznie się walka, nikt nie będzie dochodził, kto pierwszy zadał cios albo strzelił. Znalazłem sobie wąską lukę w połowie niskiego muru, między dwoma śpiącymi uchodźcami. Zatrzymuję się tam i czekam. Na ścianie ratusza wisi ciągle funkcjonujący zegar. Widać go z mojego miejsca. Dochodzi czwarta. Jeszcze nieco ponad dwie godziny. Hotel Prince znajduje się niecałe dwa kilometry stąd. Zanim wykonam ruch, trochę poczekam. Jeśli odejdę zbyt szybko, mogliby mnie zauważyć i pójść za mną.

Rozglądam się dyskretnie za innymi. Cravena i Sophie już widziałem. Widzę Parsonsa dość daleko po prawej i jeszcze jednego mężczyznę, którego imienia nie znam, usadowionego w górze na postumencie pomnika pośrodku placu. Harvey opiera się o ten sam mur co ja, nieco dalej. Jest postawny i łatwo go odróżnić w tłumie.

I jeszcze Julia - siedzi bezpośrednio przede mną, oddzielona jedynie garstką ludzi. Przez chwilę spoglądamy sobie w oczy i - głupio - pozdrawiam ją gestem. Julia owinięła wokół głowy brudny koc, tylko górną połowę twarzy ma odsłoniętą. Patrzy na mnie. Suka, obserwuje każdy mój ruch.

33

Przez ostatnie dwadzieścia minut kropił deszcz. Nie ma gdzie się schronić. Jak wszyscy przemokłem do suchej nitki i marznę. Przykucnąłem przy murze i staram się przykryć, ale deszczówka, spływająca po łagodnym stoku zatłoczonego placu, tworzy wokół mych stóp głębokie kałuże. Warunki mnie nie martwią; jestem otoczony przez Zwykłych, przygotowany na atak - właściwie samobójczy - i nieco wody to najmniejszy z problemów. Jednak kiedy inni wokół mnie zaczynają się poruszać, wiem, że muszę iść z nimi, by nie wzbudzać podejrzeń. Idę za dwojgiem, przeskakując nad osobą znajdującą się bezpośrednio przy mnie po mojej lewej stronie. W ogóle się nie poruszyła. Ktoś łapie mnie za ramię i jeszcze zanim się odwracam, wiem, kto to jest. Słyszę jego oddech.

- Czy to to? - pyta Harvey cicho, ale nadal zbyt głośno. - Już czas?

Kręcę głową.

- Jeszcze nie, jest za wcześnie. Po prostu chowam się przed deszczem.

Próbuję się ruszyć, ale trzyma mnie.

- Dokąd idziesz?

- Gdzieś, gdzie jest mniej mokro.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Lepiej jak będziemy rozdzieleni. Jeśli ludzie zobaczą nas razem...

- Nie ma znaczenia. Teraz to już niedługo.
- Wiem, ale...

Milknę, kiedy nagle powietrze wypełnia ogłuszający huk wybuchu. Na placu przez chwilę zalega cisza, wszyscy są zaskoczeni. Cisza trwa najwyżej sekundę, potem wokół rozpętuje się piekło. Mnóstwo ludzi obozujących do tej pory na ziemi wstaje i szuka schronienia. Czy to już? Czy dano wcześniej sygnał do walki? Rozglądam się, ale - jeśli nie liczyć Harveya - w masie rozbiegających się uchodźców nie rozpoznaję nikogo. Nagle znów ktoś chwytą mnie za ramię.

- Jeszcze nie czas! - wrzeszczy mi Julia do ucha, starając się przekrzyknąć ogólny harmider. - Nie walcz. Kieruj się do pomnika.

Robię, co mi każe, czuję, że idzie za mną krok w krok. Podnoszę wzrok i widzę, że mnóstwo osób przede mną zatrzymało się i stoi nieruchomo, spoglądając w kierunku, z którego właśnie przychodzi. Inni przerażeni uchodźcy ciągle się przepychają. Jeden z naszych ludzi już stoi na pomniku. Widzi, jak nadchodzimy, i gestem przyzywa nas do siebie. Wskazuje ręką w dal.

- Jakiś tępak spieprzył termin.

Popychany ze wszystkich stron, podciągam się w górę, staję obok niego i spoglądam w tył. Za ratuszem wysoki biurowiec stoi w ogniu. W dwóch trzecich wysokości opasał go naszyjnik szalejących płomieni, rozszerzających się z niewiarygodną szybkością. Widzę ludzi w oknach nad płomieniem, oświetlonych blaskiem pożaru. Kilkoro zaczyna skakać - wybierają natychmiastową śmierć od upadku na ziemię niż oczekiwanie na ogień i dym.

- To nie w porządku - mówię, głośno myśląc. Próbuję osłonić twarz przed ulewnym, zacinającym deszczem.

- Co jest nie w porządku? - pyta mężczyzna obok, sięgając do kieszeni bluzy po broń.

- Dlaczego tam? Jeśli chcemy wywołać panikę na ulicach, dlaczego zaczynamy walkę w połowie wysokości wieżowca?

- To nie my - krzyczy Craven. Przedziera się przez tłum, by się do nas dostać.

- Skąd wiesz?

- Helikopter. Widać, jak wystaje z boku budynku. To po prostu wypadek. Było tylko kwestią czasu. W górze, w powietrzu niczego nie widać. Jest ciemno i budynek bardzo słabo wyróżnia się na tle nieba, a pogoda jeszcze pogarsza widoczność. Idioci musieli wlecieć prosto w wieżowiec.

Julia wyciąga Harveya z tłumy i zbiera naszą piątkę bliżej siebie. Nie dba już o to, byśmy pozostali niewidzialni. Ludzi nic nie obchodzi, kim jesteśmy i co robimy.

- Musimy nadal czekać - mówi. - Tak będzie lepiej.

- Powinniśmy ruszyć teraz - nie zgadza się Craven - wykorzystać moment. Sahota chciał mieć więcej grup.

- Czekamy - rozkazuje Julia.

Jeszcze przez kilka sekund patrzę na miejsce wypadku, obserwuję, jak płomienie liżące boki wieżowca pochłaniają ogon helikoptera. Pożar rozprzestrzenia się z niewiarygodną szybkością, zdaje się zżerać górne piętra dużymi łykami. Cóż za piękna destrukcja. Nie można oderwać wzroku od tego widoku. Wręcz hipnotyzuje. Wtem nagle zamieszanie odrywa moją uwagę od budynku. Na zatłoczony plac zaczynają napływać nowi ludzie. Jak woda z przerwanej tamy zalewa nas powódź zdesperowanych uchodźców, wypędzonych z lichych szałasów i nędznych bud u stóp płonącego budynku. Są wśród nich ranni, niektórzy kaszlą, bo ich płuca wypełnia dym i pył. Większość jednak w panice idzie tam, gdzie idą wszyscy wokół nich. Ten strach i dezorientacja działają na mnie ożywczo. Widzę ich twogę i czuję się od nich lepszy, silniejszy. Uciekają na ślepo z miejsca bezpośredniego zagrożenia, nie zastanawiając się w ogóle nad tym, ku czemu biegną.

Nagle rozlega się jeszcze głośniejszy huk. Następny wybuch. Huk dochodzi z drugiej strony i jestem przekonany, że tym razem musi być to wybuch spowodowany przez nas. Napuchły balon płomieni kłębi się w mroku niecały kilometr stąd. Szybko znika, lecz jego skutki trwają. Z pewnością następna fala uchodźców skieruje się w tę stronę i zderzy się czołowo z poprzednią.

- To wystarczy - mówi Craven. - Julio, ruszajmy. Nie ma sensu czekać.

Moga, kurwa, robić, co im się podoba. Odchodzę. To moja ostatnia szansa znalezienia Lizzie, zanim rozpęta się piekło, i mam zamiar ją wykorzystać. Złazę z pomnika. Pozostawiam spierających się Julię i Cravena i zaczynam się wycofywać. Nim pochłonie mnie tłum, zerkam na ratuszowy zegar. Za kwadrans piąta. Jeśli Julia przeforsuje swój plan, nadal mam godzinę. A może nie? Czy zapalnik został już uruchomiony?

Ciągły ruch i ulewny deszcz dezorientują mnie, trudno ustalić, gdzie jestem. Przedzieram się przez hordy Zwykłych i prawie udaje mi się dotrzeć do najdalszego krańca placu, kiedy zdaję sobie sprawę, że posuwam się w złym kierunku - przede mną wyłania się wypalona ruina nocnego klubu. Ludzie prą w obu kierunkach uliczką obok zrujnowanego budynku, ale nikt nie posuwa się naprzód. Odwracam się i wpadam prosto na Parsonsa. Stoi przede mną i zagradza mi drogę; wydaje się tak zagubiony i zdesperowany, jak jakiś Zwykły. W ręce trzyma granat.

- To już pora, McCoyne?

- Nie - odpowiadam - jeszcze nie. Julia mówi, że powinniśmy...

- Chyba już pora.

- Jeszcze nie - powtarzam. Muszę krzyczeć, by mnie słyszał. - Ona jest tam, przy pomniku. Idź, porozmawiaj z nią. Zobaczysz, co powie, zanim ty...

- To na pewno już - przekrzykuje deszcz. - Nie mogę znieść tego całego czekania...

- Parsons, nie rób tego! Najpierw rozbił się helikopter. A drugi wybuch...

Nie mówi już nic więcej. Wyciąga zawleczkę z granatu. Nagła fala tłumy pcha go na bok. Staram się wycofać, ale Parsons łapie równowagę i znowu staje prosto.

- Rzuć to draństwo!

Zdezorientowany i rozstrojony nerwowo Parsons tylko na mnie patrzy. Pcham go mocno w brzuch. Potyka się i zatacza, zderza się z uchodźcami - przewracają się jak kręgle. Pada do tyłu i znika mi z oczu zasłonięty tabunem ludzi. Biegnę z całych sił w przeciwnym kierunku, przedzierając się przez tłum. Potykam się o ciało na ziemi, ledwie udaje mi się utrzymać na nogach. Instynktownie wyciągam ramiona i przytrzymuję się jakiegoś uchodźcy, by odzyskać równowagę. Męczyzna usiłuje mnie zepchnąć, ale odsuwam go na bok, wiedząc, że za parę sekund będę najmniejszym z jego zmartwień. Ma w sobie wyjątkowo dużo energii i ducha walki. Trzyma się kureczowo mojego płaszcza; wrywam mu płaszcz i robię unik, gdy on wyprowadza cios. Uciekaj i nie panikuj, napominam się. Odpycham go i spoglądam przez ramię. Chryste, żeby tylko nie...

Na ułamek sekundy świat wypełnia się jaskrawym białym światłem i straszliwym hukiem. Boję się, że pęknie mi głowa. Siła wybuchu z tyłu rzuca mnie na ziemię i przez chwilę leżę nieruchomo wciśnięty między powalonych Zwykłych. Wstaję, podpierając się o leżące dokoła ciała. Spoglądam znowu w tył i widzę lukę w tłumie i ciemną jamę, gdzie jeszcze przed kilkoma sekundami tłoczyli się ludzie. Teraz nie ma tam nic, po prostu warstwa krwawych, dymiących szczątków. Odwracam się i uciekam, kiedy szok z wolna opada i zaczyna się panika. Ludzie biegną teraz we wszystkich kierunkach, opuszczają plac. Daję się nieść tłumom, są teraz moją osłoną. Nikt z tych ludzi nie wie, kim ani czym jestem. Nie obchodzi ich to. Bez Julii i innych nagle jestem pozbawiony znaczenia. Nieważny, anonimowy - to dla mnie korzystne. Kiedy biegnę ramię w ramię z wrogiem, uświadamiam sobie, że przymus zabijania tych ludzi, który czułem zawsze, prawie zniknął. Może dlatego, że wszyscy właściwie i tak są już martwi? Za niecałą godzinę Sahota zatriumfuje, ale nie sądzę, by miasto przetrwało aż tak długo. W górze unosi się falanga helikopterów. Jeden z nich oddziela się i otwiera ogień do jakiegoś niewidocznego celu w pobliżu płonącego wieżowca; tłum reaguje jeszcze większym przerażeniem i paniką.

Ponad głowami tratujących się ludzi rozpoznaję kanciastą sylwetkę wysokiego, zbudowanego ostatnio bloku mieszkalnego. Biegnę tam, gdy następna eksplozja od frontu budynku wyrzuca na zewnątrz bąble ognia i żaru. Nurkuję w dół, kiedy wraz z podmuchem tysiące drobnych kawałków szkła ulewają spadają wokół mnie. Większość ludzi z tłumy instynktownie zawraca i biegnie inną drogą. Tępe skurwiele. Ja w dalszym ciągu idę naprzód, wiem, że teren wokół centrum wybuchu będzie teraz stosunkowo czysty - trzeba się tylko przedostać przez nieżywych i umierających.



Biegnę obok płonącego kikutu budynku, zygzakiem przez pobojuwisko, omijając ciała, kawały betonu i zdeformowanego metalu. Spoglądam w górę i widzę ludzi uwieczonych na górnych piętrach. Jakaś kobietę wypchnął przestraszony tłum. Kobieta wypada z okna na trzecim piętrze. Łąduje na chodniku tuż przede mną, uderzając o ziemię z mokrym płaszczykiem, niczym zgniły owoc. Cudowny widok. Pragnę znaleźć w pobliżu jakieś bezpieczne miejsce, usiąść i obserwować, jak miasto płonie.

Po kilku sekundach znowu się przepycham przez tłum. Zderzam się głową z głową innego mężczyzny, a on gniewnie mnie odpycha. Oczy ma pełne nienawiści. Instynktownie sięgam po nóż, ale nie zadaję ciosu. Dużo mnie to kosztuje. Muszę zwalczyć w sobie wszystko, w co wierzę. Potrzeba zabijania mogła osłabnąć, ale pragnienie nadal jest silne. Jestem jak narkoman, który przez lata był czysty, ale obecnie trafił na niekończące się zapasy ulubionego narkotyku. Kiedy już zacznę zabijać, czy zdołam się zatrzymać? Jeśli teraz stracę panowanie nad sobą, wszelkie szanse znalezienia Lizzie przepadną na zawsze. Nie chcę jej znowu oglądać, ale bez Lizzie nigdy się nie dowiem, co stało się z Ellis. To moja ostatnia deska ratunku.

W tłumie na moment tworzy się luka pośrodku niegdyś ruchliwego skrzyżowania. To miejsce było jednym z najruchliwszych skrzyżowań w mieście. Przez okrągłą dobę stał na nim sznur samochodów. Wspinam się na dach porzuconej mazdy - zawsze chciałem mieć takie auto - i rozglądam się. Hotel Prince stoi jakieś siedemset metrów ode mnie; w tę stronę biegłem przed chwilą. Płyną potoki ludzi, którzy walczą ze sobą, by uciec od masakry. Kiedy kolejne eksplozje nagle rozświetlają teren wokół ratusza i otaczającego go placu, widzę wyraźnie piękno i prostotę planu opracowanego przez Sahotę. Czy te ostatnie wybuchy to robota Julii, czy też Cravena, a może jeszcze kogoś innego? Czy w końcu wydała rozkaz ataku? Jeśli już teraz tak to wygląda, jak będzie wyglądać sytuacja o szóstej? - pytam się w duchu.

Wysoko po niebie pełznie helikopter. Oświetla mnie przez chwilę omiatającymi ciemność reflektorami, napęlnia powietrze hukami. Zeskakuję z mazdy i biegnę dalej.

34

Znajoma okolica. Ale mój lęk i zdenerwowanie są coraz większe. Już niedaleko. Hotel znajduje się niemal w polu widzenia. Coraz bliżej Lizzie. Coraz bliżej informacji o mojej córce. A jeśli się spóźniłem? Jeśli Ellis nie żyje? Nogi za pas, wrócić pod ratusz i walczyć obok innych - to łatwiejsze zadanie niż zmierzenie się z tym, co za chwilę mnie czeka.

Idę skrótami przez upiornie pusty supermarket, przechodzę od hangaru wylądowczego ku rozbitym oknom frontowym. Przed wyjściem na zewnątrz zatrzymuję się i ogarniam wzrokiem panujący wokół chaos. Zachowanie Zwykłych się zmienia. Po wybuchach wokół ratusza większość osób nie chce się już izolować od pozostałych. Choć niektórzy nadal kulą się pod osłoną domów, desperacko pragnąc, by nikt ich nie zauważył, większość jednak dołączyła do wzbierającej fali uchodźców z centrum miasta. Teraz wszyscy suną w jednym potoku, jeden za drugim, nikt nie wybiera kierunku, w którym podąża. Szukają bezpieczeństwa w tłumie. Jakże są żałośnie słabi i bezbronni.

Biegnę wąską, pogrążoną w cieniu uliczką. Docieram do Arley Road, staję i rozglądam się, próbuję coś dostrzec przez hordy ludzi uciekających teraz tą główną trasą z centrum miasta. Widzę hotel Prince - stoi około pięćdziesięciu metrów dalej przy ulicy. Ten kiedyś imponujący budynek pozostał w zasadzie taki, jakim go zapamiętałem. Jego fronton rysuje się w mętnym pierwszym świetle poranka. Deszcz wreszcie ustał, pozostawiając w wilgotnym powietrzu zapach czystości i świeżości - brud i zgnilizna znikły, spłynęły z deszczem.

Co, do cholery, wyprawiam? Czuję się nagle słaby, mam poczucie winy. Powinienem być z powrotem przy ratuszu i walczyć razem z innymi! Co ja tu robię sam, tak daleko? Logika mówi mi, że po trzech miesiącach przemocy i chaosu Lizzie może być wszędzie. Chryste, prawdopodobnie jest już martwa. Craven mówił mi, że system komputerowy Zwykłych jest niedokładny i można nim łatwo manipulować, więc czemu pokładam tyle wiary w to, co widziałem na ekranie

komputera? Przyczyna jest prosta - ponieważ nie mam żadnych innych informacji. Nie mam wyboru. To moja ostatnia szansa i albo z niej skorzystam, albo zrezygnuję z Ellis na zawsze. Wyjmuję siekiere z pasa, nóż z fałd płaszcza i trzymam je w pogotowiu. Z jednej strony są Zwykli, z drugiej moi ludzie, a ja stoję sam, wkliniowany między nich.

Biegiem ruszam z chodnika i szarżuję głęboko w nieprzerwaną ludzką rzekę. Pierwszych kilku maruderów, z którymi się zderzam, spycham bez wysiłku i dopiero na środku ulicy muszę zacząć zabijać, by posuwać się dalej. To teraz jedyne wyjście, jakie mi pozostało. Jeśli chcę się przedostać, nie ma innego sposobu. Zabijam nie dlatego, że chcę ich uśmiercać. Unosi mnie prąd ledwie-ludzkich ciał, tak głęboki, silny i wartki, że z trudem unoszę ramiona do walki. Udaje mi się wznieść siekiere i wałnąć nią między łopatkami mężczyzną bezpośrednio przede mną. Odwracam go - ostrze ma nadal wbite w plecy, a potem wdeptuję go w ziemię. Kobieta, pchana przez masę ludzi z tyłu, potyka się o ciało. Rąbię ją również, klinując siekiere głęboko w jej szyi. Teraz dwa powalone i rzucone na kupę trupy są jak skała pośrodku strumienia, przekierowują go, rozdzielają uchodźców na dwie strony. Przygotowuję się na ich reakcję, ale oni nie reagują. Widzieli i doświadczyli tylu rzeczy, że to, co robię, nie jest dla nich niczym nowym. Pragną się tylko stąd wydostać, a inni niech się chrzanią. Następny mężczyzna potyka się o trupy na drodze i zderza ze mną. Macham siekiere i uderzam go w miednicę - odlatuje łukiem, uwalniając jeszcze więcej miejsca. Nagle stoję w bańce wolnej przestrzeni. Jakiś mężczyzna, wysoki i potężnie zbudowany, znacznie ode mnie silniejszy, wypada z cizby i rzuca się na mnie. Nie reaguję, wystawiam tylko nóż i głupi sukinsyn nadziewa się na ostrze. Jeszcze jeden pędzi na mnie i w końcu wszyscy zaczynają zdawać sobie sprawę, czym jestem. Uchyliam się przed jego amatorskim, niecelnym atakiem, a on zderza się z nastoletnią dziewczyną. Łysy osobnik o dzikich oczach pomaga jej wstać i usunąć się z drogi, potem odwraca się do drugiego mężczyzny i wali go w żołądek. Ja nadal się cofam, przepycham się na drugą stronę ulicy. Za mną wybuchają desperackie bójki. Czy spanikowani ludzie próbują się wydostać, pomóc sobie wzajemnie, czy dopaść mnie? To nie ma znaczenia - ich reakcje są zawsze takie same. Walczą. A kiedy zaczynają, nie kończą. Stosunkowo łatwo przepycham się przez tłum, siekąc i tnąc tylko wtedy, kiedy muszę. Wszędzie wokół mnie Zwykli zwracają się przeciw sobie, a o mnie szybko zapominają.

Zakrwawiony i bez tchu docieram pod hotel. Przecinam parking i przepycham się do środka, kiedy kilka innych osób usiłuje stamtąd wyjść. Chryste, czuję się dziwnie - jakby niewidzialny; napędza mnie euforia, adrenalina i zdenerwowanie. Jeśli czuję strach, jest on zamaskowany ogromną satysfakcją, podnieceniem i ulgą, że właśnie znowu zabijałem. Ale kiedy znikam w wielkim, rozległym i ciemnym budynku, ogarnia mnie nagła fala strachu. Lizzie może tu być. Może stać tuż obok, bo ledwo widzę w mroku. Czy myślałem, jak ją tu znaleźć? Nie mam żadnego planu. Czy sądziłem, że po prostu podejść do recepcji i zapytać o numer jej pokoju? Kiedy rozglądałem się po parterze, zdaję sobie w pełni sprawę, że nie przewidziałem, co mam zrobić. To był mój błąd. Czasu zaczyna brakować. Miasto nie pociągnie zbyt długo, a jedyne, co mi pozostało, to sprawdzenie wszystkich pokoi. Przez pół sekundy rozważam, czyby nie zawrócić w tłum, by jak najdłużej cieszyć się zabijaniem, ale znowu wspominam Ellis. Zachowaj spokój i opanowanie, nakazuję sobie. Wiem, że nie mam innego wyboru - muszę iść naprzód.

35

Parter hotelu jest opuszczony i od razu widać dlaczego. Wykładzina nasiąknęła wodą jak gąbka i około pół metra nad podłogą pozostał osad po wysokiej wodzie. Tapety na ścianach odłóżą pasami i całe pomieszczenie śmierdzi gnijącymi odpadami i nie-oczyszczonymi ściekami. Myślałem, że tu, wewnątrz, spotkam więcej ludzi. Teraz przypuszczam, że część z nich zmyła fala powodziowa, która najwyraźniej przepływała przez budynek przez kilka dni. Reszta opuści hotel, gdy rozpoczną się walki. Może się spóźniłem? Czy Lizzie już stąd odeszła? Czy w ogóle tu była?

Kieruję się z powrotem do westybulu. Woda, którą nasiąknięta jest wykładzina chlupocze pod stopami. Wchodzę na górę. Wspinam się po długim, prostym segmencie schodów na piętro,

dźgając nożem w brzuch skurwiela, który próbuje przepchnąć się obok mnie i omal nie zrzuci mnie ze stopni. Oglądam się i patrzę, jak spada ze schodów. Koziółkuje wielokrotnie, a potem z jękiem ląduje na samym dole. Jest teraz krwawą stertą mięśni i kości.

Zaczynam sprawdzać pokoje na pierwszym piętrze, ale przeważnie są puste. Jestem w połowie korytarza, kiedy otwierają się jakieś drzwi. Wybiega stamtąd trzech przerażonych Zwykłych mężczyzn, objuczonych różnymi pudłami. Nie widzą mnie zza paczek i jeden z nich mnie przewraca. Podrywam się i zaczynam biec za nimi, ale jest już za późno - już ich nie widać. To bez znaczenia. Muszę się skupić. Niech sobie idą.

Troje dalszych drzwi stoi otworem, a pokoje są puste. To obrzydliwe, brudne miejsca, pełne pozostałości po uchodźcach, których zmuszono do wspólnego mieszkania przez całe tygodnie. Wykładziny pokrywa warstwa śmieci tak głęboka, że nie dostrzegam zwiniętego ciała starszego mężczyzny - zauważam je dopiero wtedy, gdy butem miażdżę palce jego wyciągniętej dłoni.

Z powrotem w korytarzu zwalniam tempo. Muszę myśleć logicznie i wyciągać wnioski. Hotel się opróżnia, więc nie ma sensu sprawdzanie pustych pokoi. Uznaję, że jeśli jakieś drzwi nie są zamknięte na klucz, nie ma za nimi nikogo.

Zaczynam rąbać zamek i zawiasy następnych drzwi, które są nadal zamknięte. Już słyszę, jak sukinsyny w pokoju wrzeszczą w panice. Kiedy poluzował się rygiel, napieram na drzwi ramieniem i wyważam je. Jeden z lokatorów biegnie ku mnie, wywijając nogą od krzesła. Daję krok w bok i pcham go przez korytarz, aż rozbija się o przeciwną ścianę. W pokoju jest jeszcze troje innych Zwykłych, czwarty usiłuje wydostać się przez otwarte okno. Światło jest przyćmione, ale widzę dostatecznie dobrze: nie rozpoznaję tu nikogo, ci ludzie mnie nie interesują. Odwracam się i wycofuję na korytarz. Tu dźgam skurwiela, który ponownie rzucił się na mnie z nogą krzesła.

Zamek do następnego pokoju jest wyłamany, ale drzwi przytrzymuje łańcuch. Otwierają się akurat na tyle, bym mógł zajrzeć do środka. Ani śladu Lizzie. Siwowłosa kobieta chwyta za klamkę i zatrząskuje drzwiami, wyrывая je z moich dłoni. Zbliżam się do następnego pokoju - akurat wychodzi stamtąd dwoje łkających Zwykłych. Tym razem przywieram do ściany i po prostu ich przepuszczam.

Prawie całe drugie piętro jest puste, a Lizzie nie ma w żadnym z nielicznych zajętych pokoi. W pokoju przy schodach znajduję małą dziewczynkę. Siedzi sama w fotelu, w którym ginie jej drobne ciało. W rozpaczy wydaje mi się przez sekundę, że to może być Ellis. Jest ciemno, mętne światło poranka dopiero zaczyna się sączyć przez szczeliny w zabitym deskami oknie. Dotykam dziewczynki - wypada z fotela i dopiero teraz widzę, że to nie Ellis. A kiedy tak leży u mych stóp i już się nie porusza, uświadamiam sobie, że jest martwa i porzucona przez tych, z którymi tu mieszkała.

Drzwi do ostatniego pokoju na tym piętrze są nieco uchylone, ale zatrząskują się, gdy ku nim biegnę. Pchnięciem otwieram je, zanim zdążą je zamknąć. Trzy Zwykłe kobiety i mężczyzna zaczynają krzyczeć na mnie w języku, którego nie rozumiem. Ni to polski, ni rosyjski. Odwracam się i wychodzę, a jedna z kobiet idzie za mną na korytarz, ciągle krzycząc. Chwyta mnie za nogi, błagając o pomoc. Odrzucam ją kopniakiem i idę dalej.

Najwyższe piętro. Ostatnia szansa.

Nie mam czasu sprawdzać wszystkich drzwi, zamkniętych na klucz. Zatrzymuję się przed pierwszymi. Słyszę wewnątrz głosy, więc zaczynam rąbać zamek siekierą. Ramiona mam ciężkie, zdrętwiałe z wysiłku. Przegniłe drewno łupie się łatwo i drzwi otwierają się nagle, ale Lizzie tam nie ma. Idę dalej. Czuję ulgę lokatorów, kiedy odwracam się do nich plecami. Drzwi zamykają się z trzaskiem i słyszę, jak przysuwają do nich meble, by zabarykadować się w środku.

Dwoje zamkniętych na klucz drzwi naprzeciw siebie. Przeskakuję rozciągniętego trupa Chińczyka i przyciskam się do pierwszych z nich. Słyszę głos jakiegoś mężczyzny rozprawiającego w urdu, pendżabi lub w czymś podobnym, więc natychmiast zwracam uwagę na drugie drzwi i zaczynam rąbać drewno wokół zamka. Przerywam na sekundę, kiedy z zewnątrz dochodzi ogłuszający huk eksplozji, widzę błysk bieli niczym w świetle stroboskopowym. Ocena odległości jest niemożliwa,

ale sądząc po dźwięku, wybuch nastąpił blisko. Zbyt blisko. Kiedy wznawiam rąbanie, wciąż stopami wyczuwam wibrację. Te drzwi są bardziej uparte niż wszystkie poprzednie. Są nowsze, prawdopodobnie ostatnio je wymieniono. Zgaduję, że nie jestem pierwszą osobą, która próbuje się włamać do tego pokoju. Sapię z wysiłku, kiedy zdeterminowany walę pięściami w drzwi. Muszę dostać się do środka.

## VIII

Mark, z twarzą przyciśniętą do wizjera w drzwiach, patrzył z niedowierzaniem na mężczyznę wlamującego się do pokoju naprzeciw.

- Co się dzieje? - spytała Kate, próbując go odciągnąć. Nie odpowiedział. Nie mógł. Jak to możliwe? Jak ich znaleźli? Czy to tylko zbieg okoliczności, czy pech najokrutniejszy jaki sobie można wyobrazić? Czy właśnie ich szukał? Ale skąd wiedział; że są tutaj? Mark obejrzał się przez ramię na Lizzie stojącą w rogu pokoju. Wyraz osłupienia na jego twarzy z pewnością mówił sam za siebie.

- Mark, co to takiego? O co, do diabła, chodzi - spytała ponownie wzburzona Kate. Nie odpowiedział. Patrzył na Lizzie, która do niego podbiegła. Przeczuwała, co jest na zewnątrz, i usiłowała odepchnąć Marka z drogi. Nie ustępował, odwrócił się do niej plecami i znowu przyciskał oko do szklanego guziczka w drzwiach.

Z rok nie widział kuzyna, a on zmienił się niemal nie do poznania, ale to był na pewno on. Mark był tego pewien. Danny McCoyne. Cioteczny brat. Syn Jeannie, ciotki Marka. Mark bawił się z nim na niezliczonych rodzinnych zjazdach i przyjęciach, kiedy obydwoj byli nastolatkami. Żalony nieudacznik miał pozbawioną perspektyw pracę, za dużo dzieci, zbyt małe mieszkanie. Notoryczny rozrzutnik, którego inni członkowie rodziny często wskazywali jako doskonały przykład tego, jak nie należy postępować. Partner Lizzie. Morderca. Wściekły.

Na korytarzu McCoyne nadal walił w drzwi. Mark był przerażony, widząc gniew i nienawiść na wykrzywionej twarzy kuzyna.

To szokujące, że Danny stał się Wściekłym. Zawsze był niezręczny jakby czuł się nieswojo i niewygodnie we własnym ciele. Teraz ten brak pewności siebie przerodził się w skupienie, wściekłość i brutalne bezwzględne dążenie do celu. Dla Marka Danny McCoyne uosabiał obecnie zagrożenie ze strony Wściekłych, do tej pory bezosobowe. Na myśl, że musi stawić mu czoło, ze zdenerwowania uginały się pod nim nogi.

Lizzie chwyciła Marka za ramię i oderwała go od drzwi. Na moment przycisnęła oko do wizjera, a potem zatoczyła się, zszokowana widokiem Wściekłego na korytarzu. W pokoju zapanował hałas - przerażony wrzask Kate, nieprzerwana, niezrozumiała tyrada Gurmita Singha - ale Lizzie tego nie słyszała, jak to możliwe? Skąd, u diabła, mógł się tu wziąć?

- Czy ktoś mi powie, o co chodzi? - Kate błagała o jakieś informacje.

- To Danny - wybełkotała Lizzie. Ledwo było ją słyszeć.

- Co? Ale skąd on...?

- Mów cicho, Kate - ostrzegł Mark.

- Pozwól mu wziąć dziecko - krzyknęła Kate, postępując ku drzwiom. Mark ją odepchnął. - Posłuchaj, Mark, pozwól mu ją wziąć. Daj mu ją. Usuńmy stąd diabelskie nasienie. Będziemy bezpieczniejsi, jeśli...

Ciągle ją odpychał, a odgłosy z korytarza przybierały na sile. Odsunął ją do pogrążonych w katatonii rodziców, a potem pobiegł do drzwi i znowu spojrział przez wizjer. Widział, jak McCoyne wreszcie dostał się do pokoju naprzeciw i zniknął na kilka sekund, ale później się wyłonił i tym razem nie było wątpliwości, gdzie zmierza.

- Cofnijcie się! - syknął Mark. Odsuwał wszystkich od drzwi. Chwycił kij bejsbolowy - dla obrony trzymał go w pokoju - a potem zagnał Kate, Lizzie i Singha za wezglowie podwójnego łóżka, gestem nakazując im, by się skulili i nie wychylali.

- Czy on...? - zaczęła Lizzie, ale pytanie stało się nieaktualne, zanim zdążyła je skończyć. Na drzwi runęła nawałnica ciosów zadawanych siekierą. Drzwi dygotały, futryna drżała. Mark zerknął na Kate, która kulila się przy rodzicach, a potem odwrócił się i stanął znów naprzeciw drzwi. Usilnie pragnął sprawić wrażenie człowieka gotowego do walki, lecz tak naprawdę miał ochotę uciekać.

Agresywny Wściekły otworzył kopniakiem uszkodzone drzwi - załomotały o ścianę, drzazgi poleciały we wszystkich kierunkach. Z impetem wbiegł do pokoju 33 prosto na Marka, który ruszył ku niemu

*i próbował stanąć mu na drodze z uniesionym kijem bejsbolowym. Zamachnął się kijem, by zadać cios w głowę kuzyna, ale chybił - z przestachu i zdenerwowania. Wszystko działo się przecież tak szybko, a zadania nie ułatwiał ciasny, zagrożony pokój. McCoyne schwycił koniec kija, który szybkim łukiem powędrował do góry, wyrwał go z rąk Marka i odrzucił w drugi koniec pokoju.*

*Nagle Wściekły się zatrzymał.*

*Wydało mu się, że rozpoznaje tego mężczyznę. Mark? Mark Tillotsen? Czy to naprawdę on?*

*Nie był przygotowany na widok postaci ze swego dawnego życia. Przez ułamek sekundy stał w głuchej ciszy i wpatrywał się w mężczyznę, a do głowy niespodziewanie napłynęły mu wspomnienia i emocje stłumione i zapomniane, odkąd po raz pierwszy posmakował Nienawiści. Zachwiał się, ale nawet nie drgnęła mu powieka, kiedy następna eksplozja na zewnątrz zatrzęsała całym budynkiem. Wrócił do rzeczywistości, gdy usłyszał niezrozumiały wrzask z kąta pokoju. Wtedy przypomniał sobie, po co tu przyszedł... Ellis, Lizzie... Gdy Mark powtórnie zaatakował, Danny złapał go za kołnierz, obrócił, uderzył nim o ścianę i upuścił na podłogę niczym kukłę. Mark przewrócił się na plecy i leżał, jęcząc u stóp Wściekłego.*

*Danny wyczuł ruch. Ktoś inny go atakował.*

*Zobaczył biegnącą na niego Lizzie - od razu wiedział, że to ona, choć twarz miała zmęczoną, starą i wymizerowaną, policzki zapadnięte, oczy puste.*

*- Lizzie, ja...*

*Zamachnęła się kijem bejsbolowym i uderzyła go w skroń.*

Słyszę jak rozmawiają, ale nie otwieram oczu. Ręce mam skrępowane, przywiązane do kaloryfera, kostki u nóg spętane. Czuję krew w ustach - sączy się do przelyku. Ktoś potyka się o moje stopy, ale celowo nie reaguję. Lekko otwieram zapieczone krwią oko i widzę, jak Mark próbuje odciągnąć ode mnie ciężarną kobietę. Kobieta zauważa, że się obudziłem, wrywa się mu, obraca i kopie mnie w żołądek. Nie mogę się bronić. Zginam się z bólu, łapię w płuca powietrze i krztuszę się na wpół zakrzepłą krwią w ustach i w nosie. Dzika suka! Dopiero dwóm mężczyznom udaje się odciągnąć ją ode mnie i przytrzymać. Gdybym nie wiedział, kim ona jest, mógłbym ją wziąć za jedną z nas. A może rzeczywiście jest Wściekła? Może została przygotowana do bójk, tak jak mnie nauczono powstrzymywać się od bójk?

Mark i Azjata przytrzymują ciężarną kobietę z dala ode mnie. Lizzie napotyka mój wzrok i idzie ku mnie przez pokój, chwytając mnie za ramiona i podciąga do góry. Siedzę wyprostowany naprzeciw niej, oparty plecami o kaloryfer. Patrzy mi prosto w oczy, a następnie uderza tak mocno, że prawie się przewracam.

- Zabiłeś mojego ojca, skurwielu - wypluwa. - Kochałam cię, a ty zabiłeś mi tatę...

Cóż mam na to odpowiedzieć? Ma rację, a ja niczego nie żałuję. Mogę zabić wszystkich w tym pokoju i w ogóle się tym nie przejmę. Może z wyjątkiem Lizzie. Nie mogę oderwać od niej oczu. Jest tak, jakbyśmy nigdy nie byli rozdzieleni, i przez jedną przelotną, głupią chwilę nieodwracalna różnica między nami wydaje się banalna i nieważna. Znowu mnie bije. Próbuję się odwrócić, ale ona znowu uderza mnie z całej siły. Ból dobrze mi robi. Budzi mnie. Staram się uwolnić ręce z plastikowych więzów, którymi mnie spętali.

- Powinniśmy go zabić - warczy ciężarna kobieta, obejmując wyduęty brzuch.

- Wtedy stalibyśmy się równie źli jak on - odpowiada szybko Lizzie. Znowu patrzy na mnie. Jest zdenerwowana. Przestraszona. Z wysiłkiem mówi do mnie:

- Po co tu przyszedłeś?

- Szukam ciebie - odpowiadam pośpiesznie.

- Wyrządziłeś mi taką krzywdę!

- Nie chodzi o ciebie. O Ellis. Muszę wiedzieć, co się z nią stało.

- Czemu?

- Jak ci się wydaje? Jest taka jak ja. Powinna być ze mną.

- Żebyś ją puścił wolno? Żeby mogła zabijać? Szaleć i...?

Kręcę głową i znowu spoglądam jej w twarz, starając się uwolnić skrępowane z tyłu dłonie.

- Chcę ją wziąć ze sobą. Chcę się nią opiekować, dbać o nią. Wcale nie chcę, żeby samotnie walczyła.

- Ja w ogóle nie chcę, żeby walczyła. To przecież dziecko.

- Chcę tylko, żeby była ze mną, Lizzie. Chcę zapewnić jej bezpieczeństwo.

Lizzie osuwa się na podłogę naprzeciw mnie. Ujęła głowę w dłonie. Azjata ciągle coś bełkocze i przeklina mnie. Ciężarna kobieta obserwuje każdy mój ruch, nie spuszcza ze mnie wzroku. Mark usiłuje sprawiać wrażenie, że jest opanowany i zachowuje kontrolę nad sytuacją, ale czuję jego przerażenie. To wspaniałe. Nawet wszyscy razem nie są dla mnie równorzędnymi przeciwnikami.

- On tu przyszedł nas pozabijać - mówi Mark. - Katie ma rację, powinniśmy byli po prostu się go pozbyć. To był zły pomysł.

Kręcę głową i wypluwam na podłogę bryłę krwistej flegmy.

- Wy mnie nie interesujecie. Jedynie Ellis. Tylko mi powiedzcie, co się z nią stało, i sobie pójdę.

- Nie słuchaj go. Wypuścisz go, a sukinsyn nas pozabija...

Znowu kręcę głową.

- Nie zrobię tego. Potrafię się opanować. Nigdy bym się nie dostał tak głęboko do miasta, gdybym nie potrafił. Mogę powstrzymać Nienawiść. Nauczyci mnie tego.

- Kto cię nauczył? - pyta Lizzie.
- Ludzie tacy jak wy.
- To bzdura - krzyczy ciężarna kobieta. - Dlaczego właśnie ciebie?
- Nie tylko mnie. Innych też.
- Ale dlaczego...?
- Nie słyszycie, co się dzieje na zewnątrz? To skoordynowany atak - wyjaśniam. Bardzo mi zależy na tym, by wytłumaczyć to Lizzie. - Przyszedłem tutaj z innymi bojownikami, ale urwałem im się, żeby cię znaleźć.
- Nie rozumiem...
- Nie chcę zabijać nikogo z was. Po prostu chcę wiedzieć, co się stało z Ellis. Powiedz mi, co się z nią stało, a pójdę sobie i nigdy już mnie więcej nie zobaczysz...
- Pozwól mu, niech ją weźmie - mówi ciężarna kobieta. - Niech stąd zabierze diabelskie nasienie.
- Zamknij się, Katie! - ryczy Mark.

Co ona powiedziała? Nie wierzę własnym uszom. To jakaś bzdura. Przecież nie może być tutaj. Jak mogliby ją tak długo ukrywać i powstrzymać od agresji? Spoglądam po ich twarzach, szukając wyjaśnienia.

- Ellis jest tutaj?
- W łazience - krzyczy kobieta w ciąży, próbując znowu wstać. Pokazuje na drzwi naprzeciw mnie. Mark znowu popycha ją na krzesło i stara się zakryć jej usta.
- Tutaj? Ale jak...?

Siedząc na podłodze przede mną, ale poza moim zasięgiem, Lizzie zaczyna łkać.

- Nie mogłam jej wypuścić. Wiedziałam, że jest taka jak ty, ale to bez znaczenia. Nawet kiedy zabiła chłopców, nie mogłam znieść myśli, że sobie pójdzie...
- Zalewa się łzami. Słowa więzną jej w gardle. Próbuję poruszać nadgarstkami, zginam i prostuję nogi, by przerwać więzy. Muszę wstać i dostać się do Ellis...
- Niech ją sobie weźmie - mówi ciężarna kobieta. - Pozwól mu ją wziąć.
  - Nie możemy mu ufać - warczy na nią Mark.
  - A jakie to ma znaczenie? Wyrzuć ich oboje za drzwi...

Przerywa jej następna gromka eksplozja. Wybuchy są coraz bliższe, coraz częstsze. W tym tempie miasto upadnie na długo przed szóstą rano.

- Ma rację - mówię do Lizzie, błagając ją, by mnie zrozumiała i posłuchała. - Obiecuję, że nie zrobię wam krzywdy. Zabiorę Ellis i nigdy już nas nie zobaczycie.

Mark podnosi zakrwawiony kij bejsbolowy.

- Gdy tylko go wypuścimy, rzuci się na nas - mówi, uśmiechając się do mnie szyderczo.
- Do kurwy nędzy! - wrzeszczę na niego sfrustrowany - czy słyszycie, co mówię? Nie chcę was zabijać. Nikogo...
- Posłuchaj, Lizzie - przerywa mi ciężarna kobieta spokojniejszym tonem. Klęka przy Lizzie na podłodze. - Sama mówiłaś, że nie możesz jej pomóc. To najlepsze wyjście dla nas wszystkich.
- Ma rację - zgadzam się, tak jakby mieli zamiar słuchać mojego zdania. Lizzie patrzy na mnie wściekle. Jest w beznadziejnej sytuacji - cokolwiek wybierze, przegrywa. Bez względu na to, czym ona jest i co teraz do niej czuję, jestem zaskoczony, że nadal tak bardzo mnie boli, kiedy widzę ją w takim położeniu. Kręci głową.
- Nie mogę. Po prostu nie mogę jej wypuścić.
- Nie macie wiele czasu - mówię im. - Całe miasto ma niewiele czasu. Mogę ją zabrać w bezpieczne miejsce. Wydostać ją stąd, zanim będzie za późno.
- Kończą się dla niej lekarstwa, Liz. - mówi Kate. - Nie możesz jej tu trzymać, jeśli nie jest pod wpływem środków uspokajających. Pomyślałaś o tym?
- Oczywiście, że pomyślałam - łka Lizzie. Spogląda przez ramię na ciężarną dziewczynę. - Po prostu nie mogę znieść myśli, że będzie tam zupełnie sama. Ma zaledwie pięć lat...



- Ale ona nie będzie sama - przerywam jej. - Będzie ze mną.  
- Posłuchaj, Danny. - Wzdycha, wycierając oczy. - W najlepszych czasach nie byłeś doskonałym ojcem. Jakie szanse ma Ellis z tobą teraz?

- Ma więcej szans ze mną niż beze mnie. Nie myślcie logicznie. Jeśli tutaj zostaniecie, wszyscy zginiecie. To dla niej najlepsze wyjście. Jedyne wyjście...

W pokoju hotelowym na moment zapada cisza, jedyne odgłosy dochodzą z zewnątrz. Przez podłogę i ściany przenoszą się wibracje. Nawet Azjata w końcu się zamknął.

Lizzie trzyma głowę w dłoniach.

- Po prostu nie mogę. Zrozum, nie mogę...

Zanim kończy zdanie, ciężarna kobieta wykonuje ruch. Rzuca się w moją stronę, zaskakując i mnie, i wszystkich innych. Łapie mnie za głowę, nagina do przodu, a potem przechyla się przede mną. Próbuje ją strząsnąć, ale nie daję rady, jestem przygnieciony ciężarem nienarodzonego dziecka. Równie szybko jak zaatakowała, staje na nogi naprzeciw mnie, trzymając w ręce jeden z moich noży. Co zrobiła? Dźgnęła mnie czy...?

Chwileczkę.

Mam wolne ręce.

Z wciąż związanymi nogami odpycham się od ściany i sunę ku Lizzie. Udaje jej się odpełznąć z drogi, ale druga kobieta nie jest tak szybka. Łapię ją za prawą stopę i przyciągam do siebie. Kobieta pada na podłogę tuż przede mną. Mark usiłuje zareagować, ale na szczęście Zwykli są powolni i zanim on ją łapie, ja trzymam już ją mocno. Otaczam ręką jej szyję i przystawiam nóż do jej twarzy. Głupia suka. Przynajmniej na chwilę uciszyłem jazgot wydobywający się z jej z ust. Pochylam się i przecinam więzy wokół kostek, a potem powoli wstaję. Mark znowu ku mnie idzie, ale ja kłuję policzek kobiety końcem ostrza i widok krwi oraz stłumione wrzaski wystarczają, by go zatrzymać.

Kopię drzwi do łazienki i przez sekundę przyzwyczajam oczy do mroku. Kłamliwe sukinsyny. Łazienka jest pusta. Nie ma jej tu. Na podłodze leży cienki materac, kilka prześcieradeł, puste butelki po wodzie i resztki lekarstwa, opakowania po żywności... ale Ellis nie ma. Czuję jej zapach, ale jej samej tu nie ma.

- Gdzie ona jest? - ryczę. Odwracam się, trzymając nóż przy oku kobiety.

- Bezpieczna - odpowiada Lizzie. - Wypuść Kate, Danny.

Zdesperowany Mark próbuje znowu na mnie zaszarżować,

ale zbyt długo się zastanawia, zamiast działać instynktownie. Jestem znacznie szybszy od niego i widzę jak nadchodzi, z bardzo daleka, jest kilometry ode mnie. Nawet gdy trzymam tę sukę, Mark nie jest dla mnie żadnym przeciwnikiem. Kopię go w jaja, a on odtacza się ode mnie.

- Gdzie? - ryczę znowu.

- Wypuść ją, to cię tam zaprowadzę - mówi Lizzie.

Patrzę jej prosto w twarz i zacieśniam chwyt wokół szyi drugiej kobiety. Czy mówi prawdę? Czy mam jakiś wybór? Ellis może być tuż obok, ale równie dobrze mogłaby być sto kilometrów stąd. Potrzebne mi są wskazówki od Lizzie. Mark jęcząc, zwija się z bólu na podłodze.

- Proszę - skomle żałośnie.

Mógłbym ja zabić, ale tego nie robię. Nagle staje mi przed oczami Joseph Mallon. Widzę jego twarz i słyszę jego cholerny głos, rozbrzmiewający echem w tamtej celi: „Nie zwalczaj ognia ogniem, przerwij cykl”. Czy miał słuszość? Czy kiedy całe miasto się rozpada, mogę ryzykować i nie iść za głosem instynktu? Darować tym skurwielom życie? Czy może naprawdę tak jest, że im zacieklej dziś walczę, tym większa przegrana mnie czeka?

Puszczam kobietę. Pada na kolana i odpełza na czworakach, łapiąc powietrze. Lizzie podchodzi do mnie i zatrzymuje się tuż przede mną, niemal się dotykamy.

- Chcę tylko mieć pewność, że się o nią będziesz troszczyć i zabierzesz ją w bezpieczne miejsce.

- Gdzie ona jest? - krzyczę. Staram się panować nad sobą i nie atakować. - Powiedz mi tylko

gdzie.

- Muszę usłyszeć przyrzeczenie, Danny.
  - Obiecuję ci, Liz, zabiorę ją jak najdalej od miasta. Będę się nią opiekował. Tylko ona mi pozostała.
  - Więc masz więcej niż ja - łka Lizzie. Patrzy mi w oczy, a ja nie mogę odwrócić wzroku. - Przenieśliśmy ją w nocy - wyznaje w końcu. - Nie mogliśmy dłużej ryzykować i trzymać ją tutaj.
  - Co z nią zrobiłaś?
  - Jest bezpieczna. Mark i ja próbowaliśmy wydostać ją z miasta. To mniejsze zło.
- Mark wstaje. Sięga do kieszeni i wyciąga pęk kluczy, który rzuca Lizzie.
- Zabierz go.
  - Nie mogę... - mówi. Znowu zaczyna płakać.
  - To jedyne wyjście. Słyszysz, Liz, co dzieje się na zewnątrz? Wszystko jest spieprzone. On ma rację, przynajmniej w ten sposób dajesz jej szansę.
  - Ale co, jeśli...
  - Nie zrobię ci krzywdy - przyrzekam. Mówię najzupełniej szczerze, ale nadal nie wiem, czy mi wierzy. - Chcę tylko Ellis. Zaprowadź mnie do niej, a nigdy mnie już więcej nie zobaczysz.
- Kiwa głową, ale nadal się nie rusza.
- Daj mu te klucze - mówi ciężarna kobieta. - Niech sam ją sobie znajdzie. Zostań tu z nami.
- Lizzie kręci głową i wyciera oczy.
- Nie, pójdę z nim. Chcę ją tylko znów zobaczyć. Po raz ostatni.

37

Na tyłach hotelu znajdują się schody przeciwpożarowe. Lizzie obserwuje mnie, czujna jak jastrząb. Trzymając nóż w ręce - wiem, że nie ośmieli się go wykorzystać - pcha mnie korytarzem, potem za róg ku niepozornym szarym drzwiom. Już wcześniej je wyłamano. Gestem nakazuje mi, bym przez nie przeszedł.

- Gdzie ona jest? - pytam. Usiłuję przekrzyczeć wszechobecne odgłosy walk. Stoimy na szczycie zygzakowatej metalowej klatki schodowej, przypiętej klamrami do starego, podupadłego budynku. Lizzie wskazuje ogólny kierunek ulic za hotelem, ale nie widzę nic konkretnego. Wschodzi słońce. Miasto zaczyna płonąć. Gdzieś w dali po lewej stronie startuje flotylla samolotów i helikopterów.

- Tam jest garaż - odpowiada. Brak jej tchu. - Przęd się zawalił, tak że trudno stamtąd wyjść. Zamknęliśmy ją z tyłu furgonetki.

- Jeśli to jakaś sztuczka, Lizzie...

- Żadna sztuczka - mówi szybko i wiem, że to prawda. Marnujemy cenny czas. Czuję, że Ellis jest blisko i zaczynam schodzić.

Na tyłach hotelu jest następny parking, a za nim spłachetek zarośniętego ogrodu. Lizzie prowadzi mnie wąską ścieżką, ledwo widoczną wśród wysokiej, wilgotnej trawy. Niebo nadal pokrywają ciężkie, szare chmury, ale powoli zaczyna się przejaśniać.

- Tędy - szepcze, łapiąc dech, kiedy eksploduje seria oślepiających, białych błysków. Każdy błysk na ułamek sekundy rozświetla półmrok wczesnego poranka. Nisko lecący śmigłowiec bojowy dudni w górze. Wraca do miasta.

Idę za nią do końca ścieżki, ku wysokiej furtce z kutego żelaza. Lizzie schyla się i przesuwając obłuczoną płytę chodnikową, blokującą furtkę, która otwiera się teraz na oścież. Lizzie zatrzymuje się przed wejściem do środka i przywiera do muru, bo obok przebiega grupa ludzi. Obserwuję ich, kiedy wychodzimy na otwartą przestrzeń - wąskim, wybrukowanym pasażem trzy postacie ścigają czwartą; zapędzają samotnego uciekiniera w kąt, powalają na ziemię i okładają kopniakami. Trudno stwierdzić, kto jest kim - czy obserwuję, jak wykańczają Zwykłego, czy złapali właśnie jednego z moich? Nie ma to już znaczenia.

- Rusz się - syczy Lizzie. Znowu pcha mnie naprzód. Po drugiej stronie przejścia jest druga

furtka w drewnianym płocie. Przechodzimy przez nią i natychmiast rozpoznaję - widząc mnóstwo części samochodowych, opon i rur wydechowych - że musimy być na miejscu. Wchodzę za nią przez boczne drzwi do zakurzonego biura. Jest tu ciemno. Lizzie nagle przystaje, a ja wpadam na jej plecy. Trzymam się jej, kiedy chwyta mnie za rękaw i prowadzi dalej naprzód, biorąc stąd latarkę, którą najwyraźniej zostawiła tu poprzednim razem. Przechodzimy przez następne drzwi, schodzimy z wysokiego stopnia i znajdujemy się w pomieszczeniu, zapewne w głównym warsztacie. Powietrze jest tu chłodne, odgłos naszych kroków odbija się echem od ścian. Lizzie świeci latarką przed siebie i widzę, że przód budynku się zapadł, oddzielając warsztat od ulicy.

- Tędy.

Omijamy samochód na podnośniku i przechodzimy do najdalszego kąta warsztatu. Stoi tam niebiesko-biała furgonetka, zaparkowana tyłem do ściany. Przednie błotniki mają jasny matowoszary kolor, są zagruntowane i czekają na pomalowanie przez lakiernika, który nie wróci tu już nigdy. Kiedy zbliżamy się do tylnej części furgonetki, widzę, że z tyłu pali się światło. Lizzie odpycha mnie na bok i otwiera drzwi z klucza. Rozwiera je szeroko, a potem wślizguje się przez szczelinę. Wciskam się za nią.

Ellis leży płasko na plecach pośrodku furgonetki, przykuta do przednich siedzeń. Usta ma zakneblowane, a przeguby, kostki i nogi skrępowane plastikowym sznurkiem do bielizny. Jest obudzona i czujna, jej piękne, piwne oczy wędrują ode mnie do Lizzie i z powrotem. Patrzy prosto na mnie, ale nie jestem pewien, czy mnie pamięta. Jej ciało, jedynie w brudnej szarej bluzeczce i majtkach, pokryte jest skaleczeniami, zadrapaniami i siniakami. Lizzie pochyliła się nad nią, a ona reaguje natychmiast, wygina się i próbuje rzucić się na nią i zaatakować.

Lizzie, Ellis i ja znowu razem. Nawet nie śmiałem marzyć, że naprawdę dojdzie do czegoś takiego. Odgłosy bitwy, helikoptery i wybuchy wydają się nagle nie mieć znaczenia. Wszystko, co utraciłem, znajduje się z tyłu tej furgonetki. Zrzucam z ramion plecak i otwieram go. Wyciągam lalkę Ellis, a Lizzie bierze ją ode mnie i przytula ją do siebie. Po jej twarzy płyną łzy.

- Wróciłeś? - pyta.

- Szukałem ciebie - odpowiadam.

Lizzie odsuwa z czoła Ellis zmierzwiłone włosy i próbuje pokazać jej lalkę. Dziewczynka cofa się przed dotykiem matki, rozpaczliwie stara się odsunąć. Lizzie się tym nie przejmuje. Zgaduję, że zdążyła się do tego przyzwyczaić.

- Chyba wszystkim byłoby łatwiej, gdyby pozostała z tobą - przyznaje Lizzie - ale skąd miałam to wiedzieć po tym, co nam zrobiłeś?

- Wiem.

- Wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy, że jest taka jak ty, zorientowałam się dopiero kilka dni po twoim odejściu. Nie spodziewałam się tego, nie myślałam nawet, że taka rzecz może się wydarzyć. Siedziała spokojnie z braćmi, a za chwilę... Wyszłam z pokoju na pięć minut. Wróciłam i zobaczyłam ją przy Edwardzie...

Zaczyna łkać. Łzy kapią na Ellis, która wije się i wykręca, jakby to były żrące krople kwasu.

- Czemu to musiało się stać, Danny? - pyta. Wie, że nie potrafię dać jej odpowiedzi.

- To nie dlatego, że coś zrobiłaś czy czegoś nie zrobiłaś. Nikt z nas nie mógł nad tym zapanować, nie mógł tego przewidzieć...

Uśmiecha się i wyciera oczy.

- Pamiętasz, jak myśleliśmy, że mamy straszne życie? Jak dzieci nas czasami irytowały?

- Pewnie, że pamiętam.

- Nienawidziłeś swojej pracy, ja nie mogłam znieść siedzenia w domu z dziećmi, tata miał dość tego, że ciągle wyciąga nas z długów...

- Wiem. Pamiętam.

- Dużo bym dała, żeby to wróciło.

Ma rację. Mimo wszystko, kiedy siedzę tutaj z nią, a Ellis leży pomiędzy nami, gdzieś w duszy wiem, że ma słuszość.

- Żałuję, to nie wróci - ciągnie. Kładzie córce dłoń na ramieniu. Ellis wzdryga się i usiłuje się odtoczyć. - Ty, ja, chłopcy w kuchni, nasze gówniane małe mieszkanko, przepychanki przed telewizorem, kłótnie o to, kto komu zjadł słodycze... takie głupstwa...

- Ja też... - mówię cicho, zaskoczony swoim wyznaniem. W garażu rozbrzmiewa następna eksplozja, a później odgłos gruzu spadającego deszczem na dach furgonetki. Ta furgonetka jak kokon tymczasowo izoluje nas od chaosu, panującego na świecie, ale słyszę, jak walki przybierają na sile.

- Nie możemy tutaj pozostać - mówię. - Tu nie jest bezpiecznie.

- Wiem.

- Muszę iść. Muszę wziąć ją ze sobą i zabrać ją stąd.

Lizzie potakuje i znowu wyciera oczy. Spogląda w dół, na

Ellis, i uśmiecha się, a potem przykuca przy niej i bierze nóż, który ma przy sobie. Ellis próbuje rzucić się na nią, ale łańcuchy nadal ją powstrzymują. Przez ułamek sekundy myślę, że Lizzie ją zaatakuje, ale patrzę na jej twarz i wiem, że tego nie zrobi. Nie może. Zdejmuje sznurek do prania owinięty wokół nóg Ellis, a potem wsuwa długi nóż między nagie kostki dziewczynki i przecina plastikowe więzy, które mocno ją krępowały. Ellis natychmiast reaguje - kopie Lizzie z niewiarygodną, niepowstrzymaną wściekłością i furją.

- Przytrzymaj ją, Danny.

Podnoszę Ellis, ciągle młocącą nogami, i przytrzymuję ją w pasie, a Lizzie usuwa kłódkę i łańcuchy, które przykuwały dziewczynkę do podłogi. Wściekłość i siła Ellis są wyjątkowe, ledwo mogę ją utrzymać. Lizzie usuwa knebel i głowa dziewczynki natychmiast rzuca się w przód - dziecko próbuje odgryźć matce kawałek twarzy. Lizzie uchyla się, a potem kieruje nóż ku więzom krępującym nadgarstki dziewczynki.

- Powinnaś już iść - mówię. - Wracaj do Marka i tamtych ludzi.

Kręci głową i zaczyna przecinać sznurek.

- Puść ją, Danny. Chcę ją tylko przytulić.

Plastikowe więzy pękają z trzaskiem i Ellis, uwolniona z moich rąk, frunie ku Lizzie. Łąduje w jej ramionach. Lizzie wali plecami w bok furgonetki z okropnym głuchym łupnięciem! Przez króciutką chwilę są splątane w uścisku, Lizzie tuli głowę Ellis do piersi, nie chce jej puścić. W przyćmionym świetle widzę, jak przywarły do siebie. Taka scena mogłaby rozgrywać się wszędzie: pożegnanie na szkolnym placu zabaw, wieczorem przed snem, tuż po powrocie do domu z dworu, kiedy trzeba ogrzać zmarznięte dziecko...

Wtem Lizzie zmienia się na twarzy. Zaciska oczy z bólu i otwiera usta, by wrzasnąć, ale nie wychodzi z nich żaden dźwięk. Ellis odpycha ją i zerka na mnie, dolną część twarzy ma we krwi. Wypływa kawałek ciała Lizzie, a potem odwraca się i znowu atakuje.

Usuwam się w kąt i zakrywam głowę, kiedy dziecko rozrywa ciało matki na strzępy.

38

Ellis zlaną krwią ciężko dyszy. Siedzi w przeciwległym kącie furgonetki i obserwuje mnie. Czy w ogóle pamięta, kim jestem? Nie próbowała mnie zabić. Zaatakowałaby, gdyby uważała, że jej zagrażam.

- Musimy iść, Ellis. Musimy się stąd wydostać. Tutaj nie jest bezpiecznie. Ludzie będą próbowali zabić wszystkich. Rozumiesz?

Żadnej reakcji. Nie mam czasu czekać na odpowiedź. Wyjmuję z plecaka tęczowy pulower i przysuwam się do niej bliżej.

- Włóż to. Ogrzej się.

Chcę jej włożyć sweter przez głowę. Dziewczynka wrywa mi go z rąk. Podnoszę go i ponawiam próbę, ale ona go w ogóle nie chce, więc rzucam sweter. Dziecko syczy na mnie i wciska się głębiej w kąt. Biedactwo, serce się kraje, gdy widzę ją w takim stanie. Naiwnie oczekiwałem, że się niewiele zmieniła. Może po prostu próbowałem sobie wmówić, że będzie inna niż dzieci, które

znaleźliśmy w szkole. Teraz jesteśmy razem i wszystko będzie dobrze.

- Chodź, idziemy - mówię jej. Zmuszam się do wstania. Biorę nóż i latarkę do jednej dłoni, a drugą chwytam Ellis za rączkę.

Wyciągam dziecko z tylnej części furgonetki. Spadamy na ziemię i córka natychmiast próbuje mi się wyrwać, ale trzymam ją mocno. Upuszczam latarkę, wsuwam nóż za pas i nachylam się do wnętrza furgonetki. Wyciągniętymi palcami sięgam po długi kawałek sznurka, którym Ellis miała związane nogi. Jest lepki od krwi Lizzie. Ellis stara się wyrwać z uporem i siłą trudnymi do opanowania, ale udaje mi się ją utrzymać i przyciągnąć bliżej. Jeden koniec sznurka zawiązuję sobie wokół pasa, a drugi wokół jej talii, niczym smycz. Chryste, na niej prawie w ogóle nie ma ciała. Zniknął pulchny, dziecięcy tłuszcz wokół brzuszka. Teraz dziewczynka jest chuda i żyłasta - tylko skóra, mięśnie i kości.

- To na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili, dobrze?

Nadal żadnej reakcji

- Ellis, słyszysz mnie?

Patrzy mi w twarz, ale nie reaguje. Teraz, kiedy już jest do mnie przywiązana, puszczam ją, a ona natychmiast odbiega, a kiedy sznurek się napina, niemal ciągnie mnie za sobą. Próbuję przyciągnąć ją z powrotem, ale stale ze mną walczy.

- Przestań! Ellis, kochanie, to tatuś.

Mocuję się z nią, starając się utrzymać na nogach. Przez moment, gdy na zewnątrz błyska błyskawica wybuchu, widzę, że dziecko próbuje rozwiązać sznurek. Podbiegam do niej i zagarniam ją znowu w ramiona. Kopie i wije się, chce się wyrwać.

- Uspokój się - szepczę tuż przy jej uchu. - Proszę, Ellis, przestań...

Moje słowa nie odnoszą skutku. Muszę się wydostać z tego garażu. Może zareaguje lepiej, jeśli zobaczy mnie wyraźnie i ujrzy, co dzieje się wokół. Zdezorientowany, kieruję się w złą stronę i trafiam na gruzy zawalonego frontonu budynku. Zawracam, idę obok otwartej furgonetki i trupa Lizzie, próbując cofnąć się drogą, którą tu przyszedłem. Ktoś świeci mi latarką w twarz. Omal nie upuszczam Ellis, ale udaje mi się chwycić ją mocniej, zanim dosięga ziemi.

- Puść ją - poleca głos, który natychmiast rozpoznaję.

- Julia? Skąd tu...?

- Śledziłam cię. Wiedzieliśmy, że szukasz swego dziecka, a Craven pokazał mi, co znalazłeś w systemie.

- Ale plan? Walka?

- A co ma być? Widziałeś, co się dzieje na zewnątrz? Zaczęła się reakcja łańcuchowa, McCoyne. Zwracają się przeciwko sobie.

- Więc macie, czego chcieliście. Miasto się rozlatuje i...

- Nie mogę ci pozwolić na zabranie dziewczynki. Takie dzieci to przyszłość. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo ich potrzebujemy.

- Ona zostaje ze mną.

- Nie rozumiesz. Sahota i Preston, obydwaj...

- Nie, to ty nie rozumiesz. Ellis jest moją córką i jestem odpowiedzialny za...

- Jedyną twoją odpowiedzialnością jest ta wojna.

- Ale biorę ją, żeby wspomagała innych. Obiecałem Prestonowi, że...

- Uważasz, że jestem głupia? Jeśli pozwolę ci odejść, to znikniesz i żadnego z was dwojga już nigdy nie zobaczymy. Nie mogę tak ryzykować. Ona idzie ze mną, a ty powinieneś być dumny, że ją nam przekazujesz. Pomoże nam tropić Zwykłych, aż ostatni z nich będzie martwy. Twój dzieciak już teraz jest większym bojownikiem, niż ty będziesz kiedykolwiek, więc musisz...

- To moja mała dziewczynka. Nie chcę, żeby walczyła.

- Ty tępy sukinsynu, myślisz, że masz wybór? Puść ją.

Nie odpowiadam. Biegnę naprzód, próbując wyminąć Julię. Julia rusza na mnie, a ja puszczam Ellis, by się bronić. Następny błysk latarki oślepia mnie na chwilę, a przez nagłe szarpnięcie

sznurka, kiedy Ellis odbiega, tracę równowagę. Julia z rozmachem uderza mnie w skroń. Przewracam się do tyłu, turlam, zaatakowany niespodziewanie. W ciemnościach za mną potykam się o coś twardego i ciężkiego. Łąduję na kolanach w umazanym smarami kanale naprawczym. Czuję, jak sznur znowu się napina, więc natychmiast go chwytam i próbuję przyciągnąć Ellis do siebie. Sznur napręża się mocniej, a potem spada swobodnie, kiedy Julia go przecina.

- Ellis! - krzyczę, gramoląc się z kanału. Julia rzuca latarkę i przez ułamek sekundy widzę jej sylwetkę, kiedy pędzi przez biuro na zewnątrz, z Ellis pod pachą. Ścigam je przez podwórze na tyłach garażu, przez drewnianą furtkę, a potem wybrukowanym pasażem. Pełno tam ludzi, znacznie więcej niż poprzednio. Wszyscy uciekają przed rzezią, która pożera centrum miasta. Nie widzę Julii - zniknęła wśród setek osób.

Idę za ogarniętym paniką tłumem, aż do końca pasażu. Tutaj masa ludzka, już nie ograniczona ani nie ukierunkowana wysokimi płotami po obu stronach, przelewa się na drugą ulicę. Rozglądam się i krzyczę za Ellis, ale moje nawoływania pozostają bez odpowiedzi. Prawdopodobnie Ellis ich nie słyszy. Zbyt wielki tu tłok. Przeciskam się, nic nie słyszę w fali obrzydliwych, niemal nieczłowiecznych ciał, która na mnie naciera. Chwytam nóż przy pasie i wcinam się w tych, co najbliżej. Nie chcę zabijać, chcę tylko, by usunęli się z drogi. Słońce niemal całkowicie wzeszło, ale światło jest nadal słabe. Wszędzie pełźnie brudny dym jak mgła z filmów grozy.

Ktoś łapie mnie z tyłu. Odwracam się, by się bronić, ale nikt mnie nie atakuje, ktoś chce tylko mnie minąć. Zanim orientuję się, co się dzieje, już leżę na plecach w rynsztoku, w kałuży cuchnącej deszczówki. Uderzam nadgarstkiem w krawężnik i upuszczam nóż. Sięgam po niego, ale tłum kopnął go daleko. Próbuje wstać, gdy wtem ktoś stawia but na mojej klatce piersiowej. Nie mogę złapać tchu. Odtaczam się, czołgam się przez las nóg. Zwykli potykają się o mnie i przeszkadzają mi, ale prę naprzód, aż docieram do skraju ulicy, gdzie tłum jest rzadszy. Obok zgniętego trupa w opuszczonym wejściu do sklepu wyczuwam dłonią metalową metrową rurkę. To chyba słupek z płotu lub część znaku drogowego, ale nada się na całkiem przyzwoitą broń. Podpieram się rurką, wstaje, a potem, wywijając nią niczym samurajskim mieczem, kieruję się znowu w tłum. Robię zamach - postrzępiony koniec rurki morderczym łukiem uderza w skroń Zwykłą kobietę i rozrywa jej głowę od ucha do oka. Znowu macham rurką: padają kolejni, jakbym ścinał zboże, kosząc ścieżkę przez chaos.

Na środku ulicy leży zniszczony, przewrócony samochód. Tłum opływa go z obu stron, ale ja wspinam się na wrak auta, którego wypalony szkielet balansuje niepewnie na dachu, kołysze się i drży z każdym mym ruchem. Kolejny helikopter przelatuje nad nami. Instynktownie kulę się, obracam i obserwuję, jak znika nad śródmieściem.

A potem ją widzę.

Otacza mnie morze głów, ale z tyłu, od strony, skąd właśnie przyszedłem, widać lukę w tłumie - małą, niespodziewaną bańkę wolnej przestrzeni. Wpatruję się usilnie przez mgiełkę dymu i chaotyczną mlóckę, gdy nagle chwytam wzrokiem błysk niesłychanie szybkiego ruchu. To Ellis. W końcu wolna i nieskrępowana, zabija z niewiarygodną szybkością. Widzę ją: skacze od ofiary do ofiary z dziką gwałtownością i morderczym zdecydowaniem. Do zabijania wykorzystuje jedynie dłonie i zęby. Owija się wokół kolejnego człowieka, zadaje tyle ran, by były śmiertelne, a potem wstaje i przechodzi do następnej ofiary, zanim jeszcze umrze poprzednia. Wiele widziałem, ale w porównaniu z tym wściekła, bezlitosna brutalność mojej córki jest niewiarygodna. Budzi podziw i przerażenie jednocześnie.

Widzę Julię. Łapię równowagę, gdy przewrócony samochód znów się kołysze, a potem obserwuję, jak Julia ściga Ellis. Jedną ręką trzyma resztkę sznurka, drugą rąbie Zwykłych wokół siebie chyba tasakiem do mięsa. Przebija się z wysiłkiem. Ellis jest dla niej za silna i zbyt szybka.

Z wysokości wraku macham metalową rurą niczym kijem golfowym, kilku uchodźców zabijam, jednego prawie dekapituję. Zeskakuję w dół na zwolnione po nich miejsce, a potem wystawiam rurę niczym lancę i biegnę naprzód tam, gdzie walczą Julia i Ellis. Idę szlakiem trupów, potykając się o wyciągnięte kończyny, i ślizgam się w kałużach krwi, które Ellis zostawiła za sobą. Jakiś

nadzwyczaj agresywny Zwykły idzie na mnie z maczetą. Spadające w dół ostrze drasnęło mnie w ramię, ale rana jest drobna i zanim drań zdąży wykonać drugi zamach, już mnie nie ma.

Julia jest teraz przede mną, posuwa się, ciągnięta przez walczącą Ellis. Jeszcze jeden helikopter pędzi nad naszymi głowami - wypuszcza szczekającą salwę pocisków w tłum bliżej centrum miasta. Czuję żar skwierczącego powietrza, a fale uderzeniowe po wybuchach omal nie zwalają mnie z nóg. Julia unosi tasak i rąbie nim w miednicę jakiegoś ślamazarnego Zwykłego, a potem podmuch chwieje również nią. Julia staje mocniej na nogach i ciągnie smycz Ellis. Chwilowa zwłoka wystarczy: chwytam kobietę za ramię i obracam ją do siebie.

- Puść ją, Julio.

Julia jest zaskoczona, sznurek niemal wyslizguje jej się z rąk. Upuszcza broń, łapie smycz obydwoma rękami i próbuje owinać ją sobie wokół nadgarstka. Ma posiniaczoną twarz, prawe oko podbite, spuchnięte i niemal zupełnie zamknięte. Czy to robota Ellis?

- Musisz mi pomóc - rozkazuje.

- Pomóc ci? - ryczę. Odpycham metalową rurką jakiegoś Zwykłego, który stoi mi na drodze.

- Mówisz poważnie? Wypuść ją...

- Musimy ją stąd zabrać. Pomóż mi!

Wybuchają dalsze pociski, bańki pomarańczowych płomieni unoszą się wokół hotelu Prince; bardzo blisko, robi się gorąco. Jaki mam wybór? Upuszczam rurkę i chwytam za sznurek, żeby Julii było lżej. Razem zaczynamy przyciągać Ellis. Widzę ją przez chwilę wśród rojącego się tłumu. Ściągamy ją w tył, ale ona wciąż walczy, atakuje Zwykłych, zatapia w ich ciała zęby i paznokcie, rozrywa ich na strzępy. Teraz jest od nas zaledwie o metr, ciągle nam się wyrывa, ale nie może się skutecznie przeciwstawić naszym połączonym siłom. Julia wybiega zza moich pleców, łapie Ellis w tali i unosi ją z ziemi. Dziewczynka wypuszcza ciało młodego Zwykłego, którego właśnie zabiła, a potem udaje jej się obrócić w uchwycie Julii. Próbuję się między nie wcisnąć i chwycić Ellis, ale dziecko niechcący uderza mnie łokciem w twarz, łokieć trafia mnie z pełną siłą między oczy. Z nosa tryska mi krew.

Julia zatacza się do tyłu, próbuje trzymać Ellis i równocześnie odpierać nieprzerwaną kanonadę kopnięć i ciosów, zadawanych przez dziewczynkę. Moja córka, opętana, walczy z brutalną siłą i gwałtownością ponad jej wiek. Julia i Ellis znikają znowu w tłumie na kilka przerażających sekund. Wypluwam krew sączącą się ze złamanego nosa, gdy nagle zauważam sznurek do bielizny na ziemi. Pochyliłam się, chwytam i przyciągam Ellis z powrotem. Widzę, jak siedzi na Julii, kciuki wpakowała głęboko w jej zakrwawione oczodoły. Podnosi co chwila głowę Julii i wali jej potylicą o asfalt. Julia młóci dziko rękami, ale nie ma już sił. Ellis naciska znowu i Julia nagle przestaje się ruszać, jej kończyny ciężko opadają. Dziewczynka podnosi głowę Julii, jeszcze raz wali nią o asfalt, a potem patrzy na nią i odbiega. Sznurek wyslizguje mi się z rąk, parząc mi skórę.

- Ellis!

Dziecko skacze na Zwykłą, biegnącą w jej stronę. Kobieta łapie ją zaskoczona, a potem przewraca się, przytłoczona niespodziewaną siłą ataku. Ellis ją zabija, potem wstaje i ciągnie w dół następną osobę, potem kolejną i jeszcze następną, a ja stoję jak sparaliżowany, aż jakiś Zwykły wpada na mnie z boku. Łapię go za kołnierz, przewracam i wgniatam mu w twarz podeszwę buta. Niewiarygodna euforia. Teraz, kiedy Ellis jest ze mną, tylko zabijanie się liczy. Kolejny Zwykły atakuje mnie nożem. Wykręcam mu dłoń z taką siłą, że słyszę, jak kości wyskakują ze stawu łokciowego i pękają, a potem zanurzam nóż w jego piersi. Wyciągam zakrwawioną broń, po czym bez namysłu chwytam za włosy innego Zwykłego, szarpnię je w tył i szybko przeciągam nożem po odsłoniętej szyi. Czuję, jak nóż z łatwością kraje ciało. Obok mnie Ellis rzuca się na dziecko tylko trochę od niej starsze. Dziecko się broni, niezdarnie ucieka, ale Ellis siłą doprowadza je na chodnik i rozbija mu głowę o parapet niskiego okna.

Teraz zdaję sobie sprawę - kiedy zabijam tyle razy tak gładko - że właśnie tego zawsze pragnąłem. Walczę swobodnie, bez ograniczeń, bez obaw. I mam przy boku Ellis, która czyni to samo. Choć gdzieś znikła. Znowu straciłem ją z oczu. Wołam ją po imieniu, ale chaos dookoła pochłania

wszystko. Helikopter znowu krąży i przerażona ciżba popycha mnie dalej. Próbuje wyciąć sobie drogę w tłumie, ale przypomina to płynięcie pod najsilniejszy prąd. Przez powstałą na chwilę przerwę w ludzkim potoku widzę, jak Ellis mknie przez ulicę, przeskakuje od ciała do ciała, od zabójstwa do zabójstwa, przedziera się przez tłum. Z zaskoczenia skacze na plecy jakiegoś mężczyzny, łamie mu kark, po czym rusza do następnej ofiary, choć poprzednia jeszcze nie padła. Potem Ellis znowu znika. Tracę ją z oczu pośród tego szaleństwa.

Czym się stała? Jest dzikuską, zdziaczałym potworem. Odeszła milion kilometrów od Ellis, którą znałem i pamiętałem, ale nadal jest moją córką. W tej chwili przedstawia sobą potworny widok, aż serce mi się kraje, ale jednocześnie jestem niewiarygodnie dumny z tego, jaka jest teraz. Jak dzielnie i z jaką siłą walczy.

Muszę się do niej dostać.

Z trudem posuwam się naprzód. Dyszę z wysiłku, mam ciężkie nogi i puste płuca, ledwo się ruszam; w moją stronę płynie nieskończony potok Zwykłych. Usiłuję iść między nimi, ale za każdym razem, gdy robię krok naprzód, zostaję zepchnięty kilka kroków wstecz. Nie wolno mi ustać. Teraz nie mogę się zatrzymać...

Ryk kolejnego pocisku przeszywa powietrze. Pocisk uderza w bok budynku położonego niecałe sto metrów przed nami. Wybija dziurę w ścianie, a potem eksploduje na zewnątrz i pokrywa gruzem całą ulicę. Kiedy huk eksplozji zamiera, wszystko cichnie i nieruchomieje. Stoję bez ruchu, kiedy kilkoro ostatnich uchodźców, którzy uszli z życiem, nadal pcha się obok mnie. Powoli zbliżam się do strefy wybuchu i dźwięki stopniowo powracają-wrzaski i jęki rannych i umierających, alarm samochodowy, który jakimś cudem nadal funkcjonuje, trzaski i skwierczenie płomieni, syk przebitych rur...

Nie widzę Ellis.

Stoję samotnie na skraju ogromnego rumowiska i pola trupów. Wokół mnie kilkoro ludzi znowu zaczyna się poruszać, pełzną przez gruzy, powoli wstają i zataczając się, brną dalej. Wchodzę głębiej w ten chaos, z początku powoli, potem zaczynam biec. Potykam się i ślizgam na szczątkach ludzi

Gdzie ona jest?

Biegnę szybciej, ledwo utrzymując się na nogach pośród rzezi. Im bardziej się zbliżam do epicentrum wybuchu, tym mniej widzę ciał ludzkich w całości. Spoglądam w dół - są w nim tylko oderwane kończyny i trudno rozpoznawalne kawałki krwawego mięsa. Nie mogę się ruszać, nie mogę myśleć logicznie, odór dymu i spalonego ciała wypełnia moje krwawiące nozdrza. Nie mogę się skupić. Ledwie oddycham. Czy ją straciłem? Lizzie nie miała szans, a jednak przechowała Ellis bezpiecznie przez całe tygodnie. A gdy córka została ze mną, po paru minutach przepadła.

Nie mogę się poddać.

Teraz wokół mnie znów pojawia się dużo ludzi, niektórzy wygrzebuja się z krwawej jatk, inni nadal napływają z centrum miasta, wybierają drogę wśród makabrycznych ruin; wybuch tylko chwilowo opóźnił ich ucieczkę. Powoli przecinam pełną gruzów ulicę, próbuję coś zobaczyć przez dym i mgłę, patrzę w stronę budynków, w pobliżu których widziałem Ellis. Przynajmniej tak mi się zdawało. Kiedy podchodzę bliżej, padam na kolana i pełnę przez krwawe błoto. Odpycham dłonie, które mnie chwytają, rozpaczliwie błagając o pomoc. Kolanem zapadam się w otwartą klatkę piersiową młodego Zwykłego, wyduszając z jego płuc ostatnie tchnienie. Ktoś inny łapie mnie za płaszcz, a ja odrywam jego zadziwiająco silne palce i wtedy widzę małą dziecięcą dłoń wystającą spod dwóch ciężkich trupów. Odciągam ciała z drogi, jestem w rozpacz, chcę wyciągnąć spod nich Ellis. Dziewczynka spoczywa na asfalcie twarzą w dół, wokół jej głowy rozlała się kałuża ciemnoczerwonej, niemal czarnej krwi. Kładę dłonie pod jej ramiona, wyciągam ją i odwracam, ale to nie ona. Dzięki Bogu. Upuszczam ciało i brnę dalej.

Teraz wszędzie wokół mnie ruszają się Zwykli. Ranni, przerażeni. Muszę znaleźć Ellis, szybko odrzucam na bok ludzkie szczątki, szukam jakiegokolwiek jej śladu. I wtedy widzę ślad -odcięty koniec plastikowego sznurka. Kiedy kolejne pociski wybuchają wokół mnie, sypiąc wokół ziemią i



pyłem, podnoszę koniec sznura i idę wzdłuż niego, przerażony myślą, co mogę znaleźć na drugim końcu. Spozrzegam gołą kostkę, drobną i chudą. Odciągam z drogi następnego przesiąkniętego krwią trupa i odpycham go na bok. Podskakuję zdziwiony, kiedy trup otwiera oczy, wrzeszczy z bólu i próbuje mnie chwycić. Pod innym ciałem widzę zmierzwioną czuprynę Ellis. Spycham dalsze ciała, wreszcie Ellis leży przede mną. Jej drobne, wychudzone ciało nie rusza się. Potrząsam ją za ramiona, ale nadal nie ma reakcji. Pochylam się nad nią, moje ucho jest parę milimetrów nad jej ustami, ale ciągle nic nie wyczuwam ani nie słyszę. Chwytam jej rączkę i sprawdzam puls. Nie ma pulsu. Odwracam ją, podnoszę i trzymam w ramionach. Jakby spała. Po raz pierwszy, odkąd ją znalazłem, wygląda znowu jak moja Ellis, najdroższe dzieciątko, które opatulałem w łóżku na noc i któremu rano przynosiłem śniadanie; hałaśliwy mały gnojek, który życie zamienił mi w piekło, ale którego kochałem nade wszystko w świecie. Posiniaczona, zakrwawiona i piękna.

Jeszcze raz sprawdzam puls. Nie wiem nawet, czy robię to prawidłowo. Czyżbym coś czuł? Podnoszę jej powieki. Źrenice ma szerokie, w pełni otwarte, ale nie reaguje na światło. Trzymam ją blisko, głowę obok mojej głowy, i przez sekundę wydaje mi się, że coś słyszę. Koncentruję się wyłącznie na tym i wtedy słyszę znowu: słabutki szept płytkiego, chrapliwego oddechu. Żyje. Muszę ją stąd wydostać.

39

Na niebie ruch i hałas. Pociski sterowane i moździerzowe, rakiety wybuchają wokół śródmieścia. Helikoptery brzęczą w górze, niektóre tylko obserwują, ale większość atakuje, strzela do tłumu.

Uchodźcy idą jeden za drugim jak owce, trzymając się głównych dróg wylotowych, i nie zastanawiają się, czy ludzie na przedzie wiedzą coś więcej o całej sytuacji. Biegają na ślepo, w masie mają złudne poczucie bezpieczeństwa. Setki osób poruszają się szeroką obwodnicą, która - jak wielu zapewne wie - w końcu zawróci i zaprowadzi ich prosto do konającego miasta.

Istnieje inna droga.

Z lewej strony mam ogromny stos dymiących gruzów, ruinę multipleksu. Ciągłe niosąc Ellis w ramionach, opuszczam drogę i biegnę skrajem ruin, wzdłuż szerokiego parkingu zastawionego namiotami i przyczepami kempingowymi, teraz prawie zupełnie opuszczonego. Po drugiej stronie parkingu znajduje się stromy nasyp, a po nim biegnie jedna z linii kolejowych. Kiedy większość tych tępych sukinsynów trzyma się zatłoczonych i zablokowanych dróg, spostrzegam, że jedynie garstka ludzi na nasypie wydostaje się z miasta po torach.

Ellis zaczyna się ruszać. Bogu niech będą dzięki. Ledwie drgnęła, ale to wystarczy. Czuję, że będzie z nią wszystko dobrze. Kiedy wspinam się na nasyp, trzymam ją mocno. Biegnę po torach; instynktownie wystrzegam się pociągów, które przecież nigdy nie przyjadą. Stopy zapadają mi się w wilgotny piasek i marsz wymaga zdwojonego wysiłku.

Z tego dość wysokiego punktu obserwacyjnego mam dobry widok na okolicę. Oglądam się przez ramię na to, co pozostało z miasta. Całe dzielnice płoną. Zarys dachów zmienił się niewiarygodnie w bardzo krótkim okresie. Wysokie, okazałe budowle, dumnie wznoszące się jeszcze parę godzin temu, kiedy tu przybyłem, zostały zmiecione. Sylwetka miasta zmieniła się na zawsze. Nawet z tej odległości, na tle nieustannego hałasu helikopterów, ryku pocisków i grzmotów, nadal słyszę odgłosy walki tysięcy ludzi i czuję ogromną ulgę, że wraz z córką uciekłem z centrum bitwy.

Biegnę. Jestem wyczerpany, lecz zmuszam się do biegu. Prawdopodobnie jesteśmy bezpieczni, ale chcę odejść jeszcze dalej. Tory wiją się ku przedmieściom wśród opuszczonych ruin rezydencji, stojących po ich obu stronach. Nawet tutaj na ulicach są ludzie. Widzę dziesiątki przerażonych Zwykłych, którzy uciekli z miasta i szukają schronienia, ale zostaną przechwyceni i zlikwidowani przez ludzi w rodzaju Ellis. Skąd, do diabła, wzięło się tu tak wielu naszych bojowników? Czy byli już z nami w śródmieściu? Odpowiedź nasuwa się od razu, widzę, że zbliża się ich coraz więcej, nadchodzą spoza miasta, przekraczając strefę zamkniętą. Musiały do nich dojść wieści, że obóz uchodźców implodował. A może to zaplanowany atak? Może awangarda armii Ankina?

Następny helikopter przelatuje tak nisko, że instynktownie padam na kolana i pochylam się, chroniąc Ellis. Znowu porusza się w moich ramionach i jęczy z bólu. Trzymam ją blisko piersi i patrzę w górę, obserwując znikający helikopter. Potem grzmi nad nami kolejny i jeszcze jeden... wszystkie lecą poza miasto. Wstaję i opieram się o burtę wykolejonego pociągu towarowego, widzę, że następne helikoptery bojowe lecą za tamtymi trzema. Znowu zaczynam iść i kiedy hałas maszyn cichnie, dobiega mnie inny dźwięk, tym razem znacznie bliżej i z poziomu ziemi. Za zburzonymi domami po prawej znajduje się wielki park. Nawet z tej odległości widzę, że tam wrze. Na ulicach wokół parku szaleją bitwy, a z murawy startuje długi konwój samochodów i odjeżdża. Następny helikopter startuje skądś z bliska. Wznosi się szybko w powietrze, a potem zakręca ostro na lewo i leci kursem obranym przez poprzednie maszyny.

Ellis zaczyna się budzić i poruszać. Stęka i wije się w mych ramionach, ale wzmacniam uścisk, zdecydowany jej nie puszczać.

- Spokojnie - mówię, nie wiedząc, czy w ogóle mnie słyszy i rozumie. - Proszę, kochanie...

Tory kolejowe przecinają dzielnicę willową i biegną równolegle do granic parku. Nigdy nie oglądałem tego miejsca z nasypu kolejowego, ale kiedyś nazywało się ono Sparrow Hill Park. Jestem tego pewien. Obecnie trudno je poznać. Pamiętam rozległe, dobrze utrzymane trawniki - obecnie teren pokrywa mnóstwo bezładnie porzuconych namiotów i kontenerów mieszkalnych. Kiedyś gnieździł się w nich uciekinierzy, obecnie dużo jest pustych. Ogromne połacie obozu zostały zmyte, a kilka jezior to wszystko, co zostało z fal powodziowych, które się wtedy bezlitośnie przetoczyły.

Przede mną na torze walczą ludzie. Zbiegam z nasypu i przedzieram się przez gęsty zagajnik drzew o kruchych gałęziach, by zbliżyć się do parku. Za drzewami widzę ruch. Trzymam Ellis jeszcze mocniej, bo usiłuje mi się znowu wyrwać. Jej wściekłość zdaje się wzrastać wraz z bliskością Zwykłych. Chce walczyć, ale jej na to nie pozwolę. Tutaj to zbyt niebezpieczne.

Przechodzę przez zagajnik i natykam się na ogrodzenie z siatki. Coś się tu zmieniło. Nie potrafię tego skonkretyzować, ale czuję, że coś nie gra.

Kiedy obchodzę ogrodzenie, szukając wejścia, z opóźnieniem orientuję się, w czym rzecz. Wojsko Zwykłych ewakuuje się. To ich rutynowa reakcja: kiedy się orientują, że stracili kontrolę nad budynkiem, terenem lub nawet miastem - wycofują jak najwięcej ludzi na bezpieczną odległość, a potem bombardują w diabły wszystko, co zostało. Widziałem to w szpitalu, w tamtym biurówcu z Adamem, a wcześniej jeszcze ze sto razy. I, Jezus, teraz dokładnie wiem, co przytrafiło się Londynowi. Stracili kontrolę, jak tutaj. I jak wtedy zareagowali? Zrównali z ziemią tamto cholerne miejsce. Czuję, że koniecznie musimy się stąd wydostać.

Ellis udaje się wyswobodzić rękę i wali mnie w twarz. Krew cieknie mi po policzku, a kiedy podnoszę dłoń, by ją wytrzeć, dziewczynka pcha mi obie pięści pod brodę i odpycha głowę w tył. Następnie bije mnie kolanami w brzuch i wyswobadza się. Biegnie skrajem parku, a ja pędzę za nią ku miejscu, gdzie płot się zawalił. Jakaś ciężarówka przejechała przez ogrodzenie i wpadła na pień drzewa. To musiało się zdarzyć dopiero co. Na wpół żywy kierowca jest Zwykłym. Zwisa z drzwi kabiny i kiedy nas widzi, zaczyna jęczeć i błagać o pomoc. Ellis wskakuje na niego z rozpędu - mężczyzna wpada do kabiny. Kiedy do niej docieram, kierowca jest już martwy, ale ona, opanowana instynktowną agresją, nadal kopie, bije i siecze jego pozbawione życia ciało. Chwytam ją za włosy i ciągnę z powrotem ku sobie. Potem udaje mi się złapać ją pod pachami i z powrotem wywlec na otwarty teren.

- Puść! - ryczy dziewczynka. Głos gardłowy i zachrypnięty brzmi raczej jak ostrzegawcze wycie niż ludzka mowa.

- Musimy iść, Ellis. Nie możemy tutaj zostać. To zbyt niebezpieczne.

Wciążam ją za sobą do parku. Ciągłe kopie i wściekle się rzuca, ale jej krótkie ramiona nie dosięgają moich dłoni i nie mogą rozerwać chwytu. Biegnę przez bagnistą trawę ku chaotycznej krzątaninie. Przy jedynym wejściu jest korek, gdzie jeepy, ogromne ciężarówki i inne pojazdy opancerzone rywalizują o miejsce, by dostać się na drogę, na której ledwie się mieści pojedynczy

sznur samochodów Wszędzie wokół pojazdów uchodźcy i piesi żołnierze próbują wydostać się z parku. Ludzie walczą między sobą, by się stąd wydostać, ale nie ma tutaj ludzi takich jak my. To walka między Zwykłymi.

Landrover koloru khaki odjeżdża w błocie, a potem nagle staje z tyłu wciąż rosnącej kolejki. Kiedy biegnę ku niemu, nikt nie zwraca na nas uwagi. Kierowca usiłuje wyminąć nieruchomą kolejkę i wepchnąć się do środka; zależy mu na jednym - uciec stąd, zanim rozpocznie się nieuniknione bombardowanie. Ale nikt nie może się przedostać. W górze wisi helikopter, nadając bezcelowe komunikaty, prawie niesłyszalne w hałasie niecierpliwych silników pracujących na zbyt wysokich obrotach.

Kierowca landrovera sprzecza się z jednym z żołnierzy z tyłu. To nasza szansa. Przyciągam Ellis blisko i szepczę jej do ucha:

- Zabij ich, kochanie.

Szarpnięciem otwieram tylne drzwi obryzganego błotem pojazdu i dosłownie wrzucam ją do środka. Zatrząskuję drzwi i czekam kilka niespokojnych sekund; zakrwawiona twarz jednego z żołnierzy uderza w okno, rozbijając szkło. Otwieram przednie drzwi, wywlekam kierowcę na trawę i flekuję jego twarz, aż ten przestaje się ruszać. Wskakuję na jego nadal ciepły fotel i zamykam drzwi. Za mną Ellis stoi na piersi jednego z martwych żołnierzy i gołymi rękami rozrywa mu gardło.

- Dobra dziewczynka - mówię. - Teraz siadaj i trzymaj się.

Droga przed nami jest nadal nieprzejezdna i teraz biegną ku nam jacyś żołnierze, bardziej interesuje ich pojazd niż polegli towarzysze albo my. Kiedy najbliższy sięga do drzwi, włączam tylny bieg, ślizgam się do tyłu po trawie, przejeżdżam jednego, gruchoczę mu nogi. Włączam pierwszy bieg i przyspieszam. Przez sekundę usiłuję złapać przyczepność na mokrej trawie, w końcu pomaga mi w tym trup żołnierza. Ruszamy!

- Trzymaj się - mówię ponownie do Ellis, kiedy z poślizgami suniemy przez błoto. Jadę wzdłuż parkowego ogrodzenia, szukając przejścia, którym dostaliśmy się do środka. Mam nadzieję, że zdołam precyzyjnie się z drugiej strony ciężarówką i wydostać się na zewnątrz. Oto jest. Przyspieszam przez przewróconą siatkę ogrodzenia, landrover szoruje bokiem o rozbitą ciężarówkę. Skracam ostro na prawo, potem ostro w drugą stronę, potem znowu zmieniam kierunek, gdy przedzieramy się przez drzewa. Ellis siedzi na tylnym siedzeniu. Rzuca ją z boku na bok, ale zakrwawiony trup żołnierza lekko amortyzuje wstrząsy.

- Zapnij pas.

Nie reaguje, znowu kręcę kierownicą, potem mocno ją chwytam, kiedy przedzieramy się przez drzewa i niskie sztachetki. Później skręcam w wąską ulicę lokalną, która roi się od ludzi. Czmychają na boki, kiedy ku nim pędzimy. Ellis wali dłońmi w okno, chce wybić szybę, by wydostać się na zewnątrz i zabijać.

Przed nami na jezdni jest wysepka; auta, które zdołały wydostać się z parku, objeżdżają ją. Przyspieszam pod prąd wokół wysepki, a potem wpycham się w rząd szybkich pojazdów. Pędzimy szeroką drogą, która po jednej stronie jest prawie bezлюдna. Kiedy się zbliżamy, następnymi uchodźcy zmykają, ustępując nam miejsca. Droga wspina się na wysoki wiadukt na ogromnych betonowych słupach i teraz wiem, dokąd jedziemy. To była główna droga wojskowa Zwykłych prowadząca do obozu uchodźców. Za niecałe dwa kilometry dojedziemy do autostrady. Widzę, jak ciężarówka przede mną uderza w uciekającego przed nią człowieka - ten koziółkuje, wypada przez barierkę wiaduktu i spada dwadzieścia metrów w dół. Jedziemy tak szybko, że oglądam dół przez ułamek sekundy, ale widzę, że teren poniżej przypomina rozległe pole bitwy. Uciekający uchodźcy zderzyli się czołowo z armią naszych bojowników maszerujących do miasta. Nie są przeciwnikami dla naszych. To krwawa, brutalna jatka na masową skalę, bez precedensu.

Przód landrovera zahacza o bryłę betonu i omal nie tracę panowania nad autem. Znowu się koncentruję, kiedy zaczynamy zjeżdżać ku autostradzie, mając przed sobą i za sobą wojskowe pojazdy Zwykłych. Ellis rzuca się na drzwi, próbując wyjść, niepomna niebezpieczeństwa.

- Siadaj! - krzyczę na nią. Odwracam się nieco i próbuję złapać ją za rękę. Udaje mi się schwycić nadgarstek, ale Ellis ani drgnie. Chryste, ale jest silna. Wyprostowane nogi opiera o przednie siedzenie. Im bardziej ciągnę ją w przód, tym bardziej się opiera.

Kiedy droga rozszerza się i wpada w autostradę, dwa pojazdy naraz usiłują mnie wyprzedzić, ciężarówka z jednej strony i jeep z drugiej. Taranuję ciężarówkę. Skręca ostro w prawo i uderza w metalową barierkę ustawioną wzdłuż drogi i zjazdów. Tył ciężarówki składa się jak scyzoryk i blokuje za nami dwa lub trzy pasy. Zerkam w lusterko boczne i widzę, jak kolejne pojazdy wpadają na ciężarówkę; niemal cała droga to teraz rzeka rozbitych samochodów. Niektóre ciężarówki i furgonetki jakoś omijają wraki i jadą dalej.

Ellis rzuca się na mnie z tyłu. Podnoszę dłoń, by się zasłonić, i udaje mi się chwycić ją pod pachą. Ciągnę ją w przód i przerzucam - robi pełny przewrót i pada plecami na siedzenie pasażera.

- Siadaj! - ryczę. Siła mojego zdesperowanego głosu chyba w końcu wywiera jakiś skutek. Ellis odsuwa się ode mnie i przesuwa ku drzwiom. Podciąga kolana i zwija się w ciasny kłębek.

- Zapnij pas, Ellis - mówię. - Natychmiast!

Nie reaguje, ale nie zwracam na nią uwagi. Skupiam się na prowadzeniu samochodu. Wymijam z niewłaściwej strony wielki transporter opancerzony. Widzę błysk światła i słyszę gromki hałas bezpośrednio nad nami. Czy to następne eksplodujące pociski? Nie, to po prostu helikoptery; ich piloci i pasażerowie opuszczają podbite miasto razem ze wszystkimi uciekinierami. Przez ułamek sekundy - dłużej bym się nie odważył - zerkam na deskę rozdzielczą i widzę, że jedziemy ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ponad dwa kilometry na minutę. W tej chwili dzieli nas od miasta jakieś dziesięć, dwanaście kilometrów, może trochę więcej. Czy to wystarczy?

- Musimy stąd jak najdalej odjechać, rozumiesz? - przekrzykuję hałas silnika. Patrzę na Ellis: kuli się na siedzeniu obok mnie, na wpół naga, umazana krwią, brudna. Jej ogromne piwne oczy patrzą na mnie, nie mrugając. Dziecko jest w szoku, ma uraz psychiczny po wszystkim, co widziała i robiła odkąd ostatni raz byliśmy razem. Gdyby tylko Lizzie nie zabrała jej ode mnie. Dla Ellis byłoby lepiej, gdyby była tam ze mną, wszystko bym jej wyjaśnił. - Posłuchaj, znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce na postój, a potem...

Jej wzrok przeskakuje z mojej twarzy ku przedniej szybie. Ellis spogląda w górę, obserwując białe chmury. Patrzę tam, gdzie ona, a potem znów na drogę. Zmieniam pas, gdyż omal nie uderzyliśmy w tył wolniejszego, ciemnozielonego pojazdu. Koła dudnią po twardym poboczu, część opony wjeżdża na pobocze miękkie i wzbija obłoki żwiru i kurzu. Przerzucam landrovera z powrotem na szosę, nagły ruch powoduje, że oboje przechylamy się na prawo. Ellis cały czas wpatruje się w niebo.

- Co tam jest?

Nie odpowiada, ale to nie ma znaczenia. Teraz to słyszę. Nawet przez wycie nadwerężonego silnika landrovera słyszę wysoki świst. A potem widzę - pojedyncza czarna cętka pędzi przez niebo ku miastu z niewyobrażalną szybkością. Musi to być odrzutowiec, albo...

Cholera. To niemożliwe...

Pedał gazu już leży płasko na podłodze, ale próbuję wcisnąć go mocniej, kiedy zdaję sobie sprawę, na co patrzę. Jedną ręką trzymam kierownicę, drugą popycham Ellis w dół. Skowyczy, protestuje i próbuje ze mną walczyć, ale ignoruję to i nadal ją przyciskam. Ellis ześlizguje się z siedzenia i upycham ją mocniej w miejsce dla nóg.

- Schowaj się - wrzeszczę głosem ochryplym z przerażenia. - Schowaj cholerną głowę, natychmiast...

Znowu spogląda w górę i widzę tylko te piękne piwne oczy, wpatrzone we mnie. Znowu próbuje się wynurzyć, ale wpycham ją z powrotem.

- Nie patrz w górę, Ellis. W żadnym wypadku nie patrz w górę.

I wtedy to się dzieje.

Kilometry za nami rozbłyska nagle silne, białe światło, tak jasne, że aż parzy. Z całej siły zamykam oczy, ale nadal wszystko widzę, kiedy olśniewający błysk i nagły żar omiata nas całkowicie,

wypełnia landrovera, pali mi skórę i wyciska powietrze z płuc. Zanika niemal tak szybko, jak się pojawia, ale mrok, który się wdziera w to miejsce, jest niemal równie oślepiający. Wpadamy na auto przed nami i w ułamku sekundy widzę, że autostrada staje się morzem rozbitych samochodów osobowych i ciężarówek.

Wyjący wiatr połyka landrovera i znowu ciska nas naprzód. Staram się dotknąć Ellis, ale nie mogę jej wyczuć ręką. Nie porusza się. Landrover koziołkuje. Toczy się wiele razy, z każdej strony uderzają w nas odłamki. Znowu cisnęło mnie na fotel, potylicą uderzam w szybę.

Próbuję się poruszyć, ale nie mogę. Próbuję się skupić, ale nie mogę. Próbuję mówić, ale...

40

Jak długo? Godziny, minuty czy tylko sekundy? Panuje spokój, cisza znacznie większa, niż powinna być. Powoli rozwieram oczy, nie wiem, co zobaczę. Przednia szyba landrovera popękiała, szło przecinają setki drobnych węzowych rys. Nasz samochód leży na innym wraku, a jego maska celuje w niebo. Leżę na plecach na fotelu i widzę jedynie ohydne i gniewne, żółtoszare niebo. To kolor żółci.

Ellis się rusza. Próbuję przechylić się i ku niej obrócić, ale mam sztywny kark. Wyciągam dłoń, by go rozmasować, ale czuję, że moja skóra jest wilgotna w dotyku, wrażliwa i ugina się pod dotykiem. Musi być poparzona. Ellis znowu się wierci, więc próbuję się odwrócić. I zamieram. Czuję, że mimowolnie opróżnia mi się pęcherz.

To, co się właśnie wydarzyło, miało taką moc, że obróciło landrowera o ponad sto osiemdziesiąt stopni, a przez okno pasażera widzę coś najbardziej przerażającego: od tego miejsca aż do miasta wszystko płonie. Wszędzie migoczą płomienie, a ziemia jest spalona i czarna. Samo miasto - moje rodzinne miejsce, gdzie mieszkałem z bliskimi, gdzie pracowałem, bawiłem się, szamotałem i walczyłem - przepadło. Gruby słup ciemnoszarego dymu wznosi się prosto w niebo z martwego centrum. Na trudnej do określenia wysokości dym wydyma się i opada, tworząc charakterystyczny kształt grzyba.

Ellis wdrapuje się na siedzenie pasażera obok mnie. Gdybym działał nieco wolniej lub przybył trochę później, albo jeślibym się ociągał, byłaby już martwa, w mgnieniu oka przemieniona w parę wraz z tyłoma innymi ludźmi. Lizzie, Josh, Edward... wszyscy odeszli. Zaczynam łkać. Moje mieszkanie, Joseph Mallon, Julia... Nie wiem, czemu płaczę. To szok, ulga czy smutek?... Ellis patrzy na wybuch w oddali, potem odwraca się i piwnymi oczami wpatruje się we mnie. Próbuję do niej mówić, ale słowa nie przechodzą mi przez piekące i suche gardło. Czuję, jakby płuca wypełniał mi dym. Czy ona też jest w szoku? Po raz pierwszy od czasu, gdy ją znalazłem, jest cicha i przygaszona.

- Poczekamy, aż będzie bezpiecznie - mówię jej głosem, który nie brzmi jak mój głos. - Wtedy znajdziemy jakieś lepsze miejsce. Dobrze?

Patrzy na mnie, ale nie reaguje. Potem spogląda na rozbity szybę.

- Śnieg - mówi. To pierwsze pełne słowo, które słyszę od swej córki od miesięcy.

- To nie śnieg - mówię jej, obserwując kilka dużych, szarych grud, spływających w dół i osadzających się na rozbitej szybie. - To popiół. Brudny. Trujący. Choruje się od tego.

Opada z powrotem na siedzenie, a za nią znowu widzę w dali grzybowy obłok. Tyle się wydarzyło, ale ten widok przeraża. Poniżej. Ostateczny symbol Nienawiści. Kto to zrobił?

- Znajdziemy dom - mówię Ellis, ciągle patrząc na chmurę. Nie wiem, co mówię i po co to mówię. - I razem tam zamieszkamy. Wiem, że trudno zrozumieć, co stało się z mamą, Edwardem i Joshem, ale pewnego dnia do tego dojdziemy, a wtedy ty...

Wyskakuje z siedzenia i skacze przez wnętrze landrovera, opiera się plecami o mój tors i przyciska twarz do szyby. Nie mogę się ruszyć, przygwożdżony jej ciałem. Ona coś obserwuje, jak to coś nas okraża. Z szybkością błyskawicy znowu odskakuje i przełazi przez siedzenia na tył samochodu, tratując wciąż mokre trupy żołnierzy. Szarpie klamkę drzwi, próbując wydostać się na zewnątrz.

- Nie rób tego, kochanie - krzyczę, starając się obrócić obolałe ciało i wciągnąć ją znowu na

przód samochodu. Udaje mi się ją złapać, ale się wyrzywa. - Nie możesz tam wyjść.

Znowu przeciska się przez lukę między siedzeniami, odpycha mnie i rzuca się do drzwi. Przechyliłam się i zasłaniam zamek. Gwałtownie potrząsa klamką i wrzeszczy z frustracji.

- Ellis, nie - błagam. - Musisz zostać tu ze mną. Nie możesz...

Przerywa mi strzelanina gdzieś w pobliżu. Odwracam się, spoglądam przez okno i widzę teraz ludzi na autostradzie. Są ich setki. Wyglądają na naszych ludzi, ale wśród nich są również Zwykli żołnierze. Nasi bojownicy mają przewagę liczebną. Polują na Zwykłych.

Ellis rzuca się na mnie, usiłując mnie ominąć. Owijam ciężkie ręce wokół jej talii i próbuję przyciągnąć ją bliżej, ale kopie mnie i się uwalnia. Jestem zbyt zmęczony, by dalej walczyć. Odpycha mnie, uderzam potylicą w okno. Jej gwałtowne ruchy powodują, że mający niepewne oparcie landrover trzęsie się, zaczyna się ślizgać i przechylać na bok.

- Proszę - mówię, wyciągając do niej ostrożnie rękę. Cofa się przed moim dotykiem, odpełza w tył. Pcha z frustracją przednią szybę. Kiedy stłuczone okno zaczyna się wybrzuszać, znowu ją pcha. I znowu. Chcę ją zatrzymać, ale brakuje mi energii. Teraz Ellis ma zakrwawione ręce, ale nadal uderza w szkło, usilnie chce się wydostać. W końcu, warcząc z wysiłku i wściekłości, przebija się przez przednią szybę i wypelza na maskę landrovera. Drzwi z mojej strony zablokował inny rozbity samochód i mogę tylko iść za nią. Czołgam się przez przód pojazdu. Metal nadal jest gorący, większość farby wypalona, odłamki szkła szorują mi po brzuchu. Opadam na asfalt i tracę równowagę - nie przewidziałem, że trzeba skoczyć z takiej wysokości. Wstaję szybko, ciężko dysząc. Powietrze tu na zewnątrz jest suche jak pieprz i ohydnie pachnie.

Ellis biegnie dalej, a ja za nią. Opuszczam rozbitego landrovera i wydostaję się na otwartą przestrzeń. Patrzę na autostradę w obu kierunkach. Widzę korek z nieruchomych pojazdów. Wielu Zwykłych kierowców i ich pasażerów jest martwych. Wklinowani za kierownice wraków, mają zakrwawione twarze rozbite o szyby. Niektórzy przeżyli. Jeden z nich wylania się z tyłu przewróconej ciężarówki, niedaleko ode mnie. Odchodzi kilka kroków od swojej maszyny i wtedy Ellis go atakuje. Wskakuje w samochód, a potem daje susa na zdezorientowanego Zwykłego. Łąduje mu na plecach i uderza nim o ziemię z niewiarygodną brutalnością.

Mija mnie biegiem grupa bojowników. Czekali tu, na wyludnionym terenie, a teraz z konwoju wybierają Zwykłych i jak sępy oddzierają mięso z kości, polują na ocalałych i rozrywają ich na strzępy. Daleko przede mną jakiś Brutal idzie niepowstrzymany, i zabija, zabija, zabija. Każdy opór Zwykłych jest szybko tłumiony. Tych, którzy próbują uciekać, Wściekli doganiają i zabijają.

Ellis rzuca się na następną ofiarę i znika mi z oczu. Z wysiłkiem przełykam ślinę i zmuszam się do marszu. Nogi mnie bołą. Spoglądam na dół i widzę, że z prawego kolana kapie krew. Na nogawce i bucie jest mokra plama czerwieni.

- Ellis, czekaj... - próbuję krzyczeć, ale głos mam za słaby. Znajduję ją na ziemi, przy jeepie, schyloną nad kolejnym trupem. Patrzy na mnie, a z ust wypada jej kawał krwawego ciała. Czy go zula? Chwytam ją za nadgarstek, zanim zdąży odbiec. -Tu jest zbyt niebezpiecznie. Musimy się ukryć. Chodź ze mną.

Odrywa moje słabe palce i odpełza, szukając następnej ofiary. Wykańcza oszołomioną, zmoczoną krwią kobietę, która już jest na wpół żywa. Ściąga ją ku sobie, chwyta za włosy i uderza twarzą kobiety wiele razy w osmalone drzwi samochodu, z każdym uderzeniem, głębiej wgniatając odarty z farby metal. Opieram się na wrakach i podciągam ku niej. Górujący nad okolicą grzyb zaczyna zanikać i się rozpraszać. To jeszcze bardziej mnie przeraża. Wkrótce powietrze wypełni trucizna, a może już je wypełnia. Rzucam się znowu na Ellis i obejmuję ją mocno ramionami.

Ból krwawiącego kolana jest nieznośny, ale nie mogę na niego zważać. Liczy się tylko Ellis.

- Musisz iść ze mną. Obydwoje umrzemy, jeśli zostaniemy tu na zewnątrz...

Opiera podeszwy bosych stóp na odkształconych drzwiach samochodu i prostuje nogi, odpychając mnie. Jedną nogę mam poranioną i trudno mi utrzymać równowagę - padam do tyłu. Gryzie mi rękę do krwi. Puszczam ją. Staje nade mną. Patrzę na nią w górę, zasłaniając oczy przed drobnym pyłem i popiołem, który teraz opada szybciej. Znowu chwytam ją za rękę, kiedy ona dostrzega

następnego Zwykłego i chce tam biec. Nie puszczę. Nie mogę jej puścić. Wrzeszczy i kopie mnie, ale ja nie puszczam.

- Zostań ze mną, proszę...

Ellis opada mi na piersi i wpatruje się w moją twarz. Co sobie myśli? Czy coś z tego rozumie? Kolejny Zwykły, starający się dobrać do bezpiecznego miejsca, odwraca jej uwagę i dziewczynka rusza. Trzymam jej przegub jeszcze mocniej.

- Nie odchodź.

Zaciska wolną rękę w pięść i mnie bije. Staram się ją powstrzymać, ale znowu mnie uderza, i jeszcze wiele razy, aż twarz mi drętwieje, a oczy mam tak spuchnięte, że prawie nic nie widzę.

Jestem zbyt zmęczony. Nie mogę z nią walczyć.

Czuję, jak wstaje.

Mam niewiele do powiedzenia, ale nie mogę wydusić nawet jednego słowa. Wiem, że patrzy na mnie, ciężko dysząc. Na rękach ma moją krew.

- Ellis... - zaczynam, ale nie słucha mnie. Oddała się biegiem. Odwracam głowę i patrzę, jak znika w labiryncie rozbitych pojazdów, szukając następnej ofiary. Mogę tylko patrzeć, jak odchodzi.

41

Zimno.

Ciało się trzęsie.

Oddycham pyłem.

Bojowników od dawna nie ma. Ellis od dawna nie ma.

Pustka.

Wszystko stracone.

Ciągle leżę na drodze, zwinięty w kłębek. Żołądek podchodzi mi do gardła, nogi i ręce mnie bołą. W głowie mi łupie. Gardło mam suche, płuca poparzone. Dmie ciepły wiatr. Czarne niebo kłębi się nade mną. Światło gaśnie. Wszędzie fetor palonego mięsa. Leżę tak od wielu godzin, na asfalcie, twarzą w dół.

Ciężkie kroki.

Ktoś przy mnie stoi. Żołnierz? Leż spokojnie. Nie ruszaj się.

- Znalazłem jednego - krzyczy. Twarz ma osłoniętą, głos stłumiony przez maskę gazową.

- Warto go brać? - odkrzykuje ktoś.

- Nie jestem pewien.

Kopie mnie w żołądek i patrzy, czy zareaguję na kopniak wyduszający ze mnie powietrze. Patrzę w górę, ale się nie ruszam. Czuję wzrastającą Nienawiść.

- A ma jeszcze dwie ręce i dwie nogi?

- Tak.

- I oddycha?

- Tak mi się wydaje.

- To rzuć go na ciężarówkę.

Pochyla się, chwytając mnie za ramiona i podnosi. Ciągnie mnie przez drogę, stopy wloką się w pyle.

Muszę podjąć walkę. Tylko to mi zostało. Wszystko inne jest utracone.

Chyba w ostatnim tchnieniu prostuję nogi, staję prosto i wyrwam się. Nieuzbrojony i obojętny, szturcham żołnierza z całej siły, na jaką mogę się zdobyć. Zaskoczony, pada twarzą we wrak.

Odwracam go i zrywam mu maskę z twarzy. Chcę, by skurwiel wiedział, jak bardzo go nienawidzę, gdy go będę zabijał.

Jest znacznie silniejszy ode mnie. Odrzuca mnie. Padam, moje uszkodzone kolano się poddaje.

Czekam, aż zaatakuję, ale znów mnie podnosi.

Czy właśnie w ten sposób to się kończy? Czy teraz mnie zabije?

Chwileczkę. On jest taki jak ja. Jeden z nas.

- Zachowaj spokój - warczy, znowu pchając mnie w przód. - Oszczędź go na Zwykłych.

Jestem zbyt zmęczony, by protestować. Przepelniają mnie ulga, gniew i ból.

Prowadzi mnie przez autostradowy chaos, a potem, kiedy nogi znowu uginają się pode mną, podnosi mnie i przerzuca przez ramię jak worek kartofli. Nie mogę stawiać oporu. Nie mogę reagować.

Otwieram oczy i podnoszę głowę. Trudno cokolwiek dostrzec. Żołnierze w maskach gazowych wloką albo niosą tutaj ludzi. Dochodzimy do ciężarówki z platformą, żołnierz wpycha mnie na górę. Wyciągają się pomocne dłonie. Gramolę się na nogi, a potem padam przy burcie ciężarówki. Ledwo dyszę. Pył i brud wcierają mi się w skaleczenia i pieką, ale jestem zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Zbyt zmęczony, by czuć ból.

Pustka.

Wszystko stracone.

Przez pół sekundy próbuję szukać Ellis, ale wiem, że dawno odeszła. Rozglądam się po twarzach ludzi wtłoczonych na ciężarówkę. Wszyscy są tacy jak ja. Wszyscy są bojownikami. Nie ludzie, lecz wojownicy. Wszyscy zwerbowani do szczątkowej armii Ankina lub innych podobnych sił.

Głupio wierzyłem, że uda mi się obejść tę wojnę, że mogę od niej uciec wraz z Ellis. Wszystko, co pozostało na świecie, jest obecnie rządzone wyłącznie Nienawiścią i muszę być przygotowany, by walczyć i zabijać, aż ostatni ślad Zwykłych zostanie starty z oblicza planety. Dopiero wtedy zmieni się sytuacja.

Moja córka dawno przepadła, utraciłem ją, zanim odnalazłem. Teraz pozostała mi tylko Nienawiść.

Wyczerpany, zamykam oczy i daję się połknąć ciemności.

Muszę odpocząć i wydobrzeć, i być przygotowany na to, co jeszcze nadejdzie. Nie ma wyboru.

Najcięższe boje są jeszcze przed nami.